

Erin Duffy

Diablica z Wall Street

Dowcipna
i mądra opowieść
o kulisach kariery
w świecie
finansów



Szpilki, zawrotne tempo i wielkie pieniądze

Erin Duffy

Diablica z Wall Street

Tłumaczenie: Monika Pianowska, Michał Zacharzewski



SPIS TREŚCI

Dedykacja

Prolog. Przeklęta piaskownica dla dużych dzieci

I. Szorstkoscóry i Ted Rozgwiżdza

II. Jest urocza. Może bym się z nią przespał?

III. Dziewczynka

IV. Gdybym chciała niańczyć dzieci, zostałabym przedszkolanką

V. Dodatkowe święta

VI. Hotel Cromwell

VII. Sake

VIII. Dalej, dalej, majtki Gadgeta!

IX. Maszyna z przekąskami

X. Hojność wynosi się z domu

XI. Małe zoo

XII. Jestem odpowiedzialna za zniszczenie korporacyjnego feminizmu

XIII. Wąchaj mój kurz, Tony Tygrysie

XIV. Kupujący tę pannę hurtowo

XV. Środa, Zmocz Mi Wargi

XVI. Słodki cukierek

XVII. Finansowy armagedon

XVIII. Złote kajdanki

XIX. Zemsta to stara dziwka

XX. Capiche?

Podziękowania

O Autorce

Mojej rodzinie.

Moim braciom: Scottowi, Jamesowi i Christopherowi. Dziękuję, że zawsze potraficie mnie rozśmieszyć do łez.

Szczególne podziękowania należą się moim rodzicom. Tacie – mojemu idolowi, który zawsze zachęcał mnie, żebym spróbowała sił na Wall Street. Ciągle nie mam pewności, czy na to zasłużyłam, ale jestem dumna z mojego obecnego życia. Mamie – mojej mentorce, która po cichu wspierała nawet moje najgorsze pomysły (a uwierzcie, nie było ich mało) i która zawsze uważała, że powinnam pisać.

Chyba obydwójce mieliście rację.

Bardzo Was wszystkich kocham.

Prolog

Przeklęta piaskownica dla dużych dzieci

Jestem na to za stara”.

Klik.

O szóstej rano zamiast budzika włączyło się radio, a z głośników ryknęła muzyka. Tym razem to ostatni singiel Beyoncé przerwał niebiański spokój i w mało subtelny sposób przypomniał mi, że weekend właśnie się skończył. Wstawanie w poniedziałki jest ogólnie złe, ale budzenie się w poniedziałek z potwornym kacem, który rozsadza głowę, to już prawdziwa męczarnia. W północy przekopałam się przez stertę poduszek wciśniętych w ciemnozielone drewniane oparcie, a gdy w końcu moja dłoń natknęła się na pilota od wieży, ustawiłam tryb drzemki na kolejne błogie dziesięć (no, może dwadzieścia) minut. Pragnęłam za pomocą jednego przycisku sprawić, że sypialnia pogrąży się w absolutnej ciszy – o ile w mieszkaniu na trzecim piętrze budynku stojącego pośrodku Manhattanu w ogóle można zaznać ciszy.

Wielu ludzi marzy o porankach w Nowym Jorku. Cholera, Sinatra nawet napisał o tym piosenkę! Cudowne miejsce, pod warunkiem, że nie potrzebuje się snu – w Nowym Jorku skacowane, zmęczone i marudne jednostki długo nie pociągną. Gdybyście tak jak ja w niedzielny wieczór postanowili utopić smutki w prawie dwóch butelkach francuskiego czerwonego wina, zagryzając chrupkami i oglądając w telewizji powtórkę „Prawa i porządku”, o szóstej nad ranem Nowy Jork niewątpliwie i bezsprzecznie okazałby się piekłem na Ziemi. Powinnam była wiedzieć, na co się piszę przy wynajmowaniu mojej małej jak pudełko po butach kawalerki w West Village, za którą płacę cztery tysiące dolarów miesięcznie. Widok z trzeciego piętra na Alei Greenwich i znajdującą się w okolicy remizę strażacką nie wróżył mi doczekania we śnie nawet fazy REM. Od przeprowadzki zdołałam już zapomnieć, co to znaczy późno wstawać.

Zdażyłam się na chwilę zdrzemnąć, kiedy to przeklęte radio znowu się uaktywniło. Tym razem irytujący, żywiołowy prowadzący oznajmił, która jest godzina, gdzie ruch uliczny blokują korki i jaką mamy pogodę. „Ruszcie się, ludziska! Zaczął się kolejny mglisty, upalny i duszny dzień w Wielkim Jabłku”. DJ z pewnością inaczej niż ja poradził sobie z niedzielną chandrą. A może po prostu lubił swoją pracę i wcale nie czuł potrzeby, żeby w nocy zapijać troski. Słyszałam, że niektórzy mają takie szczęście.

Wygłosiłam przed sobą przemowę zagrzewającą do boju, jak to czynię codziennie, zanim ruszę w stronę Cromwell Pierce – jednej z najprężniej działających instytucji Wall Street. „Dasz radę, Alex. Na pewno sobie poradzisz. Nie pozwolisz się złamać”. Gadanie do siebie weszło mi w nawyk, odkąd zaczęłam pracę przy Wall Street. Jeśli to szaleńcze tempo się utrzyma, przed trzydziestką zupełnie zeświruję.

Moje przerażenie spotęgowała świadomość, że ogromne opakowanie tabletek przeciwbólowych, które zażywam regularnie od sześciu miesięcy, stoi w łazience. A ponieważ pękała mi głowa, oznaczało to jedno – musiałam zwlec się z łóżka. Nie było innego wyjścia. Ciężko opuściłam stopy na zimną drewnianą podłogę. Wiedziałam, że za chwilę znowu wcisnę posiniaczone palce w czółenka na dziesięciocentymetrowych obcasach i poczuję się, jakby moje raptem dwudziestoczteroletnie kolana należały do schorowanej staruszki. Powlokłam się do łazienki, przesunęłam dłonią po ścianie, a kiedy trafiłam na włącznik, poraziło mnie światło z żarówek nad szafką z lekami. Jęknęłam żałośnie, zasłaniając moje cierpiące, zwężone źrenice przed oślepiającym blaskiem. Mrugałam tak długo, aż zniknęły niebieskie plamki, a ja mogłam się skupić na moim odbiciu w lustrze i ocenić skutki zalanej nocy. Tym razem zaćmienie byłoby pożądane. Z jakiegoś powodu dwa lata po ukończeniu studiów wyglądałam dużo bardziej mizernie niż po wypiciu podobnej ilości alkoholu w trakcie nauki na Uniwersytecie w Wirginii. Postanowiłam zwalić winę na żarówki.

Prawdopodobnie przez sporą część nocy spałam w tej samej pozycji, twarzą w dół, bo na jednym z policzków odcisnęły się ślady zmiętej pościeli. Moje długie, czarne włosy całe mi się

popłatały i pewnie przynajmniej godzinę zajęłoby mi rozczesanie wszystkich kołtunów. Moja (zazwyczaj rumiana) cera wyglądała na bladą i odwodnioną, a pod zielonymi oczami pojawiły się worki i cienie. Stwierdziłam, że nie umyję zębów, dopóki nie doprowadzę do ładu swojej twarzy. Tego ranka zęby miałam zupełnie niebieskie, a usta pokrywały rubinowe zacieki. Między Bogiem a prawdą – pomalowane pomadką w takim odcieniu wyglądałyby świetnie. Ciekawe, czy ludzie z Sephory znaleźliby sposób na nadanie ustom takiego koloru bez potrzeby upijania się.

„Jeszcze pięć minut”, mamrotałam pod nosem, opierając się o ścianę pod prysznicem. Pozwalałam piekącej, gorącej wodzie obmywać moje jeszcze śpiące ciało i liczyłam na to, że to pomoże wyrwać je z odrętwienia. Zaczęłam się też zastanawiać, czy ludzie mogą spać na stojąco. Wiecie, tak jak krowy. Gdybym zasnęła pod prysznicem w innej pozycji, najpewniej po dwóch dniach odnaleziono by mnie martwą i osamotnioną – po tym, jak woda z zalanej łazienki przeciekłaby do mieszkania piętro niżej. Dozorca Juan wyważyłby drzwi, a jego oczom ukazałyby się dwie opróżnione butelki po winie, przepełniona niedopałkami popielniczka i chińska zupka o smaku kurczaka, leżące na stoliku, a w wannie odkryłby moje nagie ciało pomarszczone jak śliwka.

Och, nie. Nie, nie, nie i jeszcze raz nie. Nie chciałam zostać opisana w artykule „New York Post” jako dziewczyna, która utonęła na kacu we własnej wannie. Wyczołgałam się spod prysznica, założyłam spodnie w kolorze khaki i białą koszulę zapinaną na guziki. W szyi związałam się jasną apaszką. Miałam nadzieję, że jeśli przynajmniej porządnie się ubiorę, nikt w biurze nie zauważy, że jeszcze nie wytrzeźwiałam. Od częstego picia wokół talii zrobiła mi się oponka, więc ubrania wyglądały na zbyt dopasowane – to jeden z wielu niepożądanych efektów ubocznych pracy na Wall Street. Cudownie. Rozejrzałam się w poszukiwaniu najpotrzebniejszych rzeczy: iPhone’a, portfela i kluczy.

Kiedy nie pamięta się momentu, w którym zeszłej nocy położyłeś się do łóżka, najgorszą i najtrudniejszą rzeczą po przebudzeniu będzie dopasowanie elementów układanki i namierzenie porozsypywanych fragmentów twojego życia. W końcu iPhone’a znalazłam za poduszką na sofie, a portfel – z niewiadomych powodów – leżał w lodówce. Za nic w świecie nie mogłam jednak zlokalizować kluczy. Nigdzie. A przecież moje mieszkanie, jak już wcześniej wspomniałam, do dużych nie należało. Utkwiłam wzrok w brudnej, przeładowanej popielniczce. Na pewno nie miałam w domu papierosów, bo rzuciłam palenie w poprzedni czwartek. To znaczy, że w nocy poczłapałam po paczkę do sklepu całodobowego, a ponieważ udało mi się dostać z powrotem do domu, klucze musiałam mieć wtedy przy sobie. Na szczęście alkohol nie wywołał stałego uszczerbku na moim zdrowiu i nie pozbawił mnie zdolności dedukcyjnego rozumowania. Po rekonstrukcji zdarzeń nie potrzebowałam wiele czasu na ustalenie miejsca, w którym je zostawiłam, a kiedy uchyliłam drzwi wejściowe, moje przypuszczenia się potwierdziły. Dlatego właśnie zdecydowałam się na zamieszkanie w budynku z pełnoetatowym portierem. W przeciwnym wypadku najpewniej zostałabym zamordowana we własnym łóżku, więc zdjęcie mojej twarzy tak czy siak ukazałoby się na pierwszej stronie gazety codziennej. Kolejne życiowe zwycięstwo.

Zgarnęłam z podłogi torbę na siłownię i porozrzucaną prasę, wybiegłam na zewnątrz i zatrzymałam taksówkę. W drodze czytałam nagłówki z okładki „Wall Street Journal”. Wynikało z nich, że podupada kolejny z wielkich banków inwestycyjnych, na giełdzie papierów wartościowych zapowiadają się największe od lat 20. XX wieku spadki w trakcie jednej sesji, a w sektorze finansowym nastąpią zwolnienia. To wcale nie sprawiało, że mniej bolała mnie głowa. Praca w dziale zajmującym się stałymi dochodami, szczególnie obligacjami państwowymi, niedawno zamieniła się w istną torturę. Obligacje skarbowe to najbezpieczniejsze miejsce, w którym można przechować pieniądze (oczywiście poza wciśnięciem ich pod materac), więc byliśmy urobieni po łokcie, bo każdy sprzedawał zapasy i papiery wartościowe w zamian za obligacje z gwarancją rządową. Ostatnie kilka miesięcy wypełniały nerwy i stresujące sytuacje. Założę się, że gdyby przeprowadzić sondę wśród grupy przypadkowych pracowników Wall Street, okazałoby się, że ostatnio większość z nich częściej sięgała po kieliszek. Nie wiem tylko, ilu z nich przyznałoby się do znalezienia o poranku portfela w lodówce. Ledwo pamiętam, jak wszystko wyglądało przed zaledwie paroma miesiącami, zanim zrobiło się naprawdę kiepsko i nie trzeba było wlewać w siebie alkoholu, żeby zasnąć. Nie zawsze taka byłam. Zerknęłam do telefonu – nieodebrane połączenia od dwóch najlep-

szych przyjaciółek, Annie i Liv. Nie musiałam nawet odsłuchiwać wiadomości, które zostawiły mi na poczcie głosowej, bo doskonale wiedziałam, co chciały mi przekazać. Obydwie martwiły się o mój stan psychiczny i na pewno niepokoiły je moje coraz częstsze wizyty w sklepie monopolowym.

Dwadzieścia minut później wyskoczyłam z taksówki jak poparzona i zaczęłam się przedierać przez serię masywnych, złotych drzwi z dumnie wygrawerowanym napisem „Cromwell Pierce”. W drodze do ruchomych schodów starałam się stąpać lekko po posadzce, żeby stukanie moich obcasów nie odbijało się echem po przestronnym korytarzu. W myślach, w rytm klekotu szpilek, powtarzałam nową poranną mantrę: „Klik, klak, klik. Kilka godzin i po sprawie. Szybko minie, to raptem kilka godzin. Dasz radę. Na luzie. Klik, klak, klik. Może dzisiaj nie przyjdzie do pracy. Klik, klak, klik. Nie no, on na pewno jest dzisiaj w pracy. Zawsze jest. Pojebało cię, Alex. Zupełnie cię pojebało”.

Schyliłam głowę i wpatrywałam się w metalowe listewki, jadąc schodami na drugie piętro. Tuż przy nich czekała mnie konfrontacja z ochroniarzami. Musiałam położyć torbę na taśmie i pozwolić jej przejechać przez rentgen. Szczerze nienawidzę rentgenów. Któregoś razu miałam w torbce stringi (w tym momencie nie pamiętam dlaczego) i to był właśnie dzień, w którym kazano mi na oczach wszystkich opróżnić całą jej zawartość, żeby ochroniarz miał pewność, że przypadkiem nie wnoszę na teren biura jakiejś zamaskowanej broni. Ochronę na Wall Street przebijają tylko ta w Białym Domu. Nie narzekam. Po prostu czasami wcale nie ma się ochoty pokazywać zawartości torby. To wszystko.

Winda była zapchana, a ja stałam wciśnięta między dwóch mężczyzn w średnim wieku, ubranych w idealnie wyprasowane spodnie i pastelowe koszulki polo. Nie mam pojęcia, kto wybrał obsadę do filmu *Wall Street*, ale ktokolwiek był za to odpowiedzialny, z pewnością nigdy nie zrobił rundki wokół Cromwell Pierce. Gdyby któryś z moich kolegów choćby z daleka przypominał Michaela Douglasa albo Charliego Sheena, przychodzenie do pracy sprawiałoby mi dużo więcej radości. Gapiąc się beznamiętnie na artykuły w „Journal”, przysłuchiwałam się ich rozmowie. Człowiek w błękitnym polo zapytał od niechcenia tego w żółtym:

– Byłeś gdzieś w ten weekend?

– Taaak, w Southampton. Grałem w golfa na Shinnecock w sobotę.

– Ach, piękne pole. I jak było?

– Miałem małe problemy z podkładką pod piłkę, ale poza tym całkiem dobrze, dzięki. A ty?

– Westhampton. Chciałem spędzić trochę czasu z rodziną, zanim mój syn wyjedzie na uczelnię w przyszłym tygodniu.

– O, nieźle. A dokąd?

– Uniwersytet Browna. Będzie grał w lacrosse.

– To fantastyczne. Na jakiej pozycji? Mój syn zaczął już drugi rok na Harvardzie.

– Harvard, hm? Wspaniale. Jest obrońcą. A twój?

– Mój gra na pomocy.

– Może kiedyś wybierzemy się razem na mecz? Będziemy dopingować dzieciaki, co?

– Oczywiście. Nie mogę się doczekać rozpoczęcia sezonu. Bears kontra Crimson to będzie kapitalna rozgrywka.

Obydwaj zgodnie pokiwali głowami. Oczywiście to była tylko przykrywka prawdziwej rozmowy. Jak trochę się popracuje w tej branży, można łatwo rozszyfrować, że pod kożuszką wymiany uprzejmości kryła się mniej więcej taka konwersacja:

– Należę do droższego klubu golfowego niż ty, co oznacza, że zarabiam więcej od ciebie.

– Pieprzyć ciebie i twój słynny, ekskluzywny klub. Mój syn będzie grał w lacrosse w Lidze Bluszczowej.

– I co? Myślisz, że to czyni cię wyjątkowym? Mój syn już dawno gra w Lidze Bluszczowej.

– Super. Ale skoro twój dzieciak gra jako środkowy, to znaczy, że jest niższy i słabszy niż mój. Mam nadzieję, że zagrają kiedyś przeciwko sobie. Wtedy mój syn będzie miał okazję pokonać twojego w polu.

– Nigdy, przenigdy nie będziemy ze sobą rozmawiać w trakcie meczów. Nie odezwę się do

ciebie ani słowem. Będę udawał, że cię nie znam i w życiu cię nie spotkałem.

– Harvard jest dla ciot.

– Do Browna chodzą same cipki.

Wiadomość z ostatniej chwili: pracuję w ogromnej piaskownicy, w której bawią się fatalne przypadki.

Nie zawsze się tak czułam. Jeszcze rok temu uznałabym taką rozmowę za zabawną. Obchodziłoby mnie, co dzieje się na giełdzie. Praca przynosiłaby mi satysfakcję. Ale rok 2008 był do dupy pod każdym względem.

I

Szorstkokóry i Ted Rozgwiadza

To żadna niespodzianka, że wylądowałam akurat w branży, w której dominują mężczyźni. Zawsze lubiłam się bawić z chłopakami. Uwielbiałam brudzić sobie ubrania, zdierać kolana i łapać żaby. Wolałam grać na ulicy w baseball z trójką braci Callahan niż w klasy przed domem – z moją młodszą siostrą, Cat. Nasi rodzice pękali ze śmiechu, kiedy wracałam do domu cała umazana błotem. Stanowiłam całkowite przeciwieństwo cichej, spokojnej siostrzyczki, której do szczęścia wystarczyły skakanka i kolorowa kreda. Z początku młodzi Callahanowie nie mieli nic przeciwko mojemu towarzystwu. Bo niby dlaczego? W końcu byłam łatwym przeciwnikiem i pomagałam umocnić braciom ich – wciąż jeszcze kruche – męskie ego. Do czasu. Któregoś razu odbiłam piłkę tak mocno, że doleciała aż do prawego pola (czyli linii żywopłotu rosnącego przy głównym trawniku Callahanów). To był potężny, świszczący strzał. Nie do złapania. Biegłam, ile sił, zaliczając kolejne bazy, moje chude kolana zahaczały jedno o drugie. Gdy w końcu znalazłam się na ostatniej, zaznaczonej przez ręcznik kuchenny, zaczęłam radośnie skakać. To było moje zwycięstwo, udało mi się ograć starszych, wyższych, szybszych i silniejszych ode mnie chłopców. Jednak Benny'emu Callahanowi wcale się to nie podobało. Miał wtedy dziesięć lat i był najtwardszy z naszej paczki. Czuł to, co większość chłopaków (a później i mężczyzn) pokonanych przez dziewczynę.

– Nie chcę więcej grać z tym babsztylem. Dlaczego nie pójdziesz bawić się lalkami?

– Nie bądź frajerem! – krzyknęłam. To była moja pierwsza lekcja, że każdy sukces – duży czy mały – zawsze wiąże się z tego typu konsekwencjami.

– Idź do domu! Twój rodzice pewnie cię nawet nie chcą i to dlatego masz męskie imię.

Mama mi powiedziała, że woleli, żebyś była chłopcem.

– Nieprawda! Alex to imię dla dziewczynki!

– Alexandra to imię dla dziewczynki. Chłopaka można nazwać Alex. Twój rodzice cię nie lubią i my tak samo!

Nigdy przedtem nie zastanawiałam się nad brzmieniem mojego imienia. Rzeczywiście mówili na mnie Alex, a nie Alexandra. Zabolalo.

– Nienawidzę cię! – zawylałam, a radość z mojego basebalowego sukcesu w mig wyparowała.

Pędziłam wzdłuż uliczki, w stronę zachodzącego słońca i szybko zniknęłam za linią horyzontu. Do domu dobiegłam akurat wtedy, gdy tata wrócił z pracy.

– Co się stało? – zapytała mama i mocno mnie przytuliła. – Uderzyłaś się podczas gry w baseball?

– Nie – szlochałam, wrywając się z jej objęć. – Benny powiedział, że mam chłopięce imię i że nie nazwaliście mnie Alexandra, bo chcieliście mieć syna! – zapłakałam głośno; tak głośno jak ośmiolatka, której właśnie uświadomiono, że rodzice jej nie kochają.

Ojciec klęknął przede mną na podłodze i próbował mnie pocieszyć.

– To nieprawda – zapewniał mnie. – Masz na imię Alex, bo to imię jest wyjątkowe – tak jak ty. Na świecie będą biegać miliony Alexander, ale tylko jedna Alex.

– Nie wierzę ci! – Chlipnęłam histerycznie i wybiegłam z pokoju.

Nie mogłam sobie wyobrazić dalszego życia w tamtym domu. Jak do momentu ukończenia szkoły wytrzymać pod jednym dachem z ludźmi, którzy wcale mnie nie chcieli?

Rodzice znaleźli mnie na tapczanie zwiniętą w kłębek.

– Hej, może chcesz jutro pojechać ze mną do pracy? – zapytał tata.

– Nie mogę – skwitowałam. – Mam szkołę.

– A gdybyś nie musiała iść na lekcje? Zamiast tego popracujesz ze mną, spędzimy razem dzień. Co ty na to?

Spojrzałam na mamę w poszukiwaniu aprobaty, żeby nazajutrz pojechać do Nowego Jorku.

Uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

– Naprawdę? – Chciałam się upewnić.

Niewiele wiedziałam o miejscu pracy mojego ojca. Kiedyś pojechaliśmy z mamą odebrać go z peronu. Siedziałam na tylnym siedzeniu samochodu i czekałam, aż pociąg się zatrzyma. Gdy już zahamował, wysypał się z niego tłum mężczyzn w garniturach, krawatach i długich płaszczach. Energicznym krokiem kierowali się w stronę schodów wiodących na parking. Z pociągu wyszło także kilka kobiet. Trzymały stylowe skórzane aktówki, a na nogach – mimo że były ubrane w spódnice i dopasowane żakiety – miały skarpetki i trampki. Te kobiety wyglądały na bardzo ważne osoby. Nie mogłam się doczekać dnia, w którym weszłabym do przedziału razem z dorosłymi, ściskając w rękach własną teczkę.

Wytarłam oczy rękawem i zapytałam:

– Pojedziemy do miasta pociągiem?

– Masz to jak w banku. Pojedziemy rano do Nowego Jorku, żebyś mogła zobaczyć, gdzie pracuję. Potem wybierzemy się na lunch, a później do sklepu z zabawkami FAO Schwarz. Dobry pomysł?

Brzmiało niezłe. Kto by potrzebował małych Callahanów, kiedy są nowe zabawki?

Wizyty w Nowym Jorku stały się naszym małym rytuałem. Tata zabierał mnie do swojego biura kilka razy w ciągu roku, jeszcze przed oficjalnym Dniem Zabierania Cóрки do Pracy. Jechaliśmy pociągiem ze stacji Connecticut do Grand Central Station, a potem jeszcze kilka przystanków metrem do Wall Street, gdzie ojciec pracował jako bankier w Sterling Price. Siadałam przy jego stanowisku i bawiłam się wszystkimi gadżetami leżącymi na biurku – tata miał dwie różne klawiatury i więcej linii telefonicznych na wyłączność niż ja przyjaciół. W luźniejsze dni pozwalał mi obserwować dorosłych podczas pracy w biurze, a z bufetu piętro niżej mogłam pochłaniać nieograniczone ilości cukierków i ciasteczek. Blask Wall Street olśnił mnie już przy pierwszej wizycie. Od razu się uzależniłam. To miejsce tętniło życiem jak żadne inne, w którym kiedykolwiek miałam okazję przebywać – w końcu Wall Street było i jest ekonomicznym epicentrum świata. Każdy zmierzał dokądś w określonym celu – nigdy nie zauważyłam spacerującego swobodnie przechodnia ani osoby mimochodem zerkającej na witryny sklepów ciągnących się wzdłuż poplątanych uliczek. Nie było na to czasu. Na Wall Street czas to pieniądz, a pieniądze zaprzętały myśli wszystkich ludzi, którzy tam pracowali: jak je zarobić, jak je zatrzymać i jak sprawić, żeby konkurent miał ich mniej. To było elektryzujące.

– Szybko, Alex! Nie rozglądaj się tak, bo potrafi cię samochód!

Tata machał do mnie, żebym przedzierając się przez tłum, nie straciła z oczu jego granatowej marynarki. Mężczyźni z Dzielnicy Finansowej z dumą nosili prążkowane – czuli się Jankesami Dolnego Manhattanu. Wszyscy i wszystko, co zobaczyłam w centrum miasta, wyglądało na kosztowne: włoskie garnitury, jedwabne krawaty od Hermès, błyszczące skórzane buty. Gdy po raz pierwszy na własne oczy ujrzałam budynek Nowojorskiej Giełdy Papierów Wartościowych, czułam się jak przed Partenonem. Na wietrze dostojnie łopotała amerykańska flaga przytwierdzona do jednej z wielu jońskich kolumn, które podtrzymywały monumentalny budynek. Miałam zaledwie osiem lat, ale już czułam się częścią czegoś niezwykle ważnego. Czegoś szczególnego. Żał mi było ludzi, którzy nigdy nie znaleźli się na tyle blisko, żeby wiedzieć, co tracili, a sama cieszyłam się, że nie jestem jedną z tych nieszczęsnych osób. Postanowiłam nigdy nie dopuścić, żeby to się zmieniło.

Ojciec nie miał pojęcia, że dni spędzone z nim w pracy wpłyną na moje dalsze życie. On i wszyscy goście z Wall Street nazywali przemysł finansowy „Wielkim Biznesem”, jakby ich branża była najważniejsza na całym globie. Właściwie tak właśnie myśleli. Kiedy pierwszy raz przekroczyłam próg biura mojego taty, już wiedziałam, że chcę się zajmować tym samym, co on. Rodzice zawsze żartowali, że rozpiera mnie energia. Czasami miałam jej wręcz za dużo – nauczyciele w podstawówce ciągle zwracali mi uwagę, bo rozmawiałam w trakcie lekcji, biegałam po korytarzach, nie potrafiłam znaleźć różnicy między moim „wewnętrznym” a „zewnątrznym” głosem. Dostosowanie się do szkolnych zasad sprawiało mi trudność. Mimo wszelkich starań nie udawało mi się trzymać na wodzy wigoru, z czasem zaczęłam się martwić, że w dorosłym życiu ta przypadłość przerodzi się w prawdziwy problem. Ale w siedzibie Sterling Price wszyscy biegali po ko-

rytarzach. Poza tym z moich obserwacji wynikało, że nie ma czegoś takiego, jak wewnętrzny głos – w biurowcu panował harmider, ludzie nieprzerwanie rozmawiali i odbierali telefony. Wydawało mi się, że Sterling Price to gigantyczny plac zabaw dla dorosłych, gdzie można robić wszystko, na co właśnie przyjdzie ochota. Bardzo mi się to podobało! Wreszcie znalazłam miejsce, w którym wszystkie cechy czyniące mnie trudnym dzieckiem, okazywały się zaletami. Miałam wrażenie, że do niego właśnie należę. Wkrótce moim największym i jedynym marzeniem stała się praca przy Wall Street – nigdy nie chciałam zostać baletnicą, astronautką ani nauczycielką. Byłam ośmiolatką, która już postanowiła, że gdy dorośnie, spróbuje swoich sił w finansach. To czyniło mnie dziwnym, przedwcześnie dojrzałym, „interesującym dzieckiem”. Moje fascynacje bawiły nauczycieli, mama twierdziła, że na pewno z nich wyrosnę – ale dla mnie nie było już odwrotu. Nie miałam pojęcia, jaką wybrać uczelnię – ba, w czwartej klasie nie potrafiłam nawet zdecydować, jaki chcę kolor teczki. Jednak doskonale wiedziałam, co chcę robić w życiu, a kiedy raz coś postanowiłam – nie było siły, która mogłaby mnie powstrzymać przed realizacją planu.

Kolejnych dwanaście lat poświęciłam myśli o pracy przy Wall Street. Początkowo dlatego, że uznałam to po prostu za fajne zajęcie, jednak na studiach uświadomiłam sobie coś więcej. Pochodziłam z dobrze sytuowanej rodziny, mój ojciec nieźle zarabiał jako bankier i nigdy nie musieliśmy się martwić o pieniądze. Dopiero wtedy, gdy zaczęłam naukę na Uniwersytecie w Virginii, zdałam sobie sprawę, jak wielu studentów musiało zaciągać pożyczki, żeby się utrzymać. Ze mną było inaczej. Niektórzy moi rówieśnicy nie wracali do domów na Święto Dziękczynienia ani Wielkanoc, bo bilety lotnicze do ich rodzinnych miejscowości były zbyt drogie. Ja nawet nie sprawdzałam cen przed dokonaniem rezerwacji. Ludzie z mojej uczelni sami na siebie zarabiali. Ja miałam kartę kredytową rodziców. W końcu do mnie dotarło, że praca mojego taty zapewniła mi luksusy, o których nie miałam pojęcia, dopóki nie opuściłam hermetycznego kokonu przedmieść Connecticut i wkroczyłam w prawdziwy świat. A przecież uniwersytet to nie był nawet do końca „prawdziwy świat”. Przejrzałam na oczy i trochę się przestraszyłam. Nie chciałam wieść dorosłego życia bez tych wszystkich wygód z dzieciństwa. Nie chciałam się martwić płaceniem rachunków po uzyskaniu dyplomu albo skończyć jako kobieta całkowicie zależna od swojego męża. Bez względu na moje małżeńskie przeznaczenie chciałam zapewnić moim dzieciom błogie życie od samego początku – takie jakie sama wiodłam. Pragnęłam tego najbardziej na świecie, a Wall Street mogło mi to zagwarantować. Poza tym chyba nikt nie pakuje się w Wielki Biznes tylko dlatego, że jego pasją jest giełda i lubi zakłady, prawda? Każdy liczył na zabezpieczenie finansowe. Ja też potrzebowałam stabilizacji, więc na ostatnim roku studiów złożyłam CV w uczelnianym centrum biznesowym i rozpoczęłam poszukiwania instytucji, w których mogłabym zacząć karierę.

Zapoznałam się z zasadami firm maklerskich z czołówki Wall Street i szybko zdecydowałam – Cromwell Pierce to miejsce dla mnie. Mój ojciec pracował w Sterling Price, u największego rywala Cromwell. Podczas gdy Sterling uznawano za staroświecką firmę o sztywnych zasadach, Cromwell zyskiwał reputację idącego z duchem czasu, bardziej otwartego na ludzi i elastycznego miejsca. Ich siedziby znajdowały się z dala od śródmieścia – mekki turystów odwiedzających Manhattan – za to bliżej nadbrzeża. Aplikowałam na stanowisko w dziale sprzedaży i kupna akcji zamiast w bankowości inwestycyjnej. W profesji mojego taty nie podobało mi się jedynie to, że spędzał w biurze skandalicznie dużo czasu. Sam mnie ostrzegał, że na początku pracodawca będzie ode mnie wymagał pracy przez szesnaście godzin dziennie i dyspozycyjności nawet w weekendy. Sprzedawcom zapewniało bardziej ludzkie warunki – zmiany trwały krócej, a weekendy zazwyczaj były wolne. Wybór odpowiedniej sekcji nie należał zatem do trudnych. Mama wysłała mi czarną spódnicę, w której wyglądałam jak Barbie z Korporacji, jednak przyzwoity strój był niezbędny, żeby wywrzeć dobre wrażenie podczas rozmowy kwalifikacyjnej. Do przesłuchania zgłosiła się ponad setka studentów, a w Cromwell oferowali zaledwie trzy wolne stanowiska – nic więc dziwnego, że w poczekalni kampusowego biura rosnące napięcie było doskonale wyczuwalne. Do rozmowy szykowałam się z należytą starannością: codziennie przez dwa tygodnie czytałam „Wall Street Journal”, oglądałam wiadomości ekonomiczne na CNBC, żeby zaznajomić się z branżowym żargonem (część słownictwa nie była mi obca dzięki tacie) i zbierałam jak najwięcej informacji na temat samego Cromwell Pierce. Czułam się przygotowana – a przynajmniej tak mi się wydawało.

Kiedy usłyszałam swoje nazwisko i zaprowadzono mnie do małego pomieszczenia bez okien, ugięły mi się nogi. Zaczęłam się bać, bo nie wiedziałam, czego się spodziewać. Za masywnym mahoniowym stołem siedzieli dwaj panowie w średnim wieku. Usiadłam naprzeciwko nich, wzięłam głęboki oddech, uśmiechnęłam się i skromnie położyłam dłonie na udach.

Pierwszy przemówił mężczyzna po prawej – Ted Jakiśtam, blondyn o szerokich barkach, który nosił różowy krawat z żółtą rozgwiazdą.

– Więc, panno Alex... podobno ukończyła pani finanse na uniwersytecie. Czy uważa pani, że dzięki studiom jest pani wystarczająco przygotowana do pracy przy Wall Street?

– Cóż, szczerze mówiąc – nie. Nie sądzę, żeby mi to zapewniły. Oczywiście znajomość podstaw może pomóc, ale z tego, co się orientuję, nie istnieje na świecie kurs, który zagwarantowałby mi gruntowne przygotowanie do pracy przy Wall Street.

Tylko praktyka jest w stanie czegoś nauczyć.

Obaj nieznacznie pokiwali głowami.

Przyszła kolej na pytanie od pomocnika Teda – nieco starszego, siwiejącego już mężczyzny o szorstkiej skórze.

– Jaki jest pierwiastek kwadratowy z dwóch?

„Pierwiastek z dwóch? Czy to się w ogóle da obliczyć?”, pomyślałam. Pierwiastek z jakiejś liczby to inna liczba pomnożona przez siebie. Więc pierwiastek z szesnastu to cztery, a pierwiastek z czterech – dwa. Ale ile, do diabła, wynosi pierwiastek z dwóch? To nie może być jedynka, bo jeden razy jeden wciąż równa się jeden! Wobec tego to jakaś liczba większa od jednego, ale mniejsza od dwóch. Ułamek. Cholera, Szorstkoskóry skrzywił się ironicznie. Wtedy do mnie dotarło.

– Pierwiastek kwadratowy z dwóch jest pierwiastkiem kwadratowym z dwóch pomnożonym przez siebie. Nie wiem dokładnie, co to za liczba, ale pomnożona przez siebie wyniesie dwa.

Szorstkoskóry uśmiechnął się z aprobatą i odchylił na oparciu krzesła, a Ted pogładził swój różowy krawat.

– Ciekawa odpowiedź. Ma pani unikatowy tok rozumowania, panno Garrett. Lubimy to w Wielkim Biznesie. Kreatywność to niezwykle istotna cecha, której nie da się wyuczyć. Albo się ją ma, albo nie.

– Dziękuję. – Odetchnęłam z ulgą.

Założyłam nogę na nogę – na wysokości kostki porwały mi się rajstopy.

Ted Rozgwiazda patrzył na mnie z uwagą.

– Wyciska pani pastę do zębów od dołu czy od góry tubki?

Poruszyłam się nerwowo. „Co to, u licha, ma wspólnego z biznesem?”

– Słucham? – dopytywałam zmieszana.

– Czy wyciska pani pastę do zębów od góry, czy od dołu tubki?

Dobra, serio – co to za pojebana rozmowa kwalifikacyjna? Postanowiłam odpowiedzieć szczerze, bo próby wykrycia zamiarów tych dwóch jegomościów wydawały się daremne.

– Ja, hm, nie wyciskam. Używam pasty z pompką.

Szorstkoskóry zaśmiał się na głos.

– Jest pani pierwszą osobą, która nie usiłowała trafić w jedną z dwóch możliwości.

– A czy w ogóle istnieje poprawna odpowiedź?

– W istocie – przytaknął Rozgwiazda. – Jednak teraz to już kwestia sporna, Pompkowa

Dziewczyno.

„Pompkowa Dziewczyno?”. Chyba nie chciałam być w ten sposób nazywana.

Reszta rozmowy poszła gładko. Omówiliśmy moje CV i rodzinne pochodzenie. Prawdopodobnie dzięki tacie-bankierowi zyskałam kilka dodatkowych punktów. Po wyjściu z centrum biznesowego miałam dobre poczucie, że spotkanie z Szorstkoskórym i Tedem Rozgwiazdą wypadło całkiem niezle.

Dwa tygodnie później dostałam wiadomość z ofertą podjęcia pracy jako analityk w programie na 2006 rok. Przypisano mnie do oddziału obligacji państwowych, miałabym się zajmować stałym dochodem.

Od lipca.

Moje największe marzenie się spełniło.

„Strzeż się, Wall Street – pomyślałam. – Oto nadchodzę!”

Ponieważ nie było siły, która zmusiłaby mnie do codziennego wstawania o piątej rano i łapania pociągu z Connecticut do Wielkiego Jabłka, postanowiłam wynająć mieszkanie w mieście. Na szczęście nie byłam sama – moja najlepsza przyjaciółka, Liv, również się wyprowadzała, więc dwa tygodnie po obronie dyplomów kursowałyśmy po całym Manhattanie w poszukiwaniu dachu nad głową. Potrzebowałyśmy czegoś niedrogiego i przede wszystkim bez szcurów. Wreszcie się udało – trafiłyśmy na kawalerkę odpowiednią dla dwóch osób. Piętnastego lipca przyjechałyśmy z walizkami na Murray Hill i podzieliłyśmy salon na dwie sypialnie prowizoryczną ścianą. Ja dostałam większą część, a Liv zamieszkała w kącie nie większym niż więzienna cela – za to z lepszą podłogą. Salon ledwo mieścił sofę, stolik i kilka osób. Maksymalnie cztery. Gdybyśmy połączyły z Liv nasze miesięczne pensje, wyszłoby nam więcej niż sto tysięcy dolarów, czyli grubo ponad standardowe zarobki, a jednak wciąż żadna z nas nie mogłaby sobie pozwolić na samodzielne mieszkanie. Wynajem nie należał niestety do jasnych stron życia w Nowym Jorku. Liv dostała pracę w innym banku (w dziale zasobów ludzkich), dlatego obydwie potrzebowałyśmy nowego adresu na Manhattanie, który pozwoliłby nam uniknąć porannego przemierzania wielu kilometrów.

Załadowałyśmy nasz niewielki dobytek do windy i pojechałyśmy na dwunaste piętro. Pomagała nam nasza przyjaciółka, Annie. Z nią zapoznałam się już na pierwszym roku, właściwie tuż po rozpoczęciu przygody na Uniwersytecie Virginia. Mieszkałyśmy na tym samym piętrze w akademiku. Którejś nocy ukradłyśmy sofę z korytarza i ustawiliśmy ją w pokoju Annie. Tydzień później znaleziono łóżko i niestety za karę Annie przez miesiąc musiała segregować listy na poczcie uniwersyteckiej. Jednak nigdy mnie nie wsypała i właśnie za to ją kocham.

Annie postanowiła studiować najdłużej, jak się da, więc zapisała się na studia magisterskie z psychologii na Uniwersytecie Nowojorskim.

A kiedy wyznałyśmy jej z Liv, o której rano musimy się zrywać jako „kobiety pracujące”, była pewna, że podjęła dobrą decyzję, i wcale nie spieszyło się jej do świata karierowiczów.

– Myślicie, że uda wam się wstawać codziennie o 5.30 i nie zamienić się w zombie przed porą obiadową? – zapytała. – To jakaś katorga.

Spojrzała na mnie tak, jak ja patrzę na ludzi po czterdziestce, którzy jeszcze nie wzięli ślubu: z nieukrywaną litością. Usiadła w naszym świeżo wynajętym salonie i założyła za uszy swoje blond loczki.

Annie jako dziecko trenowała gimnastykę, dzięki czemu była smukła i giętka.

Gdybym nawet żyła na samych marchewkach, nigdy nie mogłabym wypracować takiej figury. Wiem to z autopsji – próbowałam na pierwszym roku.

– Na pewno się przyzwyczaję – odparłam, upychając w szafie swetry.

– Ja bym raczej umarła – skwitowała Annie.

– Jesteś podekscytowana? – zapytała Liv, która akurat rozcinała kartonowe pudła i układała je płasko przy regale z książkami. Strzepnęła kurz ze swoich obcisłych szortów i wytarła pot z czoła rękawem. – Ja drzę na samą myśl o rozpoczęciu tej pracy.

– Ja się czuję dość podniecona. Oczywiście też trochę zestresowana. To jak pierwszy dzień szkoły – nowi ludzie, nowe miejsca. Mam tylko nadzieję, że niczego nie spieprzę na starcie.

– Będzie dobrze – zapewniała nas Annie. Zbierała się już do wyjścia, sama mieszkała w zachodniej części miasta. Kawalerkę utrzymywali jej rodzice. Przytuliła mnie szybko i pomachała Liv na do widzenia, kierując się do windy. – Zadzwońcie do mnie jutro i opowiedzcie, jak poszło! – zawołała przez ramię.

Pomogłam Liv wyrzucić resztki kartonów, a kolejne kilka godzin spędziłyśmy na rozpakowywaniu walizek, sprzątaniu, czyszczeniu, wieszaniu ubrań, prasowaniu, szorowaniu, składaniu i dyskusowaniu na temat naszego pierwszego mieszkania na Manhattanie. Naszego, na wyłączność. Położyłam się spać o 21.30, zostawiając jeszcze wiele nierozpakowanych pudeł. Modliłam się, żeby mój pierwszy tydzień w pracy był udany. „Jestem pewna, że nie pójdzie tragicznie – upewniałam się. – To tylko praca. Niby dlaczego ma być źle?”

II

Jest urocza. Może bym się z nią przespał?

Pierwszego dnia byłam tak podekscytowana, że z trudem łapałam oddech. Wciąż nie mogłam uwierzyć w spełnione marzenie, które zrodziło się wiele lat temu – w mojej ośmioletniej główce. A jednak udało mi się osiągnąć cel i byłam gotowa robić wszystko, czego wymagało się od pracowników w tym wielkim biurcu.

Razem z grupą świeżo upieczonych analityków zostałam zaproszona do sali konferencyjnej. Przyjrzałam się twarzom nowych adeptów – mówiły jedno. Wszyscy ci młodzi ludzie zjawili się tam dla pieniędzy (i „rabatów” na zakup akcji), dlatego zaczęłam się martwić, że moje sentymentalne motywacje, dziecięce marzenia i chęć pójsia w ślady ojca zepchnął mnie na najniższy szczebel konkurencji. Na pewno każdy z nich w wieku dwunastu lat znał już na pamięć ciąg Fibonacciego.

Moje podniecenie stopniowo zaczęło się przeradzać w strach, aż w końcu po paru minutach siedzenia w sali konferencyjnej ogarnęło mnie kompletne przerażenie. Czekaliśmy w ciszy. Wreszcie przy ambonie zjawiła się otyła kobieta o czarnych, kręconych włosach i ustach pomalowanych jaskrawą szminką.

– Witajcie w Cromwell! – przemówiła z entuzjazmem. – Mam na imię Stacey, jestem szefową Działu Zarządzania Zasobami Ludzkimi. – Jej usta w kolorze fuksji na chwilę ułożyły się w niezbyt przekonujący uśmiech. – Zadbajcie o to, żeby wasze identyfikatory były dobrze widoczne przez najbliższy tydzień. To pomoże wam się lepiej poznać, szybciej zapamiętacie swoje imiona. Proszę, zajrzyjcie teraz do folderów informacyjnych.

Posłusznie otworzyliśmy granatowe teczki leżące na stole przed nami i zaczęliśmy wertować ich zawartość.

– W środku znajdziecie egzemplarz podręcznika dla zatrudnionych zawierający wszelkie zasady pracy w Cromwell, czyli to, co powinniście, a czego nie wolno wam robić. Wyróżnione zostały wykroczenia, które grożą utratą posady. Poza tym poradnik opisuje najczęstsze problemy natury moralnej, z jakimi borykają się młodzi analitycy – tacy jak wy – oraz propozycje ich rozwiązania. Zwróćcie szczególną uwagę na rozdział dotyczący komunikacji elektronicznej. Wysyłane przez was e-maile nie powinny zawierać treści, których powstydziliby się „Wall Street Journal”. Jeśli uznacie, że coś mogłoby skompromitować firmę lub was, nie piszcie tego. Jeśli otrzymacie wiadomości opatrzone niestosownymi zdjęciami, skasujcie je. Jeśli jednak zdecydujecie się na nie odpowiedzieć, pamiętajcie, że zostanieie potraktowani adekwatnie do stopnia, w jakim nadesłane materiały były sprzeczne z regułami obowiązującymi w Cromwell, i prawdopodobnie pożegnacie się z zatrudnieniem. Lepiej dokładnie zapoznajcie się z lekturą, bo od tego momentu macie obowiązek znać wszystkie zasady na wrywki. Wymówka, że złamaliście którąś z nich przez NIEWIEDZĘ, nawet nie wchodzi w rachubę. Czy wszyscy zrozumieli?

Siedzieliśmy w absolutnym milczeniu. Kilku nadgorliwych analityków z pierwszego rzędu skinęło głowami, ale Stacey najwyraźniej nie spodobała się nasza niemrawa reakcja. Oparła się na łokciach i wychylając się z ambony, zapytała ponownie, tym razem głośniej.

– Czy to jest zrozumiałe? – Cedziła sylaby przez zęby.

– Tak jest! – zawołaliśmy.

„Co to ma być? Przedszkole? – zastanawiałam się. – Masz nas w garści, Stacey. Spokojna głowa, zakumaliśmy”.

– Gdybyście mieli jeszcze jakieś pytania, foldery informacyjne zawierają nazwiska i numery kontaktowe szefów poszczególnych działów. Sprawdźcie, na które piętra powinniście się kierować. Przy windach będą na was czekać odpowiednie osoby i zaprowadzą was na stanowiska. Z mojej strony to tyle – życzę miłego dnia i jeszcze raz witam na pokładzie Cromwell Pierce. Właśnie staliście się częścią jednej z najbardziej poważanych firm w branży.

Wstaliśmy. Popłynęłam z tłumem w stronę wind. Po drodze doliczyłam się siedmiu innych

dziewczyn. Reprezentantki Ligi Bluszczowej kroczyły dumnie na czele naszej grupki jak popularne przywódczynie żeńskich bractw z liceum. Tylko ja ukończyłam Uniwersytet w Virginii – ich zdaniem stojący niżej pod względem poziomu kształcenia. Dlatego czułam się jak wyrzutek. Nie do końca w takim nastroju chciałam rozpocząć swój pierwszy dzień w pracy...

Hierarchia w większości instytucji Wall Street była jasno nakreślona. Przez kilka pierwszych lat harujesz jako analityk, starasz się przy okazji jak najwięcej nauczyć i dbasz o to, żeby reszta „załogi” zawsze na czas otrzymywała zamawiany lunch. Potem awansujesz na stanowisko asystenta, następnie stajesz się kolejno: wiceprezesem, kierownikiem, dyrektorem zarządzającym, aż w końcu można cię tytułować – jak sądzę – członkiem komitetu wykonawczego. Zresztą w tym momencie nazwy ostatnich szczebli korporacyjnej drabiny i tak nie miały dla mnie większego znaczenia, bo jako najmłodsza z najniżej postawionych pracowałam dla WSZYSTKICH. Tego się trzymałam – podobno nie warto było ryzykować samozwańczego awansu.

Byłam jedną z grupy dziesięciu młodych analityków, którzy zrobili krok do przodu, kiedy drzwi windy otworzyły się na jedenastym piętrze. Każdemu z nas przypisano inną funkcję w dziale zarządzania stałymi przychodami. W holu czekali na nas ludzie – dziwnym trafem doskonale wiedzieli, który nieświadomy niczego przedstawiciel świeżego narybku należał do nich. Gdy tylko moje stopy zetknęły się z marmurową posadzką, zaszedł mi drogę postawny brunet o skandalicznie zielonych oczach. Był bardzo uprzejmy, ale na swój sposób również szorstki, co dodawało mu atrakcyjności. Wykazywał się nienagannymi manierami, jednak w nieco surowy sposób egzekwował, żeby ciągle skupiać na nim swoją uwagę. Irytują mnie tacy mężczyźni. Doszłam do wniosku, że jest po czterdzieście, bo na skroniach połyskiwały mu siwe włosy. Ale w sumie trudno powiedzieć. Sprawiał wrażenie, jakby zamiast kropelek potu (jak u normalnej osoby) z porów jego skóry wydobywała się charyzma. Dokładnie wyprasowane spodnie w kolorze khaki, koszula w niebiesko-białą kratkę i tweedowy blezer leżały na nim wręcz idealnie. Wyglądał jak wersja Kena z krwi i kości. Wyciągnął do mnie rękę na powitanie i wtedy spostrzegłam, że ma krótkie i grube palce – mimo to skóra jego dłoni była gładziutka, a paznokcie wypielęgowane. Interesująca dychotomia: człowiek ociekający męskością, który cenił dobrze wykonany manikiur. Tak wyglądało moje pierwsze spotkanie z prawowitym sprzedawcą z Cromwell, a co ważniejsze – z Edem Ciccone we własnej osobie, znanym jako Chick. Moim szefem.

Chick był giełdowym weteranem sprzedaży. Przepracował w branży dwadzieścia lat, z czego piętnaście na tym konkretnym piętrze Cromwell. Był piekielnie bystry, cholernie ambitny i uwielbiał rywalizację. Potrafił sprzedać dosłownie wszystko. Na Wall Street słynął także z rozrzutności, podobno był z niego niezły imprezowicz. Co jednak istotne – niemal nie potrzebował snu. Funkcjonował nieustannie na pełnych obrotach, miał na koncie mnóstwo sukcesów, a przy boku mnóstwo kolegów. Przy tym wszystkim po prostu przerażał. Nie tracił czasu na zbędne formalności – ledwo uściśnął moją dłoń na powitanie, a już odwrócił się na pięcie i poprowadził do działu sprzedaży. To było ogromne pomieszczenie zajmujące obszar niemal całego jedenastego piętra – oprócz holu, stoiska z kawą na prawo od windy, przed którym tłoczyli się żądni kofeiny pracownicy, oraz paru małych gabinetów. Z każdego miejsca dobiegały krzyki, zaczęły mi się pocić dłonie. Wydawało mi się, że wszędzie panuje bałagan. Ludzie mknęli chaotycznie przez korytarz, uderzając obcasami o posadzkę. Tupot dosłownie na chwilę tłumiała leżąca w przejściu wykładzina. Dziewięćdziesiąt procent przemykających mi przed oczami osób stanowili mężczyźni. Gadali, śmiali się, przeklinali. Niektórzy nosili krawaty i marynarki. Większość wybierała spodnie khaki. Jednak wszyscy bez wyjątku mieli nastroje wymalowane na twarzach. Lawirowaliśmy między nimi, idąc klatką schodową w dół. Dopiero wtedy po raz pierwszy zobaczyłam olbrzymie banery wiszące przy suficie – widniały na nich osiągnięcia konkretnego działu na przestrzeni lat. Przypominały te z Madison Square Garden upamiętniające wyniki z mistrzostw. Doszliśmy do gigantycznego pokoju. Tak dużego, że dziewczyna – taka jak ja – z łatwością mogłaby się w nim zgubić i trzeba by było wysłać na poszukiwania grupę psów tropicieli z oddziału nowojorskiej policji. Czułam, że trzęsą mi się nogi.

Chick mówił strasznie szybko, jakby jego płuca nie potrzebowały tlenu do wyplucia takiej ilości słów na minutę. Z jego twarzy nie zniknął przyjazny uśmiech, był wobec mnie bardzo serdecz-

ny, ale jednocześnie nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że jeśli coś spieprzę, Ciccone zadba o to, żebym do końca swojej kariery w Cromwell segregowała przesyłki kurierskie. Skręciliśmy w lewo, zeszliliśmy po schodach i trafiliśmy na korytarz, wzdłuż którego ciągnęły się biura z przeszklonymi drzwiami. Obok każdego widniała mała plakietka z nazwiskiem osoby zajmującej dane stanowisko – taki mały znak renomy odróżniający osobę za szybą od tych, którzy przez nią zagląдают. Tylko starsi członkowie ścisłego kierownictwa mogli liczyć na odrębne gabinety – na piętrze stanowili prawdziwą rzadkość. Pozostali pracownicy musieli się zadowolić kawałkiem biurka ustawionym gdzieś na terenie działu: zero prywatności, żadnych bezpośrednich połączeń telefonicznych, brak szans na chwilę w osamotnieniu – chyba że zamkniesz się w toalecie. Chick oczywiście nie był jednym z tych nieszczęśników.

Przelotem przedstawił mi swoją sekretarkę – Nancy – po czym otworzył masywne drzwi z grubego szkła. Przekroczyłam próg biura Cicconego. Moim oczom ukazało się wielkie okno z niezakłóconym widokiem na Statuę Wolności i Ellis Island. Fotografowie z powodzeniem mogliby wykorzystać gabinet Chicka do robienia zdjęć na pocztówki sprzedawane przy Times Square. Może nawet ktoś się na to zdecydował. Gdybym ja miała gabinet z taką panoramą, przesiadywałabym w nim całe dni – w przeciwieństwie do mojego szefa. Biuro sprawiało wrażenie, jakby Chick rzadko tam zaglądał – polakierowane na wysoki połysk biurko i aerodynamiczne krzesło stały na środku, naprzeciwko nich znajdowały się jeszcze dwa fotele ze skórzanymi oparciami. Ściany sąsiadujące z innymi gabinetami były kompletnie puste, chociaż Ciccone mógł wyjść z założenia, że przy takim krajobrazie za oknem wszelkie inne ozdoby są zbędne. Zerknęłam na blat biurka – stały na nim monitor z dwiema klawiaturami oraz telefon. Poza tym całe było zavalone papierami i nieuporządkowanym stosom książek. Pusty kosz na śmieci służył za zestaw do minikoszyczki. Wisiał na ścianie z prawej strony, tuż obok sporego akwarium, w którym leniwie pływały trzy tropikalne ryby. I tyle.

Chick usiadł przy biurku, tyłem do wody. Uznałam za zabawne, że ludzie pracujący w tych biurach odwracają się od jednego z ikonicznych widoków Nowego Jorku, ale najwyraźniej Cromwell taką lokalizacją chciało zaimponować gościom, a nie rozpieszczać pracowników.

– Usiądź, proszę.

Szef wskazał na jedno z krzeseł obitych skórą.

Zajęłam miejsce i położyłam dłonie na kolanach, żeby nie było widać, jak drżą. Ten gość mnie przerażał.

– Okej, Alex – zaczął, zakładając ręce na kark, a stopy kładąc wygodnie na biurku, dzięki czemu mogłam się przypatrzeć podeszwom jego trzewików od Gucciego. Wyciągnął się na krześle i mówił coś do mnie, gapiąc się w sufit. Kłopotliwa to konwersacja, w której bycie rozmówcą wnioskujesz jedynie po tym, że nikogo innego nie ma w pomieszczeniu. – Prowadzę moją grupę raczej swobodnie i otwarcie. Nie ma zbyt wielu zasad, które musisz sobie przyswoić, ale pozwól, że wymienię podstawy. Jesteś bystra, wiem o tym, bo gdybyś nie była – nie siedziałabyś teraz naprzeciwko mnie. Mogę ci jednak zagwarantować, że nie jesteś najmądrzejszą osobą w tym budynku. Co znaczy, że oczekuję od ciebie ciężkiej pracy. Oczekuję, że będziesz pierwszą osobą, która zjawi się tutaj z samego rana, i ostatnią, która wyjdzie stąd wieczorem. No, chyba że masz się za sprytniejszą od paru gości harujących tu jak woły od przeszło dwudziestu lat. Więc jak jest, Alex?

Nie miałam pewności, czy to było pytanie retoryczne. Trudno było to stwierdzić, skoro on nawet na chwilę nie odkleił oczu od sufitu.

– Nie, panie Ciccone. Nie twierdzą tak.

Utkwiłam wzrok w kawałku różowej gumy do żucia, która przykleiła się do jego lewej podeszwy.

– Świetnie. Jestem tu codziennie od 6.30, więc oblicz to szybko i wiedz, że masz przychodzić przede mną. To zasada numer jeden. Zasada numer dwa brzmi: nie mów do mnie per „panie Ciccone”. Nie jestem twoim nauczycielem matmy z liceum. Pracują tu sami dorośli ludzie. Nazywaj mnie „Chick”, jak pozostali. O nic nie będziesz prosić. Tak to przynajmniej widzę – na nic jeszcze nie zasługujesz. Nikt cię nie zna, w żadnym stopniu nie przyczyniłaś się do zarobku grupy – a dopóki tego nie zrobisz, każdego dnia powinnaś dziękować Bogu, że jesteś godna czyścić drzwi

obrotowe w holu. Na razie twoim zadaniem będzie nauczyć się jak najwięcej, obserwując pracę całej załogi i zadając pytania, które nie będą dostatecznie irytujące. Jeśli kogoś wkurzysz, pewnie ci się oberwie. Pomagaj, jeśli zostaniesz o to poproszona. Mam na myśli na przykład odebranie rzeczy z pralni i podrzucenie ich do czyjegoś mieszkania albo zakup prezentu urodzinowego dla czyjejś żony. Robisz to bez dyskusji i z uśmiechem na twarzy. Nie znajdziesz tych wymagań w opisie pracy, ale pomyśl tylko – będziesz najlepiej opłacaną doręczycielką na tej planecie. Pocieszające, prawda? W tym roku osobiście przeprowadziłem rozmowy kwalifikacyjne z ponad osiemdziesięcioma kandydatami na to stanowisko, więc doskonale zdaję sobie sprawę, że setki dzieciaków marzą o takiej robocie. Jeśli z czymkolwiek się nie zgadzasz, lepiej odnieś identyfikator do recepcji na dole i wyjdź głównymi drzwiami. Do lunchu zdążę cię zastąpić kimś, kto z radością podetrze mi tyłek, jeśli będę miał taki kaprys.

Słodka perspektywa...

– Będziesz parzyła kawę, zbierała zamówienia na lunch, roznosiła przesyłki i wpisywała cyferki w arkusze kalkulacyjne, aż oślepniesz, o ile tylko cię o to poprosimy – kontynuował Chick. – Nie mam czasu na łzy. Nie pracuje tutaj zbyt wiele kobiet, średnio po dwie, trzy na każdy dział. – W myśli szybko obliczyłam, że wobec tego zatrudnionych jest ich ogółem około trzydziestu. – I zanim zapytasz, sam ci odpowiem – nie, to nie dlatego, że nie akceptujemy kobiet w firmie. Zawsze staramy się zatrudniać inteligentne pracownice, ale one szybko same dochodzą do wniosku, że nie nadają się do tej pracy i rezygnują. Albo wychodzą za męża, a potem rezygnują. Mleko w lodówce wytrzyma dłużej niż niektóre dziewczyny, które przewinięły się przez ten budynek na przestrzeni paru ostatnich lat. Oprócz ciebie w mojej grupie jest jeszcze jedna kobieta. Jeśli uważasz, że takie tempo cię przerośnie, lepiej od razu kup sobie bilet na pociąg do Midtown i zapytaj, czy znajdzie się dla ciebie praca w Condé Nast, bo u mnie na pewno nie. Nie będziesz odbierała telefonów. Pod żadnym pozorem nie próbuj sama wykonywać operacji finansowych i zakazuję ci odzywania się do klientów, chyba że ktoś przedstawi cię bezpośrednio. Oprócz tego jesteś zobowiązana zdać Egzamin 7, 63 i 3, żeby uzyskać licencję maklera giełdowego – najpóźniej do piętnastego października.

„Jezu Chryste! Mam na to mniej niż trzy miesiące...”, panikowałam w duchu.

Szef pchnął w moją stronę trzy opasłe segregatory. Zaczęło mi się kotłować w żołądku. Egzamin, które wymienił Chick, były wymagane przez amerykańską komisję papierów wartościowych i giełd, jeśli praca wymagała rozmów z klientami. Zakres materiału obejmował wszelkie zasady, przepisy, regulacje panujące w branży, również etykę, możliwe oszustwa i podstawy funkcjonowania rynku. Testy zawsze były piekielnie trudne i mnóstwo osób je oblewało, bo rzadko komu udaje się wszystko zapamiętać i nie popełnić błędu. Słyszałam, że po nieudanej próbie zaliczenia któregoś z egzaminu w pracy od razu przyklejają ci etykietkę idioty – a takie poniżenie stanowi wystarczający powód, żeby natychmiast zrezygnować z posady. Z trudnością przełknęłam ślinę i otworzyłam segregator z materiałami do Egzaminu 3. Trafiłam akurat na zagadnienie transakcji terminowych. Jedno z przykładowych zadań brzmiało: „Co powinien zrobić farmer ze stanu Iowa, żeby zabezpieczyć się finansowo, gdyby martwił się o wpływ rosnących cen ziarna na transakcje terminowe związane z żołądkami wieprzowymi?”

Żołądki wieprzowe? Myślałam, że pracuję w dziale obligacji skarbowych. Co do tego mają świnię?

– Niektóre firmy pozwalają pracownikowi zachować posadę po nieudanej próbie zaliczenia testu i przygotowują się spokojnie do drugiego podejścia. Doprawdy nie wiem, co nimi powoduje. U nas sprawy wyglądają nieco inaczej: albo zaliczasz wszystkie trzy egzaminy do października w pierwszym terminie, albo od razu cię zwalniamy.

Super...

– Jak zapewne wiesz, w Cromwell obowiązuje nieformalny strój. Ufam, że będziesz ubierać się stosownie. Jeśli założysz obcisłą miniówkę i ktoś klepnie cię po tyłku, nawet nie myśl o składaniu skarg. To miejsce na biznes, a nie klub nocny. Zespół jest jednym z najlepszych w branży – fantastyczny, zgrany. Ludzie tutaj wkładają ogromny wysiłek w pracę. Nie patyczkują się, grają mocno, to twardziele. Ale uwierz – nie spotkasz w swoim życiu zabawniejszych istot niż oni. Uważam, że to odrobina szaleństwa czyni z nas ekspertów w tym, co robimy, więc lepiej przygotuj

się na wszystko. Moja grupa może ci się wydać niedostępna, jednak warto powalczyć o jej szacunek. Zaimponuj tym ludziom, a kiedy już cię zaakceptują, zobaczysz, że to najlepsi współpracownicy, jakich można sobie wymarzyć.

„Rzeczywiście, szczególnie gdy będą mi dawać klapsy”, pomyślałam zdegustowana.

– Na razie staraj się, pracuj ciężko, ucz się i nie wchodź nikomu w paradę. Rusz czasem mózgowicą, a wszystko będzie dobrze. Rozumiemy się? – W końcu zdjął nogi z biurka i na mnie spojrzał.

– Tak, Chick. Jasna sprawa.

– Jeszcze jedno: nie jestem twoim ojcem i naprawdę gównu mnie obchodzi, co robisz ze swoim życiem prywatnym, ale stanowczo odradzam zażyłe związki z kimkolwiek stąd. Atrakcyjna z ciebie dziewczyna i wcale się nie zdziwię, jeśli połowa piętra zacznie się za tobą uganiać, jednak oczekuję od ciebie rozsądnego podejścia. Nie życzę sobie, żebyś romansowała z pracownikami – szczególnie mojego działu. Ostatnia rzecz, której potrzebuję, to płaczliwa podopieczna partacząca wszystko na lewo i prawo tylko dlatego, że jest smutna, bo jakiś dupek z biura ją podrywał i nie odzwonił. Kapujesz? No to lecimy.

Chick wstał, nie dając mi szansy na odpowiedź. Nigdy przedtem nie zetknęłam się z tak miłą i jednocześnie tak stukniętą osobą.

Wyszliśmy do sali operacji giełdowych. Parkiet miał kształt podkowy, okna były hermetycznie zamknięte, a sufit znajdował się tak wysoko, że z powodzeniem można było rozbić tam cyrkowy namiot. Nie spodziewałam się, że parkiet giełdowy właśnie tak będzie wyglądał. Podczas żadnej z wycieczek do biurowca mojego taty nie dostałam pozwolenia, żeby zajrzeć do takiego pomieszczenia. Bankierzy byli trzymani pod kloszem. Izolowano ich od wszystkiego. Otrzymywali wewnętrzne informacje o fuzjach, oferowanych akcjach i kupnie innych firm i musieli być oddzieleni od sprzedawców dla pewności, że wszelkie informacje pozostaną tajne. Działy bankowości były ciche, kameralne i schludne, panował w nich porządek – wypolerowane drewniane meble, czyste, puchate wykładziny, przytulne prywatne biura. Bankierzy korzystali nawet z oddzielnej windy. Opowieści ojca o środowisku mojej przyszłej pracy nie do końca pokrywały się z prawdą. Różnica między bankowością Sterling Price a parkietem giełdowym Cromwell Pierce wydawała się kolosalna. Dla tego miejsca czas zatrzymał się chyba w latach siedemdziesiątych. Ściany prawdopodobnie kiedyś były białe, a z biegiem lat nabrały ciemnokremowego odcienia. Biurka oklejone plastikowym laminatem miały poplamione blaty i pooblamywane krawędzie, ukruszone rogi obnażały tandetną, brązową płytę korkową. Staralam się nie myśleć, co te biedne meble „pierwszej generacji Cromwell” przeżyły i ile osób przez czterdzieści lat na nie kichało, smarkało, jadło na nich i Bóg wie, co jeszcze robiło. Gdybym tylko na tym się skupiała, musiałabym przychodzić do pracy w szczelnym kombinezonie i gumowych rękawiczkach.

Wlepiąłem wzrok w podłogę podczas biegu z przeszkodami wiodącego do naszego „stanowiska”. Znajdowało się po przeciwległej stronie pomieszczenia, w samym rogu. Czułam na sobie męskie spojrzenia. Panowie badali długość mojej spódnicy i stopień dopasowania sweterka – mogło się przecież zdarzyć, że zapomniałam zapiąć guzik albo (nie daj Boże!) prześwitywała mi linia majtek. Do takich właśnie obserwacji miałam przywyknąć.

Cały dział tętnił energią. Dało się jej niemal dotknąć. Ludzie wołali do siebie, wykrzykiwali jakieś liczby, polecenia, ryczeli, żeby odebrać telefon, a niektórzy wrzeszczeli tylko dla zasady. Od tego hałasu aż huczało mi w uszach i nie mogłam wyjść z podziwu, że ktokolwiek był w stanie zrozumieć coś w tym chaosie. Na piętrze Cromwell zajmującym się sprzedażą instrumentów finansowych znajdowało się przynajmniej czterysta osób. Większość z nich zachowywała się głośno. Większość z nich zachowywała się agresywnie. Większość z nich uwielbiała dokuczać żółtodziobom.

Większość z nich to byli mężczyźni.

Nagle Chick machnął ręką tuż przed moim czołem i odbił zbłąkaną piłkę, która najwyraźniej nie doleciała do obranego celu. Oczywiście pod warunkiem, że tym celem nie była moja głowa.

– Ogarnij się, Smitty! O mały włos nie trafiłeś jej w twarz! To nowa dziewczyna podczas swojego pierwszego dnia pracy. Jeszcze jeden taki numer, a wylądujesz na dywaniku u dyrektora.

Próbowałam znaleźć odpowiednie słowa, żeby przerwać niezręczną ciszę.

– Gracie tu w piłkę?

– MY czasami tak. TY nie. Ty będziesz zbyt zajęta nauką, żeby tracić czas na takie rozrywki. Kapujesz?

– Pewnie. Niezmiernie się cieszę, że się tu znalazłam, i jestem gotowa dać z siebie wszystko.

– To się doskonale składa, Alex, bo inaczej byśmy cię tu nie chcieli.

Podeszli do nas drobny mężczyzna o rudych włosach i nieprawdopodobnie chuda blondynka. Rudzielec kiwnął głową w moją stronę. Jego skóra sprawiała wrażenie półprzezroczystej, podobnie oczy. Jakby zupełnie nie miały koloru. Przypomniały mi się słabowite dzieciaki z liceum, których nie przyjmowano do drużyny, bo były zbyt wątłe. Dlatego tylko podawały piłki i nosiły sprzęt. Zawsze mi się wydawało, że tacy słabeusze nabierają więcej masy w dorosłym życiu. Myliłam się.

– Kto to? – zapytał głosem jak robot.

– Alex, moja nowa podopieczna – rzucił oschle Chick.

– Cześć – przywitałam się.

– Czeeeeść! – Wybuchła entuzjazmem przypominająca patyk kobieta, rzuciła się na mnie i zakleszczyła w objęciach. – Och, to wspaniałe! Wreszcie będę mieć przyjaciółkę! Nie ma tu zbyt wielu dziewcząt, z którymi dałoby się pogadać – szczebiotała, ciągle mnie przytulając.

Rudy zmierzył mnie wzrokiem i skwitował:

– Chick, twoja jest urocza, ale moja i tak lepsza – prychnął i odwrócił się na pięcie, a blondynka podreptała posłusznie za nim.

Zastanawiałam się, czy ten leprechaun dojeżdża do pracy pociągiem, czy po prostu ześlizguje się po tęczy i ląduje od razu przy swoim biurku.

Wstrzymałam oddech. Chick powoli ruszył przed siebie i wyjaśnił:

– To Keith Georgalis znany na piętrze jako Darth Vader. Jest głupim kutasem. Prowadzi dział zajmujący się wysokim uzyskiem. A ta blondyna, jego asystentka, ma na imię Hannah. Zajębiście tępa z niej dziewczyna, ale nieźle wygląda, więc jej nie zwalniamy. Zresztą nie pracuje dla mnie, więc dlaczego miałbym się nią przejmować? Gdybyś ty jako analityczka popelniła choćby połowę błędów, które ma na koncie ta idiotka, dałbym ci solidnego kopa w dupę.

Zanim pisnęłam słówko, Chick zatrzymał się przed jakąś grupą i wykonał uroczysty gest.

– A oto i nasza sekcja – przedstawił ich dumnie.

Przy Wall Street dział oznaczał załogę zajmującą się konkretnym „produktem”. W moim przypadku miały to być obligacje państwowe, a pracowało nad nimi czterdzieści osób ślęczących przy ławach ustawionych w trzech długich rzędach, jak na stołówce. Każde stanowisko wyposażone było w płaski monitor, telefon, opływowe krzesło i nieodłączny stos papierów. Miejsca pracowników oddzielały cienkie, czarne linie zaznaczone na blatach – podobne do fug między kafelkami w łazience – jednak te osobiste obszary były na tyle małe, że przeciągając się, można było z łatwością zawadzić ramieniem o sąsiada. Nie istniało tam zatem coś takiego, jak „przestrzeń prywatna”, i szybko doszłam do konkluzji, że nie będzie wesoło. Skazana na towarzystwo jakiegoś dupka z prawej czy lewej albo co gorsza – z obydwu stron – nie mogłam liczyć na sielanekę.

Wodziłam wzrokiem po szeregu monitorów promieniujących majaczącym światłem na twarze ich użytkowników. Każdy sprzedawca z Cromwell miał do dyspozycji przynajmniej trzy, a niektórzy używali jednocześnie aż sześciu monitorów. Żeby móc śledzić, co się na nich dzieje, ustawiali je jeden nad drugim, tworząc piramidy ryz z papieru do drukarek. Trudno mi było uwierzyć, że faktycznie w ciągu dnia ma się do przetworzenia tyle informacji, i od razu zaczęłam się martwić, że nie nadążę i nie dorównam tym zaprawionym w boju gościom. Wtedy dotarło do mnie również, że w natłoku obowiązków przez całe miesiące można nie znaleźć chwili, żeby pogadać z osobą pracującą na sąsiadującym stanowisku. Ba, może nawet nie pozna się jej imienia!

Tak się zestresowałam, że zaczęłam dygotać, aż trudno mi było ustać na nogach.

Spoglądałam nerwowo w stronę mężczyzn siedzących w równych rzędach. Wszyscy z telefonami przy uszach, niektórzy w trakcie rozmów obracali bezwiednie w dłoniach kauczukowe piłeczki albo

automatycznie podrzucali je w powietrze. Telefony dzwoniły nieprzerwanie, kolorowe światełka migwały na olbrzymim pulpicie kontrolnym. Dział był zastawiony kubeczkami po kawie, puszkami po napojach gazowanych, butelkach po wodzie. Wszędzie wałały się gazety. Unosił się tam swąd jak w tanim barze szybkiej obsługi – mieszanka tłuszczu, potu, mocnej kawy i przypalonych skwarków. Rozejrzałam się – na podłodze stało spore pudło wypełnione porcjami jajek na bekonie i kanapkami z serem. Udało mi się również wypatrzeć jedną kobietę. Na wszelki wypadek ułożyłam sobie w głowie formułkę na powitanie, gdyby jednak kiedyś przyszło nam się sobie przedstawić.

Chick złapał mnie za ramiona i zaczął stopniowo obracać.

– Patrz. Teraz szybki plan piętra. Tam masz dział rynków wschodzących. – Wskazał na konfigurację kwadratowych mebli i kolejnej grupy ludzi zanurzonych w biznesy. – Sprzedają obligacje związane z krajami rozwijającymi się, jak Brazylia, Meksyk czy Chile. Większość Ameryki Łacińskiej.

Szef obrócił mnie o kolejne dziesięć stopni, tak że moje oczy były skierowane na sam środek pomieszczenia.

– Po lewej jest wysoki uzysk, czyli papiery wartościowe firm o niższej zdolności kredytowej i mniej ugruntowanej pozycji na rynku. Zwrot z tych inwestycji jest wysokoprocentowy, ale za to dług obciążony większym ryzykiem. Obok masz dział gigantów – Forda, IBM, Procter&Gamble i inne znane przedsiębiorstwa. Za nimi siedzą ludzie od hipoteki, a na końcu pomieszczenia są stanowiska załogi od rynku pieniężnego. Sprzedają krótkoterminowe obligacje, które są gotowe do wykupu po roku lub nawet szybciej. Mamy nawet osoby zajmujące się sprzedażą produktów strukturyzowanych – dodał, obracając mnie tym razem twarzą do przeciwległej strony pokoju. W prawym, odległym rogu siedziało paru kujonowatych facetów. – Dokonują skomplikowanych operacji, których większość ludzi nawet nie jest w stanie pojąć, z pracownikami Cromwell włącznie. Ty oczywiście kiedyś wszystko zrozumiesz, a to dlatego, że ja cię szkolę. Nie mam pod sobą półgłówków. I wreszcie – wyciągnął rękę – tam za rogiem znajduje się oddział odpowiedzialny za rynek wymiany walutowej. Sprzedają światowe waluty. Gdybyś w przyszłości zechciała wyjechać do Europy i wymienić dolary na trochę euro czy funtów, wiedz, kto za to odpowiada. To domena tamtych koleś. Łapiesz już wszystko? W tym budynku roi się od ekonomistów i strategów, ale nie będziesz miała zbyt wielu powodów, żeby wchodzić z nimi w interakcje.

Staralam się nadażać za tokiem Chicka i przetwarzać wszystko, co do mnie mówił, ale w tym samym czasie mój mózg się wyłączył. Zawiesiłam się mniej więcej w tym momencie, w którym wspomniiał coś o Brazylii. Byłam w ciemnej dupie.

– Teraz czas na deser – oznajmił, mając na myśli długie ławy z ułożonymi na sobie jak klocki monitorami, które tworzyły parawany między pracownikami. – Czyli dział kupna i sprzedaży akcji. Ci panowie właśnie wyceniają i wymieniają akcje, które my, dział sprzedaży, kupujemy i sprzedajemy naszym klientom. W biznesie to ważne, żeby o niego zabiegać. Klienci natomiast mają być zawsze doinformowani i zadowoleni. Klient mógłby wziąć telefon i zadzwonić do pierwszej lepszej instytucji i zlecić im handel – naszym zadaniem jest zadbać, żeby zadzwonił akurat do nas. Jak tego dokonujemy? Po prostu jesteśmy zajebistymi sprzedawcami. Tyle. I tego mam cię zamiar nauczyć. Jak być cholernie dobrym, pieprzonym sprzedawcą. Kapujesz?

Wirowało mi w głowie i dałabym sobie rękę uciąć, że usłyszałam gdakanie kurczaka dobiegające z któregoś komputera. „Co się tu, do licha, wyprawia?”

– Co to za dźwięk? – zapytałam przestraszona.

Jeśli mi się przesłyszało, mogłam mieć pewność, że najdalej za dwie minuty padnę na zawał.

– Który? Kurczak? – odparł niewzruszony Chick.

Odetchnęłam z ulgą. Więc on też słyszał gdakanie. Tylko dlaczego zupełnie go to nie zdziwiło? Niezbyt spieszył z wyjaśnieniami...

– Tak, kurczak – przytaknęłam.

– Niektórzy kupcy zaprogramowali swoje systemy, żeby wydawały dźwięki zwierząt z farmy, kiedy dokonują operacji finansowych. Przecież nie mogą mieć wszystkiego jednocześnie na oku. Efekty dźwiękowe pomagają im się zorientować, jakie zajmują pozycje. Dlatego nie bądź za-

skoczona, kiedy usłyszysz muczenie, szczekanie czy chrupkanie. System młodszych sprzedawców alarmuje dźwiękiem dzwonka, jakie noszą u szyi krowy, ale to irytujące. Każę go zmienić, bo już w snach słyszę ten przekłety dzwonek.

Żeby wyobrazić sobie tę scenę, musielibyście połknąć trzy tabletki LSD i zamknąć się w szafie.

– To jak? Jesteś gotowa zacząć? – zapytał Chick, siadając na krześle przy swoim stanowisku.

Wywnioskowałam, że właśnie tam spędza większość czasu, mimo że dysponuje własnym biurem.

„Gotowa do startu?”. Nie zapamiętałam ani słowa z jego instrukcji. Potrzebowałam mapy. I słownik do tłumaczenia języka finansowego na normalny angielski. Natychmiast.

Zanim poprosiłam o wyjaśnienie paru detali, Chick poprosił wszystkich o uwagę.

– Słuchajcie, załogo: to jest Alex – nasza nowa analityczka. Przedstawcie się i pomóżcie jej się poczuć jak w domu.

Kilka osób kiwnęło porozumiewawczo głowami, niektórzy pomachali mi na powitanie. Jeden człowiek nawet wstał i podał mi rękę, chociaż akurat rozmawiał przez telefon, więc ze mną tak na serio nie zamienił słowa. Rozejrzałam się i zdałam sobie sprawę, że nie ma już wolnych stanowisk pracy. Nie chciałam zostać zmuszona do siedzenia u kogoś na kolanach, więc liczyłam na wskazówki od Chicka, jednak on jak gdyby nigdy nic opadł na krzesło i zaczął wkłapywać cyferki do arkusza kalkulacyjnego. Jedynym wyjściem było go zapytać. W końcu nie chciałam cały dzień sterczeć na środku jak maskotka drużyny.

– Przepraszam, Chick. Gdzie mogłabym usiąść? – zaczęłam nerwowo.

– A na tym na przykład.

Sięgnął za siebie, nie odrywając oczu od monitora, i chwycił składane metalowe krzesło oparte o ścianę. Wręczył mi je bez słowa. Wyglądało na dziecięce. Stałam jak wryta. Nawet nie próbowałam go rozłożyć.

– Nie masz jeszcze biurka – burknął poirytowany. – Pomyślimy nad tym. W tym czasie po prostu siadaj na tym krzeselku za ludźmi i obserwuj ich pracę. Staraj się odhaczyć wszystkich.

Głowa mi pękała. Jakim cudem nie było dla mnie miejsca? Nie pojawiłam się przecież niezapowiedziana. Dostałam tę pracę w październiku – przysłałam do niej w lipcu. Przez dziesięć miesięcy nie byli w stanie zorganizować dla mnie biurka?

W pewnym momencie mężczyzna – zapewne przed czterdziestką – podszedł do nas i złapał Chicka za ramię. Na mnie spojrzał wzrokiem, jakim w kreskówce kot Sylwester zazwyczaj patrzył na kanarka Tweety'ego. Był wysoki, miał obcięte na jeża, bardzo jasne włosy, szerokie barki i potężne bicepsy. Podczas gdy mówił do Chicka, ani razu nie odkleił ode mnie oczu. Czułam się tak niezręcznie, że sama musiałam się gapić na podłogę.

– Siemano, Chicky. To ta nowa laska? – zaciągnął z silnym południowym akcentem.

– Alex. Nasza nowa analityczka.

– Słodziutka. Mogę ją przelecieć?

– Mam wrażenie, że jest zadziorna, i wątpię, żeby chciała przelecieć ciebie.

– Daj jej trochę czasu, Chick. Daj jej czas.

Wyjął z pudełka ostatnie dwie kanapki.

– Hej, Alex! Witaj w Cromwell. Masz kanapkę. – Jego dłonie były idealnie czyste i gładkie.

– Nie, dziękuję. Nie jestem głodna – odparłam grzecznie.

– Nie lubisz świnek?

– Słucham?

– Wieprzowiny. Bekonu. Nie jesteś chyba żydówką, co? Więc dlaczego nie skusisz się na świnię?

– Co? Yyy, nie. Już jadłam, dziękuję. I nie mam problemu z wieprzowiną.

– Lepiej się dostosuj, świeżaku. To ci wyjdzie na zdrowie. Jeśli zaczniesz jeść bekon, nie będziesz już miała takiego zgrabnego tyłeczka, a przecież tutaj nikt nie będzie tracił czasu na ładną dziewczynę z grubym dupskiem. Wiesz, o co chodzi?

Z tymi słowami odłożył kanapkę z powrotem do pudła, puścił mi oko i poszedł.

Oczekiwałam od Chicka, że powie coś na moją obronę. Cokolwiek! Zamiast tego jednak wyjął z szuflady portfel i BlackBerry.

– Jestem zaraz umówiony na golfa, ale wrócę tu jutro.

Zdzielił mnie w plecy jak starego druha i zaczął się szamotać z rękawami w swoim blezerze.

Patrzyłam, jak odchodzi, i czułam, jakbym obserwowała odpływającą łódź ratunkową, kiedy sama ciągle dryfowałam w wodzie pełnej rekinów. Minęła godzina z mojej dziennej zmiany jako świeżo upieczonego, pełnowymiarowego pracownika Cromwell i – na razie – nic nie poszło tak, jak to sobie wyobrażałam...

Stałam bezradna, kurczowo ściskając krzesło jak koło ratunkowe.

Wodziłam wzrokiem po moich nowych kolegach z zespołu, jednak żaden z nich nie pofatygował się, żeby wstać i się przedstawić.

Jak na skazanie ruszyłam wzdłuż pierwszego rzędu. Szłam powoli, gdy nagle zaczął mnie mężczyzna do złudzenia przypominający Andy'ego Garcię. Miał taką samą cerę, identyczne czarne włosy, zamyślane oczy i – całe szczęście – uśmiech.

– Hej – powiedział, podając mi rękę. – Mam na imię Drew. Może zechcesz ze mną dzisiaj popracować?

– Naprawdę? Mogę? – Poczulałam ulgę. Zupełnie jak dzieciak wybrany jako ostatni do gry w dwa ognie. – Byłoby wspaniale. Dziękuję.

– Usiądź na tym... krzeselku.

Odsunął się i zrobił mi miejsce. Z szeroko otwartymi oczami parzyłam na wszystkie numery, nagłówki, modele, arkusze w Excelu i różnokolorowe kształty migające jak w skurczach na wszystkich monitorach.

Drew uśmiechnął się i powiedział:

– Zanim dostaniesz własne stanowisko – a znając to miejsce, może to zająć nawet rok – musisz obserwować ludzi w ciągu dnia. To wszystko, co powinnaś wiedzieć.

Otworzyłam zeszyt w gotowości do zanotowania każdej wskazówki.

– Po pierwsze nie stawiaj krzesła w przejściu. To najłatwiejszy sposób, żeby tu kogoś wkurzyć. Zawsze staraj się dosuwać je jak najbliżej biurka.

– W porządku, to wykonalne.

Nie do końca takiej lekcji oczekiwałam, ale lepsza taka rada niż żadna.

– Po drugie nie bądź irytująca. Kiedy koledzy będą zajęci, nie zadawaj im pytań. Nie próbuj też ucinać sobie z nimi pogawędek. Dopóki cię lepiej nie poznają, zupełnie nie będą zainteresowani pogaduszkami z tobą. Przykro mi, ale tak to właśnie wygląda.

– Po prostu mam milczeć. Zrozumiano.

– I cokolwiek by się działo, unikaj jak ognia Kate Katz znanej jako Cruella.

– Dlaczego?

Łypnęłam w stronę kobiety rozmawiającej przez telefon na końcu rzędu. Drew musiał mieć właśnie ją na myśli, w końcu poza mną była jedyną kobietą w dziale obligacji państwowych. Nie wyglądała na straszną. Przypominała mi nawet nieco moją nauczycielkę z trzeciej klasy – tylko w droższych ubraniach i z lepszą fryzurą. Miała brązowe włosy obcięte na „boba” i doskonale wyprasowaną, białą koszulę włożoną w granatowe spodnie. Nosiła małe diamentowe kolczyki, delikatny makijaż i pantofle. Zupełnie bym nie powiedziała, że wzbudza strach. Wręcz przeciwnie – sprawiała wrażenie nastawionej całkiem przyjacielsko. Tak mi się przynajmniej wydawało.

– Po prostu mi zaufaj. I w końcu po czwarte – rozumiem, że zauważyłaś stoisko z kawą na korytarzu?

– Tak, zauważyłam je, wychodząc z windy.

– Świetnie. Nazywamy je U Papy. Zupełnie nie wiem dlaczego. Zaprzyjaźnij się z gośćmi, którzy tam pracują, bo sporo czasu spędzisz na zamawianiu kawy dla całego zespołu. Im prędzej złożysz zamówienia i uwiniesz się z przyniesieniem nam kubeczków, tym lepiej. Jeśli tamci cię polubią, obsłużą cię szybciej. Jeśli nie, może być słabo. Zresztą sama zobaczysz. Dzisiaj możesz posiedzieć ze mną. Wytłumaczę ci, co się dzieje na tych monitorach, żebyś mogła się oswoić i na-

uczyla śledzić wydarzenia na giełdzie. Spoko?

Bardzo spoko. Gdybym tylko mogła, kazałabym kanonizować Drew.

– Dzięki serdeczne.

– Nie ma sprawy. Dobra, gdzie twój kalkulator?

– Tutaj. Co mam robić?

Drew wręczył mi wydruk, na którym w kratki małą czcionką powpisywane były cyferki.

– Oblicz średnią ważoną z tych cen. Nie zapomnij najpierw zamienić trzydziestek dwójek do części dziesiątej. Poza tym zweryfikuj, czy wszystkie „klamki” są w granicach normy. Jeśli któraś ci się nie spodoba, daj mi znać, to sprawdzę jeszcze raz. Może tu wystąpić parę błędów.

– Oczywiście, już się robi.

Oczywiście zrobiłoby się, gdyby ktoś mi wytłumaczył jak... Drew uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo.

– Nie masz pojęcia, o czym właśnie mówiłem, prawda?

– Ja... hm...

„Szlak”, pomyślałam. W tamtej chwili wszystkie zajęcia na uczelni wydały mi się stratą czasu. Równie dobrze mogłabym ukończyć kierunek plecenia wiklinowych koszy pod wodą.

– Bądź szczerą, Alex. Udawanie, że coś wiesz, podczas gdy w rzeczywistości nie masz o czymś pojęcia, tylko pogorszy sprawę. Zrób sobie przysługę i przyznawaj się do niewiedzy.

– Równie dobrze mógłbyś mówić do mnie po chińsku.

Drew się zaśmiał.

– Popatrz.

Wskazał na pierwszą pozycję na wydruku, „99-28” – 99 to część nazywana „klamką”, ale często są w porządku i większość osób się do nich nie odnosi. Nie ma co przedłużać rozmowy.

Więc gdy handlowiec poda mi cenę tych obligacji, powie po prostu: dwadzieścia osiem. Gdy proszę, żebyś sprawdziła „złe”, mam na myśli weryfikację, czy większość cen mieści się w granicach normy, czyli sto. Więc gdy widzisz cenę, która oscyluje wokół siedemdziesięciu, to znaczy, że prawdopodobnie ma „złą klamkę”.

– Ach, jasne! Teraz to ma ręce i nogi. Wobec tego tutaj „28” to trzydziestka dwójka?

– Zgadza się. Dlatego, żeby zrobić z tej części ceny ułamek dziesiąty, po prostu podziel ją przez trzydzieści dwa.

Wyklikałam liczby na kalkulatorze. To akurat były działania na poziomie szóstej klasy podstawówki, więc nie powinny sprawić mi większego problemu. Napisałam dwadzieścia osiem, potem nacisnęłam znak dzielenia, następnie wpisałam trzydzieści dwa, aż w końcu znak równości. Bułka z masłem. Tylko że na wyświetlaczu kalkulatora pojawił się napis...

BŁĄD.

Coś nie grało.

– Kurczę, chyba mam zepsuty kalkulator – powiedziałam, pokazując Drewowi dziwny wynik.

– Rozumiem, że nigdy przedtem nie używałaś kalkulatora finansowego?

– Nie, w szkole korzystaliśmy z normalnych – przyznałam szczerze.

– Ten działa inaczej. Za każdym razem musisz wcisnąć „Enter”, a dopiero na końcu klawisz funkcji. Czyli: 28, enter, 32, znowu enter, i dopiero teraz znak dzielenia. Gdybyś na przykład chciała obliczyć 2+2, musiałabyś wpisać kolejno: 2, enter, 2, enter, plus.

– Dlaczego ludzie z tej branży chcieli utrudnić sobie życie w ten sposób?

– Dobre pytanie. Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia. Ale przyzwyczaisz się.

– Skoro tak mówisz...

– W porządku. Dawaj znać, kiedy będziesz miała do mnie jakieś pytania, ale proszę – kieruj się zdrowym rozsądkiem. Jeśli właśnie kogoś przeklinam albo tracę pieniądze na wymianie, a ty mi wyskoczysz z problemem dotyczącym kalkulatora, to nie rękę za skutki.

– Kumam. Dzięki za pomoc. Chyba muszę się nauczyć więcej, niż przypuszczałam.

– Dziewczynko, nawet nie masz pojęcia ile!

Zachichotał, zakładając słuchawki i wciskając guzik na konsolce.

Sama wzięłam swój magiczny, finansowy, działający na opak kalkulator i zabrałam się do pierwszego poważnego zlecenia jako pracownik Cromwell.

III

Dziewczynka

Przez resztę miesiąca harowałam jak wół. Każdego ranka zjawiałam się w biurze o 6.15. Chciałam zrobić dobre wrażenie, mimo że nie mogłam zziałać wiele. W ciągu dnia siadałam za ludźmi na swoim składanym krzeselku, a oni z reguły mnie ignorowali. Raptem kilku kolegów usiłowało mi wytłumaczyć, jak odczytywać cyfry ze wszystkich używanych aplikacji, które sprawiały, że monitory migotały jaskrawymi kolorami. Dzięki nim nauczyłam się odróżniać w poszczególnych oknach giełdę papierów wartościowych, obligacje skarbowe, instrumenty pochodne i transakcje wymiany. Dowiedziałam się, gdzie jest kalendarz wskaźników ekonomicznych, stawki wymiany walutowej, marże przedsiębiorstw oraz ceny transakcji terminowych. Do końca jeszcze nie zrozumiałam, czym jest każda z tych rzeczy, ale obserwowałam ich ceny mrugające jak stroboskop na dyskotece. Zlecono mi nawet kilka drobnych projektów. Problem w tym, że ich realizacja wymagała własnego stanowiska, a ja wciąż nie dorobiłam się biurka.

Dlatego siedziałam w biurowcu do wieczora i dokonywałam skomplikowanych obliczeń w programach na cudzych komputerach. Wracałam do domu zazwyczaj około 20, jadłam cokolwiek udało mi się znaleźć w lodówce i padałam z wyczerpania na łóżko. Zaczynałam już zapominać, jak wygląda Liv, i nawet nie miałyśmy się kiedy nacieszyć naszym wypasionym apartamentem, bo obydwie byłyśmy straszliwie zapracowane. Każdego ranka zasypywano mnie informacjami ze świata, a ja musiałam wyrażać opinię na temat potencjalnych zmian, które mogły nastąpić na rynku azjatyckim w ciągu minionej nocy. Przytłaczał mnie ogrom materiału czekającego w kolejce do przyswojenia. Wciąż nie znałam imion ludzi z wyjątkiem Chicka, Drewa, Reese'a (koleś od wie-przowiny) i Kate/Cruelli. Nie spodziewałam się też, że ktokolwiek znał moje. Zamiast Alex wołano na mnie Dziewczynka. I ku mojemu przerażeniu – zaczęłam na to reagować.

Był parny, sierpniowy dzień. Siedząc na swoim składanym krzeselku, słuchałam rynkowych opowieści mężczyzny o dłoniach przypominających rękawice baseballisty i starałam się nie zasnąć. Facet miał niechlujną brodę i oczy czekoladowego koloru. Jak pluszowy miś – tylko że pewnie byłby w stanie roztrzaskać mi głowę gołymi rękami. Nazywał się Billy Marchetti, ale każdy mówił do niego po prostu Marchetti. Słęczałam akurat nad jakimś równaniem matematycznym, a on strzelał we mnie gumkami recepturkami, kiedy w dziale rozległ się donośny głos: „Pizza!”

Nie musiałam patrzeć na zegarek – doskonale wiedziałam, która godzina. Regularnie od sześciu tygodni, w każdy piątek, dokładnie o 10.30 jakiś koleś krzyczał „pizza!”. I w każdy piątkowy poranek całe piętro wpadało w euforię podobną do tej na stadionie Yankeesów, gdy Jeter zapunktował przeciwko Red Sox. Z dietą praktykowaną przez pracowników działu sprzedaży zapoznałam się już pierwszego dnia pobytu w Cromwell – setki ociekających tłuszczem kanapek z jajkiem i serem pochłanianych w zastraszającym tempie. Cud, że dotąd nikt się nie zakrztusił i nie stracił życia. To było, zanim zrozumiałam, jak zasadniczą rolę w branży finansowej odgrywa jedzenie. Każdego dnia w Cromwell były bajgle, tosty czy pączki od Krispy Kreme. Dostarczano je uroczyście i roznoszono w kartonowych pudłach do poszczególnych działów. W efekcie opakowania były porzucane po całym piętrze jak tekturowe miny przeciwpiechotne. Na sygnał gromada dorosłych mężczyzn zrywała się ze swoich miejsc i otaczała te kaloryczne podarunki jak chmara pszczół wokół ula. Potrafili opróżnić te paczki w ciągu kilku sekund. Kto by podejrzewał, że gości zarabiających siedmiocyfrowe pensje obchodziłyby darmowe tosty. A jednak obchodziły.

Pora posiłku w Cromwell przypominała porę karmienia w zoo – więksi i grubszy dopychali się do jedzenia w pierwszej kolejności. Pracownicy o mizerniejszych gabarytach musieli obejść się smakiem. To były żywe przykłady Darwinowskiej teorii doboru naturalnego w postaci dobrze odżywionych mężczyzn. Opcje dowożonych obiadów nie ograniczały się do chińskich knajpek i pizzerii. Jeśli ktoś zażyczył sobie warte dwa tysiące dolarów penne alla vodka, parmigianę z cielęciną i sałatkę z drogiej restauracji, która nie przewiduje dostawy – to nic. Kelnerzy i szef

kuchni zajmą się tym osobiście. Zdarzało się, że do Cromwell wjeżdżały wózki pełne pieczonych kurczaków, żeberek i chrupiących kromek chleba z mąki kukurydzianej prosto z grill baru w dzielnicy Midtown; innym razem kurczaka kung pao, makaronu lo mein i mnóstwa innych pozycji z menu azjatyckiego lokalu; albo po prostu cheeseburgerów i frytek. Popołudniami, gdy kończyły się zapasy energii, zawsze zjawiał się ktoś ze zbawiennymi milkshake'ami, kanapkami lodowymi albo torebkami cukierków. Kiedy przychodził dzień czyichś urodzin, sekretarki zamawiały kremowe torty i wielkie tace ciastek oblanych czekoladą. Byłam pewna, że przy tak bogatej diecie przytyję ładnych parę kilogramów. A nie miałam jeszcze chłopaka. Nie wróżyło to dobrze.

Chick nacisnął guzik od mikrofonu, a jego głos rozległ się po całym piętrze.

– Dzięki za info, Frankie. Pizza będzie tu za pięć minut. Idę o zakład!

Potem zwrócił się do mnie:

– Mała niewolnico, idź po pizzę i przynieś ją Frankiemu. No już, leć.

Chick liczył na wychodzenie z własną inicjatywą i domyślność ze strony swoich pracowników. Przez większość czasu radziłam sobie bez zadawania dodatkowych pytań, jednak musiał przyjść moment, w którym stracę głowę. Nie miałam pojęcia, ile pizz mam odebrać, jak mam za nie zapłacić i kim, u licha, był Frankie. Stwierdziłam, że w takim wypadku chyba mogę sobie pozwolić na prośbę o wyjaśnienie kilku detali. Stałam podenerwowana za jego biurkiem.

– Przepraszam, Chick. Ile pizz sobie życzysz i w jaki sposób miałabym za nie zapłacić? – zapytałam słodkim głosem.

– Myślisz, że powinienem sobie wypastować buty? – odparł, zerkając na swoje nienagannie czyste i lśniące obuwie. – Hej, pucybut! – zawołał do człowieka obsługującego piętro. – Stary, mogę cię prosić o przysługę? Moje buty są takie matowe.

Pucybut podszedł do stanowiska ze swoim stołeczkiem, otworzył pudełko z pastą i zaczął szorować pantofle Chicka, podczas gdy on ciągle miał je na sobie. Szef spojrzął na mnie jak na dokuczliwego komara. Nie odpowiedziałwszy na moje pytanie, wydarł się przez ramię:

– Willy, jesteś już z powrotem?

Zza któregoś monitora w ostatnim rzędzie wychylił się dwudziestoparolatek z lizakiem w ustach. Nigdy przedtem nie zwróciłam na niego uwagi, a to dziwne, bo był całkiem przystojny.

– Tak, Chick! – krzyknął z telefonem przy uchu.

– Chodź tutaj i zaprowadź Alex do gościa od pizzy.

Żadnego proszę, żadnego dziękuję, tylko rozkaz. Idź po pizzę.

Pół minuty później Will minął biurko Chicka i machnął ręką, żebym za nim poszła. Był ubrany w klasyczną, błękitną, zapiętą na guziki koszulę, a na wierzchu szary sweter Henley. Miał czarne włosy i niebieskie oczy. Poza tym wyglądał na umięśnionego. Ale przesadnie, jakby cały swój wolny czas spędzał, podnosząc ciężarki i podziwiając przed lustrem bicepsy. Po prostu dobrze zbudowany. Spełniał wszystkie wymogi, żeby nazwać go przystojnym, a na standardy Cromwell – był gorący jak gwiazdor Hollywood.

– Dziękuję, że ze mną poszedłeś. Mam na imię Alex – przedstawiłam się spokojnie i podałam mu rękę.

– Jestem Will Patrick. Miło cię poznać, Alex. Pewnie jesteś nową „służącą” Chicka, co?

– W zasadzie tak. Chick zawołał do ciebie Willy. Zgadzasz się, żeby się tak do ciebie zwracać? Tutejsze ksywki mogą wprawić w zakłopotanie...

Uśmiechnął się, obnażając rząd ząbków jak perełki. Z powodzeniem mógłby zagrać w reklamie pasty wybielającej.

– Wolałbym po prostu Will. Chick jest jedyną osobą, która mówi do mnie „Willy”. Właściwie on nie widziałby nic zdrożnego w mówieniu do mnie nawet per „siurku”. Jest przekorny. A nie-stety, kiedy byłem na twoim etapie, popełniłem błąd – powiedziałem mu, że strasznie mnie wkurza zdrobnienie „Willy”, a to go tylko zachęciło.

– Więc powinnam przyzwyczaić się do „Dziewczynki”?

– Zdecydowanie.

– Cudownie. To ile tych placków mamy odebrać?

Uśmiechnął się delikatnie. Gdy weszliśmy do przedsionka, zamarłam. Czekają na nas pięciu

dostawców ze stosami pudełek. Frankie, krzyżąc „pizza”, miał na myśli liczbę mnogą. Nawet bardzo mnogą, bo pudełek było około stu. Will wręczył mi jeden ze stosów.

– Dasz radę z dziesięcioma naraz, prawda?

– Hm, chyba tak. Nigdy nie próbowałam.

– Czas najwyższy, bo czeka cię to jeszcze wiele razy. Lepiej przywyknij, Dziewczynko – odparł, podnosząc kolejną stertę pudełek. Łypnął na mnie z uśmiechem. – Ruchy, ruchy!

Zawsze coś dziwnego łączyło mnie z prawami Murphy’ego. Z jakiegoś nieokreślonego powodu kompromitowałam się w najmniej odpowiednich momentach i to w zupełnie nietypowy dla mnie sposób. Od dziecka byłam dobrym sportowcem, lecz gdy jako druhna miałam przejść parę kroków w sukience do ziemi, potykałam się. Nie było inaczej, kiedy zdałam sobie sprawę, że chodnikiem w Midtown idzie za mną jakiś przystojniak – wtedy spektakularnie zaczęłam obcasem o krawędź nogawki spodni, w których chodziłam CIĄGLE, i wyładowałam na tyłku. Tak, bez wątpienia – Murphy byłby ze mnie dumny.

Zdecydowanie nie należą do dziewczyn, które chciałyby się poprosić o przeniesienie sterty pudełek z pizzą przez ruchome schody, windę, cały korytarz, klatkę schodową i dostarczenie ich gdzieś na koniec piętra, gdzie rezyduje szanowny Frankie. Powolutku (chyba zapomniałam wspomnieć, że miałam na nogach buty na dziesięciocentymetrowych szpilkach, które cholernie mnie uwierały, a przez obcisłą, ołówkową spódnice musiałam stawiać kroczyki jak gejsza) szłam za Willem do działu sprzedaży. Była dopiero dziesiąta trzydzieści. Dlaczego potrzebowaliśmy ośmiuset kawałków pizzy przed lunchem?

Znaleźliśmy Frankiego, sprzedawcę z działu obligacji przedsiębiorstw. Will postawił swój stos na podłodze. Chciałam zrobić to samo, tylko ludzie z piętra zdążyli się do nas zlecieć i rzucili się na moje pudełka. Porywali je i otwierali, zanim zdążyłam je w ogóle odstawić. Odwróciłam się i pobiegłam pędem z powrotem do wind. Zauważyłam, że Will wraca na swoje miejsce, więc dałam mu znać, że na dole czeka na nas jeszcze osiemdziesiąt placków – najwyraźniej zapomniał.

– Sorry, Dziewczynko. Poszedłem z tobą tylko raz, żebyś wiedziała, co i jak. Reszta należy do ciebie.

– Więc mam zaliczyć jeszcze osiem takich kursów? Nie pomożesz mi? Mam za to płacić?

Słyszac to ostatnie, zachichotał, jakby przypomniały mu się niekończące rytuały w ramach otrzęsin czy chrztu bojowego – z myślą o mnie, żółtodziobie.

– Naprawdę nie kiwnę już palcem w twojej sprawie, ale wierzę w twoje umiejętności dostarczania pizzy. Wierzę, że nie spierdolisz sprawy. Nasi maklerzy robią takie zamówienia co tydzień. Na własny rachunek. Miło się rozmawiało, Dziewczynko. Możemy to od czasu do czasu powtarzać.

Wpatrywałam się w jego plecy, kiedy odchodził do swojego stanowiska. Jasne, oczywiście. Pizze to prezent. Sto placków tygodniowo. Naturalnie. Jak, na Boga, miałabym tego dokonać i nie przytyć stu kilogramów? Piętnaście minut później, czyli po ośmiu takich wycieczkach, odstawiłam ostatnie pudła i wróciłam do swojego przenośnego, składanego krzeselka. Najpierw jednak musiałam się przekopać przez stertę tektury walającą się w alejce.

– Hej, A! – usłyszałam za plecami.

Odwróciłam się, a moim oczom ukazał się Will i jego perfekcyjne, bielutkie zęby. Trzymał kawałek pizzy. Wznosił go w powietrze jak toast na moją cześć. Nie mogłam się powstrzymać od uśmiechu. Chick powiedział, że nie życzy sobie romansów w biurze, ale przecież nie wspominał nigdy o flirtowaniu. Zgadza się?

Był wrzesień. Minęły dwa miesiące mojej kariery jako bezimienne popychadło – a ja już nie mogłam się doczekać corocznego rejsu analityków. Podróż jachtem należała do tradycji Cromwell. Firma wypożyczała go specjalnie dla świeżo upieczonych pracowników i części tych z większym stażem, żeby nastąpiła integracja w teamie. Statek wypływał z Chelsea Piers i opływał Manhattan. Może to dziwne, ale perspektywa spotkania z rówieśnikami i możliwość podzielenia się wszystkimi strasznymi historiami z pracy w Cromwell wydawała się rozkoszna.

Chick prędzej odgryzłby sobie rękę, niż spędził wieczór na jednym pokładzie z bandą nic nieznaczących dzieciaków, dlatego zawsze wysyłał za siebie zastępstwo.

– Dziś wieczorem rejs? – zapytał, popijając wodę gazowaną.

– Aha, muszę wyjść o 15.30. Mam nadzieję, że to nie stanowi problemu.

– Spoko. Reese będzie na miejscu. Baw się dobrze.

Wybornie. Człowiek-świnia na pewno umili mi czas. Omijałam go od pierwszego dnia.

Przerazał mnie.

– Dzięki! Na pewno będę.

Przy wejściu na pokład stało dwóch ubranych na biało kelnerów z muszkami. Trzymali tace pełne kieliszków wina. Uznałam, że to efektowne powitanie. Na jachcie grał nawet DJ – miksował znane radiowe klasyki na tyle głośno, że każdy, kto go mijał, zatrzymywał się na chwilę i wsłuchiwał w osłupieniu. Wśród przybyłych zauważyłam kilka znajomych twarzy ze szkolenia, ale zupełnie nie znałam stażystów z działu bankowości. Cromwell zatrudniło pięćdziesięciu albo nawet sześćdziesięciu nowych analityków, ale zdecydowałam się zagadać tylko do tych z działów handlowych, żebyśmy mogli podyskutować o trudnościach przystosowania się do życia w firmie. Przy najmniej chyba takie mieliśmy wspólne tematy. Poczęstowałam się białym winem i podeszłam do grupy kolegów z nadzieją zsolidaryzowania się w niedoskonałości.

– Cześć, chłopaki! – zaszczębiotałam na powitanie.

– Hej... – wymamrotało paru z nich, ledwo zauważając moją obecność.

– Jak leci? To były dziwaczne dwa miesiące, prawda? Składane krzeselko to czyste szaleństwo!

Panowie spojrzeli na mnie badawczo, jakbym właśnie przyznała się, że porwali mnie kosmici.

– Składane krzeselko? – ożywił się jeden z młodych analityków. – Żartujesz. Mam rację?

– Nie! Zaraz, czekajcie. Nie musicie siadać na składanym krzeselku?

– Nie. Ja mam własne biurko. A ty, Dan? – zapytał chłopak o imieniu Adam.

– Oczywiście, ja też – odparł Dan. – Jakim cudem nie masz swojego stanowiska, Alex? To poniżające. Jak, na Boga, masz pracować cały dzień, nie mając własnego kąta?

Nagle poczułam się jak w jednym z tych snów, w którym wchodzisz do klasy na lekcję zupełnie nago.

– Tam... tak się składa, że... w tym momencie... Zaraz. Naprawdę wszyscy macie już biurka?

Nigdy nie uznawałam bycia „bezbiurkowym” za coś nienormalnego.

– Tak, Alex. Serio. Wszyscy mamy swoje stanowiska pracy. Najwyraźniej twój team nie uważa, że też na jakieś zasługujesz. Słabo być na twoim miejscu. To jak, panowie, kto się wybiera na Harvard kontra Yale? – Dan zwrócił się z pytaniem do towarzyszy, niezbyt subtelnie wyłączając mnie z dalszej konwersacji.

Z podkulonym ogonem podeszłam do rufy i oparta o poręcz obserwowałam Statuę Wolności, podczas gdy statek powoli płynął z prądem Rzeki Hudsona. Czułam się jak wyrzutek. Podśledzałam przypadkiem kilka rozmów, które prowadzili inni analitycy – każdy starał się udowodnić, że pełni istotniejszą funkcję, ma fajniejszego szefa, a jego dział więcej zarabia. Nie miałam zamiaru bawić się w takie gierki. Przede wszystkim dlatego, że byłam na straconej pozycji. Doszłam do wniosku, że lepszym wyjściem będzie pałaszowanie przystawek przy burcie z moją starą, dobrą przyjaciółką – Lady Statuą.

Byłam w trakcie konsumpcji trzeciej z rzędu kanapki z bekonem, sałatą i pomidorem, gdy ktoś pociągnął mnie za moje włosy związane w kucyk. Odwróciłam się, To był Reese. Uśmiechał się szeroko, a w rękę miał krewetkę.

– Czy to miejsce jest zajęte, Dziewczynko?

– Nie. Nikogo tu nie ma poza mną i świnia.

– Kim, słucham?

Oparł się o poręcz i spojrział mi w oczy, unosząc brwi, jakby nie dosłyszał. Reese był bardzo wysoki. Poza tym zagłuszał mnie wiatr i warkot silnika. Że nie wspomnę o paplaninie tych idiotów, którzy licytowali się, kto przez ostatnie dwa miesiące miał więcej sukcesów.

– Pamiętasz mój pierwszy dzień w pracy? Zapytałeś, czy lubię wieprzowinę. Uwielbiam wieprzowinę. Po prostu chciałam, żebyś wiedział – odparłam, unosząc swój mięsny tost.

Reese zaczął rechotać i poklepał mnie po głowie.

– Zapomniałem już o tym! Zawsze staram się trochę rozluźnić nowe nabytki naszego działu. To przy okazji mój autorski test na osobowość. Jeśli ktoś jest drażliwy, naburmuszony i obraża się po tym, co powiem – już więcej do niego nie zagadam. Szczególna rzecz z dziewczynami. Lepiej wiedzieć, z kim ma się do czynienia, jeśli chce się uniknąć kłopotów. Dobra robota. Na razie masz u mnie plus.

– Dzięki Bogu! Jestem Alex, ale przyjaciele wołają na mnie Dziewczynka – odrzekłam, wyciągając rękę.

Czułam się swobodnie pierwszy raz od wkroczenia na pokład jachtu.

– Witaj ponownie, Dziewczynko! – Zaśmiał się Reese. – Możesz mi mówić Reese. Jak ci się podoba w Cromwell?

– Jest cudownie.

– Serio? Nikt ci nie dokucza? Nikt nie utrudnia życia?

– Zupełnie nikt! Świetnie się bawię. Wszystko jest wspaniałe.

– Gówno prawda – uciał mój rozmówca z szyderczym uśmiechem. – Nie okłamuj mnie na pierwszej randce, cukiereczku. Mam zarezerwowane tylko jedno miejsce dla kobiety, która wciska mi kit. Już mam żonę – powiedział, prezentując obrączkę na jednym ze swoich palców grubych jak parówki.

Uznałam, że narzekanie nie byłoby najlepszym pomysłem. Dlatego milczałam.

– Nie dam ci spokoju, dopóki nie odpowiesz szczerze, moja słodka. Więc jak ci się podoba w Cromwell?

Mówił poważnie.

– Cóż, po prostu się martwię, że nie dam z siebie wszystkiego. Albo ci ludzie zwyczajnie mnie nie lubią. Nie chcę być wkurzająca. Mam zadawać ludziom pytania, a jednocześnie nie wchodzić im w paradę. Trochę mi ciężko pogodzić wszystkie obowiązki, tym bardziej że nawet nie mam własnego biurka.

Ups, w końcu to z siebie wyrzuciłam. Chyba pozostało mi tylko rzucić się za burtę.

– Dlaczego myślisz, że ludzie cię nie lubią? – Chichotał Reese. – Coś ci powiem. Gdyby ludzie nie darzyli cię sympatią, wiedziałybyś to na pewno. Powinnaś podpytać inne dzieciaki, jak im minął czas w firmie. Zobaczyłybyś, jacy wredni potrafią być ludzie.

– Już próbowałam rozmawiać z innymi analitykami i okazuje się, że jako jedyna muszę chodzić ze składanym krzeselkiem. Doszłam do wniosku, że oni mają do wykonania zadania z prawdziwego zdarzenia, że pracują naprawdę, a tymczasem ja raptem parę razy komuś pomogłam.

– To dlatego sterczysz tutaj samopas, zamiast dołączyć do pozostałych świeżaków?

– Poniekąd.

– Ach... Rozumiem. I oczywiście wierzysz we wszystko, co mówią?

– No, tak. Dlaczego miałiby kłamać?

– Bo to faceci – skwitował bez zastanowienia. – Gadałem z jednym gościem. Taki z niego fiut, że nawet nie widzi, jak cała załoga robi sobie z niego jaja i go wykorzystuje. Współczułbym mu, gdyby po paru minutach rozmowy nie okazał się takim kutasiarzem.

– Który to? – dopytywałam ciekawa, kto tak zabłysnął.

– O tamten, w pomarańczowej koszuli. Znasz go?

Zerknęłam w stronę wskazaną przez Reese'a i wcale nie byłam zdziwiona, że chodziło mu o brylującego akurat wśród towarzystwa Adama.

– Och, tak. Znam. Chodził do Princeton. A na wypadek, gdyby ktoś tego nie wiedział, chwali się, gdzie zwykł jadać, nosi przynajmniej jedną pomarańczową rzecz każdego dnia i płócienną torbę z tygrysem w logo. Ma napompowane ego.

– Kotku, jeśli nie lubisz gości z rozbuchanym ego, źle trafiłaś. Niemniej chciałbym cię jakoś pocieszyć. Patrz na to. Hej, tygrysie! Podejdz no tutaj! – Reese pomachał do Adama, którego twarz rozpromieniała nagle jak tysiącwatowa żarówka.

W końcu jakiś stary wyga chciał z nim pogadać. Wypiął dumnie pierś i poprawił klamrę w pasku – najwyraźniej przekonany, że wywarł tak dobre wrażenie na jednym z kierowników

Cromwell. Nie byłam pewna, dlaczego Reese go do nas zawołał, ale nie spodziewałam się słów uznania. Adam poprawił kołnierzyk swojego pomarańczowego polo Lacoste, zanim podał rękę Reese'owi.

– He, Reese, dobrze pamiętam? Rozmawialiśmy chwilę o Greenspan. – Wyszczrzył się Adam, po czym skierował swoją uwagę na mnie. – Cześć, Amber.

– Mam na imię Alex.

– Racja, przepraszam.

„Wcale nie przepraszasz”, pomyślałam, ale nie powiedziałam tego. Za lepsze rozwiązanie uznałam:

– Nie ma sprawy.

Brzmiało w porządku.

– Przyjaciele mówią na nią Dziewczynka.

Reese stroił sobie żarty, a ja płonęłam ze wstydu. Zastanawiałam się, czy dałabym radę dopłynąć do brzegu, gdybym wyskoczyła za burtę.

– Dziewczynka?

Adam był zmieszany. Chyba rzadko mu się to zdarzało.

– Oczywiście tylko przyjaciele. Ja na przykład mogę tak do niej mówić, ale ty lepiej zostań przy Alex.

Adam wzruszył ramionami.

– Jak długo już pracujesz w Cromwell, Reese?

– Dwadzieścia jeden lat. A ty?

– Dwa miesiące. Ale chyba szybko zyskuję na wartości – dodał.

Reese puścił do mnie oko.

– Tak, już to mówiłeś. A dlaczego nie pochwaliłeś się mojej małej przyjaciółce swoją zeszlotygodniową transakcją?

To przykuło moją uwagę. Miał już pozwolenie na handel? Ja nie mogłam nawet odebrać telefonu.

– Wyszło świetnie. Handluję już grubo, wiesz? W firmie chcę, żebym zaczął odnosić sukcesy.

– Co to znaczy „handlować grubo?” – zapytałam, a Reese z trudem tłumił śmiech, dlatego udawał, że kaszle.

– No, wiesz. Duże obroty, duża sprzedaż. Interesy przynoszące duże dochody, a nie duperele, które nic nie znaczą, nawet jak je spieprzysz.

– Siedzę na składanym krzeselku, więc chyba zajmuję się czymś odwrotnym niż ty.

– Adam, opowiedz Alex, jak tego dokonałeś. Naucz ją. Powiedz dokładnie to, co mi mówiłeś.

Adam uwielbiał skupiać na sobie uwagę.

– Jest taka firma. Nazywa się Cootas Communications, poważni gracze. Gość, z którym pracuję, też jest z Tygrysów. To świetny koleś i na dużo mi pozwala, w końcu należymy do tej samej wspólnoty. Odebrał zamówienie od swojego klienta, a potem pozwolił mi wykrzyczeć zamówienie kupcowi.

W tamtym momencie musiałam mu przerwać, bo wiedziałam, że kłamię.

– Adamie, nie zaliczyłeś jeszcze Egzaminów 7 i 63. Nie masz pozwolenia na handel. Nie-możliwe, że ci na to pozwolili, bo to nielegalne.

– Cóż, nie dokonałem właściwej transakcji, ale klient chciał sporych udziałów. Miałem więc powiedzieć kupcowi, żeby zbudował pozycję, ale to nie było właściwe polecenie.

– To co dokładnie mu powiedziałeś?

– Miałem wstać i krzyczeć na przez piętro do handlowca, że jestem wielkim nabywcą Cootasa.

Reese zaczął się panicznie śmiać, ale zdołał poprosić Adama o powtórzenie ostatniego zdania.

– Powiedziałem, że jestem poważnym kupcem Cootasa. Wszyscy zaczęli mi bić brawo i wi-

watowali. To było super.

Słyszałam wcześniej pogląd, że mądrość nabyta z książek i wrodzona błyskotliwość to nie to samo. Teraz się o tym przekonałam. Adam był po prostu kretyńcem.

Reese stał z założonymi rękami. Po chwili zrobił krok do przodu i położył dłonie na ramionach Adama.

– Adamie, chyba musimy dać tej dziewczuszcze lekcję, jak pracują prawdziwi mężczyźni. To jeszcze raz, zademonstruj nam, jak krzyczałeś na całe piętro.

– JESTEM WIELKIM KUPCEM COOTASA! – darł się wniebogłosy, przy okazji pękając z dumy.

Reese zsunął ręce z barków Adama. Przekrzywił głowę, nie tracąc kontaktu wzrokowego ze swoim młodym rozmówcą, i powiedział powoli:

– Na twoim miejscu, Adam, nie krakałbym tak, że lubię ciągnąć druta. Jestem pewien, że ludzie z twojego działu mają twoim kosztem niezły ubaw, odkąd się tym pochwaliłeś.

Ciało Adama nagle jakby zwiędło. Zrobił się purpurowy na twarzy, kiedy dotarła do niego świadomość własnej głupoty. Chciał stać się niewidzialny i starał się tak zachowywać, ale nie wychodziło. Zmarszczył czoło, jakby coś go bolało, i cicho się pożegnał, tym razem poprawnie wypowiadając moje imię.

Odszedł powoli, zgarbiony, a nie w aroganckiej, napsuzonej postawie absolwenta Princeton.

Stałam w milczeniu. Chciałam wybuchnąć śmiechem, ale Adam był moim rówieśnikiem i odpowiednikiem w dziale rynku akcji zwykłych. Skoro ludziom stamtąd udało się poniżyć – na swój sposób inteligentnego i świadomego – Adama, to co czekało mnie?

Reese znowu poklepał mnie po głowie.

– Dalej uważasz, że cię nie lubimy, kwiatuszku?

– Nie mogę uwierzyć, że mu to zrobili.

– Właśnie tak postępują ludzie, którzy nie darzą cię sympatią. Im więcej czasu z nami spędzisz, tym więcej poznasz sposobów na zgnębienie kogoś, kogo nie szanujemy. Jeśli najgorszą rzeczą, która ci się przytrafiła, jest składane krzeselko zamiast własnego biurka, to tak naprawdę nie masz się czym martwić. Zostań w grze, kochanie, po prostu zostań w grze.

– Ale ja nie umiem w nią grać.

– Nauczysz się zasad. Zanim to jednak nastąpi, pokaż trochę pokory. Kumaszczyś, co mam na myśli?

Oczywiście. To była rzecz, którą rozumiałam najlepiej ze wszystkich, odkąd zaczęłam pracę. I powinnam być za to wdzięczna.

– Rozumiem. I nigdy nie odmawiać wieprzowinki, racja?

– Nigdy nie odmawiaj świni, słonko. A teraz puść już tę barierkę. Idź do nich, dołącz do rówieśników! Jesteś z działu sprzedaży, na litość boską! Zagadaj do kogoś. Nie potrzebujemy w załodze pipek, które podpierają ściany. Wkręć się w tłum, postaraj się o sympatię ludzi i przy okazji udawaj, że sama lubisz dupków, których w rzeczywistości nie znosisz. To wszystko wymaga twojej nowej pracy.

– Dzięki, Reese – powiedziałam, idąc za nim. Wypełniała mnie nowa energia. Otrzymałam zastrzyk pewności siebie i entuzjazmu. – Za radę. Doceniam to.

– Jesteś jedną z nas, kotku. Jedną z zasad naszego działu: zawsze staramy się być dla siebie oparciem. Co nie znaczy, że nie będziemy postępować z tobą bezwzględnie.

– Trochę jak starsi bracia?

– Tak, czterdziestu starszych braci.

Reese udzielił mi cennej lekcji, prawdopodobnie najcenniejszej ze wszystkich, które później przyjdzie mi doświadczyć. Jeśli chcę osiągnąć sukces, muszę opanować do perfekcji udawanie, że lubię ludzi, których nie lubię.

IV

Gdybym chciała niańczyć dzieci, zostałabym przedszkolanka

W pierwszym tygodniu października miałyśmy z Annie i Liv powód do świętowania – zdałam wszystkie egzaminy. To był piątkowy wieczór, dopisywały nam humory, więc wybrałyśmy się do lokalu z japońskim jedzeniem. Objadałyśmy się sushi, piłyśmy drinki z Martini i Krwawą Mary z dodatkiem wasabi aż do drugiej w nocy. Dobrze, że wynajmowałyśmy kawalerkę w centrum, bo przynajmniej nie musiałam się martwić, że zaśniemy w metrze i obudzimy się zagubione na końcowej stacji. Chick nie wyraził większego entuzjazmu po tym, jak wręczyłam mu wydrukowane dowody pozytywnych rezultatów ze wszystkich trzech testów certyfikacyjnych. Jakby w ogóle nie wiedział, co trzyma. Hm, ale czego ja się po nim spodziewałam? Że powie coś w stylu „Dobra robota, Alex”? Albo: „W nagrodę weź dzień wolnego, Alex”. Oczywiście żadne z tych zdań nie padło. Chick rzucił okiem na papiery, przybił zółwika i poszedł na spotkanie. Staralam się tym jednak nie przejmować.

Przez głowę przemknęła mi nieśmiała myśl, że może zasłużyć na własne biurko po zaliczeniu egzaminów. Jednak z początkiem listopada dalej migrowałam z nieszczęsnym składanym krzesłem. Ktoś napisał markerem „Dziewczynka” z tyłu oparcia, więc nigdy nie miałam problemu ze zlokalizowaniem swojego ekwipunku. Domyślałam się nawet, komu to zawdzięczałam.

Co kilka dni przesuwalam się ze swoim krzesłem wzdłuż rzędu, żeby pracować z nowymi ludźmi. Nie dało się zapamiętać wszystkich imion, bo każdy miał milion różnych ksywek od imienia czy nazwiska, które były modyfikowane na różne sposoby. Poza tym niektóre się powtarzały. W moim dziale pracowało kilku Johnów, Joe’ów, Bobów i Peterów. Mogło się dodatkowo okazać, że „Murph”, „Sully” albo inny „Fitizie” to też John, Joe, Bob albo Peter. Nie wspomnę o mężczyznach z oryginalnymi pseudonimami typu Kromka (facet miał wielką głowę i kanciastą fryzurę o kształcie chleba tostowego), Czołg, Łoś lub Chlew. Jeden lubił dobrze zjeść, więc został okrzyknięty Pasibrzuchem, inny – żywiący się jak wróbelek – Okruszkiem. Na piętrze pracował Shrek, Barney Rubble z *Flintstone’ów* i człowiek o niebotycznie długiej szyi, czyli Dino z tej samej kreskówki. Poznałam nawet owłosionego Chewbacę z *Gwiezdnych Wojen* i Małego Mokrego Oposa o okropnej fryzurze – ktoś kiedyś doszedł do wniosku, że mały, zmechacony torbacznik wdrapał się na jego głowę i już tam został. Wszyscy nosili spodnie khaki, niebieskie koszule w rozmaite wzorki, brązowe paski. Wszyscy również puszyli się jak pawie. Śmiali się głośno, razem żartowali, byli nierozłączni. Już sam pomysł zwrócenia się do kogoś po domniemanym imieniu napawał mnie lękiem – w końcu mogło się okazać, że ktoś wcale nie urodził się Barneyem, tylko została mu przypięta taka złośliwa etykieta w związku z podobieństwem do postaci z bajki. Przekonałam się na przykładzie Jarretta...

Z kobietami było podobnie – nigdy nie słyszały swoich prawdziwych imion, mimo że w Cromwell pracowała ich garstka. Wśród czterystu facetów można by się było doliczyć około czterdziestu reprezentantek płci pięknej. Niby mało, ale i tak miały zbyt dużo przezwisk do zapamiętania... Kojarzyłam Magdę, która najwyraźniej w latach młodości często odwiedzała solarium, i Papryczkę – Brazylijkę z oliwkową cerą. Była tam również Cycata Britney Spears, tylko że jej podobieństwo do gwiazdki popu można było dostrzec dopiero po dziesięciu piwach. Co do Rozczochranej Anki się zgodzę, bo ta rudowłosa piękność raczej rzadko używała szczotki. Obowiązki asystentki Lorda Vadera, blondyny Hanny, sprowadzały się do robienia... niczego. Panowie z mojego działu nabijali się z niej okrutnie, miała u nich ksywkę Baby Gap, odkąd odkryli, że dziewczyna kupuje ciuchy w dziale dziecięcym. Była tak przeraźliwie chuda, że mogłaby się schować za słupkiem parkingowym – gdyby nie para olbrzymich sztucznych piersi, jej powodu do dumy. Poza nią w dziale sprzedaży pracowała jeszcze jedna kobieta. Ta, którą na początku uznałam za potencjalną koleżankę. W końcu babki – jako mniejszość w Cromwell – powinny się trzymać razem, prawda? Otóż okazałam się osamotniona w swoich poglądach. Ostatnie stanowisko w pierwszym rzędzie

okupowała Kate Katz, znana jako Czarna Wdowa, Cruella i/lub Oprawca Szczeniaków.

Zanim poznałam Cruellę, Drewa, kilku Bobów i Joe'ów opowiedziało mi jej historię. W branży siedziała już od dwudziestu pięciu lat. Wyróżniała się bystrością, była dobrze zorganizowana i grała twardo. W młodości wielokrotnie stawała się powodem rozbitych małżeństw, ale przed czterdziestką w końcu się ustatkowała – wyszła za męża i urodziła dzieci. Jej mąż był utalentowanym brokerem z wieloma sukcesami na koncie, pracował w konkurencyjnej firmie. Zarabiał krocie, więc Cruella nie została w Cromwell ze względów finansowych. Z tego, co zdołała wywnioskować nasza załoga, Katz siedziała w biurze codziennie od 6.30 do 18 i codziennie podróżowała z Westchester na drugi koniec miasta, bo tak naprawdę nie cierpiała swojego męża i dzieciaków. Albo – co już bardziej prawdopodobne – to oni jej nie znosili. Któregoś razu wysnułam teorię, że może kiedyś była smukła i piękna, ale z biegiem lat jej metabolizm uległ spowolnieniu, dlatego zwiększa się jej obwód bioder i ud, bez względu na ilość godzin spędzonych na spalaniu kalorii pod czujnym okiem trenera. I to powód jej zolżowatości. Jednak nic na to nie wskazywało, wyglądała normalnie. Sprawiała wrażenie normalnej. Doszłam do wniosku, że po biurze krążą zwykłe plotki.

– Co tam, kwiatuszku? – zapytał Reese, kopiąc zaczepnie w podpórki mojego krzesła. – Chcesz dzisiaj ze mną popracować?

– Dzięki, Reese, ale myślałam o spędzeniu dnia z Kate. Wiesz, dziewczęca solidarność.

– Padło ci na mózg? Chyba nie słuchałaś uważnie naszych rad. Ani się waży siadać z Kate. – Reese udał, że wzdryga się z przerażenia.

– Posłuchaj mężczyzny, Dziewczynko. Ona jest czystym złem. Trzymaj się od niej z daleka – wtrącił się Drew.

– Pracuję tu już cztery miesiące. Jestem trochę obyta. Myślę, że pójdzie nieźle. Poza tym Chick kazał mi spróbować współpracy ze wszystkimi, z Kate włącznie.

– Lepiej się przygotuj, cukiereczku. Możesz śmiało zignorować moją radę, ale nie mów potem, że cię nie ostrzegaliśmy – odparł Reese, krzyżując ręce na piersi.

– Będzie ci przykro – zaszczebiotał Drew na pożegnanie.

Przeszłam wzdłuż rzędu i rozstawiłam krzeselko za plecami Kate. Nie bałam się.

– Przepraszam, Kate? Zastanawiałam się, czy mogę z tobą posiedzieć dzisiaj rano – powiedziałam radosnym głosem.

Nigdy przedtem nie znajdowałam się z nią w tak bliskiej odległości, dlatego dopiero wtedy zauważyłam, że ma na palcu pierścioneł z olbrzymim jak lodowisko diamentem. Malowała się delikatnie – z bliska z powodu podkrążonych na sino oczu wyglądała na więcej niż pięćdziesiąt lat. Sprawiała wrażenie, jakby się poddała. Przez chwilę jej współczułam. Może przytłaczała ją presja kariery? Obowiązki żony i matki? A może po prostu była przemęczona, bo za dużo pracowała, a snu zażywała za mało. Obróciła się powoli na krześle. Przeciągnęłam wzrokiem zmierzyla moją wyciągniętą na powitanie rękę, podczas gdy jej dłonie przylegały do ud. Potem przemówiła:

– Przepraszam, co cię skłoniło, że przyjść tutaj i jęczeć mi do ucha? Chyba widziałas, że cię ignoruję.

A może jednak była zbyt zaabsorbowana łamaniem dzieciom kredek i stąd te cienie pod oczami? Zdaje się, że Kate była złem wcielonym.

– Słuchaj, nie płacą mi za edukowanie amerykańskiej młodzieży. Gdybym czuła misję niesienia kaganka oświaty, zatrudniłabym się w jakimś pieprzonym przedszkolu. Od kiedy ty tu jesteś? Od dwóch dni? – Uznałam, że nie warto jej poprawiać. – Proponuję następnym razem lepiej się zastanowić, zanim zdecydujesz się zawracać mi dupę i marnować mój cenny czas. Na takie pytania to moje dwunastoletnie dziecko byłoby w stanie odpowiedzieć. Może ci imbecyle – wskazała niedbale ręką na Reese'a i Drew, którzy udawali, że nie przysłuchiwali się naszej rozmowie – dadzą ci coś do czytania, zamiast zaglądać ci cały dzień za koszulę? Może byś się zajęła czymś pożytecznym? A może powinnam wyrazić się bardziej precyzyjnie – czytaj coś, co nie ma w środku kolorowych zdjęć przystojnych aktorów ani recenzji kosmetyków. Uwierz, takie książki istnieją. Być może nawet pomogą ci zrozumieć cokolwiek o biznesie i obligacjach, bo na razie to w głowie nie masz, kurwa, nic!

Obróciła się ponownie i otworzyła dolną szufladę szafki stojącej za jej biurkiem i wyjęła

z niej kilka książek w twardych oprawkach. Potem wygrzebała jeszcze poukładane w koszulkach skserowane materiały, kilka teczek, folder i segregator. Wszystko ułożone na kupkę wcisnęła mi w ręce. Ledwo widziałam zza tego stosu.

– Zaczynj od podstaw. *Tajemnice krzywej zysku*, *Podstawy hipoteki*, *Obligacje skarbowe*, podręcznik Fabozziego o rynkach obligacji, wykaz wskaźników ekonomicznych, Zrozumieć giełdę. Przeczytaj to wszystko. Kiedy uporasz się z lekturą, wróć tutaj, a ja MOŻE z tobą pogadam. Patrząc na ciebie, mam wrażenie, że zajmie ci to jakieś osiem do dziesięciu lat, więc wstępnie możemy się na wtedy umówić. I zrób sobie przysługę. Coś ci powiem – jeśli chcesz awansować z tego śmiesznego, dziecięcego krzeselka i dorobić się normalnego biurka, jak każda poważna osoba, nie trać czasu na pierdoły i nie zwracaj sobie głowy gazetami, chyba że rzuca ci je na wycieraczkę jakiś dzieciak na rowerze. – Kolejny nieodpowiedni moment na sprostowanie, że gazeciarze nie rzucają nic na dwunaste piętro. – A teraz idź zatruwać życie komu innemu. Wyczerpałam już mój dzisiejszy limit na rozmowy z półgłówkami.

Ręce zaczęły mnie boleć, cała zresztą uginałam się pod ciężarem biblioteki, którą właśnie zostałam obładowana. Miałam nadzieję, że Cruella weźmie mnie pod swoje skrzydła, będzie moją mentorką, poprowadzi mnie przez testosteronowy labirynt, w którym przyszło nam pracować. Siedziała w tej branży od zawsze, więc musiała być twardzielką. Ale ona była po prostu nikczemna. Zastanawiałam się, czy może dawno temu zaczynała jako zwykła dziewczyna – taka jak ja. Może nie do końca miała pojęcie o biznesie i nie do końca wiedziała, jak być kobietą wśród tylu facetów. Lecz wszystkie lata spędzone w dziale sprzedaży uczyniły z niej kogoś innego – wrednego, podłego, złego i... przerażającego. A co, jeśli to się przytrafia każdej dziewczynie i po niedługim czasie to środowisko rodzi potwory? Niewykluczone, że to po prostu musi się dziać, kiedy myśli się o zrobieniu kariery przy Wall Street. Że to niezbędne. Obiecałam sobie, że opuszczę Cromwell, jeśli przyłapię się na podążaniu jej śladami. Podeszłam do biurka Drewa. Bezwzględne słowa Czarnej Wdowy ciągle dźwięczały mi w uszach.

– Próbowałam cię ostrzec – powiedział, odkładając na blat część dźwiganego przeze mnie stosu książek.

– Czy oferta współpracy z tobą jest aktualna, Reese? Jestem skłonna błagać – zapytałam, kiedy Reese oparł się o biurko Drewa i bawił się bezwiednie zszywaczem.

– Jasne, Dziewczyńko. Nie martw się – odparł, obejmując mnie protekcyjnie. – Trzymaj ze mną, a wszystko będzie w porządku. Zapnij pasy, koteczku. Dzisiaj nauczę cię pracy przy telefonie.

W środę tego samego tygodnia Chick powiedział do mnie:

– Dziewczyńko, musisz aktualizować dla nas te modele dotyczące dostaw. Powpisuj bieżące wartości i wykreśl wszystkie akcje, które w tym cyklu wypadły z obiegu. Niech to będzie przejrzyste. Przedstaw jeszcze rokowania na najbliższe trzy miesiące, pół roku i rok, jeśli chodzi o ceny przy transakcjach z natychmiastową dostawą. Dlaczego właściwie jeszcze tego nie mamy?

– Nie wiem, Chick – odpowiedziałam zupełnie szczerze. Poza tym kolejny raz nie miałam bladego pojęcia, o czym on mówi. – Popracuję nad nimi. Na kiedy potrzebujesz tych modeli?

– Na jutro. Wyjeżdżam na turniej golfowy. Reese nauczył cię obsługiwać telefony, prawda?

– Zgadza się, już wszystko umiem.

Mówiłam prawdę. Na początku myślałam, że telefoniczne szkolenie Reese'a okaże się stratą czasu, w końcu byłam dziewczyną. Doskonale wiedziałam, do czego służy telefon, znałam wszystkie jego funkcje.

Sądziłam tak do czasu, aż przekonałam się, że system telefonów w Cromwell było nieco bardziej zaawansowany niż przeciętna bezprzewodowa słuchawka, jaką miałam w pokoju za licealnych czasów. System telefoniczny w Cromwell był w istocie najbardziej skomplikowaną rzeczą, z jaką w życiu się spotkałam. Obejmował różne rodzaje linii: zewnętrzną, wewnętrzną, bezpośrednią do klienta, dział do działu (nowojorskie biuro plus oddziały firmy w innych miastach Stanów Zjednoczonych oraz za oceanem). Niektóre linie były opatrzone skrótami, których za nic nie mogłam rozszyfrować, jednak Reese polecił mi się nimi „nie przejmować”. Nie tknęłam ich, przeżyły mnie. Po szkoleniu Reese'a zostałam jeszcze parę godzin w biurze. Właściwie spędziłam

wieczór, testując świeżo nabyte umiejętności. Wydzwaniałam to do mamy, to do Liv, żeby sprawdzić, czy potrafię je wyciszyć, rozłączyć, ustawić na głośnomówiące, wstrzymać, włączyć tryb konferencyjny albo przetransferować, nie rozłączając się z żadną z nich. Ale nie mówicie nikomu, że tak długo mi to zajęło.

– Dobrze. Wobec tego usiądź przy moim stanowisku pod moją nieobecność. Zostawię modele włączone na którymś z monitorów, żebyś mogła je rozpracować. Nie majstruj przy moim mejlu, bo cię ukatrupię. Dzisiaj wyjątkowo team będzie potrzebował pomocy z telefonami. Pod moją nieobecność przyda się dodatkowa para rąk do pracy. Przejmuj tylko zewnętrzne połączenia. Nie dotykaj bezpośrednich z klientami. Kapujesz?

– Jasne, Chick. Nie ma problemu.

– Git. Widzimy się jutro.

Usadoviłam się na krześle Chicka, wyłączyłam jego pocztę i przyjrzałam się przygotowanym modelom. Chciał je poprawione na następny dzień. Cudownie. Modliłam się, żeby dzień był spokojny i żebym miała możliwość poświęcić całe dwanaście godzin powierzonemu zadaniu. Wciąż do końca nie rozumiałam biznesowego żargonu i opornie szło mi z arkuszami kalkulacyjnymi w Excelu, dlatego szybko wywnioskowałam – będzie bolało.

Poranek upłynął względnie spokojnie i załoga doskonale radziła sobie z telefonami bez mojej pomocy. Skupiałam się więc tylko na modelach Chicka. Spędziłam ładnych parę godzin nad arkuszem, analizując każdy wzór symbol po symbolu, i szło mi coraz żwawiej. Nagle, około godziny 15, zaczęło się szaleństwo.

„Odbierz, wybierz tę linię”, nakazałam sobie w myśli. Wieczór spędzony na obdzwanianiu znajomych i rodziny wydał się całkiem pożyteczny. Czułam się pewniej.

– Cromwell, z tej strony Alex.

– Alex, nie ma samochodu. Stoję przez klubem golfowym z kijami, a nie mam ciągle auta. Do kurwy nędzy, wyglądam, jakbym nosił je za graczami. Zamówiłaś mi samochód, prawda?

O, kurwa...

– Tak, Chick. Zamówiłam. Zadzwoń tam jeszcze raz i zapytam, co z autem dla ciebie. Daj mi minutkę, okej?

– Grrr! – warknął.

Uznałam, że to oznaczało zgodę.

„Naciśnij wstrzymaj, odpal lewe słuchawki, wykręć numer z karteczki samoprzylepnej z klawiatury Chicka” – instruowałam się w myślach.

– Witam, tak. Dzwonię, żeby sprawdzić, co z samochodem zamówionym pod klub golfowy Baltusrol, numer potwierdzenia: 8625... Aha, dobrze. Dziesięć minut? A jak duży jest korek? Dzwonię w imieniu szefa, a on ma bardzo niski poziom tolerancji w stosunku do pracowników, którzy go oszukują, więc jeśli te dziesięć minut to w rzeczywistości dwadzieścia minut, proszę powiedzieć. Dziesięć? Okej. W porządku. Dziękuję.

„Teraz wyczyść, odpal prawe słuchawki, wybierz linię”.

– Cześć, szefie. Właśnie z nimi rozmawiałam. Podobno jest korek, ale samochód powinien być za dziesięć minut.

– Dobra.

Klik.

Zapaliło się kolejne światełko. Odebrałam.

– Halo? Cromwell, tu Alex.

– O, Chryste! To ty! – odezwał się podejrzanie znajomy głos rozmówcy wyraźnie niezadowolonego z mojej obecności po drugiej stronie linii.

– Cześć, Kate. Mogę ci w czymś pomóc?

– Możesz spróbować, ale wątpię, żeby ci się udało. Potrzebuję rezerwacji w Le Bernardin dzisiaj wieczorem, o 18.30. Dla czterech osób. Idę na spotkanie z klientem w Midtown. Załatw mi rezerwację i wyślij mejla z potwierdzeniem.

Le Bernardin? To jedna z najpopularniejszych restauracji w mieście. Zwykły zjadacz chleba nie ma szans zamówić stolika trzy godziny przed czasem!

– Kate, zadzwonię, spróbuję... ale nie wiem...

Klik. Rozłączyła się.

Znalazłam na biurku Chicka przewodnik po nowojorskich lokalach i wyszukałam numer do Le Bernardin.

– Dzień dobry, dzwonię z Cromwell. Zastanawiałam się, czy byłaby możliwość rezerwacji stolika dla czterech osób, na dzisiaj, na 18.30.

Hostessa zaśmiała się niegrzecznie.

– Przykro mi, ale nie mamy już wolnych miejsc na najbliższe cztery miesiące. Jeśli pani sobie życzy, mogę panią wpisać na 29 grudnia. Do wyboru godzina 17.30 albo 22.

– Wiem, ale to dla Kate Katz. Pani jej raczej nie zna, ale zapewniam, że to bardzo ważna osoba w Cromwell Pierce. – Czytaj: porypana żmija. – Czy da się coś w tej sprawie zrobić?

– Niestety nie. Proszę czekać.

Klik. Hostessa odłożyła słuchawkę. Le Bernardin mają pewnie ten sam system, co Cromwell. Znowu zadzwonił telefon. Odebrałam jak w gorączce.

– Alex, z tej strony Cromwell. – Nie... to nie tak leciało. – Cromwell, z tej strony Al...

– Mojego auta wciąż tu nie ma, Alex! – zawył Chick, zanim zdołałam dokończyć.

Zerknęłam na zegarek. Minęło dopiero pięć minut, nie dziesięć.

– No tak, szefie. Hm, przepraszam. Poczekać, już do nich dzwonię.

„Wyczyść, odpal lewe słuchawki...”. O cholera. Zapomniałam o zawieszeniu rozmowy.

Przypadkiem rozłączyłam się z Chickiem. Byłam martwa. Dzwoniła kolejna linia.

– POMOCY!!! – krzyknęłam w panice.

Drew odebrał, a ja w tym czasie znów wykręciłam numer firmy wypożyczającej samochody.

– Dzień dobry, próbuję namierzyć auto. Numer potwierdzający: 8625. Naprawdę muszę wiedzieć, gdzie dokładnie znajduje się ten samochód. Już jest? Doskonale, dziękuję.

Oddzwoniłam na komórkę Chicka.

– Taaa, już dojechał. Do zobaczenia w biurze – powiedział i się rozłączył.

– Alex! – wołał Drew z drugiego końca rzędu. – Cruella mówi, że już nie chce rezerwacji w Le Bernardin. Woli Per Se. Ta sama pora, ta sama liczba osób. Mam nadzieję, że wiesz, o czym mówię.

Sięgnęłam ponownie do szuflady, ale przewodnika już tam nie było. Przerzuciłam papiery zalegające na biurku Chicka. Nic. Rozejrzałam się dookoła. Ani śladu tej małej, czerwonej biblii dla miłośników restauracji. Moje serce biło tak mocno, że prawie wyskoczyło mi z klatki piersiowej. Wstałam, a książka spadła mi z ud i pacnęła na podłogę. Uff... Znalazłam numer do Per Se.

„Najpierw światelko, potem połączenie”.

Dzwonię.

– Dzień dobry, chciałabym zamówić stolik dla czterech osób na dzisiejszy wieczór, na 18.30. Jeśli mnie pan kocha, powie mi pan, że to możliwe. Oczywiście, nie zna mnie pan, ale rozmawia pan z kimś, kto jest już na granicy załamania nerwowego. Wiszę na włosku. I jeśli mi pan powie, że... O, doprawdy? Dziękuję Bogu! Jest pan aniołem. Tak, Katz. 18.30, stolik dla czterech osób. Bardzo dziękuję.

Klik.

Zdjęłam słuchawki i próbowałam rozmasować moje pulsujące skronie. Zadzwonił kolejny telefon. Krzyczałam w sobie i jak robot po raz setny w ciągu ostatniej godziny nacisnęłam przycisk na konsolce, której nie powstydziliby się NASA.

– Cromwell, tu Alex... Niestety, Susan. Jeszcze nie wrócił, ale obiecuję ci, że przekażę mu wiadomość. Nie mam pojęcia, czy ma przy sobie komórkę, ale jest w trakcie spotkania, więc pewnie i tak wyłączył telefon. Czy to pilne? Okej, dobrze. Wobec tego gwarantuję, że gdy tylko zjawi się z powrotem w biurze, powiem mu, żeby zadzwonił do domu. Nie ma sprawy.

Klik.

– Co tam, Alex? – zapytał Will, rzucając się na stojące obok mnie puste krzesło.

– Jezu, dlaczego żona Chipa wydzwaniała trzydzieści razy dziennie? Odebrałam przynajmniej siedem połączeń od niej w ciągu ostatnich dwóch godzin. Powtarzałam tyle razy: „Przekażę, że

dzwoniłaś”. Czy ona mnie nie rozumie?

Drrrrrrrrrryń!!!

Znowu linia Chipa.

– Nie, to nie może być ona. To niemożliwe.

– Potrzebujesz pomocy? – Will dorwał się do konsoly. – Patrz teraz.

Wcisnął guzik.

– Halo? Pewnie. Proszę chwilę poczekać.

Wpisał numer i kliknął jakieś przyciski.

– Co ty wyprawiasz? Czy właśnie odrzuciłeś połączenie z Susan?

– Nie odrzuciłem, tylko ją przekierowałem... gdzieś indziej.

– Dokąd?

– Do sekcji chińskiej na parterze.

– Błagam cię, powiedz, że żartujesz. Powiedz, że nie przekierowałeś jej do Szechuan Panda.

– Otóż to.

– I to niby pomoże?

– Idę o zakład, że już więcej nie zadzwoni! Subtelnie dałem jej do zrozumienia, że jest wrzodem na dupie. Rozwiązałem twój problem. Przynajmniej jeden z wielu.

Zachichotałam.

– Doceniam to. Dobry z ciebie kolega.

„Kolega? Czy to przypadkiem nie było zbyt bezczelne? Brawo, Alex. Ładne zagranie.

Wiesz, jak zrobić z siebie idiotkę”, powtarzałam w myśli.

DRRRYYYYŃ!

– O MÓJ BOŻE! Znowu!

Przytłumiony głos po drugiej stronie linii powiedział z dziwnym akcentem:

– Den dobry, czy to pralnia Fung Yoo? Zniszczyłyście mi koszula! Moja zamszowa koszula!

Zapłatyte za to!

– Słucham? – zapytałam z niedowierzaniem. – Proszę pana, proszę poczekać. To pomyłka.

Ma pan zły numer. To nie pralnia, to dział handlowy.

– Gupia suka! Zniszczyłyście mi koszula! Moja zamszowa koszula! Warta pięćset dolara!

Oddawajcie kasa!

– Drogi panie, to pomyłka. Wykręcił pan niewłaściwy numer.

Na darmo starałam się wytłumaczyć, że jego zniszczona zamszowa koszula (kto normalny nosi zamszowe koszule?) to nie mój problem.

Spojrzałam w lewo w poszukiwaniu pomocy i zobaczyłam Willa, Drewa i Marchettiego chichrających się na drugim końcu rzędu. Podśluchiwali moją rozmowę i mieli wyciszone głośniki. Spojrzałam w prawo – w przeciwległym rogu stał Reese ze słuchawkami na uszach. Patrzył prosto na mnie.

– Gupia suka! Dzia-dzia-san! Zniszczyłyście koszula! Oddawajcie kasa! Pięćset dolara!

Kiedy rzuciłam słuchawką, cała czwórka wybuchła śmiechem. Żarty telefoniczne autorstwa kolegów z twojego teamu. Normalka? Nie sądzę.

– Skończyłam! – oznajmiłam z uśmiechem. – Zadzieracie ze mną, chłopaki? W porządku, macham białą flagą, poddam się! Wygraliście! Oficjalny wynik to 1:0 dla bandy przygłupów. Brawo! Nie odbiorę już dzisiaj żadnego telefonu, bo chyba eksploduje mi głowa. Co się dzisiaj dzieje? To czyste szaleństwo.

Marchetti podszedł do mnie i rozmasował moje obolałe ramiona.

– Wszystko gra, Dziewczynko. Chcieliśmy tylko trochę cię rozluźnić. Wyglądasz na strasznie spiętą. Zrelaksuj się. Dołączysz do nas dziś wieczorem?

– Przykro mi, panowie. Dzisiaj nie mogę. Muszę zmodyfikować te arkusze dla Chicka.

Bawcie się dobrze.

– No trudno. Powodzenia, Dziewczynko – powiedzieli jednocześnie.

Kiedy telefony wreszcie przestały dzwonić, skupiłam swoją uwagę z powrotem na Excelu. Starałam się nie myśleć o konsekwencjach, w razie gdybym nie wywiązała się z obowiązków.

Pod koniec dnia byłam wykończona i sfrustrowana. Dalej nie mogłam rozgryźć niektórych fundamentalnych pojęć – a wydawało mi się, że już je rozumiem.

Z tego powodu żyłam w ciągłym strachu, że w którymś momencie Chick zawoła mnie do swojego gabinetu i urządzi jeden z osławionych autorskich quizów. Nie byłam w stanie nawet porządnie zamówić dla niego jakiegoś pieprzonego samochodu. Jakim cudem miałam rozpracować tajniki funkcjonowania giełdy, skoro wykładałam się na podstawach? Ból przeszywał mi głowę i marzyłam o gorącym prysznicu. Do mojego bloku weszłam o 20. Portier zatrzymał mnie i wręczył kopertę. W środku była karteczka złożona na trzy:

„A dzisiaj wieczorem jem kolację w Smith & Wollensky. Spotkajmy się na piwie, jak skończę. Będę pod Manchesterem o 21.30. Will”.

Nie mogłam uwierzyć, że przyszedł do mojego mieszkania. Nie mogłam uwierzyć, że dowiedział się, gdzie mieszkam. Nie mogłam uwierzyć, że Will zapamiętał moje imię. Trudno mi było rozgraniczyć, czy to urocze, czy natrętne, ale na razie postanowiłam się tym nie przejmować. Od razu ożyłam. Wzięłam szybki prysznic, zmieniłam ciuchy, stoczyłam czterdziestominutową walkę z suszarką, szczotką, prostownicą i byłam gotowa. Wybiegłam z mieszkania i ruszyłam w górę miasta.

Manchester to mały angielski pub przy Drugiej Alei na wysokości Czterdziestej Dziewiątej. Mieli sporą ofertę piwa, ale w lokalu zawsze trudno było znaleźć kawałek wolnej przestrzeni, żeby móc się nim delektować w spokoju.

Po wejściu zauważyłam Willa siedzącego przy końcu baru obok paru hałaśliwych Europejczyków oglądających mecz. Pił piwo z kufła i rozmawiał z barmanem, który miał trzy zęby i flagę Wielkiej Brytanii wytatuowaną na nadgarstku. Will wypatrzył mnie w tłumie, pomachał mi, a fani piłki nożnej zrobili mi miejsce.

– Cieszę się, że dostałaś moją wiadomość. Zastanawiałem się, ile musiałbym poczekać, żeby to znaczyło, że już się nie zjawisz. – Poklepał drewniany, wysoki stółek obok, a ja usiadłam.

– Jestem raptem pięć minut po proponowanym czasie, a ty już planowałaś ewakuację?

– Postanowiłem dać ci czas do dziesiątej. Uważam, że pół godziny spóźnienia da się zaakceptować.

– Ja bym powiedziała, że czterdzieści pięć minut, skoro nie miałaś gwarancji, kiedy otrzymam liścik.

– Celna uwaga – przyznał, ukazując szereg śnieżnobiałych zębów.

W tej chwili mój żołądek wykonał salto. To nigdy nie wróżyło niczego dobrego.

– Cóż, dziękuję, że poczekałeś.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Cieszę się, że przeszłaś pewien etap w Cromwell.

Udowodniłaś coś. Po takim czasie wreszcie mogłem się z tobą umówić poza biurem.

– Co masz na myśli? Pracuję w Cromwell raptem pięć miesięcy. Co to za wyczyn?

– Wiesz, jak na dziewczynę to nie byle jakie osiągnięcie. W zeszłym roku też jedna dołączyła do naszego zespołu. Wydawała się bystra, ale zrezygnowała po sześciu miesiącach. Nie radziła sobie. Nie zawracam sobie głowy nowymi dziewczynami, dopóki nie zyskam pewności, że dłużej zagrzeją miejsce w Cromwell. Inaczej to strata czasu.

– Nigdzie się nie wybieram w najbliższym czasie.

– Mam nadzieję.

Poczułam, że się rumienię. Postanowiłam zmienić temat.

– Jak minęła kolacja?

– Dobrze. Podjąłem wyzwanie, chciałem się pokazać z jak najlepszej strony i zapewnić im miły czas. Najpierw poszliśmy do baru cygarowego, potem do Smitha i Wolly'ego na befsztyki z połędwicy i kilka butelek wina. Zarządca zaprzyjaźnił się ze mną, bo stałem się tam częstym gościem, więc należycie się nami zajął.

– Brzmi jak niezła zabawa – powiedziała, chociaż w rzeczywistości byłam nieco zdeglustowana.

Will brzmiał jak nadęty snob. Motylki w moim brzuchu trochę się uspokoiły.

– Wow, założyłaś dzinsy! To nie ubiór biznesowy.

– A to chyba nie jest spotkanie biznesowe.

– To prawda. Ładnie wyglądasz.

Oblałam się rumieńcem, a chmara motylków wróciła ze zdwojoną siłą.

– Słuchaj... W jaki sposób dowiedziałeś się, gdzie mieszkam?

– Zdobyłem twój adres od Nancy, sekretarki Chicka. Zawsze się zgodzi, jeśli uprzejmie ją się poprosi.

– Więc mnie śledzisz.

– Natręctwo jest wtedy, gdy druga strona nie życzy sobie uwagi. Jesteś tutaj, co znaczy, że cię nie prześladowuję.

– Brzmi racjonalnie. – Uśmiechnęłam się.

– Więc co zamierzałaś robić dziś wieczorem, zanim zdecydowałaś się na drinka w moim towarzystwie?

– Myślałam o wieczornym joggingu, ale w rezultacie nic mi się nie chciało.

– Dużo biegasz?

– Sporo. Lubię to. Bieganie pomaga mi się zrelaksować. Wprawdzie kiedyś ćwiczyłam znacznie więcej, ale trudno teraz znaleźć chwilę, skoro muszę zostawać w Cromwell po godzinach. Nie mam pojęcia, jak inni godzą pracę i treningi. Jakimś cudem są w formie. Jeśli w końcu dotrę na siłownię, moje płuca prawdopodobnie wybuchną.

– Racja, powinnaś wygospodarować czas. To robi różnicę.

– Co takiego?

– Ćwiczenia. Sporo jemy w biurze i łatwo jest w takich warunkach przybrać na wadze.

Szczególnie dziewczynom.

„Gruba Mary” – z głośników szafy grającej dobiegł głos lektora. Zazwyczaj nie przeszkadza mi głośna muzyka, właściwie nawet ją lubię. Jednak tym razem miałam ochotę poprosić barmana o jej przyciszenie, bo przez piosenkę wplecioną w naszą rozmowę wyglądało to, jakby Will właśnie nazwał mnie tłustym prosiakiem. Oczywiście nie ma nic złego w pulchnych dziewczynach, ale kto normalny umawiałby się na drinka i wprost mówił kobiecie, że jest spaślakiem? Szczególnie gdy ta nosi rozmiar 36. No dobra, czasami 38. Ale miałam dwie sukienki od Diane von Furstenberg i parę spodni z J. Crew w rozmiarze 36, a nosiłam je często.

– Co???

– Nic! Każdemu się to może zdarzyć na początku. To niemożliwe pracować przy biurku całymi dniami i nie przytyć kilku kilogramów, dlatego radziłbym, żebyś postarała się znajdować trochę czasu na ćwiczenia. Poczujesz się lepiej. To wszystko.

Nagle straciłam apetyt na moje lekkie piwko. Chciałam wrócić do domu i porobić przysiady.

Odstawiłam szklankę.

– Nie bierz tak wszystkiego do siebie. Wyglądasz świetnie. Nie chciałem cię martwić. Zapomnij, że cokolwiek powiedziałem.

Były dwie możliwości: mogłam wcielić się w rolę czepialskiej dziewczyny, która robi z igły widły i z powodu błahostki psuje miłą atmosferę, albo faktycznie zapomnieć o sprawie, płynnie zmienić temat, obrócić wszystko w żart. Wybrałam tę drugą możliwość. Postanowiłam następnego dnia jeść tylko krakersy, a potem przywiązać się do bieżni. Nastąpiła niezręczna cisza, którą przerwał Will.

– Przepraszam, nie miałem nic złego na myśli. Naprawdę. Wybaczysz mi?

– Oczywiście, dziękuję – zgodziłam się.

– Powiedz mi coś o sobie. Jedyne, co wiem, to, że całkiem nieźle radzisz sobie jako dostarczycielka pizzy.

– A co chciałbyś wiedzieć?

– Zacznijmy od podstaw. Rodzeństwo?

– Młodsza siostra, Cat. Od liceum spotyka się z tym samym chłopakiem i pewnie niedługo się zaręczą. Nie mamy zbyt wiele wspólnego.

– A ty nie masz chłopaka?

– Nie. A ty z kimś się umawiasz?

„Błagam, powiedz, że nie!” – powtarzałam w myślach.

– Z nikim wartym uwagi. – Mój żołądek wykonał tym razem podwójne salto. Czy picie piwa z Willem liczy się jako złamanie złotej zasady Chicka? Nie, przecież to nawet nie była randka. To bardziej jak spotkanie integracyjne. – W jaki sposób trafiłaś do Cromwell? – zapytał Will.

– Po części poszłam w ślady ojca, który pracuje jako bankier. Jako dziecko odwiedzałam go w biurze i uważałam tamto miejsce za niesamowite. Cała energia, wszyscy ci ludzie, ten gwar. Biurowiec przy Wall Street mnie oczarował. Całe życie marzyłam o pracy w tej branży.

– I oto jesteś! Nadzwyczajna analityczka z Cromwell!

– Moja mama już nie jest tak zakręcona na punkcie giełdy. Wcale nie chciała, żeby jedna z jej córek trafiła do „gniazda węży”, jak sama to nazywa.

– Mądra kobieta, rozumiem ją. Sam bym nie pozwolił siostrze czy córce pracować w dziale handlowym. Nie zrozum mnie źle. Widzę, że czerpiesz satysfakcję, ale... Jesteś dziewczyną, wyglądasz na miłą, przyjemnie się na ciebie patrzy. Ale czasami sprawy, z którymi musisz się zmierzyć, rzeczy, których się nasłuchasz, są po prostu... nieodpowiednie. Brakuje mi lepszego słowa.

– Przyjemnie się na mnie patrzy? – Udawałam oburzenie. – Przynieś do pracy plakat i powieś nad komputerem, skoro nie masz na co patrzeć.

– Mógłbym, ale szybko bym się znudził. Ty mnie nie nudzisz.

– Pff, dzięki za komplement.

Znowu nastąpiło kilka sekund drętwej ciszy, ale mnie się ten czas strasznie dłużył.

– A ty? Jaka jest twoja historia?

– Jestem jedynakiem. Dorastałem w północnej Wirginii i chodziłem na Uniwersytet w Pensylwanii. Pracuję u Chicka od czterech lat. Jestem wiceprezesem spod znaku Koziorożca i mieszkam w Upper West Side.

Zanim zdążyłam zadać mu kolejne pytanie, skwitował:

– Tyle o mnie.

Sięgnął do kieszeni i wyjął garść monet.

– Może zamówimy piosenki w szafie grającej? Można wiele powiedzieć o danej osobie na podstawie jej gustu muzycznego.

– Więc jeśli wybiorę Celine Dion albo Backstreet Boys, dasz dyla?

– A żebyś wiedziała. W ścianie pojawi się dziura w kształcie Willa.

– To spora presja.

– Zagraj coś, a ja tymczasem zamówię nam jeszcze po piwie.

Podszedł ze mną pod rękę do szafy grającej. Trochę się chwiałam. Niedobrze.

Poznałam tego chłopaka kilka miesięcy wcześniej, ale w biurze rozmawialiśmy dosłownie parę razy. Ledwo go znałam, ale dałam się zauroczyć.

Wróciłam, gdy barman akurat stawiał na ladzie zamówione Blue Moon.

Fajnie nam się z Willem rozmawiało i zanim się spostrzegłam, minęła północ, a my byliśmy już niezłe wstawieni. Do końca nie wiem, co wyprawialiśmy, ale czułam się szczęśliwa. Wyszliśmy z baru i pokierowaliśmy się na południe, w stronę mojego mieszkania. Na dworze zrobiło się chłodno. Żałowałam, że nie wzięłam ze sobą płaszcza. Był przeklęty listopad. Nikt normalny nie wychodzi z domu bez płaszcza! Skrzyżowałam ręce i wzdrygnęłam się na wietrze.

– Zimno ci. Miałem zamiar cię odprowadzić, ale chyba lepiej zamówić ci taksówkę.

Nie miałam pojęcia, że chciał mnie eskortować pod sam dom. Przystojny i dobrze wychowany – niezłe połączenie.

– Dzięki za spotkanie i piwka. Było sympatycznie – powiedziałam, zakładając za ucho kosmyk włosów.

– Owszem, było. Zobaczę cię jutro?

– Będę w biurze już bladym świtem.

– Wiesz, że powinniśmy to powtórzyć.

– Chętnie.

– To super. Więc do jutra. Cieszę się, że spędziłem z tobą wieczór, Alex.

– Też się cieszę.

Zamknął za mną drzwi od taksówki i chwiejnym krokiem poszedł ulicą w górę.

V

Dodatkowe święta

Nie obchodzi mnie, co sądzą inni – moim zdaniem nie istnieje lepsze miejsce na świecie niż Nowy Jork w święta Bożego Narodzenia. Gdy ja i Cat byłyśmy małe, rodzice zabierali nas do miasta na pokazy tańca na lodzie w wykonaniu The Rockettes. Potem podziwialiśmy choinkę w Centrum Rockefellera i fantastyczne witryny sklepów ciągnących się wzdłuż Piątej Alei. Opatuleni płaszczami zapinanymi na kołki spacerowaliśmy od Czterdziestej Dziewiątej aż do sklepu firmowego FAO Schwarz mieszczącego się przy Pięćdziesiątej Ósmej ulicy. Uliczni handlarze zachwalali pieczone kasztany i miękkie prele, Empire State Building świecił na czerwono-zielono.

Wiele osób twierdzi, że Boże Narodzenie to święta dla dzieci, jednak – jako osoba dorosła – wciąż kocham ten czas tak mocno, jak w dzieciństwie. Uwielbiam zapachy, kolory, nawet tłumy w centrach handlowych. Lubię girlandy, wianki i migocące światełka, którymi są oplątane drzewa przy Alei Parkowej. Grudzień to miesiąc niesamowicie zmysłowego przeładowania i właśnie w grudniu Wielkie Jabłko staje się najbardziej magicznym miastem na naszej planecie.

W Cromwell nie było miejsca na przerwę świąteczną, dlatego trudno mi było ze świadomością, że przepracuję cały miesiąc. Tęskniłam za bożonarodzeniowym cudem przycupnięta na składanym krzeselku. Firma starała się przemyścić odrobinę świątecznej atmosfery do budynku, nie oszczędzając na dekoracjach. W głównym przedsionku stała wielka choinka, a z sufitu prosiły mieniące się płatki śniegu. Cromwell zasługiwało na pięć z plusem za starania, niemniej i tak wiele jeszcze brakowało, żeby wewnątrz oddać prawdziwy nastrój panujący na ulicach miasta.

Nasz dział w grudniu zmieniał się nie do poznania. Nie tylko dlatego, że trzydziesty pierwszy dzień miesiąca wyznaczał koniec roku kalendarzowego, lecz także koniec pracy na ten rok. A dla pracowników Cromwell okres bożonarodzeniowy wiązał się z czymś jeszcze – Dodatkowymi Świętami, czasem wielkiej integracji Wall Street. Przy trybie pracy, jaki praktykowaliśmy, w głowie świta myśl o styczniu, kiedy to jest się nagradzonym sześć- bądź siedmiocyfrowym czekiem za wkład w sukcesy firmy na przestrzeni minionego roku. Podsumowania robi się już w pierwszym tygodniu grudnia, więc notowania przez resztę miesiąca właściwie nie mają znaczenia. Ergo – nie ma sensu pracować. Po przekroczeniu tej magicznej daty ludzie z Cromwell każdego wieczoru chodzili na imprezy. W połowie miesiąca byłam już tak zmęczona przyjęciami, że wyglądałam jak przejechana saniami Świętego Mikołaja i stratowana przez jego osiem reniferów. Przy okazji przytyłam kilka kilogramów.

W któryś piątek załoga stałego przychodu urządziła balangę dla całego piętra. O szesnastej na biurkach pojawiły się beczki z piwem oraz tace pełne serowych przekąsek. Kelnerzy i kelnerki częstowali przystawkami, które pracownicy naszego działu pochłaniali jak miętowe drażetki tic tac. Innym razem Chick wynajął całą restaurację tylko dla działu obligacji państwowych, więc cieszyliśmy się z jeszcze jednej okazji do integracji przy kieliszkach drogiego wina i talerzach z włoskimi przysmakami. Poza tym wypadało, żeby nasi sprzedawcy i kupcy zorganizowali końcowe, coroczne spotkania dla najważniejszych klientów, a takie wieczory rzadko kończyły się przed północą. Nie wolno było wykręcić się z imprezy – taka zagrywka była równa politycznemu samobójstwu. Próbowalam raz nie przyjąć zaproszenia na przyjęcie wyprawiane przez najwyżej postawionych szefów Cromwell (notabene sami się na nie pofatygowali). Jednak Chick w typowy dla siebie, subtelny sposób dał mi do zrozumienia, że jeżeli nie przyjdę, następnego dnia mam się nie dziwić, że czytnik z mojego identyfikatora nie działa. Modliłam się o szybsze nadejście Wigilii, żeby ten łańcuch suto zakrapianej integracji wreszcie się przerwał. Marzyłam o zregenerowaniu komórek mojej sfatygowanej wątroby. Siłowni nie odwiedziłam od przeszło miesiąca, ciuchy stawały się za ciasne, puchły mi oczy – a miałam dopiero dwadzieścia dwa lata. Podziwiałam starszych kolegów, że z roku na rok dają radę wychodzić cało z tych grudniowych, alkoholowych maratonów.

Na piętrach handlowych Cromwell zawsze jest zimno jak w lodówce, a zimą niska tempera-

tura staje się nieznośna. To w pewnym sensie wymóg, bo komputery wydzielają sporo ciepła. Gdyby pomieszczenia były dodatkowo ogrzewane, systemy mogłyby po prostu eksplodować. Dlatego niektórzy ludzie na szczególnie surowe dni zakładali do pracy polarowe kurtki i owijali się szalikami.

W któryś grudniowy poranek Drew pocierał ręce, żeby trochę je rozgrzać.

– Jezu, jak tu dzisiaj lodowato! Co ja bym dał, żeby teraz znaleźć się na plaży...

– Ja bym mogła siedzieć nawet w którymś z krajów Trzeciego Świata, byle blisko równika!

– dodałam.

Podpórki mojego metalowego krzeselka były tak schłodzone, że nie dało się ich dotknąć.

Chick właśnie wrócił ze spotkania i wzdrygnął się, zdejmując płaszcz.

– Słuchaj, A. Dzisiaj jest twój wielki dzień. To jakby święta przyszły wcześniej.

– Jak to? – zapytałam zdumiona.

– Dzisiaj dostaniesz własne stanowisko pracy – oznajmił, wskazując na biurko obok Drewa.

– To przecież biurko Dave’a.

– Poprawka – to BYŁO biurko Dave’a. Teraz należy do ciebie.

Poczułam się, jakby ktoś sprezentował mi kabriolet albo worek pełen pieniędzy. To był najlepszy gwiazdkowy upominek, jaki mogłam wymarzyć. Własne biurko. Żegnaj, składane krzeselko!

– Wow, Chick! – wykrzyknęłam, składając krzesło i odstawiając je pod ścianę. Odczułam ulgę, jaką czuje się zwykle przy wyrzucaniu sterty śmieci. – Nie sądziłam, że kiedykolwiek będę taka szczęśliwa z powodu komputera. I szuflad!

– To jedna z tych drobnych rzeczy, którymi sprawiam radość swoim podopiecznym.

– Co się stało z Dave’em?

– Dave nie żyje. Zastrzeliłem go dziś rano – skwitował beznamiętnie.

– Słucham? – Byłam zmieszana.

– To metafora, przygłupie! Martwy. Skasowany. Zastrzelony. Poćwiartowany. Nie ma go.

Dlatego dostałaś jego stanowisko. Korzystaj z jego notatników, dopóki nie dostaniesz swoich. Powiem Nancy, żeby zamówiła je na jutro.

– Jego notatników? – Zerknęłam na jego puste krzesło, czyli na moje.

I na zdjęcia jego dzieciaków postawionych dumnie przy zestawie słuchawkowym.

Chick wydawał się zupełnie niewzruszony faktem, że właśnie zwolnił kogoś tuż przed Wigilią. Nietypowa metoda, żeby poczuć świąteczny nastrój...

– Gratulacje, Alex. Jesteś moją nową sąsiadką – powiedział Drew, zmiatając z blatu do pudła osobiste rzeczy Dave’a. – Czy masz jakieś szczególnie irytujące nawyki, o których powinienem wiedzieć, zanim zadamowisz się metr dalej?

– Nie wydaje mi się.

– No i bardzo dobrze. Witaj w środkowym rządzie, gdzie średnia temperatura wynosi trzydzieści stopni i właśnie wybija godzina 10.45 lokalnego czasu!

– Dopiero 10.45? – zapytał Chick. – Można by tu z powodzeniem trzymać mrożonki. Zimno jak w psiarni! Nie chcę mieć pracowników z odmrożeniami.

Klasnął w dłonie i zawołał:

– Słuchajcie, kochani! Stawiam dzisiaj wszystkim Starbucksa. Zamówienia składajcie u Dziewczynki. Zacznę od swojej: chcę dużą orzechową kawę. I koniecznie musi być gorąca!

Moje biurko w mig otoczył brzęczący tłum prezentujący swoje zachcianki. Problem z pojawieniem się miejsc takich jak Starbucks polegał na tym, że przez nie nikt już nie zamawiał zwykłej kawy. Szanse, że zapamiętam wszystkie zamówione rodzaje herbat chai, kaw latte, mocha czy macchiato, były nikłe. Reese do cappuccino zażyczył sobie dodatkowo ciasteczko z M&M’s-ami.

Chick wcisnął mi w rękę studolarowy banknot.

– Weź ze sobą kogoś do pomocy, żebyś się przypadkiem nie oblała, bo skończysz z oparzeniami trzeciego stopnia.

Przynajmniej wpadł na to, że nie dam rady sama udźwignąć niezliczonej ilości kubków zwieńczonych wielkim ciachem. Miło z jego strony. Wahałam się chwilę, czy zapytać o asekurację Willa, ale w końcu pomyślałam: „A co mi tam”.

– Co tam, świeżaku? – zapytał, zamykając okna programów na swoim pulpicie. – Czym sobie zasłużyłem na twoją zaszczytną wizytę w ostatnim rządzie?

– Chick powiedział, żebym wybrała sobie kogoś do pomocy z kawami. Ponieważ kiedyś byłeś na tyle uprzejmy, żeby towarzyszyć mi przy dostawie pizzy, pomyślałam właśnie o tobie. Mam nadzieję, że ponownie wyrazisz chęć pomocy.

– Z założenia miał to być jednorazowy incydent – odpowiedział z uśmiechem, który sprawił, że zmiękły mi kolana.

– Oczywiście nie musisz. Zapytam Drewa, jeśli jesteś zbyt zajęty.

– Chcę, żeby sprawa była jasna. Zapraszasz mnie na coś w rodzaju randki, zgadza się?

Uniósł zawadiacko brew, odczuwając wyraźną przyjemność z wprawienia mnie w zakłopotanie.

– Tak. Randkę w Starbuniu – doprecyzowałam.

– Więc to ja mam być tym frajerem, który będzie do końca życia nosił za ciebie jedzenie?

– Na to wygląda. To jak?

– Jasne, pójdę z tobą. Muszę natychmiast napić się moki, w przeciwnym razie zamrznę tu na śmierć.

– To ty zamówiłeś mochę?

– Tak, z bitą śmietaną.

– Hm, to chyba trochę babska kawa, prawda?

– Prawdziwi mężczyźni piją mochę z bitą śmietaną!

– Skoro tak mówisz... – zaszczebotałam.

Nie mogłam powstrzymać chęci do flirtu.

– Chodźmy, zanim zmienię zdanie, bo będziesz musiała zaliczyć trzy rundki sama, cwaniar.

Na miejscu okazało się, że kolejka jak zwykle jest bardzo długa. Ludzie stali aż za lokalem.

– Chyba trochę poczekamy... – westchnęłam. – Jeśli masz dużo pracy, wracaj. Najwyżej rozniosę tę kawę w kilku turach.

– Nie, postoję tu z tobą. Dzisiaj mam wyjątkowo mało do zrobienia. Przez ostatnie trzy godziny z nudów zamawiałem przez internet świąteczne prezenty. Poza tym dobrze jest czasem ewakuować się z piętra.

Wskazał ręką na mój kaszmirowy golf.

– Dzisiaj czarny? Lepiej – powiedział, z uznaniem kiwając głową.

„Lepiej?” zastanawiałam się, o co mu chodziło. Czyżby cały czas mnie obserwował i komentował w myślach mój strój i wygląd?

– Dzięki – odparłam promiennie. – A ty dzisiaj khaki? To bardzo oryginalne.

– Cóż, nie mam zbyt wiele do wyboru. Czy właśnie to dziewczyny robią cały dzień? Oceniacie facetów na piętrze?

– Chciałbyś! – Zaśmiałam się. – Zapewniam cię, że nie. Co prawda nie miałam przyjemności poznać sporej części kobiet pracujących w Cromwell, ale wątpię, żeby to było ich główne zajęcie.

– A powinniście – skwitował lakonicznie. – Bo my to robimy.

Byliśmy już czwarcą w kolejce, więc wiele wskazywało na to, że zostaniemy szybko obsłużeni. Tylko nagle zaczęły się dziać interesujące rzeczy...

– Co takiego robicie? – zapytałam łamiącym się głosem.

– Mówisz poważnie? Cromwell to nie bar. Pogrzało was?

Will uśmiechnął się figlarnie.

– Chcesz mi powiedzieć, że goście, którym właśnie kupuję kawę, oceniają mój wygląd?

– Taaa, codziennie. Dostajesz więcej punktów, kiedy masz rozpuszczone włosy, niż kiedy są związane w kucyk. Tak do twojej wiadomości.

– Pracujemy w biurze, a nie na wybiegu!

– Och, uspokój się. Zawsze jesteś w pierwszej trójce. To komplement. Inaczej w ogóle bym o tym nie wspomniał.

- Więc co, mam się cieszyć?
- Oczywiście.
- Wszyscy jesteście świniami, wiesz?
- Pozwól, że to przemilczę.

Doszliśmy do kasy, złożyłam zamówienie i zapakowaliśmy kubeczki. Do działu wracaliśmy w niezręcznej ciszy. Gdy doszliśmy do windy, Will zaczął mnie podpuszczać, czerpiąc wyraźną satysfakcję z mojego zakłopotania.

– Chcesz wiedzieć, na którym jesteś dzisiaj miejscu? Powiem ci, jeśli chcesz. To zupełnie wbrew zasadom, ale zrobię wyjątek.

- Nie, dziękuję. Nie chcę wiedzieć, bo mnie to nie obchodzi.
- Chcesz.
- Nieprawda.
- Oczywiście, że chcesz. To ci nie daje spokoju.

Staliśmy bez ruchu, gapiąc się na guziki windy zapalające się na każdym mijanym piętrze. Nie odpowiedziałam.

Kiedy byliśmy z powrotem, koledzy rzucili się na nas i szukali kubków ze swoim imieniem – jak zwykle. Mimo harmideru zdołałam jednak usłyszeć głos Reese’a.

– Mam nadzieję, że nie zapomniałaś o ciastku, kochanie!

Spojrzałam za siebie. Na końcu rzędu Reese ze słuchawkami na głowie stał w pozycji łapacza czekającego na piłkę. Wyjęłam pergaminową torebkę z ciachem i rzuciłam nim jak frisbee.

– Dzięki, Dziewczynko! – wybełkotał, ciamkając wypiek.

Po rozdaniu wszystkich zamówionych napojów zorientowałam się, że zapomniałam kupić sobie kawę. Nienawidziłam mojego życia w tamtym momencie. Will zmiął papierowe opakowania i wyrzucił je do kosza. Zauważył, że nic nie zostało dla mnie.

– Dlaczego nic sobie nie zamówiłaś? Przecież tu jest cholernie zimno!

Wyjęłam z torebki szalik Burberry i owinęłam go wokół szyi.

– Zapomniałam. Byłam zbyt zaabsorbowana cudzymi zamówieniami. Nie chciałam nikogo pominąć.

– Ależ ty jesteś roztrzępana.

Will zdjął przykrywkę ze swojego kubka i wlał połowę jego zawartości do pustej szklanki stojącej na biurku Drewa.

– Trzymaj – powiedział, wręczając mi parujący napój. – Założę się, że moja mocha z bitą śmietanką już nie brzmi dla ciebie zniewieściale, co?

Wzięłam łyk kawy i poczułam, jak wraca mi czucie w stopach.

– Dziękuję, dziękuję, dziękuję. Wybacz, że nabijałam się z twojej kawy.

– Nie ma za co. – Poklepał mnie po plecach i wrócił na swoje miejsce. Z daleka krzyknął jeszcze: – Hej, Al!

– Słucham?

Odwróciłam się na krześle, żeby go lepiej widzieć. Podniósł do góry dwa palce i się uśmiechnął. W odpowiedzi ja pokazałam mu środkowy palec.

– To twoja dzisiejsza pozycja w rankingu, koleś.

Zastanawiałam się, czy zwyciężczynią okazała się Baby Gap i jej kuse bluzeczki.

Usłyszałam śmiech Willa.

– Trafiłaś, Alex!

Następnego dnia Chick podszedł do mnie i zaczął obracać moje krzesło, podczas gdy ja na nim siedziałam.

– Słuchaj, mała. To, że masz już własne biurko, nie znaczy, że jesteś zwolniona z obowiązków dostawcy zamówień. Wciąż jesteś odpowiedzialna za pizze i shaki. – Rzucił na blat kilka zwiniętych dwudziestodolarówek. – Dzisiaj na lunch jemy sushi z lokalu naprzeciwko. Właśnie je zamówiłem. Będzie gotowe za dwadzieścia minut. Pójdź po nie.

– Nie ma sprawy, Chick. Jeszcze raz dziękuję za biurko.

– Nie ma za co. Nadszedł czas, żebyś miała własne stanowisko pracy. Teraz zacnie się

prawdziwa robota.

Zerknęłam w okno. Śnieg zaczął mocno sypać. Spojrzałam na moją parę nowych butów Manolo w jodelkę. Nie byłoby dobrym pomysłem, gdybym powiedziała Chickowi, że nie mogę odebrać jedzenia, bo nie chcę zamoczyć butów. Cholera.

Dwadzieścia minut później wyszłam na zewnątrz i przeszył mnie chłód. Na ulicy dwie taksówki próbowały wyjechać z zasy. Owinęłam głowę różowym szalem jak turbanem. Restauracja z sushi znajdowała się pół kilometra dalej, ale droga zajęła mi dziesięć minut. Wiatr smagał mnie po twarzy, a na rzesach i brwiach osadzały mi się mokre płatki śniegu. Zanim dotarłam na miejsce, byłam już zupełnie przemoczona, policzki miałam przemrożone i czerwone, a z nosa kapało mi jak z zepsutego kranu.

Niska Japonka pracująca w lokalu spojrzała na mnie ze współczuciem, gdy przekraczałam próg, próbując jednocześnie strzepać śnieg przyklejony do butów i strącić sopłe, w które zamieniły się moje kolczyki.

– Dzień dobry, mam do odebrania zamówienie pana Ciccone.

Kobieta wyjęła spod lady cztery reklamówki i powiedziała do mnie:

– Fatalna dziś pogoda, prawda?

– Tak. Jest zimno.

Zerknęła na moje stopy.

– Nie najlepszy pomysł, żeby chodzić bez skarpetek. Przeziębisz się pani!

Nie chciałam się z nią wdawać w dyskusje na temat wyrzeczeń kobiet dla piękna ani o tym, że wyglądałam po prostu jak kretynka, więc uśmiechnęłam się grzecznie.

– Wiem, wiem. Proszę mi wierzyć. Ile płacę?

– To będzie sto dziewięćdziesiąt sześć dolarów. Karta czy gotówka?

Wyjęłam rulon dwudziestodolarówek, zapłaciłam i schowałam do kieszeni resztę dla Chic-ka. Musiałam użyć ciężaru ciała, żeby otworzyć szklane drzwi przy takim wietrze.

W głównym przedsionku Cromwell leżał stos misternie zapakowanych sztucznych prezentów ułożonych z pietyzmem pod równie misternie przystrojoną choinką sięgającą do sufitu. Dywan wchłaniał całą wodę i chronił ludzi przed poślizgnięciem się na marmurowej posadzce. Trudno pomyśleć o bardziej niebezpiecznej nawierzchni. Powinnam była przejść po całej jego długości, ale spieszyłam się, żeby zdjąć ociekające buty i oddać pieniądze szefowi. Wiecie, co mówią o mądrości po fackie...

Ledwo weszłam do budynku, a już musiałam kombinować, jak ominąć tłum gromadzący się pod choinką, żeby ją podziwiać. Postanowiłam zejść z dywanu. To nie było zbyt błyskotliwe. Szłam wyprostowana w moich eleganckich butach i modnym szaliku, a sekundę później ślizgałam się jak na nartach wodnych. Obok nie było nic, czego mogłabym chwycić, żeby utrzymać równowagę. Nic – poza olbrzymią jodłą z mnóstwem szklanych ozdóbek. W panice porzuciłam torby z sushi i złapałam jedną z gałęzi, która niestety nie okazała się na tyle wytrzymała, żeby mnie udźwignąć. Czulałam, jak upadam, ale nie zamierzałam puszczać gałęzi, dlatego cała choinka wygięła się i naprężyła jak proca gotowa do wystrzału. Kiedy w końcu się poddałam i wypuściłam gałąź, całe drzewko wróciło do pozycji pionowej. Ale siła wahnięcia strąciła wiele bombek wiszących na koniuszkach gałęzi, a te z hukiem roztrzaskiwały się o marmurową posadzkę, rozbryzgując naokoło kolorowe szkiełka. Druga rzecz – leżałam rozplaszczona pod jodłą, twarzą w stercie prezentów. Fantastycznie.

Jakimś cudem lunchowi nic się nie stało. Torby z jedzeniem stały nietknięte. Ostatnią rzeczą, której chciałam w tamtej chwili, było tłumaczenie Chickowi, co się stało. Już nawet półanoniimowa kompromitacja w przedsionku była o niebo lepsza niż poniżenie przy kolegach z działu.

Zdołałam wygramolić się ze sterty pudeł i usiąść. Z pomocą przybiegło do mnie kilku mężczyzn, a ja ze wstydu byłam już cała rumiana. Podniosłam rękę i oznajmiłam:

– Nic mi się nie stało! Zupełnie! Wszystko w porządku, naprawdę.

Jednak panowie zignorowali moje zapewnienia: postanowili wypełnić misję ratunkową i ukoić ból niezdarnej panienki. Pięćdziesięciolatkiem uklękli, a potem postawili mnie na nogi.

– Jak się pani czuje? Nic sobie pani nie zrobiła? – pytali jeden przez drugiego.

– Nie, wszystko okej. Nic straszego, kilka lat terapii na pewno pomoże.

Jeden z mężczyzn, balansując na granicy przyzwoitości, wyjmował igły z górnej partii mojego płaszcza, inny przyniósł mi zagubiony w akcji but. Złapałam reklamówki z sushi, pomachałam wszystkim z przedsonka na do widzenia i dygnęłam w ramach podziękowania. Wszyscy gwizdali i bili mi brawo, a ja zaczęłam się z siebie śmiać. Ulżyło mi też, że nikt z moich znajomych nie widział tego spektakularnego upadku rodem z kreskówki. Pomyślałam, że jeśli nie pisnę słówka w moim biurze, to tak jakby incydent nigdy nie miał miejsca. Kto by mi udowodnił?

Postawiłam torby na biurku Chicka i wślizgnęłam się na swoje krzesło. Powtarzałam po cichu: „Oddychaj głęboko. Tylko spokojnie. Nikt nic nie widział. Mogło być gorzej”. Tempo bicia mojego serca zaczęło wracać do normy. Wtedy dostałam e-mail.

Wiadomość od: Patrick, Will

A –

Niezła gleba. Dałbym mocną ósemkę. Straciłaś trochę punktów przez rosyjskiego sędziego, któremu nie podobało się lądowanie. Przy okazji dziękuję, że zapewniłaś mi jeden z najśmieszniejszych widoków, jakie w życiu doświadczyłem. Przez lata będę przewijał sobie w głowie całą akcję.

PS Gratuluję, że udało ci się ocalić jedzenie. Jestem pod wrażeniem.

Cudownie, czyli jednak byli świadkowie... Bóg mnie nienawidzi.

Wiadomość od: Garrett, Alex

W –

Nigdy nie przepadałam za komunistami, więc możesz przekazać rosyjskiemu sędziemu, gdzie ma sobie wsadzić kartkę z oceną. Jedno pytanie: skoro widziałeś, że upadłam, dlaczego nie pospieszylesz mi z pomocą? Proszę o wiadomość zwrotną.

Musicie przyznać, że miałam rację. Kopciuszek nigdy by nie zaakceptowała takiego gównianego zachowania.

Wiadomość od: Patrick, Will

A –

A czego oczekiwałaś? Że przerzucę cię przez ramię jak Tarzan i zaniosę na górę? Jesteś dużą dziewczynką i wyraźnie widziałem, że nic ci się nie stało. Poza tym wątpię, że przyjąłabyś moją pomoc. Prawda czy fałsz?

PS Wyglądasz przeuroczo, kiedy jesteś zawstydzona.

Doprawdy?

Wiadomość od: Garrett, Alex

W –

Chyba się już nie przekonamy, a była szansa. Rozumiem, że widzimy się dzisiaj na imprezie?

Nie odpisał.

Ze wszystkich świątecznych przyjęć podobno każdy czekał najbardziej na to organizowane przez szefa wszystkich działów związanych ze stałym przychodem dla wszystkich pracowników

tych działów.

Rezerwował wtedy bar w Midtown. Słyszałam, że to najlepsza impreza w roku i jej uczestnicy zawsze doskonale się bawią.

Chciałam się o tym przekonać na własnej skórze.

Gdy na zegarze była 17.30, piętro stopniowo pustoszało. Przed Cromwell stały samochody, które miały nas zawieźć pod lokal.

Dopiero wtedy, gdy wysiadłam na rogu Dziewiątej Alei i Pięćdziesiątej Pierwszej ulicy, zrozumiałam, dlaczego to tak wyczekiwane wydarzenie przez moich kolegów z pracy. Zespół grał tak głośno, że było go słychać na chodniku. Panowie stali przed wejściem ubrani w tartanowe spodnie i krawaty z reniferami. Palili papierosy i rozmawiali.

W tłumie wypatrzyłam Drewa i Marchettiego trzymających kawałki pizzy.

– Hej, Alex! – przywitał się uśmiechnięty Drew, szykując rękę do przybicia ze mną piątki.

– Wesołych Świąt! – powiedziałam. – Jedzenie jest w środku czy powinnam była coś przegryźć przed przyjazdem tutaj?

Nie było mowy, żebym dała radę hulać całą noc z pustym żołądkiem. Oczywiście przetrzymałam dzięki tłuszczowi odłożonemu w udach, ale nie do końca o to chodziło.

– Nie, nie martw się. Przygotowali mnóstwo jedzenia. Marchetti po prostu chciał sobie zapewnić odpowiednie zaplecze, zanim zaczniemy łąć tequilę.

Marchetti złapał mnie za rękę i zaciągnął prosto do baru. Wszyscy byli radośni, częstowali się darmowymi piwami roznoszonymi przez kelnerki. Za każdym razem, gdy opróżniałam jedną butelkę, kolejna pojawiała się przede mną jak za sprawą magicznego zaklęcia. Parkiet był pełen ludzi skaczących i wywijających piruety.

– Hej, hej, Dziewczynko! – Reese i Marchetti dołączyli do mnie i Drewa przy barze.

Złapaliśmy za butelki i wznieśliśmy świąteczny toast.

– Hej, Reese! – odpowiedziałam wesoło. – Co tam słychać?

– Aaa, niewiele, dziecino.

Drew rozdał nam wszystkim whisky. Znowu stuknęliśmy się szklankami, wznosząc toast. Wypiłam pałacy w brzuchu trunek niemal jednym haustem, bo gdybym tego nie zrobiła – koledzy nigdy więcej nie zaprosiliby mnie do wspólnego imprezowania. Musiałam dotrzymywać im tempa.

Zamówili następną kolejkę, ale byli na tyle łaskawi, że pozwolili mi ją ominąć. Chick wypatrzył mnie z drugiego końca lokalu i pomachał, żebym podeszła, więc zostawiłam na chwilę chłopaków przy barze. I tak dyskutowali o wyborze wina do świątecznego obiadu.

– Siema, szefie. Jak leci?

Zaczęłam się stresować.

Byłam pewna, że przywołał mnie do siebie, ponieważ zrobiłam coś złego. Reprimenda na balandze wcale mi się nie uśmiechała...

– Ponieważ pod koniec roku wszystkie rozmowy dotyczą premii, chciałbym omówić twoją sytuację.

– Och. – Ulżyło mi, choć byłam też zaskoczona. – Ale podwyżki chyba mnie nie dotyczą.

W końcu nie przepracowałam w firmie nawet pełnego roku.

– Technicznie rzecz ujmując, to prawda. Sama firma nie da ci więcej pieniędzy za przepracowanie kilku miesięcy, ale to nie znaczy, że my nie możemy – mówiąc to, wyjął białą kopertę z wewnętrznej kieszeni marynarki. – Wesołych Świąt.

Otworzyłam ją i przez chwilę myślałam, że oczy wyjdą mi z orbit.

Byłam w stanie z siebie wydusić jedynie:

– O mój Boże.

– Chcę ci oszczędzić ran ciętych od liczenia papieru, więc zdradzę. W środku jest dziesięć patyków. Nasz team zrobił zrzutę. Ponieważ to gotówka, nie musisz się martwić o podatki.

– O mój Boże – powtórzyłam. Dziesięć tysięcy dolarów. Gotówką. – Chick, nie wiem, co powiedzieć. To jest niesamowite.

– Cóż, w takim razie to rozwali cię na łopatki. – Wręczył mi czek na kolejne dziesięć tysięcy dolarów. – To ode mnie. Zdałaś wszystkie egzaminy i zaimponowałaś mi determinacją. Nauczyłaś

się życia w dziale handlowym. Tak trzymaj, Alex. Przed tobą świetlana przyszłość w firmie. Dobra robota, dzieciaku.

– Czy to się dzieje naprawdę? Dwadzieścia tysięcy dolców?

– Gdyby wszystkich moich pracowników dało się tak łatwo zadowolić... Nikomu nie mów o tym prezencie. Nie chcę później plotek, że mięknę na stare lata. Właściwie to oddaj mi tę kasę. Przechowam ją. Dziewczyna nie powinna się sama włóczyć po Manhattanie z taką ilością pieniędzy. – Zachichotał z niemal ojcowską dumą.

– Nie pisnę słówka, obiecuję! – powiedziałam, przyciskając kopertę do piersi. Miałam nieodpartą pokusę, żeby go przytulić, jednak doszłam do wniosku, że nie byłby zadowolony. – Szczerze brak mi słów. Mam najlepszą pracę na świecie.

– Jedną z najlepszych, bez wątpienia. Posada przy Wall Street pewnie jest na podium tuż za profesjonalnym sportowcem i gwiazdą rocka. – Uścisnął mnie i odszedł.

Rozejrzałam się po tłumie. Will stał z przyjaciółmi za parkietem. Nasz wzrok na chwilę się spotkał, ale udałam, że go nie zauważyłam. Podeszłam do lustra przy barze pod pretekstem poprawienia fryzury. Widziałam też odbicie Willa, jednak wcale nie patrzył w moją stronę. Zerknęłam jeszcze raz w lustro – gapił się na rudą dziewczynę w czarnej sukience, która szła wzdłuż ściany przy parkiecie w towarzystwie dwóch pracowników działu od wysokiego uzysku. Dziwne, nigdy przedtem nie widziałam jej w biurze. Na piętrze jest nas garstka, więc na pewno bym ją zapamiętała.

– Dziewczyńko, przynieś mi trzy piwka, co? – Usłyszałam głos Reese'a.

Przytaknęłam i dałam znać kelnerce. Kiedy podeszłam z butelkami do Reese'a, powiedział:

– Widziałem, jak rozmawiasz z Chickiem. Dał ci już świąteczny prezent?

– Tak! Nie wiem, jak wam dziękować, chłopaki.

– Zasłużyłaś, kwiatuszku. Tylko nie wydaj wszystkiego naraz.

– Nawet bym nie wiedziała na co.

– Poczekaj parę lat, a na dwadzieścia patyków będziesz patrzyła jak na drobniaki.

– Niemożliwe, to pewnie nigdy się nie stanie – skwitowałam, mając jednak w duchu nadzieję, że słowa Reese'a się spełnią. – Co to za kobieta, tam, za parkietem? Nie poznaję jej.

Wziął potężny łyk piwa i obrócił się na piętach, żeby na nią zerknąć.

– Ach, ona. Nie znam imienia tej dziewczyny. Pracuje w bostońskim biurze, a do nas przyjeżdża na imprezy świąteczne i czasami inne wydarzenia. A co?

– Pytam z ciekawości – skłamałam.

Sprawdziłam, co robi Will – ciągle obserwował rudowłosą. „Dorośnij, Alex”, przywołałam się w duchu do porządku. Zaczynałam być zazdrosna. Nie mogłam tak stać i się na niego gapić. Jednocześnie nie chciałam dołączać do kolegów przy barze, bo znów kazaliby mi pić whisky. Zamiast tego przecisnęłam się przez tłum podpitych facetów i poszłam do toalety. W kolejce przede mną czekały trzy osoby. Dziesięć minut później wciąż nic się nie ruszyło, a za mną ustawiło się jeszcze ośmiu czy dziewięciu gości. Już miałam stamtąd wyjść i skorzystać z łazienki w sąsiadującej z lokalem pizzerii, gdy drzwi w końcu się otworzyły. Z toalety wyszła ruda kobieta z Bostonu. Kilka sekund później wyłonił się człowiek, z którym rozmawiała przy parkiecie. Kiedy szli, towarzyszyły im gwizdy, parsknięcia i chichoty czekających w kolejce. Ktoś nawet bez ogródek zaproponował jej, żeby wróciła za dziesięć minut. Szczeka mi opadła. Stałam zszokowana i tym samym złamałam żelazną zasadę kobiet z Cromwell – zawsze zachowuj kamienną twarz.

– Oho, Alex się zbulwersowała! – krzyknął facet z końca kolejki. – Zejdz na ziemię, Dziewczyńko. Kiedy ostatnio sprawdzałem, byli tu sami dorośli. – Zaśmiał się, szukając wzrokiem aprobaty wśród kolegów.

Głosem, który wyrażał brak szacunku do osoby starszej ode mnie, odparłam:

– Jesteś odrażający!

Z niewiadomych powodów łzy napłynęły mi do oczu.

– A ty co, Alex? Zazdrosna? Bo inne dziewczyny przykuwają uwagę, a ty nie? Nie zrozum mnie źle, dziecińko. Jesteś niezłą laską i w ogóle, ale niektóre progi są dla ciebie za wysokie. Rozumiesz? W niektórych wyścigach zwyczajnie nie bierzesz udziału. Przynajmniej teraz. Zapytaj mnie

później, jak wypiję jeszcze kilka browarów.

Mężczyzna, który się do mnie przyczepił, był na oko przed czterdziestką. Jego dłoń miała nieco bardziej różowy odcień niż jego twarz. Wyglądał jakby zaraz miał dostać zawału. Gdyby tak się stało, nie przejęłabym się za mocno.

– Może i tak. Ale pozwól, że coś ci powiem: gdybyśmy kiedykolwiek się ścigały, nie byłbyś godny stać za linią boczną i podziwiać, ty gruby pojebie – odpyskowałam mu.

Żałowałam tych słów już chwilę później. Ktoś z końca kolejki krzyknął:

– Jasna cholera, T.C.! Właśnie zostałeś wykastrowany!

Wszyscy ludzie stojący przed łazienką wybuchli śmiechem, ale T.C. nie był rozbawiony. Wybiegłam stamtąd, chwyciłam swój płaszcz wiszący na krześle i zaczęłam się kierować ku wyjściu. Drew wołał za mną, próbując mnie zatrzymać. Wiedziałam jednak, że jeśli zostanę, na pewno się rozplączę. Nie chciałam się dodatkowo kompromitować na oczach wszystkich. Na zewnątrz bezskutecznie próbowałam złapać taksówkę. Zapamiętajcie – prędzej porwie was UFO niż zatrzymacie taksówkę w grudniu, w centrum Manhattanu. Drew wyszedł z baru i zastał mnie opartą o zaparkowany samochód. Wycierałam rękawem łzy z przemrożonych policzków.

– Alex, zaczekaj. Ten koleś jest skończonym dupkiem. Nie pozwól, żeby zepsuł ci humor. Naprawdę się przejmujesz jego słowami?

– Nie mogę uwierzyć, że to powiedział! Do tej pory wychodziłam z założenia, że dojrzały mężczyźni nie umniejszają o połowę młodszym kobietom dla zabawy. Byłam też przekonana, że dojrzały mężczyźni nie bzykają się z koleżankami z pracy w publicznych toaletach. Co tu, do diabła, się wyprawia?

Drew oparł się o maskę auta obok mnie i schował ręce do kieszeni.

– Nie każdy taki jest. Niestety ci, którzy jednak tacy są, wcale nie starają się tego ukryć. Na milion porządnych facetów trafia się jakiś złamas. Problem w tym, że ten złamas zawsze chce być zauważony.

– Ten wieczór z najfajniejszego momentu mojego życia w dziesięć minut zamienił się w koszmar. Chcę wracać do domu.

Drew zaczął taksówkarza, który akurat wychodził z kawiarni po przeciwnej stronie ulicy. Trzymał otwarte drzwi, a ja wskoczyłam na tylne siedzenie.

– Wesołych Świąt, Alex. Wyśpij się porządnie. Jutro będzie lepiej, obiecuję ci.

Taksówka ruszyła w stronę West Side Highway.

Dyrektor działu nazwał mnie brzydką, a ja w rewanżu nazwałam go spasionym kutafonem. Cóż, jutro mogło być tylko gorzej.

VI Hotel Cromwell

Poszłam do pracy wcześniej, żeby wcześniej mieć to z głowy. Nigdy przedtem się tak nie bałam.

Usiadłam przy komputerze i znalazłam nieodczytaną wiadomość:
Wiadomość od: Patrick, Will

A –

Co, u licha, stało się wczoraj wieczorem? Wybiegłaś z baru jak poparzona. Wszystko gra? Krążyły plotki, że nieźle komuś przygadałaś.

Zastanawiałam się, co odpisać Willowi, gdy nagle wściekły Chick stanął za moim krzesłem i pociągnął mnie za włosy.

– Mój gabinet. Natychmiast – wycedził przez zęby i wyszedł.

To nie był dobry znak. W biurze tylko przyjmował nowych pracowników, robił podsumowania roczne, zwalniał ludzi i przeprowadzał prywatne rozmowy. Wzywał tam tylko w przypadkach, gdy temat był nieodpowiedni do poruszania go na forum całego działu.

Rozejrzałam się, czy ktoś zauważył, czy jestem w opałach, ale wszyscy byli zbyt pochłonięci pracą. Wszyscy z wyjątkiem Willa, który ze współczuciem wzruszył ramionami.

Od pierwszego dnia mojej przygody w Cromwell moja noga nie przekroczyła progu gabinetu Chicka. Stał tyłem do drzwi, patrząc przez okno. Usiadłam przy biurku i czekałam dobre trzy minuty, zanim cokolwiek powiedział. Ciągle stał odwrócony.

– Co ja ci, do cholery, mówiłem?

Chick mówił mi wiele rzeczy na przestrzeni ostatnich sześciu miesięcy. Nie miałam pojęcia, o którą konkretnie rzecz chodziło tym razem. Doszłam do wniosku, że lepiej milczeć, niż udzielić złej odpowiedzi.

– Powiedziałem – zaczął głośno. Zastanawiałam się, czy szkło okalające biuro jest dźwiękoszczelne. Ale po minach sekretarek siedzących za szklanymi ścianami można było łatwo wywnioskować, że nie są. – Co, do diabła, powiedziałem? Już pierwszego dnia radziłem, żebyś się zwolniła, jeśli nie dasz rady pracować w męskim towarzystwie. Co cię opętało, Alex. Jakie nieczyiste siły kazały ci nazwać Tima Collinsa grubym zębem? Za kogo ty się uważasz? Timmy Collins zarabia dla tej firmy pięćdziesiąt milionów dolarów rocznie. Ile ty zarabiasz, Alex? Hm? Odpowiedz. Jaki przychód zapewniłaś swojej grupie, odkąd tu pracujesz?

– Żaden, Chick. Zero. Nie mam klientów – wyszeptalam.

– Dokładnie, dziękuję. On nakręca pięćdziesiąt milionów, a ty masz szczęście, że w ogóle pozwalam ci odbierać telefony. Jednak ty – z pewnych powodów, których nigdy, przenigdy nie zrozumieć – pomyślałaś, że będzie okej nazwać jednego z najlepszych pracowników piętra handlowego tłustym durniem. Czy według ciebie ma to jakikolwiek sens? Zatrudniłem cię, bo myślałem, że jesteś inteligentną dziewczyną, Alex – nie popierdoloną feministką pragnącą coś koniecznie udowodnić. Jediną osobą, której masz cokolwiek udowadniać, jestem ja. A jedyna rzecz, jaką udowodniłaś mi minionego wieczoru, to, że najwyraźniej nie zależy ci na karierze. Podarowałem ci dwaście tysięcy dolarów w dowód uznania, a ty mi w taki sposób dziękujesz? Czy przez to wyróżnienie woda sodowa uderzyła ci do głowy? Myślisz, że nagle wszystko, co tłumaczyłem ci pierwszego dnia, przestało obowiązywać?

– Nie, Chick! Nie! Przepraszam! Poniosło mnie. Nie powinnam była. Powiedziałam, zanim pomyślałam. Co mogę zrobić, żeby to naprawić?

– Na początek powinnaś przeprosić Tima za brak szacunku. Jest starszy i bardziej doświad-

czony od ciebie, więc w każdym calu zasługuje na poważanie. Słyszysz mnie? Masz to zrobić osobiście od razu po wyjściu z mojego gabinetu. W przeciwnym razie zadbam, żebyś nie odebrała telefonu do końca swojej bardzo krótkiej kariery. Kapujesz?

Chyba sobie kpił.

– Naprawdę mam to zrobić osobiście? Przy jego biurku, na oczach wszystkich?

– To właśnie znaczy „osobiście”, Alex. Tak.

Czułam nieodpartą potrzebę wyjaśnienia, co dokładnie zaszło. Chick znał mnie na tyle dobrze, że wiedział, iż nie obraziłabym nikogo bez powodu. Chciałam, żeby stanął po mojej stronie.

– Chick, gdybyś znał całą historię, zobaczyłbyś, że moje zachowanie nie było takie bezpodstawne. On powiedział...

– Alex! – krzyknął i w końcu się odwrócił. Chociaż w tamtej chwili wołałam, kiedy stał do mnie plecami. – Nie obchodzi mnie, co do ciebie powiedział. Nie interesuje mnie to. Przepraszam go, bo ja tak mówię. I jeśli chcesz tu dalej pracować, zrobisz, co mówię. Nie mogę uwierzyć, że straciłem już dziesięć minut mojego dnia na załatwianie takiego gówna. To wszystko, co mam ci do przekazania. Masz pięć minut. – Podniósł telefon, a drugą ręką wskazał drzwi, więc ze spuszczoną głową wyszłam z jego biura.

Przewidywałam różne okoliczności, ale nie spodziewałam się, że kiedykolwiek będę się musiała kajać przed Timem Collinsem. Może i moje zachowanie było nie na miejscu, więc wypadało przeprosić. Jednak sama myśl o tej konfrontacji przyprawiała mnie o mdłości. Zapytałam kogoś, gdzie znajdzie Collinsa. Jego biurko było zlokalizowane na szarym końcu piętra. Serce waliło mi jak młot, kiedy podchodziłam. Akurat pożerał bajgla z masłem i zlizywał tłuszcz ściekający z jego palców. Gdy mnie zauważył, skrzyżował dłonie na piersiach.

– Przyszłaś błagać mnie o przebaczenie, żeby Chick nie skopał ci dupska?

Schowałam ręce za plecami, żeby nie widział moich zaciśniętych pięści.

– Yyy – zaczęłam dukać. – Przyszłam powiedzieć, że żałuję sposobu, w jaki się do ciebie odezwałam. Trochę mnie poniosło. Zapomnijmy o tym.

Chowanie dumy do kieszeni jest ciężkie.

Parsknął i szybko zwrócił się do mężczyzny siedzącego po sąsiedzku:

– Słyszałeś to, Sam? Ta spódniczka nazwała mnie wczoraj tłustym ścierwem, a dzisiaj chce „iść naprzód”.

– Daj jej spokój, T.C. Masz szczęście, że nie oskarżyła cię o molestowanie.

– No proszę cię.... Tylko się wygłupiałem. Ona wyolbrzymiła niewinny żarcik i zrobiła z igły widły.

„Żarty to chyba sobie teraz stroisz”, pomyślałam.

– Potraktowałam to zbyt poważnie. Może jestem przewrażliwiona. Przyjmij więc moje przeprosiny.

– Idź – nakazał. – Zapomnij o tym. I wyluzuj. Dobrze ci radzę. Bo nie dotrwasz tu nawet roku.

Wróciłam na swoje stanowisko. Marzyłam o wejściu pod prysznic.

Kiedy trochę ochłonęłam i sięgałam po notes, zauważyłam, że stoi na nim duży kubek z kawą ze Starbucksa. Był podpisany jako beztłuszczowa mocha.

– To ty mi kupiłeś? – zapytałam Drewa, wdzięczna za cichą oznakę wsparcia.

– Nie, dopiero skończyłem rozmowę konferencyjną.

Sprawdziłam skrzynkę e-mailową. Czekala w niej nowa wiadomość od Willa.

Wiadomość od: Patrick, Will

A –

Rano wyglądałaś tak, jakbyś potrzebowała pobudzenia. Mam nadzieję, że to trochę cię ożywi i rozweseli. Słyszałem o całym zajściu.

Collins to dupek, nie przejmuj się nim.

PS Jeśli kawa nie pomoże, to może drink któregoś razu. Dasz mi swój numer?

– W

Spędziłam ładnych parę minut nad komponowaniem odpowiedzi. Nie wiedziałam, jakich użyć słów, żeby wyrazić wdzięczność, nie brzmiąc jednocześnie na zbyt żądną spotkania i podeksytowaną. Trudno czasem oddać odpowiedni ton w e-mailu. Wiedział o tym każdy, kto był kiedyś w wirtualnym związku. Ostatecznie zdecydowałam się na minimalizm.

Wiadomość od: Garrett, Alex

W –

Chętnie. 203-555-5820

No i świetnie.

Drew podjechał na krzesło i zapytał:

– Bardzo było źle?

– W skali od jednego do dziesięciu – dziewięć. Chick kazał mi przeprosić. Musiałam tam podejść i powiedzieć, że mi przykro. Tak jakbym to ja zrobiła coś złego. Trochę straciłam nad sobą kontrolę, ale bez przesady...

– ALEX! – ryknął Chick, aż podskoczyłam w miejscu.

Jezu Chryste, co znowu?

– Tak, szefie? – zapytałam przestraszona.

– Goście od rynku kapitałowego nakręcają nowy interes. Do tego potrzebne im będzie zestawienie prezentacji dla klientów. Jesteś odpowiedzialna za ich przygotowanie. Na dzisiaj. Idź do działu rynków kapitałowych, popracuj z bankierami i wszystko poukładaj. Zajmie im pewnie kilka godzin, żeby wszystko wydrukować. Kiedy będą gotowe, zbierz prezentacje, posegreguj je, spakuj i naszykuj do wysłania. Jak następnym razem komuś odpyskujesz, będziesz pamiętać, co i jak.

– Dobrze.

– Ostatni odbiór przesyłek jest o północy. Nie obchodzi mnie, czy będziesz w siebie wlewać red bulle przez najbliższe siedem godzin, ale prezentacje mają być gotowe najpóźniej do północy. Jeszcze dzisiaj mają być wysłane. Kapujesz?

– Nie ma problemu – przytaknęłam.

Pobiegłam do wyznaczonego działu i zastałam grupkę mężczyzn stojących przed monitorem obok pustego stanowiska komputerowego.

– Cześć, jestem Alex – przedstawiłam się. – Chick kazał mi do was przyjść i pomóc dokończyć prezentacje.

Bankier o siwoczarnych włosach podał mi rękę i powiedział:

– Ach, Alex, świetnie! Dziękujemy! Potrzebujemy wsparcia. Akurat dzisiaj nie ma kolegi, który jest lepiej obeznany w PowerPointach niż my. Rozumiem, że potrafisz się poruszać w tym programie?

– Oczywiście, żaden problem.

Zalogowałam się na wolnym komputerze i otworzyłam plik.

Pewnie myślicie, że wydrukowanie paru prezentacji to bułka z masłem. Jednak gdy ma się do czynienia z grupą znerwicowanych bankierów o osobowości typu A, którzy nagle są zmuszeni do podejmowania szybkich decyzji i pójścia na kompromis – zadanie staje się nieporównywalnie trudniejsze.

– Zobaczmy, co my tu mamy...

Bankier Numer Jeden pochylił się nad moim ramieniem i zapatrzył się w ekran.

– Jaki rozmiar ma ta czcionka? Wygląda jak dla niedowidzących. Zmniejsz ją, Alex. Zmieniłam więc rozmiar z 14 na 12.

– Teraz napisy są za małe – skomentował inny. – I dlaczego używamy kwadratów zamiast prostokątów w diagramie sekwencji działań? Slajd jest prostokątny, więc i ramki powinny być kwadratowe.

Bankier Numer Dwa pochylił się nade mną i zaczął przesuwać konturem po slajdzie na wy-padek, gdybym potrzebowała szkolenia z podstawowych kształtów. Było od niego czuć stęchłą kawę, papierosy i Old Spice.

Kliknęłam wskaźnikiem myszy na róg kwadratu i przekształciłam go w prostokąt. Następnie wyśrodkowałam tekst.

– Lepiej? – zapytałam pełna nadziei.

Podrapał się powoli po głowie i zapatrzył zadumany w monitor.

Nagle wtrącił się Bankier Numer Trzy.

– Nie podoba mi się to. Dlaczego to jest czerwone? Czerwony przynosi pecha. Czerwony kojarzy się ze stratami, spadkami, z porażką. To negatywny kolor. A my mamy przekonać klientów, żeby kupili nasz produkt, i chcemy z nimi dobić targu. Czerwony kolor w prezentacji mógłby podprogowo wysyłać im złe sygnały. Zmień to.

Zmieniłam kolor z czerwonego na zielony, co uznałam za sensowne. Bo gdyby podążać za jego tokiem rozumowania, zielony okazałby się pozytywnym kolorem, kojarzonym z zyskiem, sukcesami i pieniędzmi. Bankier jednak z niezadowoleniem pokręcił głową.

– Co jest, kurwa? Alex, nie chcemy przecież kartki świątecznej! Zmień to na szary.

Szary. Przecież to oczywiste...

Pierwszemu bankierowi nie spodobało się rozmieszczenie ramek – najpierw były za daleko od siebie, potem za blisko. Narzekał też, że myśli w prezentacji nie są przekazane w lakoniczny sposób. Więc próbowałam kilka razy przeformułować nagłówek, podczas gdy bankierzy wahali się między „móc” a „chcieć”.

– Na samym dole strony powinny się znaleźć itałiki, żeby formułka była klarowna i dobrze widoczna. – Do akcji włączył się Bankier Numer Cztery.

– Kursywa wygląda zbyt... Jakiego powinienem użyć słowa? Amatorsko. Nie lepiej pogrubić?

„Aha, pochylona czcionka to przejaw amatorszczyzny, za to wytłuszczona emanuje profesjonalizmem. Czy ktoś to w ogóle będzie czytał?”, zastanawiałam się.

Bankier Numer Dwa zaprotestował.

– Pogrubienie sprawi, że nagłówek będzie punktem ogniskowym tej strony. Nie możemy pozwolić, żeby klauzula zrzeczenia się odpowiedzialności rozpraszała i odwracała uwagę od szkicu ryzyka, który jest przecież najważniejszy na slajdzie.

– Hm... – Bankier Numer Trzy kiwnął głową. – Chyba widzę, co masz na myśli.

„Panowie, jaja sobie robicie?”, chciałam zapytać.

– A może by tak podkreślić? – Bankier Numer Pięć zasugerował Bankierowi Numer Jeden, który drapał się po brodzie wydającej przy tym dźwięki jak papier ścierny.

Wzdrygnęłam się.

– Tak! To jest to! Świetna robota. – Klepali się po plecach w dowód uznania za niebywałą pomysłowość i propozycję oszałamiającego rozwiązania.

PODKREŚLENIE.

Kiedy wyobrażałam sobie tatę w pracy, nigdy nie przemknęło mi przez myśl, że mógłby się pół dnia zastanawiać nad czymś tak prozaicznym, jak kolor czcionki. Zastanawiałam się, czy w tamtym momencie wisi nad jakimś biednym analitykiem w Sterling i męczy go rysowaniem prostokątów. Miałam szczerą nadzieję, że jednak nie.

– Teraz, co do tych ramek... – zaczął Bankier Numer Jeden.

Wyrównaj do prawej, wyjustuj. A może prostokąty w kolumnie na samym środku wyglądałyby bardziej seksi? Zrób tak, żeby kształty były trójwymiarowe. Dodaj cieniowanie od jasnoszarego do ciemnoszarego. Poprawka – zmień cieniowanie od ciemnego do jasnego. Strzałki nie są tej samej długości. Albo grubości. Za dużo tu strzałek. Nie, jednak za mało. Interlinia się nie zgadza, numery stron za bardzo się odznaczają. Powinniśmy użyć Times New Roman (klasycznie i nie-

zawodnie) czy lepiej Arial (modnie i nowocześnie)?

I tak dalej, i tak dalej...

Piętnaście minut później bankierzy doszli do konsensusu w sprawie pierwszego slajdu. Siedziałam na krześle jak garbus, bolały mnie już mięśnie całych pleców. Próbowalam przywrócić kręgosłupowi pionowe położenie, ściągając łopatki i wyginając się do tyłu, ale w efekcie wyglądałam jak prężąca się gwiazda porno. Zauważyłam, że jeden z mężczyzn uniósł brwi, z zainteresowaniem przyglądając się mojemu wypiętemu biustowi, dlatego postanowiłam wrócić do pierwotnej pozycji. „Trudno – pomyślałam – najwyżej czeka mnie fach dzwonnika z Notre Dame”.

– Dobrze, słuchajcie – przemówiłam, udając, że nie zwróciłam uwagi na ich rozbiegane oczy. – Możemy już przejść do kolejnego slajdu?

Łypnęłam na dół monitora. Strona 2 z 46. Och, świetnie.

Mijały godziny, a my nie robiliśmy większych postępów. Na zegarku była dopiero 14.30. Bez wątplenia bankierzy pracowali po nocach. To gorzka zapłata za obsesję na punkcie najdrobniejszych szczegółów.

– Nie mamy przypadkiem nowego szablonu prezentacji firmy? – zapytał Bankier Numer Jeden. – Takiego, że logo jest z prawej strony na górze, a nie z lewej na dole?

– Tak, ale wcale nie musimy go używać.

„Błagam, nie mów tego. Błagam, nie mów tego. Błagam, nieee!”.

– Uważam, że powinniśmy skorzystać z nowego formatu. Ten jest przestarzały! Ustaw takie parametry, jak na tych dwóch stronach, które już poprawiliśmy. Skopiuj je i wklej.

– Nie mogę tak po prostu skopiować i wkleić ich do nowego programu, bo nie są kompatybilne. Muszę zacząć od nowa.

– Więc wydrukuj je, tak jak są. Dołączysz je później do paczki kuriera, nie możemy teraz tracić na nie czasu. Jeden komplet zamów dla Chicka, żeby to była pierwsza rzecz, którą ujrzy na swoim biurku w poniedziałek. Poproś też o wysyłkę paczki na mój adres w Connecticut, żebym mógł przejrzeć slajdy w weekend. Dzięki wielkie za pomoc.

– Nie ma sprawy – wymamrotałam pod nosem, kiedy bankierzy odchodzili od mojego biurka.

Zdjęłam buty, zakasałam rękawy i wzięłam się do pracy. Byłam przygotowana na spędzenie całego wieczoru nad jakimiś nudnymi slajdami.

O 17.30 wysłałam zamówienie do drukarza. Na realizację miałam czekać około dwóch godzin. Siedziałam samotnie przy stanowisku i czytałam newsy dla ekonomistów. Światła na całym piętrze powoli gasły, a ja starałam się w produktywny sposób wykorzystać ciszę, zanim zacznie się manualna część mojej karnej zmiany. O 19 zadzwonił mój telefon komórkowy.

– Cześć, gdzie jesteś? – zapytała Liv.

W tle było słychać śmiech i muzykę.

– W pracy. Nienawidzę świata. Przyjdiesz tu do mnie i włożysz mi ołówek w oko, żeby wybawić mnie z opresji?

– Co ty, do diabła, jeszcze robisz w robocie? Jest siódma wieczorem.

– Redaguję prezentacje. Zjechałam sprawę i Chick wymyślił mi karę. Pogadamy, kiedy wrócę do domu.

– Schrzaniłaś coś? Co się stało?

– To długa i straszna historia. Opowiem ci w domu.

– Poczekam na ciebie. Jak myślisz, długo tam jeszcze posiedzisz?

– Nie mam co do tego pewności. Jeszcze trochę mi to zajmie. Muszę przygotować przesyłki.

– Twoja praca ssie.

– Tak, jestem tego świadoma. Muszę lecieć. Prezentacje niedługo będą gotowe, muszę je odebrać z drukarni. A to pochłonie mi sporo czasu, zanim zataszczę je wszystkie na dół.

– Spoko, Hulku Hoganie. Widzimy się później!

Zdławiłam łzy. To do mnie niepodobne, żebym mazała się z byle powodu. Nie jestem beksą, dlatego fakt, że szklily mi się oczy już drugi raz w ciągu doby, nieco mnie zaskoczył. Jeszcze wczoraj ta praca była wszystkim, czego pragnęłam. Dzisiaj... Cóż, dzisiaj chciałam po prostu wyjść

z tego cholernego budynku. Tyle.

– Zamówienie dla pana Ciccone – powiedziałam o 19.30 w punkcie odbioru druków.

Minęło zaledwie pół godziny od rozmowy z Liv, a ja czułam, jakby upłynęło ich dwanaście.

– Mhm – zaszcebiotała kobieta przy okienku, wskazując na stertę kartonowych pudeł. – To wszystko pani.

– Żartuje pani.

– Nie żartuję. Łącznie czterysta kompletów. Czy ma pani kogoś do pomocy?

– Nie... – westchnęłam. – Niestety nie.

Spojrzałam na moje skórzane szpilki. Kolejny raz założyłam najbardziej nieodpowiednie obuwie z możliwych. Moje życie było do dupy.

Złapałam pierwsze pudło, uginając się pod nim jak ciężarowiec, i powoli kroczyłam w stronę pokoju przesyłek. Dotarłam do niego dziesięć minut i litr potu później. Rzuciłam karton na ziemię i wróciłam do punktu drukarskiego po kolejny. Uwinęłam się ze wszystkimi mniej więcej w godzinę. Przez ten czas zdążyłam również nadwyrężyć sobie mięśnie, a włosy przykleiły mi się do szyi. „Pierdol się, Chick”, złorzeczyłam w duchu, bezceremonialnie upuszczając ostatni karton na ziemię. „Z jakiej racji ja się babrzę w takim gównie?”

Na długim, metalowym stole stojącym na środku pokoju ułożyłam rząd materiałów, którymi miałam zamiar kolejno wypełniać koperty. To była moja mała taśma produkcyjna. Na jednym końcu znajdowały się stosy wydrukowanych prezentacji – po dziesięć kompletów na każdą kupkę. Obok ułożyłam koperty kurierskie, otwartą stroną do mnie, żebym mogła od razu wsuwać do nich papiery. Na koniec naklejałam na wierzch etykiety – wszystkie strasznie krzywo, ale nie przypomniałam sobie, żeby ktoś dawał mi dodatkowe punkty za przygotowanie wyglądających ładnie wysyłek. To nie były prezenty. W pomieszczeniu pocztowym spędziłam bite cztery godziny. Moja samotna, mnisia robota skończyła się o 23.30. Miałam pół godziny na realizację zadania, w końcu o północy miał przyjść ostatni kurier. Zaczęłam panikować.

Zadzwoiłam do naszego głównego punktu kurierskiego, który znajdował się na niskim parterze, żeby ktoś przyszedł po paczki, a sama pobiegłam do działu w celu zostawienia jednego pakietu na biurku Chicka. Biegając do windy, usłyszałam chichoty i śpiew dobiegające z sali konferencyjnej. Dziwne. Mogłabym przysiąc, że byłam jedyną osobą przebywającą na piętrze. W przekonaniu, że nie jestem osamotniona, utwierdził mnie piskliwy głos Fergie, która śpiewała akurat coś sprośnego o biuście i biodrach. Co tu się...?

Kiedy weszłam do sali, zamurowało mnie. Po podłodze wały się nadmuchane materace, a wokół nich tańczyło sześć obcych, pijanych dziewczyn sączących wino z plastikowych kubków, które ukradły ze stoiska z kawą. Wydawały się niewzruszone moją obecnością.

Żadna, z wyjątkiem szefowej tego gangu – Baby Gap, nawet mnie nie zauważyła.

Gdy otworzyłam drzwi, blondyna akurat kicała po stole w białej piżamie i różowych, puchatych kapciach w kształcie króliczków.

– Co ty wyprawiasz? – zapytałam przerażona.

– Cześć, Alex! Przyjechało do mnie kilka koleżanek z miasta, ale moje mieszkanie jest za małe, żeby je przenocować. Dlatego wpadłam na pomysł, żeby przenieść się do Hotelu Cromwell. Nieźle, co?

– Czy ty do reszty oszalałaś? Nie możesz urządzać piżama party w biurze! Gdzie to kupiłaś?

– zapytałam, mając na myśli butelki wina i wódki ustawione na podłodze.

– Trzymałam je w szafce na dokumenty za biurkiem Keitha.

– Zamieniłaś szafkę na dokumenty w barek?

– Mhm, ale mam tam jeszcze kilka osobistych rzeczy. Na przykład suszarkę, korkociąg, przekąski, ubrania na zmianę i kryjówkę na iPod!

– Hannah, nie możecie tu spać. Co będzie, jeśli ktoś was przyłapie?

– Jest piątek, wszyscy już poszli.

– Ja tu jestem. Ciągłe jeszcze pracuję.

– W takim razie powinnaś do nas dołączyć!

– Nie. W zasadzie to nie mów nikomu, że was widziałam. Nie mówi nikomu, że tu byłam.

Nie mówi nikomu, że mnie znasz.

– Jasne, Alex! Nie ma sprawy! Ale pamiętaj, że jesteś tu mile widziana, gdyby zachciało ci się drinka. A jak zdecydujesz się zostać na noc, to mam nawet zapasową szczoteczkę do zębów w szafce.

Opuściłam pokój bez słowa. Słyszałam jeszcze, jak Baby Gap pyta pozostałe lalunie:

– Eeej, dziewczyny! Która chce zagrać w alko-grę?

Pędem pobiegłam do przedsiionka, zastanawiając się, czy Hannah dostałaby pracę, gdyby kupowała ciuchy dla dorosłych. Zamówiłam transport u dyspozytora, a kiedy przyjechał czarny samochód, wtoczyłam swoje wyczerpane ciało na tylne siedzenie i zaszlochałam ze zmęczenia. Godzina 23.45 w piątek oznaczała, że mogę za darmo wrócić wezwanym autem do domu. Taka łaska od Cromwell.

Jak miło z ich strony.

VII Sake

Gdybym mogła wziąć urlop, zrobiłabym to w nadchodzącym tygodniu. Niestety wciąż byłam za nowa, dlatego między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem musiałam ślęczeć w biurze i cierpieć wśród martwoty na rynku. W Wigilię udało mi się pojechać do domu, ale następnego wieczoru złapałam pociąg powrotny do Nowego Jorku. Dwudziestego szóstego grudnia okazał się zwykłym dniem pracującym.

Cieszyłam się, że zmienię kalendarz. Styczeń oznaczał dobry start – początek kolejnego, owocnego roku działów handlowych. Wszyscy są wtedy wypoczęci, mają niespożyte pokłady energii i zapał do pracy. Ja opadałam z sił, ale byłam skłonna harować nawet ciężiej, byle tylko odzyskać szacunek Chicka. Przejrzałam wszystkie jego modele – skomplikowane arkusze zawierające obligacje i instrumenty pochodne, którymi handlowaliśmy w ciągu roku. Opisywały kroki podejmowane przez klientów Chicka, żeby mógł śledzić ich poczynania. Przesiadywałam do późna, aktualizując arkusze i czytając książki pożyczone od Cruelli. Nie miałam zamiaru dopuścić, żeby T.C. zakłócił moją karierę i sprawił, że zwątpię w swoje umiejętności. Byłam twarda i nie pozwoliłabym nikomu wybić siebie z rytmu.

– Dziewczynko, cokolwiek planowałaś na dzisiejszy wieczór, odwołaj to – zażądał Chick któregoś zimnego, styczniowego czwartku.

– W porządku, szefie. Czego potrzebujesz?

To był czwartek i tym razem miałam nadzieję, że mi się upiecze i będę mogła opuścić biuro o normalnej porze, a nie zostać po godzinach i ślęczeć nad czymś bezsensownym. Chick przekrzywił głowę i przez chwilę patrzył na mnie, jakby zastanawiał się, czy rzeczywiście chce się odzywać.

– W końcu usłyszałem prawdziwą wersję historii z imprezy świątecznej.

Z trudem przełknęłam ślinę. Proszę, tylko nie to...

– Tak, powiedziałam to, co myślałam. Przykro mi z powodu całego zajścia.

– Już to przerabialiśmy. Oczywiście, niepotrzebnie się unosiłaś. Jednak – z tego, co wiem – jego też nieźle poniosło.

Zatkało mnie. Czyżby Chick mnie przeproszał?

– Dzisiaj zapraszamy klientów na kolację w Buddha Barze. Idziesz z nami. Spotkasz wielu bardzo ważnych ludzi. Uczesz się, zanim wyjdziemy. Nie spieprz sprawy. Kapujesz?

– Wow, Chick! To wiele dla mnie znaczy. Dzięki!

Chick nie zaproponował mi wspólnego wyjścia, odkąd pracowałam w Cromwell.

Koledzy z działu ciągle zabawiali klientów i rozpieszczali ich biletami na mecze NBA, kiedy grali Knicksi, zabierali ich na stadion Yankesów i wspólnie podziwiali zmagania Rangersów na lodowisku. Zawsze dostawali najlepsze miejscówki. To samo tyczyło się koncertów. Poza tym chodzili do najfajniejszych amerykańskich i europejskich klubów golfowych, latali powędkować na Karaibach, stołowali się w najbardziej ekskluzywnych restauracjach... Nie mogłam uwierzyć, że szef wreszcie zaprosił mnie na jedno z takich wyjść. Ucieszyłam się, wróciły mi siły. Jednym gestem Chick sprawił, że odzyskałam pewność siebie.

– Jeszcze jedna rzecz, moja niewolnico.

„Oho, teraz czas na haczyk. Pewnie mi powie, że mam usiąść obok Collinsa i się przymiłać”, biłam się z myślami.

Chick wręczył mi dwa bilety.

– W najbliższy weekend miałem iść na występ U2, ale rozchorowało mi się dziecko, więc nie dam rady. Masz, zrób z nich pożytek.

Bilety na koncert U2? Bałam się, że szef stroi sobie ze mnie żarty. Stałam bez ruchu i gapiłam się na niego. Czekałam, aż wyrwie mi je z ręki i będzie się śmiać, że kolejny raz dałam się nabrać i jestem naiwna.

- Co się dzieje? Nie lubisz tego zespołu?
- No co ty?! Kocham ich! Naprawdę chcesz mi podarować te bilety?
- Jasne. Miejsca w pierwszej strefie. Pozdrów ode mnie Bono.
- Doprawdy nie wiem, jak mam ci dziękować.
- Baw się dobrze.
- Och, na pewno będę!

Liv prawie padła z wrażenia, kiedy jej powiedziałam, że będziemy szaleć z Bono i Edge'em w Madison Square Garden. Przez resztę dnia nie mogłam się skupić. Postanowiłam wysłać Willowi e-maila.

Wiadomość od: Garrett, Alex

W –

Chick właśnie zaprosił mnie na kolację z klientami w Buddha Barze wieczorem. Jeśli będziesz w centrum, może po spotkaniu umówilibyśmy się na drinka?

– A

Normalnie nie poprosiłabym chłopaka, żeby do mnie zadzwonił, ale ponieważ podałam mu swój numer trzy tygodnie wcześniej, a on jeszcze tego nie wykorzystał – co mi szkodziło?

Gapiałam się na skrzynkę wiadomości przychodzących przez kolejne dwadzieścia minut, ale Will nie odpisał. Wyciągnęłam szyję, żeby sprawdzić, czy siedzi przy swoim biurku. Siedział, podrzucając piłkę tenisową.

Resztę dnia spędziłam nad arkuszem Chicka. Prosił mnie, żebym skończyła opracowanie modelu do końca tygodnia, ale w dowód wdzięczności chciałam się z tym uporać jeszcze tamtego dnia, przed naszym wyjściem. O 17 wparowałam do damskiej toalety i wysypałam na ławkę zawartość mojej kosmetyczki. Przetarłam okolice oczu wacikiem nasączonym płynem do demakijażu, żeby zmyć rozmazane ślady mascary. Pomalowałam usta błyszczkiem, przeczesalam włosy i rzucałam okiem na swoje odbicie – wyglądałam nieźle. Nie było śladu po świątecznym stresie. Kiedy zbierałam się do wyjścia, do łazienki wpadła Cruella.

– Ojej, kto jest taki śliczny? Nie wiedziałam, że twoja twarz w pełnym makijażu pomaga sprzedawać obligacje.

Miałam bardzo nikły kontakt z Cruellą od czasu naszego pierwszego spotkania, a mimo to za każdym razem, gdy przyszło mi się z nią zetknąć, jej słowa w jakimś stopniu mnie obrażały. Po incydencie z T.C. postanowiłam jednak nie zadzierać z Oprawcą Szczeniaczków. Zazwyczaj udawałam nieświadomą, że robi sobie ze mnie jaja.

– Chick zabiera mnie dzisiaj na kolację z klientami – powiedziałam z wymuszonym uśmiechem.

Cruella zaśmiała się szyderczo.

– Pozwól mi zgadnąć... Rick tam będzie. Z jakiego innego powodu Chick ciągnąłby ze sobą analityczkę, która gównem wie o giełdzie? Nie sądzę, żebyś wniosła cokolwiek do rozmowy.

Stałam oniemiała. Zastanawiałam się, dlaczego ta kobieta zawsze musi się zachowywać jak najgorsza suka.

– Ja... cóż, ja... on... – dukałam.

„Brawo, Alex. W ten właśnie sposób udowodniłaś jej, że nie jesteś kretynką”, skarciłam się w myśli.

– Wiesz, kiedyś byłam taka jak ty. Myślałam, że wszyscy są dla mnie mili, bo jestem taka bystra, i mnie szanowali. Mam nadzieję, że zmądrzejesz, dziecińco. Dla twojego dobra radzę ci dorosnąć. Naprawdę ci tego życzę – dodała i zniknęła w jednej z kabin.

Była taka jak ja... A jeśli to prawda?

Nie mogłam się zamartwiać z tego powodu. Możliwość, że byłam z tą okrutną kobietą na kursie kolizyjnym, to zbyt wielki ciężar do udźwignięcia. Gdy wróciłam do swojego stanowiska,

zastałam Chicka wybierającego krawat spośród dziesięciu, które trzymał w szafce specjalnie na spotkania biznesowe. Zagwizdał z podziwem, kiedy przeszłam obok niego. Uśmiechnęłam się. Ledwo usiadłam, a Chick strzyknął palcami, założył blezer i ruszył w stronę drzwi. Rzutem na taśmę sprawdziłam e-mail, ale wciąż nie dotarła odpowiedź od Willa.

Żałowałam, że w Cromwell analitycy nie dostawali służbowych BlackBerry, żeby móc zaglądać do skrzynki nawet w trakcie kolacji. Trudno. „Będą jeszcze inne okazje”, pocieszałam się w duchu, krocząc za szefem. Może i lepiej, że tak wyszło. Mogłam się bardziej skupić na robieniu dobrego wrażenia.

Na parkingu czekał na nas ciemny sedan. Ktoś błysnął światłami i machnął do nas przez uchylone okno. Chick otworzył mi drzwi. Kiedy zorientowałam się, kto siedzi z przodu, prawie się udławiłam. Will rozmawiał z kierowcą o korkach i bawił się pokrętłami w radiu... W końcu ustawił stację, w której leciał jakiś przebój z lat osiemdziesiątych. Po chwili odwrócił się, żeby pogadać z Chickiem.

– Hej, Chicky! Przypominają ci się przy tym studenckie czasy? W latach osiemdziesiątych musiało być super na uczelni. Dziewczyny z natapirowanymi włosami, panowie z fryzurami na czeskiego piłkarza. Pewnie miałeś na głowie niezłą płetwę!

– Żebyś wiedział, Willy. Ale ty nie wytrwałbyś z nami w Penn State nawet dziesięciu minut. Nie byłbyś nawet godzin, żeby nosić nam wodę. Założę się, że byłeś gościem na Whartonie, ale uwierz mi, nie dorastałbyś nam do pięt.

– Słyszałem, że panie gustowały wtedy w niskich mężczyznach.

– Kurwa, mam ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, jeśli stanę na swoim portfelu! To właśnie kręci kobiety. Jeśli będziesz się ze mną droczył, to nie będzie cię stać nawet na randkę w Maku. Kapujesz?

Czekałam na moment, aż się zorientują, że nie są w samochodzie sami. Will nawet się nie przywitał. Wiedziałałam, że odczytał moją wiadomość, bo ustawiłam opcję raportowania. Wiem, że to trochę słabe, ale czasem można zwariować, ciągle się zastanawiając, czy wiadomość dotarła. Minęły dwa miesiące od naszego spotkania w barze sportowym. W biurze trochę flirtowaliśmy (nie na tyle mocno, żeby Chick wykrył coś swoim radarem), więc dziwiłam się, że jeszcze nie doszło do kolejnego prywatnego spotkania. Tym bardziej dziwiło mnie, że siedzieliśmy w jednym aucie, a on nie odezwał się do mnie ani słowem. Nie miałam pojęcia, co Will chciał udowodnić, całkowicie mnie ignorując. Jeśli za cel obrał sobie doprowadzenie mnie do szału, to był na dobrej drodze.

Oświetlenie w Buddha Barze było nieco stłumione, tak jak większość najmodniejszych restauracji w Nowym Jorku: świeczki stały na stołach i bankietach, ściany pomalowano na głęboki rubinowy odcień. Wszyscy pracownicy byli szczupli, wysportowani i ubrani na czarno. Wyraźnie zabijali czas przed dłuższą przerwą. Jak większość restauracji z dzielnicy Meatpacking, kiedy przybyliśmy na miejsce, Buddha Bar był już pełen klientów w postaci bankierów, prawników i maklerów. Wszyscy pili drinki i wzajemnie się przekrzykiwali.

Przy barze dołączyliśmy do grupy mężczyzn pijących piwo i whisky. Mieli od trzydziestu do czterdziestu lat, byli nienagannie ubrani i bardzo zadbani. Gdy zobaczyli, że zmierzamy w ich stronę, powiedzieli jednocześnie: „Chiiiickyyyyy”, wznosząc szklanki w powietrze na znak toastu. Chick przywitał się z każdym z nich i złożył zamówienie u ładnej blond kelnerki. Nikt się do mnie nie odezwał. Mężczyźni patrzyli tylko na mnie jak na fistaszka w zagrodzie słonia w zoo. Dwie minuty później Will i Chick pili whisky, a jak stałam w rogu zignorowana zarówno przez nich, jak i kelnerkę. W końcu jeden ze starszych mężczyzn zwrócił na mnie uwagę. Miał na sobie granatową marynarkę i białą koszulę (tylko rozpiął za dużo guzików). Najwyraźniej wydawało mu się, że niezły z niego ogier.

– Chyba nie przyszłaś tutaj za Chickiem z ulicy. Byłaś umówiona, prawda?

Kiwnęłam głową i się uśmiechnęłam.

– Jestem Rick Kieriakis – przedstawił się i podał mi rękę.

Chick to usłyszał i nagle się ocknął.

– Och, przepraszam, Ricky. To jest Alex Garrett, nasza analityczka. Współpracuje z nami pół roku. Skoro już nawiązaliście kontakt, przedstawię pozostałych.

Chick od niechcenia rzucał imionami i nazwiskami, jakby czytał listę zakupów. Wyciągałam rękę na powitanie i starałam się zapamiętać, kto jest kim. Na pewno byli tam Kevin, Brian, Sal, Nate, Skip, Petey i oczywiście Rick. Zachowywali się głośno, mieli porządne ciuchy i chyba sami sobie imponowali. Ludzi z Wall Street da się rozpoznać na odległość. Jednym z negatywnych skutków pracy w dziale handlowym było przyzwyczajenie do mówienia głośno – utrata „wewnętrznego głosu”. Wszystkim, którzy na co dzień nie mają do czynienia z ludźmi związanymi z giełdą, ten nawyk mógłby się wydać wstrętny.

– Więc jesteś nowa w Cromwell? – zapytał Rick.

Zdjął zbłąkaną granatową nitkę ze swojej idealnie wyprasowanej, śnieżnobiałej koszuli i poprawił srebrne spinki do mankietów. Kilka kobiet ciągle się w niego wpatrywało, bo coś już wiedziały. Jego idealna postura, marynarka skrojona na miarę i natura dumnego pawia mówiły za niego: „Jestem bogaty”.

– Tak, przyszedłam od razu po studiach. Zaczęłam pracę w lipcu. Przepraszam, Chick nie wspomniał, gdzie pan pracuje.

– Niegrzeczne jak na sprzedawcę obligacji, prawda? – Zaśmiał się. – Zarządzam portfelem w AKS.

Cholera. AKS to przecież jedna z największych i najbardziej szanowanych instytucji Wall Street. Właśnie rozmawiałam z Bogiem Obligacji – przynajmniej za takiego postrzegali go ludzie z branży. Nagle poczułam się zakłopotana i niepewna siebie. Chick mógł mnie ostrzec, że przyjdzie mi się zetknąć z kimś, przed kim niemal wszyscy z Wall Street biją pokłony. Kurwa...

Rick zdawał się wyczuć mój lęk.

– Należysz do porządnej załogi – kontynuował jowialnie. – Chick jest absolutnym mistrzem. Nie mogłaś sobie wymarzyć lepszego szefa.

– Tak, miałam wiele szczęścia. Jak długo udziela się pan w AKS?

„Brawo, Alex. Nie mogłaś nic lepszego wymyślić? Oszczędź sobie i idź się zabić”, strofo-
wałam się w duchu.

– Ponad piętnaście lat. Zaczęłam karierę w Chicago dawno temu. Potem wróciłem na uniwersytet ekonomiczny w Chicago. Gdy skończyłem studia, przenieśliśmy się do Nowego Jorku i pracowałem w funduszach zabezpieczających. Robiłem mniej więcej to, co ty teraz. Następnie zająłem się własnym portfelem w AKS. Ciesz się swoim zajęciem, Alex, i korzystaj z życia, dopóki możesz. Zanim się obejrzyś, będziesz miała czterdzieści lat, męża, dzieci i dom na przedmieściach – jak ja.

Od kiedy to zła rzecz? Ciekawe, czy miał przed swoją willą hamak.

– Brzmi wspaniale! – Chciałam się trochę podliznąć Rickowi. Wiedziałam, że jeśli nie zrobię dobrego wrażenia przed klientami Chicka, będę się mogła pożegnać z zaproszeniem na kolejne spotkanie. Uznałam, że polectanie jego ego to dobra zagrywka. – Mam nadzieję, że w przyszłości osiągnę podobny sukces – dodałam niewinnie. – Czy służy pan jakąś radą młodej osobie zaczynającej swoją karierę w branży? Chick jest wspaniałym mentorem, ale chciałabym poznać również perspektywę klienta.

– Cóż, istnieje wiele sposobów, żeby znaleźć się na szczycie. Sądzę, że zależy to w głównej mierze od tego, jak ciężko jesteś gotowa pracować.

Rick wyciągnął rękę w stronę mojego srebrnego naszyjnika i zaczął obracać w palcach niebieski wisiołek z topazu, który dostałam od rodziców na dwudzieste pierwsze urodziny.

– Piękna biżuteria. Piękna dziewczyna.

Fuj.

– Dziękuję – wybąkałam.

Rick puścił zawieszkę i delikatnie musnął dłonią mój obojczyk. Było mi się niedobrze z nerwów. Zrobiłam krok w tył, żeby mieć trochę więcej intymnej przestrzeni, i odchrząknęłam. Ten facet był żonaty i wypił już sześć drinków. Czy to możliwe, że nie zdawał sobie sprawy, jak odrażająco się zachowuje? A może po prostu próbował być miły dla nowo poznanej dziewczyny? Myśli kotłowały się w mojej głowie i starałam się utwierdzić siebie w przekonaniu, że nie byłam na tym spotkaniu przynętą. Cruella nie mogła mieć racji.

– Wiesz, po spotkaniu idziemy się napić do Gansevoort. Mam tam pokój – powiedział.

Może najzwyczajniej w świecie był dupkiem i prostakiem?

Rick znów się zbliżył i zaczął masować moje prawe ramię swoją wielką łapą. Cofnęłam się i zaczęłam rozglądać za Chickiem albo Willem. Szef stał otoczony klientami i rozprawiał o jakiejś przygodzie na polu golfowym. Wywijał wyimaginowanym kijem, a wszyscy dookoła się śmiali. Willa nie było w pobliżu. Cóż, najwyraźniej nikt nie był gotowy pospieszyć mi z pomocą, ale ja nie chciałam znów popełnić głupiego błędu i ryzykować utratą posady. Przypomniałam sobie złotą myśl Reese'a: „W tej branży trzeba udawać, że lubi się ludzi, których się nie znosi”. Łatwizna.

– Dziękuję panu, ale jutro muszę być w pracy wczesnym rankiem, dlatego od razu po kolacji wracam do domu.

To jedyny dyplomatyczny argument, który przyszedł mi do głowy. Zanim Rick zdążył odpowiedzieć, Chick zaprosił nas do stołu. Kiedy wszyscy panowie zajęli miejsca, zorientowałam się, że jedyne wolne krzesło stoi między Chickiem a Rickiem.

Kurwa, zajebiście...

Chick zawołał kelnerkę. To była niesamowicie wysoka blondynka z włosami związanymi w kucyk i ustami, w których nie zmieściłaby się już ani kropla kolagenu.

– Poprosimy przynajmniej dwie porcje strzępiela, kilka liści sałaty z farszem, pierogi z soją, trzy porcje kaczki, dwa podsmażone filety z tuńczyka, smażony ryż z przegrzebkami, trochę żeberrek i trzy albo cztery średnio wysmażone steki. Gdybyśmy chcieli coś jeszcze, dam ci znać. Przyńś mi jeszcze trzy butelki waszej najlepszej sake. Dzięki, laleczko.

Panowie unieśli szklanki bez większego powodu, chyba że wznosili toast za samych siebie. Nikt nie odezwał się do mnie w trakcie kolacji. Wszyscy tylko się przechwalali i próbowali wzajemnie przelicytować: jacy są świetni, ile zarobili w ciągu minionego roku i z jakimi nieudacznikami przyszło im współpracować.

Dyskusja nabierała tempa, czułam się jak na meczu tenisowym – moja głowa chodziła to w jedną, to w drugą stronę, jakbym starała się nadażyć za raketami i piłeczką. Nie zapamiętałam żadnego imienia. Zresztą to i tak nie miało znaczenia.

Koleś Numer Jeden: Myślę nad zakupem domku na plaży w Southampton. Ceny nieruchomości poszły w dół, a ja znalazłem kapitalny dom do remontu za trzy miliony. Nie stoi co prawda nad samym oceanem, ale wystarczająco blisko.

Koleś Numer Dwa: Jaki sens ma kupowanie posiadłości w którymś z Hamptonów, kiedy nie będzie nad samą wodą? Nie stać cię na inny dom?

Koleś Numer Jeden: Spierdalaj, jakoś nie słyszałem, żebyś ty cokolwiek ostatnio kupował. Co się stało? Znowu wydałeś całą kasę na pornosy?

Koleś Numer Dwa: Nie, twoja żona już nie każe sobie płacić za występy na żywo.

Koleś Numer Trzy: A ty, Will? Masz jakieś pikantne smaczki dla nas, żonatych pierników? Czym zajmuje się w Nowym Jorku młody, przystojny facet z grubym portfelem?

Chick: Przystojny? Stary, ile sake już wypiełeś?

Will: Pozwólcie, że zachowam to dla siebie. Nie chcę wzbudzać w was zazdrości.

Rick: Will, mój drogi przyjacielu. Dobrze ci radzę – zostań singlem. Małżeństwo jest dla frajerów. Kobiety trzymają poziom, dopóki nie podpiszesz cyrografu i nie założysz obrączki. Potem jest już tylko piekło. To okrutne. Drugi raz w życiu bym się nie zdecydował.

Ja (w myślach): Hm, cześć. Mam na imię Alex. I na wypadek, gdyby umknęło to waszej uwadze – wszem i wobec informuję, że jestem kobietą. I siedzę przy tym samym stole. Aha, ważna sprawa – nie jestem głucha. Chociaż w tym momencie trochę tego żałuję.

Koleś Numer Cztery: Powiedz mi coś o tym. Zaczynam nienawidzić mojej żony.

Ja (w myślach): Halo, panowie? Tu kobieta. Siedzę tutaj. Czy ktoś mnie widzi?

Rick: Więc dlaczego nie znajdziesz sobie ponadprogramowego zajęcia? Uważam, że nie powinniśmy się ograniczać. Małe urozmaicenie nie zaszkodzi.

Nagle poczułam pod stołem dłoń Ricka na swoim kolanie. Przestraszyłam się i podskoczyłam w miejscu, uderzając o blat, na którym zatrzęsły się szklaneczki z sake. Przesunęłam się na samą krawędź krzesła, jak najdalej od Ricka. Chick bez pytania odsunął się ze swoim krzesłem, robiąc mi przestrzeń do ucieczki przed mackami Ricka. Może wiedział, co jego kumpel wyprawia

pod stołem?

Will: Zmieńmy temat. Alex chyba nie jest zainteresowana tą rozmową.

Ja (w myślach): Dziękuję ci! Dziękuję, dziękuję, dziękuję.

Chick: Nate, byłeś już w tym roku na Pebble Beach?

Koleś Numer Pięć: Byłem miesiąc temu. Pole golfowe było gładkie jak okolice bikini.

Ja (w myślach): I znów to samo...

Próbowałam zwrócić uwagę Willa siedzącego naprzeciwko, ale jakby celowo unikał kontaktu wzrokowego. Jednej rzeczy nigdy nie zrozumiem. Dlaczego mężczyźni uważają, że najlepszą metodą na poderwanie kobiety jest jej ignorowanie? Do programu nauczania w liceum powinny zostać dodane lekcje oduczające chłopaków tego paskudnego nawyku. Dzięki temu kobiety na całym świecie zaoszczędziłyby miliony na chodzeniu do terapeuty.

Dwie godziny później byłam jedyną względnie trzeźwą osobą przy stole pełnym facetów raczących się bombami sake jak wojownicy. Ustawiali kieliszki z sake na „mostku” z pałeczek położonych na wierzchu kufli z piwem Sapporo, po czym krzyczeli razem „sake bomba!” i uderzali pięściami o stół. Tym samym strącali szklaneczki z zawartością do kufli i jednym haustem wypijali powstała mieszaninę. Gdy tylko trzy butelki sake zostawały opróżnione, kelnerka pojawiała się z kolejnymi trzema. To samo działo się z półmiskami z jedzeniem. Chick w końcu poprosił o rachunek, ale wcale nie spojrzał na kwotę do zapłaty, tylko automatycznie wręczył kelnerce kartę American Express. Podczas gdy wszyscy kończyli pić, Chick dał mi pęk breloków do szatni.

– Odbierz płaszcz, Dziewczynko!

I to był jedyny raz w ciągu całej kolacji, kiedy powiedział coś bezpośrednio do mnie.

– Jasne, widzimy się przy szatni.

Dlaczego akurat ja, jedyna kobieta w całym gronie, byłam odpowiedzialna za odbieranie odzienia? Nie byłam pewna. Wiedziałam za to, że cały wieczór przestał iść po mojej myśli już kilka godzin wcześniej. Dałam pęk breloków z numerkami supermodelce-portierce i usłyszałam za plecami znajomy głos.

– Widzę, że awansowałaś na szatniarkę.

Will wyszedł za mną do przedsionka.

– Tak jak widać. Nie chcę się przechwalać, ale odbieranie płaszczy to tylko jeden z moich licznych talentów.

– A jakie są inne? – zapytał z idiotycznym, pijanym uśmiechem.

Być może tylko alkohol skłonił go, żeby do mnie zagadać, ale w tamtym momencie się tym nie przejmowałam. Po tak nieudanej kolacji wystarczyło niewiele, żeby mnie uszczęśliwić.

– Nie udzielam takich informacji byle komu. Musisz na to zasłużyć.

– A co mam zrobić?

– Jesteś bystry. Wierzę w twoją domyślność.

Chciałam go przy okazji zapytać, dlaczego olał wiadomość ode mnie, ale zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, pojawiła się reszta grupy. Przed wejściem czekała na nas czarna limuzyna. Chick podszedł do auta i otworzył drzwi.

– Wszyscy do środka, impreza przenosi się w inne miejsce. Jakie? To niespodzianka. Ciebie to nie dotyczy, A. Zamów sobie taksówkę. Wieczór już się dla ciebie skończył.

Dokładnie wiedziałam, dlaczego nie zostałam zaproszona do dalszej zabawy. Kluby ze stripizem były zabronione na spotkania biznesowe. Można było się do nich wymknąć pod warunkiem, że w towarzystwie nie było żadnej kobiety. Cieszyłam się jednak, że mogę wracać prosto do domu. Ostatni raz bandę skąpo ubranych lasek tańczących na stole widziałam pod koniec studiów. Uwierzyć, że to wspomnienie wystarczy mi do końca życia.

Wszyscy zapakowali się do limuzyny i grzecznie kiwnęli mi głowami na pożegnanie. Tylko Rick pocałował mnie w rękę przed odjazdem.

– Poznać cię to była wielka przyjemność, Alex. Mam nadzieję, że w przyszłości będziemy się częściej spotykać.

– Miło było pana spotkać – odparłam uprzejmie.

Wtedy wyjął z kieszeni marynarki jakąś zwiniętą karteczkę, położył mi ją na dłoni i za-

mknął ją swoimi wielkimi paluchami.

Chick podszedł do mnie i powiedział z uśmiechem:

– Dobranoc, Dziewczynko. Widzimy się jutro.

Will poczekał na szefa, po czym zwrócił się do mnie:

– Dasz sobie radę z taksówką?

Cała grupa krzyczała, żeby się pospieszył.

– Tak, bez problemu. Kolejnym z moich talentów jest łapanie taryfy na opustoszałych ulicach w środku nocy. Baw się dobrze.

Odwróciłam się na pięcie i udawałam, że do kogoś dzwonię. A co, może też miałam jakieś plany. Zanim zdołałam skrócić za róg, zatrzymała się taksówka – śmierdzący, żółty prezent od Boga. Siedząc z tyłu samochodu, wyjęłam zmięty papier od Ricka i użyłam światła z telefonu, żeby przeczytać, co to było. Z tyłu rachunku z restauracji (na kwotę – bagatela – trzy tysiące dolarów) napisał: „Gdyby ci się nudziło, zadzwoń do Ricka. 516-555-4827”. Zmięłam ją i wyrzuciłam przez okno. Zanim schowałam telefon do torebki, zabrzączał. Dostałam wiadomość. „Jezu, co tym razem?”, piekliłam się pod nosem.

SMS od: Patrick, Will

Daj znać, jak dojedziesz bezpiecznie do domu. Dobrze było cię dziś zobaczyć.

To było najbardziej rozczarowujące spotkanie biznesowe, jakie mogłam sobie wyobrazić. Przez jedną część wieczoru podrywał mnie żonaty przyk, przez drugą część byłam ignorowana. Mimo to, leżąc później pod kołdrą, nie mogłam powstrzymać się od uśmiechu.

Will do mnie napisał.

Odpowiedziałam:

SMS od: Garrett, Alex

Dzięki za troskę, już dotarłam. Baw się dobrze.

Dwie minuty później telefon znów zabrzączał. Sięgnęłam po niego z ekscytacją. Byłam ciekawa, co takiego Will miał mi do powiedzenia. Problem w tym, że to wcale nie Will napisał...

SMS od: Kieriakis, Rick

Już za Tobą tęsknię.

Buziaki, Rick.

Skąd on, do diabła, miał mój numer?

VIII

Dalej, dalej, majtki Gadgeta!

Tęskniłam za dniami, kiedy nie miałam własnego biurka – przynajmniej nie byłam ciągle pod prawdziwą presją. Zanim zaczął się marzec, Chick uczynił ze mnie swoją prywatną niewolnicę od Excela, więc musiałam ślęczeć długie godziny, męcząc się nad rozszyfrowaniem różnych rodzajów schematów i modeli, których używał mój dział. Chick lubił zadania wykonane błyskawicznie. Niestety wciąż nie byłam na tyle obeznana z oprogramowaniem, żeby nadążać i wyrabiać się ze wszystkim w trakcie normalnych godzin pracy, dlatego siedziałam w firmie do późna.

Dłubałam właśnie w otwartej aplikacji. Kliknęłam w komórkę i zaczęłam się wpatrywać w działanie, które pojawiło się w pasku na górze arkusza kalkulacyjnego. Istniało mnóstwo z pozoru trudnych równań, ale zaprawieni w boju użytkownicy Excela byliby w stanie szybko je zrozumieć. Dla mnie jednak wszelkie wzory i działania wciąż wyglądały jak hieroglify. Godziny płynęły, piętro zaczęło pustoszeć. Zostałam sama. Zupełnie straciłam poczucie czasu, obraz miałam zamazany od ciągłego wpatrywania się w monitor i usilnych prób odczytania rzędów cyferek.

Usłyszałam gwizd za plecami.

– Fiu, fiu! A ty ciągle tutaj?

Uniosłam głowę i zawiesiłam swój mętny wzrok na Willu. Przekrzywił głowę i zabębnił palcami o tarczę zegarka.

– Już po 21 – powiedział.

– Uwierz, wiem o tym doskonale... – Westchnęłam wyczerpana. – Chick poprosił mnie o uporządkowanie modelu. Myślałam, że szybko się uwinę, ale coś robię źle. Tylko nie mam pojęcia co. Zaraz chyba oślepnę od tych głupich numerków.

Zanurkowałam z powrotem w oparcie krzesła i próbowałam rozmasować sobie obolałe ramiona. Moje mięśnie były pokurczone, a stawy strzykały i trzaskały jak paczka chrupek ryżowych. Dodałam skoliozę do listy schorzeń, których przysporzyła mi ta praca – tuż za marskością wątroby i chorobą wieńcową.

– Co tutaj robisz?

– Zapomniałem kluczy – odparł i schylił się do szuflady biurka. – Dzięki Bogu zorientowałem się, że leżą w szufladzie, zanim wyszedł z budynku. Gdybym pojechał bez nich do domu, straciłbym mnóstwo czasu.

– Mhm, bankowo – wymamrotałam nieświadoma, że wyglądam tak źle, jak się czuję.

– Z czym masz problem? – zapytał, siadając na krześle Drewa.

– Widzisz to? – Wskazałam ostatnią kolumnę.

– No, widzę.

– Ten wzór wygląda na poprawny, a jednak z jakichś przyczyn nie działa. Nie mogę stąd wyjść, dopóki nie skończę, a to znaczy, że prawdopodobnie zamieszkać w biurze.

– Niekoniecznie – powiedział. – Po prostu za długo już na to patrzysz. Odpowiedź jest gdzie indziej. Przesuń się.

Odjechałam z krzesłem w bok, zapewniając Willowi swobodny dostęp do klawiatury.

– Musisz tylko odjąć „klamki”, pomnożyć części ułamkowe przez trzydzieści dwa, a potem z powrotem dołączyć „klamki”. Następnie wcisnij CTRL i C, żeby skopiować wzór, zakreśl resztę kolumny, kliknij ALT, E, S, F i wklej wzory w pozostałe komórki. I gotowe.

„Nieee, no jasne! Dlaczego sama na to nie wpadłam...?”

– Nie wiedziałam, że z ciebie taki ekspert od Excela.

– Kiedyś miałem takie obowiązki, jak ty. Istnieje kilka trików, których się nie zapomina.

– Dzięki. Oszczędziłeś mi wielu godzin tortur.

– Dobrze, że zapomniałem kluczy, co?

– Pewnie. Jak następnym razem Chick każe mi coś dokończyć, będę wdzięczna, jeśli zapo-

mnisz portfela.

– Zobaczymy, co da się zrobić. A co ty masz zamiar zrobić z dzisiejszym wieczorem, skoro okazał się wolny?

– Och, Boże. Nic takiego. Pewnie po prostu wrócę do domu i padnę na tapczan. Ale to wciąż lepsze niż kisenie się w biurze. A jakie ty masz plany?

– Może skuszę się na parę drinków. Gdybyś była zainteresowana, po drodze do domu zamówię sobie coś na wynos. Chcesz dołączyć? Założę się, że jeszcze nie dzisiaj nie jadłaś.

– Nic, jeśli nie liczyć czerstwego ciastka dwie godziny temu.

– Ciastko się nie liczy.

– W takim razie nie jadłam nic.

– Wiedziałem. Wolisz kurczaka z brokułami czy kurczaka po chińsku?

– Obydwa – powiedziałam bez namysłu, zarzucając torbę na ramię.

Szliśmy razem, rozmawiając, jakbyśmy robili to już tysiąc razy. Miałam wrażenie, że znamy się wiele lat.

Dwadzieścia minut później weszliśmy do mieszkania Willa w Upper West Side. Było schludne, ładnie urządzone, minimalistyczne. Dziwna kolej rzeczy – cztery miesiące wcześniej poszliśmy do baru, a przy drugim spotkaniu miałam zjeść kolację w jego mieszkaniu. Will zdawał się myśleć, że wcale nie zboczyliśmy z trasy w procesie umawiania się na randki. Ale co ja tam wiedziałam? Moim ostatnim chłopakiem był koleś z braterstwa, który ledwo znajdował drogę do auli na uniwersytecie. Trudno było ich ze sobą porównywać.

Postawiłam reklamówkę z tłustym, chińskim jedzeniem na ławie w kuchni.

– Świetne miejsce.

– Taaak, ten budynek dawniej był magazynkiem albo czymś o podobnej funkcji, więc mieszkania tutaj mają wysokie sufity i wielkie okna – powiedział, ustawiając talerze na stoliku.

Po chwili otworzył butelkę czerwonego wina.

Zapach jedzenia bezlitośnie przypominał mi, że jestem potwornie głodna.

– Nie spodziewałam się, że arkusze kalkulacyjne potrafią tak wygłodzić człowieka. Dzięki za ratunek.

– Nie ma sprawy. Wcale nie tęsknię za czasami, gdy musiałem jak popychadło siedzieć w pracy do późna i odbębniać robotę za innych. Jak ci się podoba do tej pory?

– Cóż... – zawahałam się. Chick i Will się przyjaźnili, więc musiałam uważać na słowa. – Pytasz oficjalnie czy poufnie?

– Siedzisz na mojej kanapie – przypomniał. – Dzięki temu ta rozmowa jest zupełnie prywatna.

– Względnie. Mam na myśli... nie zrozum mnie źle – ciągle boję się jak ognia i Chicka, i Cruelli, i pozostałych facetów z naszego działu. Ciągle się boję, że coś zepsuję. Że się nie wywiążę. Że zawiodą się na mnie. Nie rozumiem połowy rzeczy, z którymi się stykam, i mam wrażenie, że nigdy nie będę kompetentnym sprzedawcą. Pracuję w Cromwell już pół roku, a wciąż czuję się jak idiotka. Wiem, co wiem, a jak sobie pomyślę o tym, czego jeszcze nie wiem, to mnie przytłacza. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Mmmmmhmmmm – mruknął Will, przeżuując kawałek kurczaka i popijając go winem. – To nie jest praca, w której podszkolisz się w ciągu jednego wieczoru. Dużo się trzeba nauczyć, ale błyskotliwe osoby z czasem na pewno wszystko nadrobią i pojną. A ty do takich należysz. Po prostu musisz uzbroić się w cierpliwość.

– Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, że kiedykolwiek będę w stanie rozmawiać o giełdzie w taki sposób jak wy, chłopaki. Bez względu na to, jak dużo przeczytam, za każdym razem słysząc wasze dyskusje, myślę: skąd oni to WIEDZA?

– Zaufaj mi, wszystkiego się dowiesz w swoim czasie. Żaden z nas nie wiedział, co go czeka i do czego dąży, kiedy zaczynał.

– A na jakim etapie czuleś, że sprawujesz nad wszystkim kontrolę, i przestałeś się martwić, że przed kimś się skompromitujesz? Kiedy ja to poczuję?

– Lada dzień – zażartował, wyrzucając plastikowe pojemniki po chińskim żarciu.

Wstałam i przeciągnęłam się. Byłam najedzona i zachciało mi się spać.

– Dziękuję za kolację i za to, że zgodziłeś się wysłuchać mojego lamentu. Wiem, że masz rację. Po prostu słabo jest być dziewczynką-wyrobnicą w hierarchii ważności pracowników Cromwell.

– Nie poddawaj się. Dasz radę.

– Wszyscy mi to mówią.

– Więc posłuchaj! Chyba trochę się na tym znamy.

Stanął w drzwiach kuchni i bawiąc się zegarkiem, zapytał:

– Chcesz się jeszcze czegoś napić?

Była 22.45 – trochę późno. Zazwyczaj wolałam być o tej porze w domu, kiedy następnego dnia musiałam się zrywać do pracy. Mimo wszystko powiedziałam:

– Pewnie, czemu nie? Jeszcze jeden drink nikomu nie zaszkodzi.

Obudziły mnie promienie słońca wdzierające się przez okno. Wytężyłam wzrok, żeby sprawdzić godzinę na budziku. 8.29. Wzięłam głęboki oddech i zanurkowałam pod poduszki (wydawały się jakieś twarde). Naciągnęłam na siebie mocniej kołdrę. Dziwnie drapała. Jak rzep.

Potem usłyszałam coś, czego rano nie chciałyby usłyszeć dziewczyna, która wieczorem poszła na drinka z kolegą z pracy. Jego głos.

– Lepiej wstawaj. Jesteś mocno spóźniona. Chick skopie ci tyłek.

OOO-MÓÓÓJ-BOOO-ŻEEE!!!

Zanim przetrawiłam myśl o tym, w którym leżę łóżku, jeszcze raz spojrzałam na zegarek.

8.31. Przynajmniej nie będę musiała żyć w zażenowaniu – Chick ulży moim cierpieniom. Zabije mnie.

– Kurwa! – Wyskoczyłam z pieleszy jak wystrzelona z procy. – Dlaczego twój budzik nie zadzwonił?! – krzyczałam w panice, zbierając swoje rzeczy. Przynajmniej spóźnienie było motywacją, żeby jak najszybciej opuścić tamto miejsce. – Chick zabije też ciebie. Wiesz o tym?

– Nie spodziewałem się gości. – Śmiał się, podczas gdy ja biegałam po całym mieszkaniu jak diabeł tasmański. – Zresztą poinformowałem już Chicka, że przyjdę później. Umówiłem się z klientem na kawę dopiero na 9.30, więc jestem na czystej pozycji. Ty mogłabyś wystąpić o ochronę świadka.

Podniosłam z podłogi swój T-shirt, sweter i spodnie. Pomyślałam, że w najgorszym wypadku będę w pracy dwie i pół godziny za późno. W najlepszym – po drodze przejedzie mnie autobus.

– Zachowujesz się tak lunatycznie z mojego powodu czy ze strachu przed konsekwencjami spóźnienia? Wolałbym wiedzieć, co sprawia, że wychodzisz z siebie. Hej, i zostaw moją koszulkę Giantsów!

Spojrzałam na ubranie, które miałam na sobie. Przynajmniej nie byłam goła. Zgarnęłam spod kredensu zagubioną skarpetkę i pognałam do łazienki, żeby się przebrać. Wychodząc, pokazałam Willowi środkowy palec.

Nie było czasu na prysznic – na pewno nie tam, a tym bardziej nie w moim mieszkaniu na drugim końcu miasta. Nie było też czasu na powrót po świeże ubrania. Przemyłam twarz wodą i założyłam zestaw, który miałam na sobie poprzedniego dnia. Majtki wrzuciłam na dno torebki – bez porannego prysznica mogłam się obejść, ale nie założyłabym tej samej bielizny drugi dzień z rzędu. Kiedy byłam gotowa, wróciłam do salonu i usiadłam na skórzanym fotelu, żeby łatwiej mi było założyć i zapiąć buty.

– Wszystko w porządku? – zapytał Will ze szczerą troską.

– Fizycznie czuję się dobrze. Jednak będę się musiała na tobie zemścić za uraz psychiczny.

– Dobrze. Nie chciałem o tym wspominać, skoro jesteś na krawędzi załamania, ale muszę zapytać: idziesz do pracy w tych samych ciuchach, co wczoraj?

– Dziwna sprawa, ale jakimś cudem nie wzięłam zapasowych. Najwyraźniej nie byłam przygotowana, że obudzę się w cudzym mieszkaniu na Upper West Side. W dodatku dwie godziny za późno.

– Celna uwaga – przyznał. – Lepiej się pospiesz. Mam też nadzieję, że nie zastanę cię w biurze nabitą na pal.

– Chciałeś być zabawny? A co, jeśli Chick mnie zwolni?
– Nie zwolni, spokojnie – zapewniał Will. – Dużo więcej przyjemności będzie czerpał z torturowania cię niż wyrzucenia z pracy.

– Och, co za radość.

– Zadzwoń do ciebie, kiedy będę w drodze.

– Jasne, zadwoń. Wstrzymam oddech z wrażenia – wymamrotałam, ale on już tego nie słyszał.

– Muszę się dostać do centrum Manhattanu najszybciej, jak to możliwe. Niekoniecznie w jednym kawałku – poinstruowałam taksówkarza, trzaskając drzwiami.

Wyjęłam telefon, żeby zadzwonić do biura. Tak się stresowałam, że w brzuchu przewracały mi się wszystkie wnętrzności. Gdy wykręciłam numer, usłyszałam z głośnika znajomy podwójny sygnał. Bateria się rozładowała...

Spałam u Willa. Moje ciuchy śmierdziały jak przetrawione wino. Włosy miałam tłuste i poplątane. Wyglądałam jak... cóż. Dosłownie jakbym dopiero zwlekła się z łóżka.

Byłam trupem.

Wbiegłam na ruchome schody i próbowałam szybciej dostać się na górę, pokonując po dwa stopnie naraz. Pokazałam identyfikator ochroniarzom i rzuciłam torbę na taśmę, żeby mogli przeskanować jej zawartość. Stałam przy czytniku metalu i zniecierpliwiona tupiałam nogą, aż torebka w końcu przejdzie test i wyjedzie spod promieni rentgenowskich. Serce przestało mi bić ze strachu, gdy taśma zatrzymała się w połowie procesu i po chwili zaczęła się cofać. Ochroniarze chcieli dokładniej przyjrzeć się czemuś intrygującemu...

– W czym problem? Nic tam przecież nie ma! – wrzeszczałam na goryli, którzy nic sobie nie robili z moich protestów.

Nie obchodziło ich, że w dziale najpewniej zostanę oblana smołą i posypana piórami jak nieudacznicy w kreskówkach.

– Chwileczkę, to jest ciekawe... – powiedział jeden z nich, wskazując na monitor długopisem. – Droga pani, musimy przeszukać pani torebkę.

– To ta sama pieprzona torebka, którą kładę na taśmie codziennie rano!

– Proszę się odsunąć.

Ochroniarz odepchnął mnie od maszyny, podczas gdy dwóch pozostałych, noszących broń palną przy paskach, dobrało się do mojej torebki w gumowych rękawiczkach.

– ŚWIETNIE! – ryczałam. – Po prostu świetnie. Więc od dzisiaj uznajecie mnie za zagrożenie?

– Proszę pani – zaczął ochroniarz, który powoli tracił cierpliwość – niech się pani odsunie i pozwoli spokojnie przeszukać torbę. Im szybciej się z tym uporamy, tym szybciej będzie pani mogła wejść na górę.

Stałam bezradna i patrzyłam, jak wysypują wszystko na blat: portfel, rozładowany telefon, kosmetyczkę, organizator, notatnik i szczotkę. Moje rzeczy codziennego użytku ułożyli na stole jak dowody zbrodni.

Nagle zamarłam. Boże, nie mówicie mi tylko, że oni... Nie, oni nie mogą... To niemożliwe! Tak przed wszystkimi?

Moje majtki.

Zanim zdążyłam się zorientować, co nastąpi, operator rentgena wyjął z torebki moją białą i dumnie zaprezentował ją ochroniarzom. Bujałam się w przód i w tył, a wszyscy zebrali się przy taśmie i uważnie wpatrywali w coś, czego ich oczy zapewne nie ujrzaly przez całe życie: damskie stringi. Po dwudziestu sekundach czekania, aż grupa do zadań specjalnych rozbroi moje śmiercionośne majteczki, wybuchłam.

– Na co się, do jasnej cholery, gapicie? Myślicie, że mają jakieś specjalne funkcje? Supermoce? Że to majtki Inspektora Gadgeta? Że jak wypowiem magiczne słowo, to zamienią się w wielki granat albo pistolet maszynowy, za pomocą którego chciałam skasować paru biznesmenów?

Ochroniarze nagle złagodnieli. Chyba zdali sobie sprawę, że zrobili coś z pogranicza mole-

stowania seksualnego.

Gdy zgarnęłam wszystko z powrotem do torebki, zmierzyłam ich najgroźniejszym wzrokiem, na jaki mogłam się w tamtym momencie zdobyć, zadarłam nos i powiedziałam na odchodne:

– Pierdolcie się!

Byłam w stanie znieść poniżenie przez mężczyzn, którzy wypisują mi czeki, ale jacyś koleś, którzy cały dzień skanują walizki, mogli mi naskoczyć.

Przepraszam, ale mam swoje granice.

Trzy minuty później w końcu dotarłam na stanowisko pracy.

Przywitały mnie gromkie brawa kolegów z działu. Osunęłam się na krzesło. Drew najpierw cicho zachichotał, potem śmiał się coraz głośniejszym, aż w końcu ryczał jak niepoznaną osobą w drodze do pokoju bez klamek.

– Przestań rechotać, to wcale nie jest śmieszne! Chick mnie zabije, Drew. Co mam robić? – zapytałam, licząc na ratunek.

– Przykro mi, ale zjebałaś sprawę. Złamałaś złotą zasadę znaku życia.

– Znaku czego? – zapytałam przerażona.

Jakim cudem nigdy o czymś takim nie słyszałam? Na pewno nie było o tym słowa w podręczniku.

– Zasadę znaku życia. Jeśli nie zdążysz do pracy i przeoczysz dane, które spływają o 8.30. Jednak jeśli do 8.15 nie zadzwonisz i nie powiesz, że nic ci nie jest i jesteś już w drodze, Chick własnoręcznie pozbawi cię życia.

– Nikt mi o tym nie powiedział! – jęczałam.

– Pewnie wszyscy wyszli z założenia, że już to wiesz. Albo że nie będziesz na tyle głupia, żeby aż tyle się spóźnić. Jedno albo drugie.

– Wcale mi nie pomagasz – syknęłam. – Serio, Drew. Powiedz mi, co mam robić.

– Nie wiem, co ci powiedzieć, A. Zrób mi tylko przysługę i przesuń się trochę. Nie chcę być w polu rażenia.

Spojrzałam na zegar na ścianie. 9.20. Jak mogło do tego dojść?

– Hej, zaczekaj. Czy ty przypadkiem wczoraj nie miałaś na sobie tego samego swetra? – zapytał podejrzliwie, zakreślając w powietrzu obszar górnej partii mojego ciała.

– Nie.

– Miałaś, to ten sam – sprzeczał się. – To na bank ten sam pieprzony sweter, w który byłaś ubrana wczoraj. Przecież cały dzień mówiłem na ciebie Wielka Dynia. Nie wmówisz mi, że jest inaczej.

Próbowałam znaleźć jakiś argument.

– To jest mandarynkowy kolor, a nie pomarańczowy. Zupełnie inny odcień.

Boże, dlaczego w dniu, w którym miałam najeść się wstydu przez ubrania świadczące o tym, że u kogoś nocowałam, musiałam mieć na sobie akurat jaskrawopomarańczowy kardigan? Czy to nie mógł być czarny? Oczywiście, że nie. Byłoby za wygodnie.

– Gównu prawda! – zawołał Drew i wybuchnął śmiechem. – Nie wróciłaś na noc do domu!

– STOP! – krzyknęłam. – Przestań. To nie jest wczorajszy sweter. Są podobne, ale to nie ten sam. Zostaw już ten temat i daj mi spokój. Będę miała wystarczająco ciężki dzień.

– W porządku, Dziewczynko. Niech ci będzie. To nie jest ten sam sweter.

– Proszę, proszę. Czym sobie zasłużyłem na twoją zaszczytną obecność?

Chick szedł powoli w moją stronę, trzymając ręce w kieszeniach. Patrzył mi prosto w oczy. Wstałam, żeby się wytłumaczyć.

– Szefie, przepraszam. Zasnęłam. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie.

– Nie chodzi tylko o to, że się spóźniłaś, Alex. Zupełnie zignorowałaś moją zasadę znaku życia. Wydzwaniałem do ciebie i za każdym razem łapała mnie poczta głosowa.

– Telefon mi padł.

– Czy wiesz, co myślę, kiedy młoda pracownica nie pojawia się rano w biurze, nie dzwoni i przez dwie godziny nie odbiera?

Pokręciłam głową.

– MYŚLE, ŻE UMARŁA! – ryknął, a ja zadrżałam ze strachu. – Pomyślałem, że może już leżysz w kostnicy albo wiozą cię karetką i nie pamiętasz swojego imienia. To miejsce – z tymi słowami zakreślił ramieniem szeroki łuk, prezentując piętro Cromwell jak hostessa produkt z telezakupów – jest pierwszym miejscem, w którym ktoś zauważy twoją nieobecność. Mogłabyś przepaść na całe godziny, ba – nawet na kilka dni – i dopiero po takim czasie twoi przyjaciele czy rodzina zauważyliby, że zniknęłaś. Jeśli z niewiadomych przyczyn nie siedzisz przy swoim stanowisku, domyślamy się, że coś jest nie tak. Miałem już wzywać policję do twojego mieszkania. Nie jestem pierdoloną niańką, Alex. Mam w domu dzieci i nie potrzebuję kolejnych w biurze!

– Ja... ja... ja... – Próbowałam znaleźć odpowiednie słowa, ale zaczął mi się łamać głos.

– Nie mów, że ci przykro. Nie chcę nawet tego słuchać. – Odetchnął. – Cieszę się, że nic ci nie jest. Ale od tej pory, Alex, należysz do mnie. Nie to, żebyś codziennie nie należała, ale dzisiaj... Och, dzisiaj NAPRAWDĘ jesteś moja. Chyba zapomniałaś o zasadach, Alex. Od teraz nie masz prawa ani na chwilę o nich zapomnieć.

Westchnęłam z ulgą, kiedy wrócił do swojego biurka.

– Cóż, mogło pójść gorzej – skwitował Drew.

– Zwariowałaś? Jeszcze gorzej?

– Mógł zauważyć sweter.

Odbierałam telefony i starałam się zająć pracą, nie myśleć o niespodziance, którą szykował dla mnie Chick. O 10.30 dostałam e-mail.

Wiadomość od: Patrick, William

Bardzo było strasznie?

Wiadomość od: Garrett, Alex

Czuję się, jakby przejechał mnie pociąg. To twoja wina.

Wiadomość od: Patrick, William

Mogę wziąć odpowiedzialność za budzik, ale nic nie poradzę na fakt, że nie mogłaś mi się oprzeć.

Wiadomość od: Garrett, Alex

Spierdalaj.

Usłyszałam jego śmiech i sama stałam się trochę weselsza.

Wiadomość od: Patrick, William

Ale chyba było warto. Świetnie się bawiłem.

Wiadomość od: Garrett, Alex

Ja też.

Byłam w cholernych tarapatkach. Godzinę później Chick gwizdnął do mnie:

– Chodź tu szybko, niewolnico. Naładowałaś telefon?

– Tak, już nigdy nie padnie.

– Dobra odpowiedź. Dzisiaj stawiasz wszystkim lunch. Zdecydowaliśmy, że chcemy pulpety i bakłażany nadziewane z parmezanem.

„Okej – pomyślałam – na to jeszcze będzie mnie stać”. Mogło się trafić znacznie gorzej. Gdyby Chick chciał, mógłby mnie wysłać po pizzę z głębokiej blachy nawet do Chicago. Pulpety

z parmezanem? Spoko. Nie ma problemu.

– W porządku. Gdzie je mam zamówić?

– Arthur Avenue.

– Na Bronksie?

– Czy znasz inną włoską restaurację Arthur Avenue?

Pokręciłam głową.

– Jak dużo mam tego zamówić?

– Dwadzieścia pięć albo trzydzieści porcji każdego z każdego rodzaju. Will zbiera teraz zamówienia, zaraz zadzwoni do restauracji.

– Dobrze.

– Jeszcze jedna rzecz, Alex.

Nagle spłynęło na mnie uczucie, że nadchodzi jakieś niebezpieczeństwo.

– Jasne, szefie. Słucham.

– Chcę cały krążek sera.

– Słucham? Co masz na myśli?

– Mam na myśli cały, dwudziestopięciokilogramowy krąg sera.

Wyraz twarzy Chicka przekonał mnie, że mówił poważnie.

Okazało się, że odebranie lunchu nie było moją karą. Lunch to tylko pretekst. Prawdziwą karą miało być przetransportowanie dwudziestu pięciu kilogramów parmezanu z Bronksu na południową część wyspy. Przynajmniej pomysłowo.

– Wynocha. Już. Kanapki powinny być gotowe do czasu, aż dojedziesz na miejsce. –

Wręczył mi karteczkę z adresem. – Tutaj dokładnie masz się dostać. Kupujesz dwadzieścia pięć kanapek z pulpetami, dwadzieścia pięć z bakłażanem i krąg sera. I lepiej, żeby mi to było równo dwadzieścia pięć kilogramów. Chcę zobaczyć paragon. Kapujesz? Obyś miała kartę kredytową z dużym limitem. Przyda ci się.

Opuściłam głowę zawstydzona, złapałam torebkę i poszłam na dół do samochodu. Siedziałam z tyłu, słuchając w radiu największych przebojów. Patrzyłam przez okno na East River. Wystarczyła chwila, żeby namieszała w swoim życiu prywatnym i zawodowym. Pytałam się w myślach: „Co ty najlepszego wyrabiasz, Alex?”. Po co ja to sobie robiłam? Odpowiedź była prosta – żeby zaprzyjaźnić się z Willem.

Dojechaliśmy do Bronksu. Przekazałam kierowcy karteczkę z adresem i poprosiłam, żeby na mnie poczekał przed wejściem do restauracji.

– Pewnie, nie ma sprawy. Zatrzymujemy się tylko tutaj i wracamy do Cromwell?

– Tak, muszę tylko odebrać zamówiony lunch i yyy... krąg sera.

– Co takiego?

Kierowca odwrócił się przez ramię, kiedy staliśmy na czerwonym.

– Krążek sera – odparłam z ponurą miną.

– Dziesięć lat pracuję dla Cromwell jako szofer i uwierz mi, widziałem różne dziwne rzeczy, ale serowy krąg chyba właśnie wskoczył na szczyt listy.

Radocha.

Dotarliśmy na miejsce. Za ladą stał korpulentny Włoch o wesołej twarzy.

– Witam panią, jak mogę pomóc? – zapytał z akcentem tak topornym, jak gęsty sos pomidorowy, którym były oblane bitki wołowe stojące w gablotce obok kasy.

– Przyszłam odebrać zamówienie pana Ciccone, jeśli można.

– Cziii-koo-neej – powtórzył, jakby się upewniał, czy dobrze zrozumiał wypowiedziane przeze mnie żałośnie zamerykanizowane włoskie nazwisko. Rozejrzał się po kartonach z kanapkami i talerzach pełnych mięsa i serów, które czekały na odbiór. – Aach, va bene! – zawołał, ustawiając na ladzie dwa pudła wypełnione po brzegi owiniętymi szczelnie folią, długimi kanapkami z bagietek. Zdarł z impetem zieloną naklejkę z treścią zamówienia i przeczytał na głos: – Dwadzieścia pięć pulpettone i dwadzieścia pięć bakłażano z parmiziana. Va bene?

Kiwnęłam głową.

– To będzie dwieście dwadzieścia siedem dollaro. Kartą czy gotówką?

Wyjęłam z portfela kartę kredytową i położyłam ją grzecznie przy kasie.

– Kartą, ale potrzebuję jeszcze jednej rzeczy – odparłam, nerwowo bawiąc się paskiem od zegarka. – Poprosiłabym kawałek parmezanu.

– Oczywiście. Ile pani sobie życzy? – odparł niewzruszony. Wyjął z gablotki ogromny, serowy krąg. – Pani pokaże, jaki kawałek, to ukroję.

– Nie... tak się składa, że... chciałabym kupić cały krążek.

– Całe dwadzieścia pięć kilogrammo? – zaskrzeczał i otworzył ze zdumienia usta. – Mamma mia, jak pani będzie niosła taki ciężki kawał parmidziana?

– Przed wejściem czeka na mnie auto. Byłby pan uprzejmy pomóc mi to zataszczyć na tylne siedzenie?

– Parmidziana w tamto auto pani będzie wiozła?

– Mam nadzieję, że tak.

– To nie będzie tanio, dwadzieścia pięć kilogrammo parmidziana.

Przesunęłam po ladzie kartę i zaczęłam się bać.

– Wiem. – Westchnęłam. – Proszę dołączyć paragon.

Kucharz wyjął kalkulator i zaczął coś skrupulatnie obliczać.

– Dobrze, siniorina. Dziewięćset osiemdziesiąt cztery dollara i sześćdziesiąt jeden centa.

I pani pomogę, bo pani bella!

– Prawie dziewięćset osiemdziesiąt pięć dolarów?

Boże, przecież za taką kasę miałabym mnóstwo nowych ubrań! Zjadłabym dziesięć razy porządny obiad na Manhattanie! To prawie pół mojej miesięcznej pensji!

– Tyle kosztuje krąg parmidziana. A jeszcze przecież trzeba doliczyć kanapki z pulpettone i bakłazanami. Ja i Gino zaniemiemy ser do samochodu.

W głowie migwały mi cyferki. Zrobiło mi się niedobrze.

– Dobrze, dziękuję.

Prawie się rozplakałam, taszcząc pudła z kanapkami.

– Ile cię to wyniosło? – zapytał przez okno kierowca.

– Prawie tysiąka, nie licząc kanapek – odparłam, stawiając pudła ostrożnie w bagażniku.

Stałam przed wejściem i czekałam na najdroższe zsiadłe mleko, jakie w życiu kupiłam.

Sama byłam temu winna. Taka jest cena za bycie największą kretynką na planecie.

– Fiu, fiu, to chyba zostanie w pamięci na długo.

Nie zdążyłam odpowiedzieć, bo z lokalu wyszli Włosi, trzymając serowy krąg, jakby to była tykająca bomba. Wślizgnęłam się na tylne siedzenie i otworzyłam szeroko drzwi, żeby pomóc ułożyć cenny nabiał w samochodzie. W rezultacie wylądował mi na kolanach – siedzenie nie było na tyle duże, żebyśmy ja i ser mogli się wygodnie usadowić, więc częściowo leżał na miejscu pasażera, a częściowo na moich nogach. Włoscy kucharze pomachali nam na pożegnanie i ruszyliśmy z powrotem na Manhattan.

Drrryyyń!

Wydobyłam komórkę z torby – z trudem, bo przecież przygniatał mnie krąg parmezanu.

Spojrzałam na wyświetlacz. Co znowu?

– Halo?

– Hej, Dziewczyńko – usłyszałam głos Marchettiego. – Jak tam na Bronksie?

– Super. Co tam?

– Potwierdziłaś wszystkie jedenastki z lutego, które zestawilem dziś rano?

– Potwierdziłam u Tracey w biurze. Powiedz Reggie'emu, żeby do niej zadzwonił.

– Zrobi się. Kiedy wracasz? Jesteśmy już głodni.

– Za pół godziny, jeśli nie będzie korków.

– Czadowo. Hej, poczekaj. Kate jeszcze czegoś od ciebie chce. To może być interesujące...

– dodał, zanim Cruella przejęła słuchawkę.

– Alex, czy przepisałaś na komputerze transakcje, których dokonałam dzisiaj z Colony Capital? Sprawdzam wiadomości i nigdzie ich nie widzę. Czy to takie trudne przepisać potwierdzenie? Ja ci nie każę wykonywać żadnych skomplikowanych operacji finansowych. Chciałam tylko, żebyś

łaskawie swoimi małymi paluszkami wystukała potwierdzenie na klawiaturze.

Chciałam jej wygarnąć, że jest jedyną osobą w dziale handlowym, która sama sobie nie przepisuje zatwierdzeń, ale powiedziałam tylko:

– Tak, Cru... to znaczy Kate. Wysłałam klientowi i tobie na mejla.

Pieprzona primadonna. Mogłam jej pokazać palcem coś innego. Czekałam w ciszy, aż przeszuka skrzynkę odbiorczą.

– Mam.

Klik.

Rozłączyła się.

Rzuciłam telefon na uda i zamknęłam oczy. Powtarzałam sobie w myśli, że każdy musi się trochę pomęczyć, ale należy wykonywać swoje obowiązki.

Komórka zadzwoniła ponownie.

– Tak, słucham?

Staralam się nie brzmieć na zdesperowaną.

– Cześć, kochanie!

Nareszcie ktoś, kto niczego nie będzie ode mnie żądał.

– Cześć, mamo.

– Wszystko w porządku? Zadzwoniłam do Cromwell i jakiś mężczyzna powiedział, że grasz w podchody i pojechałaś na Bronx w poszukiwaniu sera! Co to w ogóle znaczy? Włączysz się sama po Bronksie?

– Już wracam. To długa historia. Chick kazał mi kupić trochę kanapek i sera za tysiąc dolarów.

– Co takiego? – spytała z niedowierzaniem. – Tysiąc dolarów za ser? Proszę, powiedz mi, że żartujesz.

– Nigdy bym czegoś takiego nie wymyśliła.

– To czyste szaleństwo. Powinnaś powiedzieć swojemu szefowi, żeby się gonił.

– Ponieważ to najlepsza droga do awansu i rozwoju kariery.

– Kariery, która polega na jeżdżeniu na drugi koniec Nowego Jorku po drogocenny ser. Jeszcze nie jest za późno, żeby pójść do szkoły prawniczej.

– Nie zrezygnuję, mamo! Lubię swoją pracę. Może nie dzisiaj, ale zazwyczaj lubię.

– Zdajesz sobie chyba sprawę, Alex, że pycha to jeden z siedmiu grzechów głównych.

– Zaufaj mi, to nie pycha mnie zabije.

– Zrób mi przysługę. Zadzwon do ojca. Pytał, jak się masz. Może tylko lepiej nie wspominaj mu o serowej pielgrzymce.

– Masz to jak w banku.

Rozłączyłam się. Nie było mowy o telefonie do taty w tamtym momencie. Zapytałby, dlaczego nie ma mnie w biurze, a ja musiałabym skłamać albo zdradzić, skąd wzięła się serowa kara. Za dużo miałam na głowie. Nie chciałam dorzucać kłamstwa przed własnym ojcem do „kompromitującej listy Alex”. Tylko tego brakowało.

Zamknęłam oczy i wyobrażałam sobie dalszą część gehenny. Chick mógłby mnie na przykład wysłać po olbrzymią tarkę do sera. Jezu, dlaczego ja się spóźniłam? Bębniąc palcami o krąg parmezanu, zastanawiałam się głośno:

– Jak ja to wniosę na piętro?

– To proste – odezwał się szofer. – Pożycz wózek i wjedź windą towarową.

Geniusz...

Zadzwoniłam do Cromwell i poprosiłam o połączenie z konserwatorami budynku. Zapytałam, czy mogę wypożyczyć wózek i skorzystać z windy towarowej. Powiedzieli, że to żaden problem. Zaproponowali nawet, że wyślą kogoś do pomocy. Gdy zaparkowaliśmy przed biurowcem, czekał na mnie wysoki mężczyzna w niebieskim kombinezonie.

– Dzięki za transport – powiedziałam do kierowcy, kiedy wyładował na chodnik zawartość bagażnika.

– Nie, to ja dziękuję. Nie mogę się doczekać, kiedy wrócę do domu i opowiem mojej żonie

tę historię.

Odwróciłam się do konserwatora i oznajmiłam najspokojniej, jak tylko się dało:

– Właśnie dlatego potrzebowałam pana wsparcia.

– Łoooooo! – zawołał w zdumieniu, patrząc na wielki, żółty krążek. – Czy to parmezan?

– Tak. Najlepszy, prosto z Arthur Ave.

– Chyba nie wiecie, co zrobić z nadmiarem czasu i pieniędzy... – Pokręcił głową z niedowierzaniem.

Nie miałam argumentów.

Załadowaliśmy krąg i kartony do wózka i pojechaliśmy windą na moje piętro. Na miejscu popchnęłam wózek wzdłuż przedsiionka i krzyknęłam:

– Zróbcie przejście, nadchodzę!

Pracownicy rozpięzchli się na lewo i prawo, omijając moją trasę. Dwóch mężczyzn zaoferoowało nawet pomoc w niesieniu sera i uroczyście złożyli go na biurku Chicka.

A podobno prawdziwych rycerzy już nie ma.

Chick zapukał w parmezan i zapytał:

– Ile za wszystko?

– Około tysiąc dwieście dolarów.

– Płacę ci więcej niż tysiąc dwieście dolców rocznie, prawda?

– Tak – wyszeptałam.

– Więc masz szczęście, że cię nie wylałem z roboty, co kosztowałyby cię znacznie więcej.

Rozumiem, że wyniosłaś coś z tej lekcji i już nigdy więcej się nie spóźnisz?

Niemrawo pokiwałam głową.

– Dobrze. W takim razie już zrobiłem, co do mnie należało. – Sięgnął pod biurko i wydobył z szuflady ogromny tasak.

– Skąd to masz? – zapytałam oszołomiona.

Chick uśmiechnął się, jakby to było zupełnie normalne, że razem z dokumentami nosi w teczce potencjalne narzędzie zbrodni. Ja nie weszłam do biura ze stringami w torebce, a Chick swobodnie przemycił tasak? Pieprzeni ochroniarze!

W ciszy okrążył ser jak dzikie zwierzę szykujące się do ataku na ofiarę. Kiedy upatrzył sobie idealne miejsce w kręgu, zagłębił w nim ostrze i powiedział:

– Jedzmy.

IX

Maszyna z przekąskami

Powoli zaczynała się wiosna. W kwietniu na giełdzie było okrutnie cicho, co nie działało na naszą korzyść – w końcu żyliśmy z kupna akcji. Jeśli klienci się nie angażowali, my nie zarabialiśmy pieniędzy. Nigdy nie było kolorowo w pomieszczeniu pełnym ekscentrycznych ludzi o osobowościach typu A, którzy mieli za dużo wolnego czasu... Dział handlowy w tym okresie stawał się wylęgarnią pomysłów, jak poradzić sobie z nadmiarem laby, i polem do popisu dla żartownisiów. Najpierw Drew i Reese grali w kości na pieniądze, chociaż tak naprawdę jeden drugiemu nie płacił. Mimo to każdy rzut traktowali śmiertelnie poważnie. Ja zajęłam się zakupami przez internet. Wynajdowałam wszystko, co akurat nie było mi potrzebne: kosmetyczki, świeczki zapachowe, ramki na zdjęcia. Te rzeczy mogłam rzucić w kąć i kiedyś przy okazji (w razie konieczności) komuś sprezentować. Nie oceniajcie mnie źle. W końcu co innego miałyby robić znudzona dziewczyna z trzema monitorami przed sobą, kiedy nie było absolutnie nic do roboty? Wcześniej graliśmy w kosza przy użyciu małych piłeczek i pojemników na śmieci, potem chwilę w golfa – w rolę dołków wcieliły się ułożone na ziemi czapki z daszkiem. Byliśmy do tego stopnia zdesperowani, że po to, żeby nie dać się monotoni, droczyliśmy się ze sobą, podkradając z biurka świecidełka albo buty z nóg.

Bezruch na rynkach giełdowych stwarzał również możliwości do odegrania się za dawne urazy. Na początku miesiąca handlowiec o imieniu Biff (naprawdę miał tak na imię, tym razem to nie ksywa) skrytykował mnie za błąd popełniony przy księgowaniu transakcji. Nie zostawił na mnie suchej nitki, tymczasem jego reakcja była zupełnie nieproporcjonalna do rangi mojej pomyłki. Swoim nieuzasadnionym atakiem strasznie wkurzył Reese'a, dlatego ten w ramach rewanzu skradł z biurka pluszowego misia, którego Biff z niewiadomych powodów bardzo cenił. Podczas gdy właściciel maskotki był na spotkaniu, Reese skrupulatnie wycinał wyrazy i literki ze starych gazet i egzemplarzy „Wall Street Journal”. Przyklejał je na kartkę, układając treść listu, że miś został porwany dla okupu. Jediną szansą dla Biffa, żeby odzyskać ulubionego pluszaka, było postawienie lunchu całemu działowi i oficjalne przeprosiny za wybryk z początku miesiąca. W przeciwnym razie miał już nigdy nie ujrzeć miśka. Wieść o „porwaniu” rozeszła się po całym piętrze i wkrótce do Biffa zaczęli dzwonić koledzy z informacjami typu: „Widziałem twojego misia na tylnym siedzeniu vana jadącego przez West Side Highway; krwawił” albo „Dzisiaj znalazłem na śmietniku głowę pluszowego niedźwiadka; mam nadzieję, że to nie twój”. Reese kupił nawet jednorazowy aparat i urządził maskotce sesję zdjęciową w różnych miejscach na terenie Cromwell: przy stoisku z kawą, maszynie ksero, w pokoju z przesyłkami pocztowymi, wiszącego na słupie latarni na zewnątrz czy trzymającego okładkę „Wall Street Journal” z widoczną datą. Wywołał kliszę i za każdym razem, gdy Biff na chwilę odchodził od stanowiska, podrzucał po kilka fotografii. Reese nie miał litości. Zostawiał Biffowi liściki od domniemanego porywacza – wkładał je do teczek, szuflad, kieszeni marynarki wiszącej na krześle. Gdy Biff nie mógł tego dłużej znieść, wysłał mi niedorobiony e-mail z przeprosinami i zamówił dla całego działu kubelki ze smażonym kurczakiem. Następnego ranka Reese przyszedł do pracy pierwszy i odstawił miśka na miejsce – pluszak miał na głowie opaskę elastyczną, a na łapkach opatrunki.

Marchetti z kolei zrobił psikus Reese'wi i zmienił język na jego komputerze – ustawił automatyczne tłumaczenie na japoński. Specom od informatyki zajęło godzinę dobrnięcie do źródła i przywrócenie menu po angielsku.

Kiedy Chick odkrył, że razem z kurczakiem zostały zamówione minibabeczki kukurydziane, postanowił poznać się na mnie. Porozrzucił ciasteczka po całym moim stanowisku. Otoczył nimi klawiaturę, powkładał je do szuflad i do dodatkowej pary butów, które trzymałam pod biurkiem. Znalazłam je potem także w mojej kosmetyczce, na dnie torebki i w kieszeniach płaszcza. Zostałam zaatakowana przez kukurydzianą armię.

Przez kilka kolejnych dni wyjmowałam ciasteczka z zaskakujących miejsc, nigdy nie wiedząc, czy zaraz przypadkiem rozdepczę jakieś obcasem albo znajdę okruszki przyklejone do szczoteczki tuszu do rzęs. Modliłam się, żeby giełda wreszcie ruszyła, a maraton dowcipów się skończył. Jeśli przeoczyłam którąś z kukurydzianych babeczek, w biurze mogły zamieszkać myszy.

Drew zabrał Willowi kartę kredytową i kupił mnóstwo dziwacznych rzeczy z dostawą do jego mieszkania. Były to na przykład skórzane nakładki na spodnie, bicz, lubrykant, cząski do wycinięcia włosów z nosa i kable wspomagające. Will dla odmiany zadzwonił do bostońskiego hotelu, w którym miał nocować Chick, i poinformował personel, że szef cierpi z powodu bólu pleców. W związku z problemami z kręgosłupem musi spać na podłodze, dlatego prosi o usunięcie łóżka z zarezerwowanego pokoju. Chick dotarł do hotelu o północy i zastał nieumeblowany pokój. Na podłodze leżały jedynie dwie poduszki. Nie było mu do śmiechu, ale my mieliśmy ubaw po pachy.

Jeden z naszych kolegów nie cierpiał ogórków kiszonych. Odmawiał spożycia czegokolwiek, co zawierało te warzywa lub miało z nimi jakikolwiek kontakt. Któregoś ranka, podczas gdy rzeczony sprzedawca wyszedł po kawę, Drew odkręcił część słuchawki z jego telefonu i nalał do niej sok z ogórków. Drew zadzwonił do niego, gdy tylko kolega wrócił na stanowisko. Kiedy odebrał, płyn ze słuchawki wyciekł mu na brodę i spłynął na koszulę. Biedaczysko zwymiotował. Długo nie mógł zapomnieć Drewowi tego okrutnego wybryku...

Jednocześnie zastój w biurze miał swoje plusy. Dzięki nadmiarowi wolnego czasu można było rozwijać inne zainteresowania. Mojej relacji z Willem nie dało się nazwać normalną. Przede wszystkim jako osoba przy zdrowych zmysłach nie mogłam tego nazwać związkim. Po pamiętnym wspólnym wieczorze, który obrodził w konsekwencje warte tysiąc dwieście dolarów, poza pracą spotkałam się z Willem tylko raz. Poszliśmy do baru i kilka godzin graliśmy w bilard, po czym wróciłam taksówką do domu. Wszystko grało. Do sprawy podchodziłam ostrożnie. Czasami się do siebie zbliżaliśmy, a czasami następowała dłuższa przerwa – jednak raptem jedno spotkanie po wspólnej nocy faktycznie było ekstremalną ostrożnością. Gdybym zauważyła, że nie jest mną zainteresowany, schowałabym dumę do kieszeni i ruszyła przed siebie. Tylko naprawdę trudno mi było nie zaprzętać sobie nim głowy, skoro siedział kilka biurek dalej i bezlitośnie flirtował ze mną mejlowo. Załowałam, że technologia była na tak zaawansowanym etapie.

Gdyby nie ten nieograniczony dostęp do komputerów, łatwiej byłoby się odizolować. Zdecydowanie wolałabym tradycyjne metody doręczania wiadomości, na przykład gołębie pocztowe. Szkoda, że wypadły z obiegu. Przynajmniej pomagały ludziom kompletnie nie zwariować na czymś punkcie.

Pewnego słonecznego dnia pod koniec kwietnia Marchetti machnął mi przed oczami białym formularzem.

– Czas na coroczne składanie zamówień na ciasteczka od harcerek! – oznajmił radośnie.

– Na co, przepraszam?

– Harcerskie ciasteczka. Supersprawa – powiedział Drew. – Jego córka jest na trzecim szczeblu i jeśli uda jej się sprzedać najwięcej ciastek z całego hufca, dostanie nagrodę. Skuter czy coś tam. Marchetti puszcza po piętrze formularz i każdy coś zamawia. Za taki wynik mogłaby dostać nawet bmw. Ta inicjatywa jest jedną z małych rzeczy, które robimy, żeby życie małych dziewczynek nabrało kolorów.

– Skoro chce skuter, dlaczego Marchetti po prostu jej go nie kupi?

– Chodzi o zasady! Wiesz, trzeba uczyć amerykańską młodzież, że jeśli się czegoś bardzo chce, trzeba na to zapracować.

– Pięknie to brzmi w teorii, ale przecież ona nie sprzedaje ani jednego ciastka sama, prawda? To się mija z celem.

– Dlaczego chcesz zrujnować ideę parady małych harcerek?

– Wcale nie chcę! Po prostu stwierdzam fakt, że wasza teoria jest absurdalna.

– A co powiesz na to? Lubię harcerskie ciasteczka, ale nie dostanę żadnego, dopóki ten blankiet nie zostanie wypełniony. Czy to wystarczający powód, żebyś z entuzjazmem wsparła młody żeński hufiec?

– Bingo! Też bym chętnie schrupała ciacho. – Wyjęłam portfel i z przerażeniem spo-

strzegłam, że zawiera jedynie banknot dziesięciodolarowy i opakowanie po gumie do żucia. – Mam zapłacić teraz czy później?

– Płacisz przy odbiorze. Teraz tylko wpisz swoje imię i nazwisko.

– Co ja bym bez ciebie zrobiła, Drew?

– Zginęłabyś. Idź do miasta – powiedział, kładąc formularz na moim biurku.

Ale zanim w ogóle zdążyłam na niego zerknąć, Will zgarnął mi go sprzed nosa.

– Co ty wyprawiasz? – zapytałam.

– Zamawiam ciasteczka. A co myślałaś?

– Czy istnieje jakiś powód, dla którego nie możesz poczekać, aż ja najpierw złożę zamówienie?

– Nie musisz tego robić, jeśli nie chcesz, Alex. Po incydencie z parmezanem lepiej nie szataj pieniędzmi. Zrozumiemy to.

– Nie, nie zrozumiemy – wtrącił się Drew.

– Widzisz? Nie ma przebaczenia. I bardzo mi się podoba, jak uważasz mnie za tak biedną, że nie stać mnie na kilka pudełek z ciastkami. Jakoś sobie poradzę – powiedziałam.

– Potrzebujesz pożyczki?

– Nie!

– Jesteś pewna?

– Wkurzasz mnie, Will. Wpisz, co masz wpisać, i oddaj mi blankiet.

– W porządku. Gdybyś jednak zdecydowała się na pożyczkę, wiesz, gdzie mnie szukać. – Skończył bazgrać, oddał mi kartkę i wrócił do swojego stanowiska.

Wtedy w głowie zaświtał mi pewien pomysł – jak odegrać się na Willu za spóźnienie sprzed miesiąca, które kosztowało mnie ponad tysiąc dolarów. Przejrzałam formularz, wypełniłam odpowiednią rubrykę i położyłam kartkę na biurku Marchettiego, tłumiąc śmiech.

– Jak długo trzeba będzie czekać na dostawę? – Czułam się jak dziecko oczekujące pierwszej gwiazdki.

– Kilka miesięcy.

– Doskonale.

Prośba Marchettiego związana z harcerskimi ciasteczkami wywołała dyskusję o słodyczach w maszynie na żetony, a ona z kolei stała się inspiracją najbardziej spektakularnego zakładu na piętrze handlowym w historii Cromwell.

– Nie ma szans, Marchetti. Nie dasz rady opróżnić całej przed 16. – Zaśmiał się Chick, rzucając wyzwanie.

Poza nimi w grupce dyskutantów znajdowali się Will, Drew i Reese. Dzień dopiero się zaczynał, ale wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że będzie się dłużył.

Marchetti wierzył w swoje możliwości.

– Ile jesteś w stanie wyłożyć na to, że zdążę w czasie swojej zmiany? Ile obstawisz, że zrobię to jeszcze dzisiaj?

– Mógłbyś być nawet świnką morską, Billy, ale nie ma takiej opcji. Twój żołądek by eksplodował. Widziałeś film *Siedem* i to, jak gruby koleś obzał się na śmierć? Skończysz tak samo, a ja nie zadzwonię do twojej żony, żeby powiedzieć, że nie wrócisz do domu, bo wpieprzyłeś całą wartość maszyny z przekąskami i umarłeś.

Podjechałam krzesłem obrotowym wzdłuż rzędu i dołączyłam do nich.

– Poczekajcie – wtrąciłam się. – Masz zamiar zjeść wszystko z tego automatu na żetony, który stoi w holu? Przecież leży w niej z dziesięć różnych rodzajów gumy do żucia. Leży, bo nikt ich nie tknął od 1989 roku. Nie połkniesz tego. Na pewno wymiotujesz.

– Mój parobek ma rację – przyznał Chick. – Nie pomyślałem o gumie. Zresztą guma i tak nie liczy się jako normalne jedzenie, więc jeśli dalej masz zamiar wygrać zakład, musisz zjeść po jednym produkcie każdego rodzaju, nie wszystkie. Wylączając gumę. Zaczynasz dzisiaj o 9.30 i masz czas do końca godzin giełdowych, czyli do 16. Usłyszysz dzwonek i kończysz. Możesz siedzieć w moim biurze, jeśli nie chcesz się rozproszyc, ale Alex musi cię pilnować. Będzie kontrolowała, czy niczego nie wyrzuciłeś albo nie rozdałeś. Jeśli zachce ci się siku, daj znać – ktoś pójdzie

z tobą do toalety. Stawka wyjściowa to dziesięć tysięcy dolarów, ale spodziewam się, że stawka zaraz pójdzie w górę. I pamiętaj, jeśli w którymś momencie dnia się wyrzygasz, gra skończona. Zgadzasz się na wszystkie zasady?

Reszta załogi usłyszała, co się święci, i otoczyła Billy'ego i Chicka, skandując „Bil-ly! Bil-ly! Bil-ly!” i rytmicznie wyrzucając ręce w górę. Marchetti dumnie wypiął pierś i zaczął uderzać się o klatkę jak goryl.

– No dalej! Kto da więcej?! – krzyczał.

W ten sposób Billy Marchetti zgodził się wyjąć całą zawartość maszyny z przekąskami za dziesięć tysięcy dolców. Chick kazał wszystkim wyjąć z portfeli banknoty jednodolarowe i po chwili cała gromada wachlowała się pieniędzmi jak gejsze. Następnie miałam zebrać jednodolarówki, naszykować pudło i wykupić wszystko z maszyny w przedsionku – oprócz gumy do żucia. Była 8.30.

– Billy, masz godzinę na przygotowanie się. Zadzwoń do klientów z informacją, że dzisiaj zajmie się nimi Drew. Alex, Marchetti ma zakaz wychodzenia z mojego gabinetu. Możesz go odprowadzać jedynie do toalety – tylko nie podglądaj. Gdyby w jakiś sposób próbował oszukiwać, natychmiast przychodzisz z tym do mnie. Teraz leć do automatu.

Kiedy szłam przez piętro z pudłem pełnym zielonych, jeden z młodszych sprzedawców zażartował, że miałam owocną noc i opłaca się tańczyć na stołach. Typowe.

Bez wątpienia w maszynie niektóre produkty tkwiły ponad dekadę. W górnym rzędzie były wyeksponowane różnego rodzaju chipsy ziemniaczane, chrupki kukurydziane w rozmaitych smakach (rozpoznałam marki wiodące prym w latach 80.) i słone przekąski w postaci na przykład precelków. Kolejną półkę sponsorowała firma Hostess i zalegały na niej słodkości – babeczki, biszkipoty, ciasteczka z nadzieniem albo kremowe kuleczki obtoczone kolorowymi wiórkami kokosowymi. Poza nimi markizy, pieguski, herbatniki i smakołyki dla miłośników nieco zdrowszego odżywiania (być może zawierały śladowe ilości ziaren). Oprócz nich szeroki wybór batonów czekoladowych, karmelowych i z masłem orzechowym oraz draży i orzeszków w polewie. Ostatni rząd należał do gum do żucia i miętówek. Postawiłam pudło na podłodze i wsuwałam do maszyny banknoty – jeden po drugim.

Więść o zakładzie szybko się rozeszła i zanim wróciłam do biurka Marchettiego z trzydziestoma dwoma bombami kalorycznymi, pula przeznaczona na nagrodę osiągnęła dwadzieścia tysięcy dolarów. Oczywiście wszyscy upewniali się co do reguł gry i uczciwości organizatorów. W końcu to było Wall Street. Nikt nie zainwestowałby żadnych pieniędzy bez świadomości, jakie ewentualne ryzyko niesłaby ta inwestycja. Wszystkie szczegóły muszą być zawsze ujawnione.

Chick wstał i złapał mikrofon.

– Proszę o uwagę! Słuchajcie! Jeśli jeszcze ktoś chce wziąć udział w zakładzie przekąskowym, musi przynieść mi pieniądze do 9.25.

Całe piętro wybuchło entuzjazmem, ludzie zaczęli bić brawo. Biurko Chicka zostało w mig otoczone przez chętnych do udziału w grze. Will wcielił się w rolę skryby i spisał ich nazwiska w kolejności alfabetycznej.

– To nie będzie dla ciebie zwykły dzień w pracy, co? – zapytał, gdy stawiałam na podłodze karton ze śmieciowym jedzeniem. – Dzisiaj będzie zabawa!

„Zabawa? To najbardziej absurdalna rzecz, jaka mi się w życiu przytrafiła”, pomyślałam. Drew mnie wyręczył i sporządził przekąskowy inwentarz – żeby potem nie było wątpliwości, co zostało zjedzone, a co nie. Aby mieć pewność Will sprawdził, czy wszystko się zgadza. Gdy w końcu byli gotowi, Chick rozstawił moje dawne składane krzeselko dla Billy'ego. Moja misja wydawała się jasna: miałam obserwować, jak Marchetti je, następnie odznaczać na liście spalaszowaną rzecz i kolekcjonować papierki, które w razie potrzeby posłużyłyby za dowody.

Billy stanął przy biurku i udawał, że rozciąga mięśnie nóg. Całe piętro podzieliło się na dwie grupy: tych, którzy uznali Marchettiego za kolesia na tyle stukniętego, że zdoła wykonać zadanie, oraz tych, którzy byli przekonani, że jeszcze przed południem zwymiotuje.

Will dziobnął mnie rogiem zeszytu w plecy.

– Jesteś gotowa? Wiesz, że jeśli coś zepsujesz, oni spalą cię na stosie.

Obawiałam się, że to może być prawda.

Punktualnie o 9.30 dźwięk dzwonka obwieścił rozpoczęcie godzin giełdowych, a Billy Marchetti otworzył paczkę Twinkies'ów (które wyglądały jak żółta gąbka wypełniona kremem).

Dzielnie konsumował jedną przekąskę za drugą. Zaczął od tych cięższych.

Przypadkowi ludzie przechodzili obok niego i krzyczeli: „Jedz, kochanie!” „Jesteś zwierza-kiem!” albo „Mam nadzieję, że wzięłaś tabletkę na cholesterol”. Ja z kolei skrupulatnie kolekcjonowałam papierki, zaznaczałam produkty na liście i mierzyłam czas.

Twinkies 9.30; babeczki 9.35, roladki lodowe 9.38 – i tak dalej. Około południa wszyscy jedli drugie śniadanie, a Billy'emu robiło się niedobrze. Według moich obliczeń miał do tego prawo. Zjadł już wszystkie słodczy marki Hostess, pół rzędu chipsów i dwie paczki M&M's-ów. Łącznie siedemnaście produktów. Wtedy zdecydował się skorzystać z oferty Chicka i przenieść się do jego gabinetu. Usiadł na krześle i obserwował rybki w akwarium z wdzięcznością, że wreszcie może spojrzeć na coś innego niż jedzenie. Oczywiście było również, że Billy nie chce się rozpraszać, rozmawiając ze mną. Siedział w milczeniu i ja czekałam bez słowa. Wciąż do mnie nie docierało, że byłam w pracy.

Po jakimś czasie Marchetti zaczął się pocić i z trudem łapał oddech. Zapytałam, czy wszystko w porządku, a on kiwnął głową, opróżniając paczkę Fritosów i rozsypując kukurydzany pyłek po całym dywanie Chicka. Jedna z zasad głosiła, że Billy może pić tyle wody, ile tylko zapragnie, dlatego po podłodze wałało się mnóstwo opróżnionych butelek po mineralnej. Pocienie stało się bardziej intensywne. Billy rozpiął koszulę, a potem i rozporek, więc gdybym nagle musiała z nim wyjść na korytarz, dla niewtajemniczonych niechybnie stałabym się gwiazdą bardzo soczystej plotki. Wydawało mi się, że chodzenie półnago po miejscu pracy kwalifikuje się jako powód do zwolnienia ze stanowiska opisany w podręczniku, ale musiałabym się upewnić.

Nagle do biura wparował Drew.

– Chick kazał mi sprawdzić, jak sobie radzisz.

Spojrzał na mnie, potem na Billy'ego, który siedział w mokrym od potu podkoszulku, rozpiętych spodniach i dyszał jak lokomotywa, po czym wybuchł histerycznym śmiechem.

– Marchetti, stary! Ależ ty jesteś popierdolony! Spójrz na siebie. To będzie cud, jak nie dostaniesz ataku serca. Nie wiedziałem, że zechcesz doprowadzić się do takiego stanu za marne dwadzieścia patyków. Mamy na stanie defibrylator na wypadek, gdybyś miał wykitować. – Drew udawał, że pociera o siebie części urządzenia i wywołuje impulsy elektryczne: – Ładowanie! Teraz!

Po czym podbiegł do Billy'ego i przyłożył dłonie do jego klatki piersiowej.

Rozbawiło mnie to.

– Mam zamiar to skończyć. Kiedy już to zrobię, skopię ci dupę, Drew! Alex, miałaś być moim ochroniarzem. Wykop go stąd.

– Drew, przepraszam cię, ale musisz opuścić to pomieszczenie. To impreza zamknięta do 16.

– Właściwie to przyszedłem powiedzieć, że właśnie nie do 16. Chick chce, żebyś wrócił pół godziny wcześniej, żeby każdy mógł cię zobaczyć na finiszu. Staniesz się legendą, jeśli dasz radę to zeżreć. Ale jeśli się nie wywiążesz, będziesz musiał się wyprowadzić do Nebraski i zostać doradcą finansowym.

– Spierdalaj, Drew! – odgryzł się Billy.

– Poczekaj. – Złapałam Drewa za ramię, kiedy faktycznie miał opuścić gabinet. – Mógłbyś tu posiedzieć przez parę minut? Umieram z głodu. Musisz tylko pilnować, żeby nie wyrzygał się Chickowi na podłogę i zbierać opakowania po słodczykach. Tylko nie pisz nic na mojej liście, bo popsujesz mi system. Zaraz będę z powrotem.

– Z przyjemnością popilnuję tego grubego ciecia.

– Dzięki.

– Stop! – Billy krzyknął z ustami pełnymi migdałów w czekoladzie. – Jak będziesz przy stoisku z kawą, poproś Jashima, żeby pożyczył mi blender.

– Po co ci blender?

– Po prostu mi go przynieś!

– Dobrze, zapytam.

Przy stoisku kawowym wybrałam soczek i bajgla.

– Dzień dobry, panno Alex! – Ekspedient Jashim przywitał się z entuzjazmem, jak zawsze. – Czego sobie panienka życzy? Może specjalny milkshake?

– Nie, dziękuję. Dzisiaj tylko soczek i bajgiel. Aha, i jeszcze blender, jeśli masz.

– To będzie trzy i pół dolara. Czy wspomniałaś jeszcze o blenderze, panno Alex? Nie sprzedajemy tu takich.

– Chciałabym jeden pożyczyć.

– Co tylko zechcesz, panienko Alex. Proszę bardzo. – Zanurkował pod ladę i wyjął biały mikser z kablem owiniętym wokół podstawy.

– Dzięki, zaopiekuję się tym. – Uśmiechnęłam się.

– No problemo.

W biurze Chicka zastałam Drewa opartego o ścianę, który kręcił głową z niedowierzaniem.

Billy ciągle jadł. Siedział w samych bokserkach, przez co poczułam się trochę niezręcznie.

Została godzina do końca czasu przeznaczanego na wykonanie zadania, ale jak miał jeść i rozbierać się w takim tempie, to o 16 mógł być zupełnie nagi. Postawiłam blender na podłodze obok tapczanu i wzięłam od niego kolejne trzy puste papierki. W czasie mojej nieobecności Marchetti wchłonął całą paczkę Almond Joy i dwa opakowania miętowych dropsów, ale jego tempo dramatycznie zmalało. Mój biedny przyjaciel się przegrzał.

Dokładnie o 15.30 opuściliśmy biuro i wróciliśmy do działu. Według mojej listy na skonsurowanie wciąż czekały jeszcze trzy czekoladki nadziewane masłem orzechowym, paczka naciósów, ciastka, dwie paczki miętówek, baton i torebka herbatników w kształcie zwierzątek. Marchetti nie miał szans zjeść tego wszystkiego w zaledwie pół godziny. Mniej więcej do godziny 15.50 nie wiedziałam, dlaczego prosił mnie o pożyczenie blendera. Dowiedziałam się, gdy w pewnym momencie podłączył go do kontaktu za biurkiem. Wrzucił pozostałe produkty do pojemnika, dodał trochę wody i...

Wtedy mnie olśniło, do czego był zdolny Billy.

Modliłam się w duchu: „Och, nie. On nie może. Nie, naprawdę, chyba nie ma zamiaru...”.

A jednak.

Marchetti nacisnął guzik, a urządzenie zaczęło miksować. Billy czekał, aż mieszanina osiągnie konsystencję rozpuszczonych lodów – płynna, ale z kawałkami cukierków, które wciąż dało się pogryźć. Przy akompaniamencie zachwytów, dopingu i odgłosów szoku wielkimi łykami opróżniał zawartość blendera. Skończył równo o 15.59.

Potem zrobił się zielony.

Podczas gdy wszyscy otoczyli go z gratulacjami, Chick wziął ode mnie puste opakowania i zliczył wszystkie na podstawie sporządzonej listy. W pewnej chwili podskoczył i podbiegł do mikrofonu.

– Wszyscy, którzy nie wierzyli w możliwości naszego szalonego Billy’ego, stracili pieniądze. Zakład odbył się zgodnie z zasadami, co potwierdzili sędziowie. Ostateczna nagroda to dwadzieścia osiem tysięcy dolarów. Brawo, Billy!

Potem przyłożył słuchawki swojego iPoda do mikrofonu i puścił *We Are the Champions*, a zgromadzony na piętrze tłum wiwatował na stojąco. Założę się, że Billy’ego zachwyciłyby brawa i okrzyki, ale był zbyt zajęty sprintem do łazienki. Mimo wysiłku nie udało mu się jednak dobiec do mety – w połowie drogi do męskiej toalety wymiotował na wykładzinę i zasnął. W drodze do domu potrzebował eskorty kolegów, ale za to był bogatszy o dwadzieścia osiem tysięcy dolarów.

Kolejny zwykły dzień w Cromwell!

W maju mnie i Liv kończyła się umowa wynajmu kawalerki. Wreszcie też zarabiałymy wystarczająco dużo, żeby zamieszkać osobno. Chciałam przeprowadzić się bliżej centrum, żeby było mi wygodniej dojeżdżać do pracy. Nie byłabym w stanie dłużej się przemieszczać z Midtown do dzielnicy finansowej Nowego Jorku. Niemal codziennie wstawałam za późno, żeby złapać metro, więc musiałam zamawiać taksówkę, co narażało mnie na niepotrzebne wydatki. Znalazłam świetny apartament w West Village, którego opłacenie mogło mnie co prawda doprowadzić do bankructwa, jednak mimo perspektywy zakopania się po uszy w długach zdecydowałam zamieszkać w świetnej

lokalizacji. Uznałam to za lepsze niż oszczędność dzięki kawalerce na szarym końcu miasta. Liv postanowiła zostać w poprzednim mieszkaniu przy Murray Street. Cieszyła się, że będzie mogła zdemontować prowizoryczną ścianę, mieć dzięki temu normalny salon i spać w normalnej sypialni. Stwierdziła, że mnie pogięło, no bo kto przy zdrowych zmysłach z własnej woli przeprowadzałby się na jedną z najbardziej ruchliwych i najgłośniejszych ulic Wielkiego Jabłka? Mnie to nie wzruszało. Wracałam z pracy tak zmęczona, że żaden hałas – ba, nawet trzęsienie ziemi – nie byłoby w stanie zakłócić mojego snu. Perspektywa życia na własną rękę napawała mnie entuzjazmem, lecz byłam pewna, że zatęsknię za współlokatorką. Z Liv mieszkało się ciekawie i jej towarzystwo zapewniało mi odskocznię od szaleństwa pracy w Cromwell.

Ostatnia noc w naszej kawalerce była słodko-gorzka. Zamówiliśmy pizzę, piłyśmy piwo, a ja jednocześnie wrzucałam swoje szpargały do kartonowych pudeł i układałam je przy ścianie. Rankiem mieli po mnie przyjechać ludzie od przeprowadzek.

– To jedna z nielicznych chwil, w których żałuję, że nie mam chłopaka.

– Nie gadaj! Nie mogłaś poprosić Willa o pomoc?

– Pytanie kogoś o udział w przeprowadzce wymaga większego stopnia zażyłości.

– To ja nie wiem, co jest między wami. Pół roku się spotykacie, a jego i tak nigdy nie ma w pobliżu. Nie powinno przypadkiem coś ruszyć? Umawiacie się na drinki od czasu do czasu, nocujesz u niego przypadkiem, uprawiacie seks i co poza tym? Jak właściwie określić waszą relację? Nie można was nazwać parą. Nawet go nie poznałam, a ty się cieszysz, kiedy łaskawie odbierze telefon. Nic nie kumam. Chcesz w ogóle czegoś więcej od mężczyzny, który pojawił się w twoim życiu? Ja bym chciała.

– Czego na przykład? Żeby zabijał myszy i pakował pudła?

– Tak. I wymieniał przepalone żarówki. I wnosił śmieci – to przede wszystkim.

– Nie żartuj, Liv. Siła kobiet! – stwierdziłam z wymuszonym entuzjazmem.

Prawda była taka, że powiedziałam Willowi o przeprowadzce. Wiedział, że musimy z Liv spakować wszystko w jedną noc. Szczerze mówiąc, liczyłam na ofertę pomocy z jego strony. Widywaliśmy się już sześć miesięcy, ale rzeczywiście ani Liv, ani Annie go nie poznały. Dręczyło mnie to. Zaczęłam się zastanawiać, czy on jest leniwy, nieświadomy, a może zwyczajnie głupi – moje doświadczenie z chłopakami przemawiałoby za tym ostatnim. Postanowiłam trzymać się takiej wymówki, zamiast rozmyślać nad innymi potencjalnymi powodami. Po prostu nie chciał wchodzić w drogę i wyszedł z założenia, że widzimy się w poniedziałek. Pewnie tak właśnie pomyślał. Niemniej byłam strasznie wkurzona. Pieprzyć siłę kobiet. Bolały mnie plecy.

Po 22 zrobiłyśmy sobie kolejną przerwę na piwo i padłyśmy na podłogę przed telewizorem, bo tapczan zagracały materiały do pakowania i zabrakło już dla nas miejsca. Usłyszałam dźwięk mojego telefonu, tylko trudno było mi go zlokalizować – przepadł w chaosie, który do niedawna jeszcze nazywał się salonem. Liv zrzuciła rolkę folii bąbelkowej i triumfalnie uniosła moją komórkę.

– Znalazłam! – zawołała i sprawdziła, od kogo przyszła wiadomość. – Wow! – Na jej twarzy malował się szok. – Kim, do cholery, jest Rick? Czy to z jego powodu się wyprowadzasz? Umawiasz się z kimś i mi nie powiedziałaś? A co z Pracusiem Willem?

Och, Boże... Tylko nie to.

– Żartujesz? – jęknęłam. – Chyba muszę zmienić numer.

– Czeka, czy to nie przypadkiem ten podejrzany klient?

– We własnej osobie.

– Trzeba z tym skończyć, szczególnie teraz, gdy będziesz mieszkała sama. Powiedziałaś Chickowi?

– Nie! – krzyknęłam. – Nie wiem, co mam w tej sprawie zrobić, ale na pewno nie poskarżę się Chickowi. Na razie ignoruję gościa, jeśli tylko mogę.

– To zły pomysł. Faceci kochają takie wyzwania.

– Wiem. To znaczy teraz już wiem. Jest strasznie uporczywy i teraz już wiem, że będą z nim problemy.

– Mowa. Słuchaj tego. – Liv wyświetliła SMS-a. – „Będę dzisiaj wieczorem w mieście. Nie

skazuj mnie na samotność”. Nie sędzę, żeby to się w jakimkolwiek stopniu kwalifikowało na komunikację biznesową. Chick na pewno by nie pozwolił, żeby jeden z jego klientów napastował jego podopieczną. Sprawa skończyłaby się pewnie w sądzie.

Może miała rację. Myślałam nad tym, kilka razy byłam bliska wyznania Chickowi, że z Rickiem jest coś nie tak. Jednak po aferze z Timem Collinsem wolałam nie puszczać pary z ust i narzekać na jakiegoś faceta – szczególnie zaufanego klienta. Miałam już do czynienia z natrętami. Byłam pewna, że poradzę sobie również z żonatym maniakiem matematycznym o wybujałej fantazji.

– Umówiłaś się z nim sama? – zapytała sceptycznie Liv.

– W życiu!

– A chciałaś?

– Nie!

– A pomyślałaś o tym chociaż raz?

– Nie! Liv, to mnie obraża. Daj spokój. Poza tym umawiam się już z Willem.

– Uważam, że powinnaś zabić to „uczucie” w załączku, zanim sytuacja wymknie się spod kontroli. Już jedną popierdoloną relację w pracy właśnie przerabiasz.

– Panuję nad tym.

– Nie sędzę. Zastanów się lepiej.

– Dobrze, masz rację. Zajmę się tym, obiecuję.

Mówiłam poważnie, tylko musiałam się zastanowić, z której strony to ugryźć.

– Wyświadczysz mi przysługę? – zapytała w pewnym momencie Liv.

– To nasza ostatnia wspólna noc. Pewnie. A co takiego miałabym zrobić?

– Zadzwoń do Willa i poproś go, żeby pomógł nam spakować te wszystkie kartony. Ja zaraz wymięknę.

– W żadnym, kurwa, wypadku!

– Alex, nie bądź śmieszna. Jesteście przyjaciółmi od seksu, a nawet jeśli pominąć ten przywilej, jesteście po prostu przyjaciółmi, prawda? Czy to problem dla przyjaciela, żeby przyjechać i pomóc w przeprowadzce?

– To przyjaciel Z PRACY, a nie jakiś kumpel z uniwersytetu, którego znam od wielu lat.

– Proszę cię, serio! Zaraz odpadną mi plecy. Zadzwoń po niego. Nie mów tego wprost, ale chociaż zasugeruj, że zmagasz się z pakowaniem pudeł, i zobaczysz, czy zaoferuje pomoc. A poza tym chyba już nie masz prawa nazywać go kolegą z pracy, od kiedy ze sobą sypiacie.

– Spoko, zadzwonię. Ale na pewno nie zapytam, czy przyjedzie.

– To wszystko, czego chcę. Dzięki.

Wybrałam jego numer i w napięciu czekałam na połączenie. Jak zwykle nacięłam się na pocztę głosową.

Ja zawsze od niego odbieram, a on dziwnym trafem nigdy nie ma przy sobie telefonu, kiedy dzwonię. To irytujące.

– Hej, Will. – Nagrałam się po sygnale. – Tu Alex. Dzwonię, żeby zapytać, jak leci. Ja akurat się pakuję. Oddzwoni, kiedy odczytasz tę wiadomość.

– Cholera, poczta głosowa? – jęknęła Liv na myśl, że same będziemy musiały ogarnąć cały bałagan.

Rozejrzałam się po bajzlu, który był teraz jej apartamentem na wyłączność, i westchnęłam. Zdjęłam ze ściany moje zdjęcia i obrazki, po czym owinęłam je ręcznikami. Z szafek i szuflad powymowałam swoje kubki, patelnie, talerze, sztuce i sprzęty kuchenne. Natknęłyśmy się na mnóstwo przedmiotów, które kojarzyły nam się z chwilami spędzonymi razem, i wtedy zdałam sobie sprawę, jak bardzo będę tęskniła za Liv.

Dwie godziny później wszystkie moje rzeczy były spakowane, podpisane i gotowe do dalszej drogi.

Liv założyła ręce za kark i rozciągnęła plecy. Jej żółta bluza z kapturem cała pokryła się kotkami z kurzu, a ręce miała wysmarowane tuszem z gazet. Kiedy padła zmęczona na tapczan, znów zabręczał mój telefon.

– Typowe – westchnęła. – Założę się, że to Will. Pewnie wyczuł, że już go nie potrzebujemy

i jest bezpieczny, więc mógł ci spokojnie odpisać. Jak faceci to robią? Mają jakieś radary i chowają się pod ziemię?

Wydobyłam komórkę spośród poduszek na kanapie i otworzyłam klapkę:
SMS od: Kieriakis, Rick

Lubię dziewczyny, które udają takie niedostępne.

– To nie Will. To znowu Rick.

– Psychol – skwitowała, bawiąc się kosmykiem włosów.

– Ta, najwyraźniej. Z tej okazji idę spać.

Położyłam telefon na stoliku obok łóżka i z nieopisanym poczuciem straty, pogrążona w smutku ostatni raz ułożyłam się na tapczanie w naszej kawalerce przy Murray Hill.

X

Hojność wynosi się z domu

Kiedy świeży powiew nowojorskiej wiosny zamienił się w letni upał, Will i ja zaczęliśmy się wymykać i spotykać daleko od biura, żeby Chick nie przyłapał nas na gorącym uczynku i niczego się nie domyślił. Podejrzewałam, że jednym z powodów, dlaczego Will wcześniej nie chciał mnie nigdy odwiedzić, był fakt, że miałam współlokatorkę. Po mojej przeprowadzce zwiększyła się częstotliwość naszych wspólnych wyjść, spędzaliśmy ze sobą więcej czasu po pracy, sytuacja wydawała się ustabilizowana. Przynajmniej ja wołałam patrzeć na świat optymistycznie i uznałam, że szklanka jest do połowy pełna – po siedmiu miesiącach zaczęliśmy iść we właściwym kierunku. Rano zamawialiśmy oddzielne taksówki, wychodziliśmy z pracy o różnej porze i staraliśmy się do minimum ograniczyć flirtowanie w biurze. Relacja była dość swobodna głównie dlatego, że bałam się zapytać Willa, czy jesteśmy parą. Nie wiedziałam, jak zdefiniować nasz związek, ale jedliśmy wspólne obiady, piliśmy piwo w różnych lokalach dzielnicy Upper West Side, stawialiśmy zakłady w wyścigach konnych i oglądaliśmy filmy podczas deszczowych wieczorów. Cieszyłam się, że schodzimy na normalny tor, jednak Will ciągle był trudny do rozgryzienia. Wołał umawiać się w ciągu tygodnia, a nie w weekendy. Zawsze zachowywał dystans, ale uznałam to za środek ostrożności – nie chciał, żeby Chick nas nakrył. Też trochę obawiałam się reakcji szefa, ale przecież nie śledził nas w weekendy i preferował raczej inne miejsca na wieczorne wyjścia niż my. Will był wtedy zawsze poza zasięgiem. Jakby na czas od piątkowego wieczoru do poniedziałku rano zapadał się pod ziemię. Nie mogłam tego pojąć.

Oczywiście miałam też inne życie poza tym związanym z Willem. Spotykałam się z przyjaciółmi, nie siedziałam ciągle w domu, czekając na telefon od niego. Co nie znaczy, że nie chciałam, żeby od czasu do czasu zadzwonił... Starłam się nie stracić głowy, chociaż parę kwestii mnie dręczyło. Will to ekscentryczny gość, ale właśnie to w nim lubiłam, dlatego zdecydowałam się spróbować zaakceptować wszystkie jego dziwactwa. Nie miałam innego wyboru.

W lipcu zaczęliśmy jeździć na wybrzeże, oczywiście na plaże położone jak najdalej od Cromwell. To czyniło moje życie prywatne skomplikowanym, ale jakoś sobie radziłam. Również w lipcu w dziale handlowym Cromwell organizowano coroczną aukcję charytatywną – a muszę przyznać, że byłam pod wrażeniem ich zdolności podbijania cen. Startowe kwoty wystawianych przedmiotów od normalnych rosły do niebotycznych. Naprawdę nie miałam pojęcia, jak oni to robili. Aukcja odbywała się pod koniec dnia na naszym piętrze, a po jej zakończeniu wszyscy przenosili się na wielką imprezę w lokalu poza miejscem pracy. Bez wątpienia to był jeden z najfajniejszych dni w roku.

– Zobacz. To zabawne: dwa i pół tysiąca dolarów za partyjkę golfa z Darthem Vaderem w Shinnecock. Kto, u licha, wydałby na to kasę? – zapytałam Drewa.

– Na pewno wiele osób, pod warunkiem, że Baby Gap będzie nosiła kije – odparł, wyrwając mi z rąk broszurkę. – Hm, niektóre rzeczy są ciekawe. Bilety na mecz Giantsów, wycieczka na Bermudy, runda golfowa w Maidstone, wizyta w chińskim spa...

– O czym rozmawiacie? – zapytał Chick, zanurzając rękę w paczce chipsów.

– O aukcji charytatywnej.

– Niezłe opcje w tym roku. Miałem zamiar licytować wycieczkę, ale muszę gdzieś wyskoczyć po południu, więc nie będzie mnie tu w czasie całej akcji. Słyszysz, Dziewczynko? Ty policytujesz w moim imieniu.

– Ja? Poważnie?

– Tak, ty. Widzisz w tym jakiś problem?

– Nie. Oczywiście, że nie.

W istocie to mi nie przeszkadzało, ale podejrzewałam, że całe piętro miałyby coś przeciwko temu.

– Dobrze, ziomki, teraz najlepsze. Coś, czego nie ma nawet na liście. Bonus! Osobiście będę go licytował. Kto mnie przebiję?

– Schowaj się, Vin! – krzyknął anonim. – Sprawię, że wydasz kupę kasy!

Na piętrze było tylu ludzi, że nie było wiadomo, kto to powiedział. Zresztą to nie miało żadnego znaczenia.

– Codziennie rano robi wam kawę, milkshake'i i sprzedaje wam ciastka. Przyszedł czas, żeby podziękować mu za rok ciężkiej pracy. Wiecie, kto to – cichy bohater naszego piętra, jedyny i niepowtarzalny Jashim! Kto zapłaci, żeby zabrać go na lunch?

Jashim, ekspedient ze stoiska kawowego, wbiegł na piętro, delektując się każdą sekundą swoich pięciu minut sławy. Entuzjastycznie machał wszystkim na powitanie, ludzie bili mu brawo, a z głośników sączył się temat przewodni z *Rocky'ego*.

– Czy on ma zamiar wystawić na sprzedaż Jashima?

– To histerycznie zabawne.

– Vinny nie może wystawić na aukcję osoby!

– Dlaczego nie?

– Bydło się licytuje.

– Jashim nie jest krową!

– O, kurwa. Naprawdę? Dzięki za wyjaśnienie.

Jashim stał na krześle i uśmiechał się do swoich fanów, bo właśnie stał się celebrytą działu.

Nie słyszałam dzwonka telefonu, ale zauważyłam migającą lampkę. Odebrałam, krzycząc do słuchawki:

– Cromwell! – Przyduśliłam zestaw słuchawkowy mocniej do ucha w nadziei, że to mi pomoże usłyszeć rozmówcę wśród panującego harmidru.

– Gdzie jesteście?

– Cześć, Chick.

– Już blisko?

Zerknęłam na broszurę.

– Bermudy są na trzynastej pozycji. W tym momencie licytują Jashima.

– Co? Jashima nie było na liście!

– Sprzedany waszemu i mojemu ulubionemu wyjadaczowi przekąsek z maszyny na żetony, wielkiemu Billy'emu Marchettiemu! Gratulacje, Billy! – nadawał Vin.

– Marchetti właśnie wydał piętnaście tysiaków za lunch w towarzystwie Jashima.

– Uwierz mi, nie będzie tęsknił za tymi pieniędzmi. Co dalej?

– Wizyta w spa. Zazdroszczę przyszłemu zwycięzcy.

– No to wygraj tę aukcję dla siebie.

– Nie stać mnie.

– To na cele charytatywne, A. Nigdy nie słyszałaś, że dobroczynność zaczyna się w domu?

– Jestem zwolenniczką takich akcji, ale nie wydałabym tylu pieniędzy, żeby ktoś podrapał mnie po plecach.

– Pogadamy, kiedy będziesz bogata.

– Brzmi ucziwie.

– Sprzedane! – Vinny zakomunikował, że ktoś właśnie kupił wejście do spa za ponad dziesięć tysięcy dolarów dla swojej żony.

„Pieprzona farciara”, pomyślałam.

– Szeffie, teraz ty.

Wzięłam głęboki oddech i przygotowałam się na spektakularną kompromitację.

– Pozycja numer trzynaście – czterodniowy pobyt na wyspach Bermuda. Słońce, piasek i – co najważniejsze – cztery dni wolnego od pracy! Zaczniemy licytację od przyzwoitych dziesięciu tysięcy dolarów. Czy usłyszę propozycje?

Ułożyłam na głowie zestaw słuchawkowy, żeby Chick dobrze mnie słyszał. Nie mogłam tego spierdolić. Nie chciałam wracać za karę do punktu pocztowego.

– Cena wywoławcza to dziesięć tysięcy, Chick – oznajmiłam spokojnie.

- Dawaj dychę.
- Dziesięć tysięcy! – ryknęłam.

W jednym momencie wszyscy odwrócili się w moją stronę. Na twarzach ludzi malowało się zdumienie. Mogłabym dorysować nad ich głowami chmurki jak w komiksach – we wszystkich wpi-
sałabym to samo pytanie: „Czy ona właśnie... zaliczyła?”.

Stałam w szoku, podczas gdy wpatrywało się we mnie czterysta par oczu. Na twarz Vin-
ny’ego powoli wpełzł uśmiech.

- No i proszę! Padła propozycja od Alex. Kto da dwanaście tysięcy?
 - Dwanaście! – Na szarym końcu pomieszczenia w powietrze wystrzeliła ręka ochotnika.
 - Dwanaście tysięcy! Jedziemy, kochani! Otwórzcie serca i portfele! Szesnaście tysięcy.
- Czy słyszę „szesnaście”? – Vinny wodził wzrokiem po całym dziale, żeby nikogo nie przeoczyć.
- Teraz szesnaście tysięcy, szefie.
 - Licytuj.
 - Szesnaście tysięcy! – zaskrzeczałam.

Will zaczął się śmiać.

– Jasna cholera! Nie sądziłem, że to mieści się w ludzkich możliwościach, żeby mieć tak
czerwoną twarz, jak ty teraz.

- Zamknij się! Rozpraszasz mnie.
- Serce niemal wyskoczyło mi z klatki piersiowej.
- Osiemnaście! – zaproponował ktoś z tłumu.

W pomieszczeniu rosło napięcie, ludzie zaczęli się wzajemnie dopingować.

- Chick, już osiemnaście – wymamrotałam szybko do słuchawki.
- Powiedz dwadzieścia. Bardzo chcę tę wycieczkę, Dziewczynko!
- Dwadzieścia! – zawołałam zdzierającym się już głosem.

– Dwadzieścia od Alex. Panienska chyba bardzo chce się poopalać na egzotycznej plaży! To
teraz dwadzieścia trzy! Kto da dwadzieścia trzy tysiące?

- Dwadzieścia pięć! – Usłyszałam baryton z końca sali.

Dwadzieścia pięć? Miało być dwadzieścia trzy. Kto tak podniósł poprzeczkę? Odepchnęłam
krzesło Willa, żeby odsłonił mi widok.

„Och, nie... To się nie dzieje naprawdę”, lamentowałam w duchu. Vinny wskazywał
w stronę źródła tajemniczego głosu, który – jak się okazało – należał do Douga Hunlona. Doug był
szefem Chicka. A może nawet szefem szefa Chicka.

– Chick – syknęłam do słuchawki. – Doug Hunlon właśnie zaproponował dwadzieścia pięć
tysięcy. Chyba nie każesz mi...

- Licytuj trzydzieści! – Chick nie dawał za wygraną.

Ludzie tłukli miarowo pięściami o blaty swoich stanowisk tak, że całe pomieszczenie się
trzęsło. Zwinęłam dłonie wokół ust i zawylałam:

– TRZYDZIEŚCI!

Reese przybiegł nagle do mojego biurka i kibicował, udając, że kogoś boksuje:

- Pokaż im, maleńka! Dołóż im! Nie bierz jeńców!

Spojrzałam na niego i sprzedałam mu na żarty prawy sierpowy. Nagle Reese upadł na
podłogę i odgrywał rolę znokautowanego.

– Panna Alex da trzydziestkę! Ktoś ją przebije, ziomki? – Vinny uśmiechnął się do mnie zza
ambony. – Kto jest skłonny zapłacić trzydzieści pięć tysięcy dolarów? Ktokolwiek? Trzydzieści
tysięcy dolarów po raz pierwszy, po raz drugi i... po raz trzeci! Sprzedane! Alex jedzie na wy-
cieczkę za trzydzieści patyków!

Panowie klaskali, gwizdali i podskakiwali w miejscu.

Ja tymczasem najchętniej szybko wczłogałabym się pod biurko.

- Mam to? – Chick dopytywał się przez telefon.
 - Sprzedane dla ciebie, szefie. Za trzydziestkę.
 - Dobra robota, Alex. W nagrodę przywiozę ci z wakacji magnes na lodówkę.
- Klik. Odłożył słuchawkę.

Opadłam na krzesło i czekałam, aż przestanie dzwonić mi w uszach. Bałam się, że mam tętniaka.

Will rozmasował mi ramiona.

– Dobrze, że wielka impreza w Gansevoort jest już dziś. Drink na rozluźnienie dobrze ci zrobi.

– Albo dwanaście. Już nie mogę się doczekać. Słyszałam, że widok z dachu jest obłądny.

– No i co z tego? To ta sama panorama, którą widziałas już setki razy. Pewnie tylko turyści są pod wrażeniem.

– Cóż mogę odpowiedzieć... mam słabość do panoram.

– Naprawdę? A to ciekawe.

– Tak? Dlaczego tak sądzisz?

– Bez konkretnego powodu. Chcesz pójść do innego baru później wieczorem? Chick chyba organizuje jakiś afterek po przyjęciu na dachu.

– Nie, planuję wrócić do domu najpóźniej po 22.30. Widzimy się na dachu.

– Żebyś wiedziała. Słuchaj, mam coś dla ciebie. – Will dyskretnie położył na moim biurku kopertę.

– Co to takiego?

– Otwórz. – Uśmiechnął się.

Wyjęłam ze środka zaproszenie na całodzienną wizytę w spa Mandarin. Z wrażenia serce przestało mi bić.

– Kupiłeś to dla mnie?

– Tak. Teraz na licytacji. W końcu chyba właśnie minęła twoja rocznica. Zaczęłaś pracę dwanaście miesięcy temu, prawda? Poza tym uznałem, że należy ci się masaż po bieganiu z tyloma pizzami, które kazaliśmy ci dostarczać.

– O mój Boże. Nie wierzę, że to dla mnie zrobiłeś. Chciałabym cię teraz pocałować, ale pewnie by mnie zwolnili.

– Sama chciałaś, a pieniądze i tak pójdą na cel charytatywny. Zaśmiał się. – Skorzystaj. Później pomyślę nad sposobem, w jaki będziesz mi się mogła odwdziżyć.

Gdy dotarłam do Gansevoort, na dachu były już dzikie tłumy. Zamówiłam przy barze drinka i wyszłam na powietrze, żeby przywitać się z ludźmi. Will akurat rozmawiał z jednym z menedżerów, a kiedy mnie zobaczył, kiwnął, żebym podeszła na patio. Chick dyskutował o czymś z Rickiem – jedyną osobą, której chciałam za wszelką cenę uniknąć. Ale ku mojemu przerażeniu również machnął ręką, żebym do nich dołączyła. Nie miałam najmniejszej ochoty rozmawiać z Rickiem ani osobiście, ani za pośrednictwem SMS-ów. Zrobiłabym dla Chicka wiele, w końcu był moim szefem, a jednocześnie mentorem i przyjacielem, ale nie mogłam pozwolić, żeby wykorzystywał mnie jako przynętę dla klientów. Przykleiłam do twarzy obrzydliwie sztuczny uśmiech i jednak wykonałam jego polecenie.

– Cześć, szefuniu! – zaszczębiotałam i przybiłam z Chickiem zółwika.

Odwróciłam głowę w stronę Ricka i byłam gotowa powiedzieć: „Przestań do mnie pisać, ty pojebany lunatyku!”, ale zmusiłam się do grzeczniejszego powitania.

– Dobrze cię widzieć, Rick.

– Sporo czasu minęło od ostatniego spotkania, Alex. Pięknie dziś wyglądasz – powiedział, mierzając mnie wzrokiem jak opętany.

– Dzięki.

Wiedziałam, że nieźle wyglądam. W końcu pindrzyłam się godzinę dla Willa, bo wiedziałam, że też zjawi się na imprezie. Fakt, że mój żonaty prześladowca również zauważył ładną sukienkę, był jak niepożądany efekt uboczny. Jakbym wzięła aspirynę na ból głowy i trzeba było mi potem usuwać śluz. Wiedziałam, że nieźle wyglądam. W końcu pindrzyłam się godzinę dla Willa, bo wiedziałam, że też zjawi się na imprezie. Fakt, że mój żonaty prześladowca również zauważył ładną sukienkę, był jak niepożądany efekt uboczny. Jakbym wzięła aspirynę na ból głowy i trzeba było mi potem usuwać śluz.

– Więc jak długo będę musiał czekać, Chick, aż Alex przejmie twoje obowiązki i zajmie się kontaktami biznesowymi ze mną? Mogłaby spróbować... o ile nie gryzie.

– Wyluzuj, Rick! Alex musi się jeszcze wiele nauczyć, zanim przekażę jej jakiegoś klienta, już nie mówiąc o was, panowie. Na razie jesteście skazani na mnie.

– Wielka szkoda, stary druha. Piękna i mądra, Święty Graal piętra handlowego. Nie możesz mnie obwiniać, że próbowałem.

Chick ścisnął mnie za ramię w ojcowskim geście.

– Ostudź emocje, Rick – powiedział. – Nie wprawiaj dziewczyny w zakłopotanie.

Rick położył dłoń nisko na moich plecach i przyciągnął mnie do siebie.

– Myślę, że dałaby radę, Chick. Alex nie jest nieśmiała.

Chick odciągnął mnie z powrotem do siebie jak zabawkę, ale byłam mu za to niezmiernie wdzięczna.

– Nie, nie jest nieśmiała. Ale to nie otwiera dla ciebie sezonu polowania – powiedział, oplatając mnie protekcyjnie ramieniem.

Dwoma łykami opróżniłam zawartość swojej pełnej szklanki.

– Dobrze, na razie się poddam. Idę po nowego drinka. Miło było cię spotkać, Alex. Pracuj wytrwale, a być może któregoś pięknego dnia uda mi się przekonać Chicka, żeby mi cię powierzył.

Chciałam mu powiedzieć, że jeżeli jeszcze raz spróbuje mnie poderwać, połamię mu nogi, ale musiałam trzymać język za zębami. W tej branży trzeba wiedzieć, co można mówić, a co należy zatrzymać dla siebie. Musiałam ważyć każde słowo.

Chick wręczył mi kieliszek wina.

– Wejdz do środka i powiedz dziewczynom od organizacji przyjęć, że mogą iść do domu. Już ich nie potrzebujemy. Powinny pracować, a piją drinki w najlepsze. Nie mam zamiaru za to płacić.

Poszłam do przedsionka z windami, ale dziewczyny już pakowały swoje rzeczy. Korzystając z okazji, poszłam do damskiej toalety, żeby poprawić fryzurę i makijaż. Gdy wreszcie byłam gotowa do rozmowy z Willem i chciałam pokierować się na patio, drogę zaszedł mi Rick. Opierał się o ścianę i żuł w ustach wykałaczkę.

– Och, hej, Rick.

Próbowałam go ominąć, ale wystawił ramię jak szlaban. Mogłam się zatrzymać albo zaryzykować bezpośredni kontakt jego ręki z moją klatką piersiową.

Zmroziło mnie. Byłam w potrzasku w malutkim zakątku przedsionka między windą a damską toaletą. Uśmiechnęłam się, mimo że tak naprawdę miałam ochotę przyłożyć mu pięścią w zęby.

– Wychodzisz już?

„Błagam, powiedz: tak”.

– Jeszcze nie.

Cholera jasna.

Zaczął wywijać w powietrzu wykałaczką jakby dyrygował niewidzialną orkiestrą.

– Chciałem z tobą porozmawiać na osobności. Chick szybko mnie zgasił, kiedy zaproponowałem, żebyś przejęła jego obowiązki. Myślę, że chciałby cię mieć całą dla siebie. Nie to, żeby go obwiniał.

Boże, czym ja sobie na to zasłużyłam?

– Doceniam tę ofertę.

Byłam przekonana, że Rick potrzebuje osłody.

– Zapamiętaj moje słowa. Pewnego dnia mnie przejmiesz. Myślę, że stworzymy zgrany duet. Z przyjemnością usłyszę twoje zdanie na temat rynków... albo na mój temat.

Chciał usłyszeć moje zdanie na jego temat? Któregoś razu nie omieszkać przekazać, co o nim myślę.

Klepnął mnie delikatnie w pupę, a mnie wypełniło uczucie obrzydzenia. Zamknęłam oczy i starałam się przywrócić mojemu oddechowi normalne tempo. Rick przekroczył granicę, ale nieznacznie – zbyt nieznacznie, żeby poskarżyć Chickowi. W końcu faceci też dają sobie klapsy, na przykład sportowcy.

Wróciłam na dach i rozmawiałam z ludźmi. Przedstawiłam się jednemu z klientów Druwa, z którym już zresztą rozmawiałam, kiedy Drew był nieobecny. Rozejrzałam się za Willem i wypatrzyłam go w przeciwległym rogu – gadał z Baby Gap. Świetnie. Z impetem przemaszerowałam

przez cały dach i poszłam do baru. Chick zastał mnie tam później w towarzystwie paru handlowców. Uszczypnął mnie zaczepnie w nos.

– Przepraszam za Ricka, Alex. Po prostu go ignoruj. To dobry facet, ale z jakiegoś powodu się na ciebie wziął. Uważa, że jesteś zabawna. Poza tym lubi dziewczyny z ikrą, a ty masz jej sporo.

– Dzięki. Chyba.

Spojrzałam na zegarek – była 22.30. Najwyższy czas wracać do domu.

– Chick, będę już lecieć.

– Okej. Wracaj bezpiecznie.

Próbowałam jeszcze raz wypatrzeć Willa w tłumie. Chciałam się z nim pożegnać, ale trudno było mi go namierzyć w morzu facetów ubranych w khaki. W końcu dałam sobie spokój i skierowałam się w stronę wyjścia. Nagle zadzwonił mój telefon.

– Halo?

– Cześć, Alex. Tu Hannah.

– Hannah? Nie jesteś przypadkiem na imprezie?

– Jestem, tuż za tobą.

– Więc po co, do cholery, dzwonicz? Nie mogłaś podejść? – Odwróciłam się. Stała na środku i do mnie machała. – Jesteś kilkanaście kroków dalej.

– Chciałam z tobą pogadać.

– Przez telefon?

– Tak! Tutaj przyszedł taki uroczy klient, ale mnie ignoruje. Muszę sprawić, żeby pomyślał, że jestem ważna, to wtedy może do mnie zagada.

– Ale ty nie jesteś ważna.

– Ale on tego nie wie.

– Nie dałabym głowy.

Rozłączyłam się i patrzyłam, jak Baby Gap nawija do głuchej słuchawki.

Wyszedłam z hotelu, powłócząc nogami. Stopy strasznie mnie bolały od stania cały wieczór w szpilkach. Już miałam skrócić na zachód i zamówić taksówkę, kiedy otworzyła się szyba samochodu stojącego parę metrów od wejścia. Wychylił się przez nie Will.

– Co tak długo?

– Brzmisz, jakbym wiedziała, że będziesz tu na mnie czekał. Szukałam cię na górze. Gdybyś mnie poinformował, przyszłabym szybciej.

– Wymknąłem się. Nie chciałem, żeby Chick zauważył nas wychodzących razem. Sterczę tu już przeszło kwadrans. Potwornie mi się nudziło!

– Dzięki, że poczekałeś. To był dobry pomysł, że wyszedłeś przede mną, ale następnym razem mógłbyś mnie uprzedzić.

– Zamknij dziób i wskakuj do auta! – zażądał, śmiejąc się głośno. – Strasznie się czasem wymądrzasz. Wiesz o tym?

– Myślałam, że to akurat rzecz, którą we mnie lubisz?

– Jedna z wielu rzeczy, które w tobie lubię.

Wgramoliłam się na tylne siedzenie, zahaczając butami o skórzaną tapicerkę, która strasznie zaskrzypiała.

– Cieszę się, że odwożę cię do domu, ale najpierw jednak chciałbym zrobić krótki przystanek.

– Dokąd jedziemy?

– Chcę ci coś pokazać. Zaufaj mi.

– Ostatnim razem, kiedy kazałeś sobie zaufać, obudziłam się w twoim mieszkaniu spóźniona do pracy dwie godziny.

Zaparkował przed TriBeCa.

– Gdzie my jesteśmy?

– Wejdzmy do środka.

Pojechaliśmy windą na ostatnie piętro i wyszliśmy przez maleńkie drzwi na pusty dach.

Stałam, delektując się przyjemnymi podmuchami powietrza, i podziwiałam coś, w czego istnienie na Manhattanie nie wierzyłam: gwiazdy. Podeszliśmy do niskiej ściany ograniczającej dach. To był dopiero widok miasta. Przed nami rozciągała się doskonała panorama Nowego Jorku – zarys Midtown, Empire State Building, snujące się jak węże rzeki Hudsona i East River, oraz migające światełka mostów na wschodzie. Na północy stał sznur samochodów, który wyglądał jak lampki choinkowe. Nigdy nie widziałam czegoś tak spektakularnego.

– Skąd wzięłeś klucze, żeby się tu dostać? – zapytałam, obracając się o trzysta sześćdziesiąt stopni.

Czułam się tak, jakbym była w mieście sama.

– Kumpel mieszka w tym budynku. Dał mi klucze dzisiaj po pracy. Kiedy powiedziałaś mi, że lubisz pejzaże, pomyślałem, że cię tu przyprowadzę.

– Zapewniłeś mi dzisiaj tyle niespodzianek! Czuję się rozpieszczana.

Will przysunął mi krzeselko stojące przy małym stole w rogu dachu. Przysunął też drugie dla siebie i wyciągnął wygodnie nogi. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, podziwiając widok na północ, przyglądając się światłom. Budynki wyrastały jak gigantyczne stalagmity.

– Lubię cię rozpieszczać. Mówiłem ci, że Gansevoort to przy tym nic.

– Nie ma porównania! Tutaj jest wspaniale. Daje się zapomnieć, że miasto tak naprawdę jest gówniane.

– Prawie. Doceniasz proste rzeczy, prawda?

– Tak sądzę. W naszej branży tyle się dzieje, że czasem warto zrobić krok w bok i cieszyć się chwilą. Ja nie uważam, że tylko coś drogiego może być wyjątkowe. Sama zresztą nie mam zbyt dużo pieniędzy, żeby móc sobie pozwolić na dziwactwa. A tu mi się najbardziej podoba. Co najlepsze – ten dach jest za darmo.

– Nie do końca. Mój kolega niedługo będzie się musiał sprzedać, żeby opłacić mieszkanie w tym budynku.

– Cóż, w takim razie darmowy dla nas! – Zaśmiałam się.

– Co prawda, to prawda. Dobrze się bawiłaś na przyjęciu?

– Rick Kieriakis zapędził mnie w kozi róg i popsuł mi całą frajdę z imprezy.

– Tak, ma do tego tendencję.

– Podrywał mnie. I to ostro. Wiesz w ogóle, od kogo dostał mój numer? Ty mu go dałeś?

– Oczywiście, że nie. A co? Wydzwania do ciebie? Dlaczego dopiero teraz się o tym dowiaduję? – zapytał zaskoczony.

Może faktycznie powinnam była wcześniej o tym wspomnieć. Bo to jednak było problematyczne. I to bardzo.

– Nie, pisze do mnie. Trudno mi było do tego nawiązać w rozmowie. Może gdybyś łaskawie odbierał telefon, wcześniej byś się dowiedział.

Ugryzłam się w język tuż po tym, jak to powiedziałam. Zabrzmiałam jak jedna z tych niepewnych siebie dziewczynek, których nie cierpiałam. Tych zaborczych, wiecznie potrzebujących pomocy i marudnych.

– Masz mnie teraz do dyspozycji. Mów. Co się dzieje? Kiedy to się zaczęło?

– Kiedy byliśmy na spotkaniu w Buddha Barze. Nie mogłam rozszyfrować, skąd miał mój numer. Skoro nie ty mu go dałeś, to może Chick?

– Na pewno by tego nie zrobił. Chyba znasz historię Cruelli i Ricka?

– Słucham? Nie. Jaką historię? – zapytałam zszokowana.

Słyszeć obydwa te imiona w jednym zdaniu obok siebie było jak zetknięcie się z osią zła.

– Spotykali się, gdy Cruella była jeszcze singielką. Legenda głosi, że bardzo go polubiła, a on ją wystawił. Nie znam dokładnie przebiegu całej sprawy. W każdym razie nieźle przez niego ześwirowała.

– Dlaczego o tym nie słyszałam? Myślałam, że powiedzieliście już wszystkie mroczne epizody z nią związane.

– To się działo dawno temu. Reese kiedyś zażartował, że historia z Rickiem uruchomiła włącznik maszyny, która zamieniła ją we wredną wiedźmę. Nie ma mowy, żeby Chick go do ciebie

dopuszcili. Nie pozwoliliby Rickowi zniszczyć kolejnej kobiety w jego drużynie.

– Więc mówisz, że to Rick jest odpowiedzialny za jej okrucieństwo i paskudny charakter?

– Na to wygląda. Nie sądzę, żeby od zawsze taka była. Musiała przeżyć jakąś traumę, chociaż trudno ją sobie wyobrazić w innym wcieleniu.

– Masz rację.

Nagle przypomniałam sobie komentarz, którym rzuciła kiedyś w damskiej toalecie. Co ten facet jej zrobił, do cholery, że teraz Cruella na wszystkich się mści? Myśl, że miałam być jego kolejną ofiarą, nie dawała mi spokoju. Musiałam zmienić temat, bo rozmowa o Ricku przyprawiała mnie o mdłości. I tak zabrał mi już za dużo czasu.

– Jak myślisz, co zrobiłby Chick, gdyby się dowiedział, że się spotykamy? – zapytałam, a w mojej głowie zaczęły pojawiać się przerażające obrazy wściekłego Chicka po odkryciu, że złamałam jego naczelną zasadę. O kurwa.

– Prawdopodobnie przywiązałby cię do krzesła i zamknął w szafie.

– Smutna sprawa, ale w to wierzę.

Nie chciałam wyjść z siebie, ale wizualizowanie sobie reakcji Chicka stało się moją obsesją. Pomyślałam, że nie zaszkodzi zapytać. W końcu ktoś już się kiedyś nie zastosował.

– Więc co by się stało?

– Ale co masz na myśli?

– Gdybyśmy dalej się spotykali. To dziwne udawać w biurze, że ledwo cię znam. Chyba nie powinno tak zostać na zawsze. Czy powinno?

– Uważam, że prędzej czy później się ujawnimy. Ale jeszcze nie w tym momencie. Może przestań się teraz zadrećcać, hm? Bawmy się, jest piękny wieczór.

– Masz rację – odparłam, mimo że wcale się z nim nie zgadzałam.

– Jakie plany na weekend? – zapytał.

– Miałam cię właśnie o to samo zapytać. Będiesz w mieście?

Skoro już wygadałam się ze skrywaną pretensją o brak kontaktu w ciągu weekendu, stwierdziłam, że pójdę za ciosem. Co mi szkodziło zapytać, czy zrobi wyjątek? Chyba byliśmy na takim etapie, że pytanie o wspólny weekend wcale nie powinno dziwić. W najlepszym wypadku pojechalibyśmy gdzieś w niedzielę, w najgorszym – popełniłabym samobójstwo.

– Niestety nie. Jadę do Bostonu.

Ramiona opadły mi z rozczarowania, ale starałam się zachować pogodną minę.

– A co tam będziesz robił?

– Mam tam spotkanie w poniedziałek rano, ale jeden z moich szkolnych kolegów mieszka w Bostonie, więc postanowiłem u niego nocować. Umówiliśmy się na weekend. Wrócę w poniedziałek wieczorem.

– Nie wiedziałam, że masz bostońskich klientów.

– Właśnie ogarnąłem fundusz hedgingowy – powiedział luzacko.

– Och, super! To wspaniała wiadomość. Przynajmniej połączysz przyjemne z pożytecznym.

– Myślałem, że już to robię.

– Celna uwaga.

Zabrzączał mi telefon. Dostałam wiadomość. Zerknęłam na zegarek. Była prawie północ. Wiedziałam, że to SMS od Ricka. Nawet nie musiałam sprawdzać. Nikt inny nie wysyłałby mi wiadomości o tej porze.

SMS od: Kieriakis, Rick

Dlaczego się nie pożegnałaś przed wyjściem?

Oryginalne. Chryste, już Heidi Fleiss dostawała ciekawsze wiadomości niż ja! Bez słowa wrzuciłam komórkę z powrotem do torebki.

Will się uśmiechnął i powiedział:

– Zrobiło się późno.

– Wcale nie chcę opuszczać tego miejsca.

- Możemy tu wrócić innym razem.
- Klawo. Powiedz swojemu kumplowi, że zabraniam mu się przeprowadzać.
- Nie omieszkam!
- Zechciałbyś odwieźć mnie do domu?
- Nie żartowałem. Naprawdę zamierzałem cię podrzucić.
- Dzięki. Tylko pamiętaj, że ja nie mam takiego widoku z okna.
- Remiza strażacka pod budynkiem nie jest taka zła, pod warunkiem, że o 3 w nocy nie budzą cię wyjące syreny, bo płonie winiarnia. Nie wiem, jak ty to wytrzymujesz.
- Racja, powinnam była lepiej to przemyśleć. Po prostu czasami tak się na coś nakręcę, że nie zważam na wady. Mam tak na przykład z mieszkaniami.
- „I z chłopakami, ale to już raczej inna para kaloszy...”, pomyślałam.
- Will uśmiechnął się i objął mnie w pasie, kiedy schodziliśmy po schodach.

XI Małe zoo

Rozpakowanie się i umoszczenie w apartamencie na West Village zajęło mi dwa miesiące. Liv miała rację. Jeśli zamierzam znaleźć sobie faceta, to powinnam poszukać takiego, który pomógłby mi w przeprowadzce. Will nawet nie ruszył ręką, kiedy się pakowałam, ale przydał się podczas rozpakowywania. Podłączył mi sprzęt elektroniczny, powiesił obrazy, złożył nowy stół pod telewizor. Doceniałam jego wysiłki i naprawdę cieszyłam się, że staję się coraz ważniejszą częścią mojego życia. W sierpniu wreszcie poczułam się jak u siebie w domu. Byłam też pewna, że wynajmując mieszkanie w centrum, podjęłam właściwą decyzję. Nie było tanie, ale za to większe i pozwalało mi szybciej dotrzeć do pracy. A kiedy przyzwyczałam się do wozów straży pożarnej, zaczęłam się wysypiać. Przyjaciół widywałam rzadziej niż wtedy, gdy mieszałam z Liv, ale i tak byłam szczęśliwa. Miałam ku temu powody.

– Dobrze, że widzę was tu oboje – powiedział do nas Chick, kiedy staliśmy, rozmawiając przy moim biurku. – Macie już plany na weekend?

– Niezupełnie. A co, coś się dzieje? – zapytałam.

Lato dobiegało końca, więc powinnam spróbować je wykorzystać i zaplanować jakieś atrakcje, ale... nie zrobiłam tego. Annie i Liv wybierały się na weekend do Hamptons. Ja postanowiłam spędzić trochę czasu w moim nowym, przytulnym apartamencie. Liczyłam też po cichu na trochę czasu z Willem.

– Ja też – stwierdził. – Mam plany na piątkowy wieczór, a poza tym jestem wolny. Chyba że chcesz, żebym pracował. W takim razie mam wszystkie terminy zajęte – dodał.

Zastanawiałam się, z kim zamierzał się spotkać, a przy okazji chciałam skopać sobie tyłek za to, że nie zabezpieczyłam się tak jak on.

– W sobotę po południu wydajemy przyjęcie urodzinowe z okazji trzecich urodzin Gracie. Moja żona wynajęła małe zoo i tego rodzaju bzdury. Powiniście przyjść. Poproście Nancy o adres mojego domu w Westchester. Powiedźcie jej też, żeby zarezerwowała wam samochód. Impreza zaczyna się o pierwszej.

Zanim zdążyłam wymyślić jakiś powód, dla którego nie mogłam się pojawić, usłyszałam, że Will odpowiada za nas dwoje.

– Super. Pojawimy się.

Interesujące. Naprawdę interesujące. Od kiedy właściwie mówi o nas „my”?

– Czy któryś z chłopaków też wpadnie? – zapytał Will.

– Zaprosiłem kilkoro wraz z rodzinami. Większość odmówiła, bo mieli weekendowe plany związane z dziećmi. Wiem natomiast, że wy nie macie żadnych dzieciaków, a przynajmniej nic o tym nie wiecie. Nie martwcie się, będzie bar, więc jakoś sobie poradzicie.

Will zaśmiał się i wrócił do swojego biurka.

– Nie mogę się doczekać, szefie – powiedziałam, choć szczerze mówiąc, nie potrafiłam wymyślić niczego, co mogłoby mnie mniej kręcić niż gapienie się na dzieciaki obłapiające kozy w Westchester.

Nie zamierzałam jednak odpuścić sobie tej imprezy. Wyglądało na to, że spędzę weekend z Willem, co nie było złe (choć kozy wydawały mi się niepotrzebne).

Wiadomość od: Patrick, William

A -

Przyjadę po ciebie o 12.30. Nie wiem, co kupuje się trzylatkom, więc decyzję pozostawię tobie. Upewnij się tylko, że wpiszesz mnie na karteczce z życzeniami i dasz znać, ile jestem ci winien.

Dwie godziny w samochodzie, sam na sam z Willem, to nie najgorszy sposób na spędzenie popołudnia. Co do prezentu to uznałam, że najlepiej sprawdzić w internecie, co jest na topie wśród trzylatków. Podarowanie córce Chicka jakiejś tandety było ostatnią rzeczą, jaką zamierzałam zrobić.

Kiedy weszłam na stronę Toys „R” Us, usłyszałam za plecami donośny głos Marchettiego.

– Przyniosłem ciasteczka! Sorki, wiem, że miały być w lipcu, a przydzwiganie ich tutaj zajęło mi okrągły miesiąc!

Ciasteczka! Przez te cztery miesiące zdążyłam o nich zapomnieć. Patrzyłam zachwycona, jak Billy i trzech jego kumpli zbliża się do biurka Willa, niosąc olbrzymie ilości łakoci. Dziesiątki pudełek!

– Dobra, chłopcy, połóżcie je tutaj. Willy, w tym roku to ty kupiłeś najwięcej. Moja córka Sarah jest ci za to wdzięczna. Skuter bardzo jej się podoba.

Will zrobił wielkie oczy.

– Zaraz, Billy, to jakaś pomyłka. To na pewno nie są moje ciasteczka. Zamówiłem jedynie osiem pudełek!

Pomagierzy Marchettiego budowali wieżę u jego stóp.

– Co, do diabła, się dzieje? – zapytał podrażniony Will.

– O co ci chodzi? Oczywiście, że są twoje. Mam tu zresztą formularz z zamówieniem.

Will wyrwał mu go z rąk.

– Ktoś już nie żyje. Czyja to sprawa? – zapytał i podniósł go do góry. – Przyznać się, kto to zrobił!? Reese? Tu wszędzie jest twoje imię!

Reese podszedł do niego.

– O co ci biega? Nic nie zrobiłem.

– Ktoś przerobił moje zamówienie na osiem pudełek na zamówienie na osiemdziesiąt! Co, do cholery, zrobię z osiemdziesięcioma pudełkami ciasteczek?

W tym samym momencie Billy położył przed nim ostatnie dwa pudełka.

– Wisisz mi trzysta czterdzieści sześć dolarów. Możesz wypisać czek. Pasi?

– Nie, nie pasi. Cholernie nie pasi. Chcę wiedzieć, kto jest odpowiedzialny za to, że wywaliłem trzysta czterdzieści sześć dolarów na jakieś głupie ciasteczka!

Nie odezwał się. Udawałam, że oglądam paznokcie.

Reese pierwszy się zorientował.

– Cholera, Dziewczynko! – zawołał i zaśmiał się. – Zrobiłaś to? Klasyka!

– Nie zrobiłaś tego! – Will podbiegł do mojego biurka. – Powiedz, że tego nie zrobiłaś!

– I tak uczeń przerósł mistrza – stwierdził Reese i pokłonił mi się z szacunkiem. – Uważam cię za prawdziwą bohaterkę – dodał.

Zaczęłam się śmiać do rozpuku.

Czułam się doskonale, będąc wreszcie po drugiej stronie żartu.

– Już nie żyjesz, Alex. Co, do diabła, mam zrobić z górą ciasteczek miętowych oraz dwudziestoma pudełkami kanapeczek z masłem orzechowym, którego zresztą nie lubię?

– Oficjalnie stałaś się moją ukochaną osobą na piętrze. Dlaczego sam na to nie wpadłem? – zapytał Drew, żując bułeczkę z wiórkami kokosowymi.

– Poważnie muszę za to zapłacić? – upewnił się Will.

– To nie wina skautek, że Alex przerobiła cię jak dziwkę za dziesięć dolarów. Płać! Poczekaj tylko, aż się wszyscy o tym dowiedzą. – Zaśmiał się Chick.

– Bój się mnie, Alex. Bardzo bój. Pożałujesz tego!

– Nie mogę się doczekać – odpowiedziałam zalotnie. – Mogę dostać pudełko ciasteczek miętowych? Odnoszę wrażenie, że masz kilka wolnych.

– Udław się nimi – stwierdził i rzucił mi jedno.

Wiadomość od: Patrick, William

Wciąż nie mogę uwierzyć, że miałaś dość jaj, żeby wykręcić mi taki numer. Ciesz się, że cię

lubię, bo inaczej bym cię zniszczył!

Wiadomość od: Garrett, Alex

Nie mogłam się oprzeć. Wciąż jesteśmy przyjaciółmi?

Wiadomość od: Patrick, William

Zastanowię się nad tym. Być może wymyślę jakiś sposób, żebyś mi to wynagrodziła.

„Mam nadzieję”, pomyślałam. O to przecież chodziło.

– Co właściwie jej kupiliśmy? – zapytał Will, przeglądając wiadomości na swoim BlackBerry.

Siedzieliśmy na tylnej kanapie samochodu jadącego na imprezę urodzinową Gracie Ciccone.

Nie wiedziałam, co założyć na taką okazję. W końcu gwiazda dnia miała nosić pieluchy Huggies. Ostatecznie zdecydowałam się na czarne spodnie i różowy, jedwabny top.

Will naciągnął rękawy swojego żółtego polo aż do łokci i przesunął rękami po wypłowiałych dżinsach.

– Kupiliśmy jej kuferek z sukienkami, bucikami i perukami, tak by mogła przebrać się za dowolną disnejowską księżniczkę.

– Kim, do cholery, jest disnejowska księżniczka?

– No wiesz, Królowa Śnieżka, Śpiąca Królowna, Bella z *Pięknej i Bestii*...

– Ach, kapuję. Zawsze byłem fanem Tygrysa.

– A w ogóle to wczoraj wieczorem dzwoniłam do ciebie. Nagrałam się nawet na skrzynkę głosową. Odebrałeś wiadomość? – zapytałam.

Próbowałam ukryć zdenerwowanie, ale jego telefoniczne zwyczaje (a raczej ich brak) skutecznie doprowadzały mnie do szaleństwa.

Odbieranie rozmów nie było przecież takie trudne. Robiliśmy to setki razy dziennie!

– Sorry, tak, racja. Wyciszyłem telefon i zorientowałem się dopiero rano. Co chciałaś?

– W sumie nic. Chciałam tylko powiedzieć, że kupiłam kartkę – dodałam. Nie zdołałam się powstrzymać. – Ty nigdy nie odbierasz.

– Dziękuję za załatwienie prezentu. Przepraszam, że nie oddzwoniłem – odpowiedział jak gdyby nigdy nic.

– Nie ma sprawy – skłamałam.

„Przecież nigdy nie oddzwoniasz!”, dodałam w myślach.

Wyjrzałam przez okno. Mijaliśmy właśnie przepiękne podmiejskie domki. Po chodniku marszerowało dwóch chłopaków w wieku dwunastu-trzynastu lat, każdy z nich prowadził na smyczy dalmatyńczyka. Nagle dotarło do mnie, że te psy zapewne wiodły lepsze życie niż przeciętny człowiek. Potem coś innego przyszło mi do głowy.

– O Boże! – zawołałam i ze strachu ścisnęłam nogę Willa.

Byłam przygotowana na spotkanie z Rickiem. Przygotowywałam się do tego od momentu, gdy Chick nas zaprosił, bo spodziewałam się, że Rick tam będzie.

Pewnie dlatego zapomniałam przygotować się na spotkanie z Cruellą.

– Czy Cruella wybiera się na urodziny? – zapytałam. – Czy kilka najbliższych godzin spędzimy na unikaniu jej i Ricka?

– Nie sądzę. Ona i Chick nie utrzymują relacji towarzyskich. Dziś będziesz miała do czynienia tylko z jednym dupkiem, więc niczym się nie martw.

Westchnęłam z ulgą. Nie zdzierzyłabym ich obojga, a mój mózg z pewnością by eksplodował. Kierowca zwolnił przed olbrzymim domem w stylu Tudorów, położonym na wieloakrowej posiadłości. Dwóch kamerdynerów skierowało go na prowizoryczny parking kawałek dalej. Różowe balony wystające z czarnej skrzynki pocztowej objęły się o siebie. Piski dzieci słyhać było nawet

na ulicy.

– Co się stało ze starymi, dobrymi przyjęciami urodzinowymi? Ja na przykład dostałam kiedyś ciasto lodowe oraz sztuczny ośli ogon. Kiszka!

– Nie pamiętam, żebym w ogóle miał jakieś przyjęcia. Ale to Chick. On nie robi niczego na pół gwizdka.

– Racja.

Kiedy szliśmy po chodniku z kamiennych płytek, Will wziął mnie pod ramię. Potem zadzwonił do drzwi.

Otworzyła je młoda kobieta o latynoamerykańskich rysach. Zabrała prezent od Willa i kazała nam iść za sobą. Przeszliśmy przez foyer do gigantycznej kuchni, w której roilo się od kelnerów, pracowników serwisu i niań. Wszędzie wisiał nierdzewny sprzęt kuchenny firmy Viking, a pod ścianą stał też rząd zmywarek, które przydawały się, gdy państwo Ciccone imprezowali. Garnki i patelnie wszelkich możliwych rozmiarów zwisały z mosiężnego stojaka wiszącego pośrodku pomieszczenia, a za szklanymi drzwiami kredensu stały dwa miksery KitchenAid. Podwójne drzwi w stylu francuskim prowadziły na patio oraz rozległe podwórkę.

Wyszliśmy więc na zewnątrz i dołączyliśmy do kłębiącego się tłumu.

Pokojówka odstawiła nasz prezent na olbrzymią stertę piętrzącą się na prostokątnym stole. Kiedy zeszlśmy za nią na trawnik, podskoczyła do nas kelnerka i zaoferowała kieliszek szampana. Przyjęłam go z wdzięcznością.

– Dzięki, zaczekam na piwo – odpowiedział uprzejmie Will. – Czy tylko mi się wydaje, że mężczyzna pijący szampana w południe ma w sobie coś z kobiety?

– Masz rację. Laski z pewnością zauważyłyby, że pijesz babski drink. Piwo to bezpieczniejszy wybór.

Kiedy Will wyciągał piwo z lodówki, przyjrzałam się ludziom stojącym przy barze i zauważyłam kilka znajomych twarzy.

T.C. był na miejscu, próbował rozbawić towarzystwo. Zastanawiałam się, która z kobiet stojących na trawniku miała tego pecha, żeby być jego żoną. Rick konwersował z hojnie obdarzoną przez naturę blondynką, która kiedyś z pewnością była ładna, ale niezbyt fajnie się starzała. Próbowałam się domyślić, która z kobiet w dwuczęściowych ciuchach była panią Ciccone, ale okazało się to niemożliwe – po prostu wszystkie wyglądały tak samo.

Super.

Na trawniku rozstawiono stoły przykryte naprzemiennie różowymi i białymi obrusami, z kwiatowymi dekoracjami pośrodku. Kiedy Will ponownie pojawił się u mojego boku, dostrzegł nas Chick i podszedł się przywitać. Zauważyłam, że po drodze dyskretnie przejrzał się we francuskich drzwiach, wsunął białą koszulę w spodenki khaki oraz poprawił sprzączkę brązowego, skózanego paska.

– Kochani! – zawołał, szeroko się uśmiechając. Uścisnął dłoń Willa, a potem cmoknął mnie w policzek. – Dzięki, że wpadliście. Poczęstowaliście się już drinkami? – zapytał.

Unieśliśmy szkło i zapewniliśmy go, że na froncie walki z napojami wszystko jest w porządku.

– Masz cudowny dom, Chick. Gdzie gość honorowy? – zapytałam.

– Och, dzieciaki zajmują się zwierzakami. Trzymamy je na uboczu, bo Maggie nie znosi hałasu, jaki robią wokół siebie kozy – wyjaśnił, a ja odnotowałam, że pani Ciccone ma na imię Maggie.

Szef gestem dłoni zachęcił nas, żebyśmy poszli za nim.

– Chodźmy się z nią przywitać. Chciała cię poznać, Alex.

Poszliśmy za Chickiem na drugą stronę domu. Jakies dwadzieścia metrów dalej znajdowała się drewniana zagroda z dwiema kozami i owieczkami, a także duża klatka z trzema białymi królikami. Ich opiekunowie pomagali dzieciakom głaskać kozy i dźwigać króliki, jednocześnie za każdym ze smarkaczy paradowała babysitterka. Przypominało to istny cyrk dla trzylatków i kompletnie nie przeszkadzało rodzicom bawiącym się po drugiej stronie domu. Chick zdecydowanie wiedział, jak się robi przyjęcia.

Ruszyliśmy w stronę stołów. Na nasz widok podniosła się zza nich drobna blondynka. Jej niebieska, obcisła sukienka powiewała na wietrze, a niebiesko-białe, kropkowane baleriny ledwo wystawały spod bujnej trawy. Bez wątplenia była jedną z najgustowniej ubranych kobiet, jakie kiedykolwiek widziałam. Maggie ściągnęła z nosa gigantyczne okulary słoneczne Chanel, odsłaniając jasnozielone oczy, po czym zajęła miejsce u boku męża.

– Mags, znasz Willy’ego – powiedział Chick.

Will ujął ją za rękę i pocałował w policzek.

– Miło cię zobaczyć, Maggie. Niezłe przyjęcie.

Kobieta delikatnie go uścisnęła.

– Cieszę się, że cię widzę, Will. Co u ciebie słychać? Wciąż łamiesz serca na całym Manhat-
tanie?

– Niechący. Przysięgam.

– Jakoś w to nie wierzę – zażartowała, po czym zainteresowała się mną.

Chick postanowił mnie przedstawić.

– A to Alex – powiedział.

Maggie wyciągnęła swoją perfekcyjnie zadbaną dłoń.

– Miło mi cię wreszcie poznać, Alex. Sporo o tobie słyszałam. Jak ci się podoba w Crom-
well?

– Jest cudownie. Dziękuję, że nas zaprosiliście. Macie piękny dom.

– Nie ma sprawy. Cieszę się, że wreszcie się poznaliśmy. Bawcie się dobrze – stwierdziła Maggie i klepnęła mnie w ramię, po czym ruszyła w stronę stołów. – Alex, a może chciałabyś posiedzieć z nami, dziewczynami? – dodała i spojrzała na mój niemal pusty kieliszek szampana. – Za-
raz załatwimy ci kolejnego drinka. Poza tym musisz poznać resztę pań.

Chick z radością pozostawił mnie w towarzystwie kobiet, na który to luksus nie mógł sobie pozwolić w pracy.

– Świetnie – powiedział. – Will, pokażę ci mojego nowego harleya. Stoi w garażu.

– Jeździsz na harleyu, Chick? – zainteresowałam się.

Próbowałam wyobrazić sobie mojego dostojnego, świetnie ubranego szefa w skórzanych spodniach i T-shircie z napisem „Jeśli możesz to przeczytać, to najwyraźniej laska zsunęła mi się z pleców” pędzącego na potężnym motocyklu. Chick natychmiast wyciągnął swój gruby palec w moją stronę.

– Nie śmieję się ze mnie. Jazda na motocyklu to prawdziwe *katharsis*. Przeżyłem jedno dzie-
sięć lat temu i właśnie przymierzam się do następnego.

– Równie dobrze moglibyśmy spalić te pieniądze w kominku – wtrąciła pani Ciccone.

– Kiedy zaczniesz pracować i zarabiać, wtedy będziesz mogła się mądrzyć, Mags. Do tego czasu mam prawo kupić sobie całą flotyllę motocykli, jeśli tylko będę miał na to ochotę. –

Uśmiechnął się Chick. Fajnie wiedzieć, że grozi żonie w ten sam sposób, co mnie. Przynajmniej jest w czymś stały. – Chodźmy, Willy – dodał, po czym ruszyli w stronę pięciomiejscowego garażu
znajdującego się po drugiej stronie budynku.

– Chodź, usiądziemy, Alex – zachęciła ręką Maggie, więc ruszyłam za nią do stolika.

Polubiłam ją. Wręczyła mi szklaneczkę wina i wskazała krzesło obok niej. Trzy pozostałe
kobiety siedzące przy stoliku przyglądały mi się z zainteresowaniem.

– Moje panie, to Alex. Pracuje dla Eda.

– Cześć – powiedziałam i napiłam się wina.

Z jakichś powodów czułam się jak koza z zoo.

– To Cindy Collins. Być może znasz jej męża, Tima – kontynuowała Maggie.

Uścisnęłam dłoń Cindy. Była naprawdę piękną kobietą o orzechowych oczach i czarnych,
falujących włosach. Miała bielusie zęby, a u nasady nosa całą masę piegów. Wydała mi się znacznie
ładniejsza od męża, ale tak to już jest, kiedy wychodzi się za pieniądze.

– Poznaliśmy się, kiedy rozpoczynałam pracę, ale niezbyt często ze sobą współpracujemy.

Miło mi cię poznać – odpowiedziałam uczciwie.

„Twój mąż to dupek”, dodałam.

– A to... – Maggie podeszła do czterdziestoletniej wysokiej blondynki o nogach sięgających mojej szyi i wielkich, błękitnych oczach, które wyglądały jak szafiry wciśnięte w ludzką głowę. – To Tina Kieriakis. Jej mąż, Rick, pracuje w AKS. Od lat jest przyjacielem i klientem Chicka.

„Och, czy wiesz, że twój mąż jest właśnie tym facetem, który wysyła mi nocami SMS-y i wciąż chce się ze mną umówić? Kolejny doskonały egzemplarz prawdziwego mężczyzny”.

Pomachałam jej i się uśmiechnęłam.

– Tak, Rick i ja widzieliśmy się na kilku spotkaniach. Miło mi cię poznać, Tino – powiedziałam.

Wyglądała zachwycająco.

– A mi ciebie, Alex. Podziwiam cię. Nie mam pojęcia, jak dajesz sobie radę w tej pracy. Przecież jest okropna! Jadanie lunchu przy biurku to niecywilizowany zwyczaj – stwierdziła niskim, atłasowym głosem.

Dlaczego właściwie jej mąż uganiał się za mną, skoro miał taką kobietę w domu?

– A ta urocza dama... – kontynuowała Maggie, wskazując na niewysoką brunetkę o jasnych oczach i drobnym nosku – ...to przyjaciółka Tyny, Bridget. Jej mąż jest dyrektorem w Sony. Wciąż mieszkają w mieście, w rejonie Gramacy Park.

– Miło mi cię poznać – powiedziała, kręcąc winem w kieliszku.

– Nawzajem – stwierdziłam i zerknęłam nerwowo w stronę podjazdu.

Liczyłam na to, że pojawią się tam Will i Chick, jednak ich nie dostrzegłam. Postanowiłam skierować rozmowę na inne tory niż cudzy mążowie i to, co usłyszałam lub zobaczyłam w pracy.

Wybrałam neutralne terytorium i jedyną neutralną osobę przy stoliku.

– Bridget, jak ci się podoba w Gramacy? Lubię tę okolicę. Wszędzie jest blisko, nawet do stacji metra.

– Stacji metra, kochanie? Nie jechałam metrem od lat.

– Ja też nie. – Uśmiechnęła się Tina. – Ale pamiętam, że byłam wtedy w mieście i łało jak z cebra. Uznałam, że łapanie taksówki w rejonie dworca Grand Central zakończy się jakimś dramatem. Metro okazało się brudne i zatłoczone. W dodatku byli tam bezdomni. Ohyda!

– Wcale nie jest tak źle.

Uśmiechnęła się Maggie.

Ponownie spojrzałam w stronę podjazdu.

Willa tam nie było.

Chicka zresztą też.

Motocykl musiał być naprawdę wyczesany.

– Przyjechałaś tu z Willem? – zapytała sugerującym tonem Maggie.

„Cholera”, pomyślałam.

– Tak, po prostu podzieliliśmy się samochodem – wyjaśniłam.

– Czy tylko to dzielicie? On jest naprawdę przystojny – szepnęła.

No cóż, nie zamierzałam brać udziału w tej dyskusji. Nie w obecności Maggie. Nie na podwórku Chicka.

– Po prostu kumplujemy się – odpowiedziałam beznamiętnym głosem.

Po cichu modliłam się, żeby któryś z królików dał dyla, dzięki czemu mogłybyśmy zakończyć tę rozmowę.

– Też tak kiedyś mówiłam, kochanie – wtrąciła się Tina. – Ja i mój profesor socjologii z college'u? Kumplujemy się. Ja i chłopak mojej siostry ze szkoły średniej? Kumplujemy się. Doceniam twoją dyskrecję, ale daj spokój, nikogo tu nie nabierzesz.

Zapisać sobie: „Tina to dziwka, pewnie dlatego Rick z nią się ożenił”. Wścibiała nos w nie swoje sprawy, jakby była moją kumpelą z akademika.

– Widziałam, jak na ciebie patrzył!

Poprawiłam się na krześle.

– Przepraszam, że sprawiam wam zawód, ale przysięgam: kumplujemy się i tyle! – wyjaśniłam.

Jeśli one zauważyły, jak Will na mnie patrzył, to Chick z pewnością też się zorientował.

Cholera!

Tina uniosła ręce.

– No, skoro się upierasz...

Maggie położyła dłoń na moim ramieniu.

– Nie słuchaj jej, Alex – powiedziała. – Ona uwielbia plotki, i to niezależnie od tego, skąd pochodzą. Myślę, że wszystkie tęsknimy za randkami.

– O Boże, wcale za nimi nie tęsknię – przerwała jej Bridget. – Nie cierpiałam związanego z nimi stresu. Kto ma zadzwonić do kogo, czy on się z kimś jeszcze spotyka, zasada trzech dni i cała ta nonsensowna reszta. Poza tym denerwowałam się, bo zawsze miałam podwójne obłożenie i nigdy nie pamiętałam imion tych koleś. Randkowanie na Manhattanie to praca na cały etat! Cieszę się, że mam to już za sobą. Przyznaj się, Alex, jak ty to znosisz.

Nie miałam najmniejszej ochoty wyjaśniać, że nie chodzę zbyt często na randki, bo jestem zbyt zajęta pracą, nie wspominając o Willu. Na szczęście Chick i Will wreszcie się pojawili.

Niechący westchnęłam z ulgą. Nie było ich może z piętnaście minut, ale czułam się, jakby zniknęli na godzinę!

Mój szef położył ręce na kościstych ramionach Maggie.

– Zaprzyjaźniłyście się z Alex? – zapytał słodko.

– Oczywiście. Dobrze się bawiliśmy – odpowiedziała.

– No i fajnie. – Kiwnął głową Chick.

Nagle poczułam na swoim ramieniu czyjąś dłoń.

– Miło znów cię widzieć, Alex. Trochę czasu minęło... – Usłyszałam czyjś znajomy głos. Rick sięgnął po krzesło z sąsiedniego stolika i postawił je tuż obok mnie. – Widzę, że poznałaś już moją żonę i pozostałe panie. Niezłą chatę ma Chick, co?

Poczułam się jak ta druga. Miałam wrażenie, że nie wypada siedzieć obok niego na oczach jego żony. Uśmiechnęłam się niewinnie.

– Tak, uroczą. Jak się masz, Rick? – zapytałam.

Oczywiście mało mnie to interesowało.

– Całkiem dobrze, kochanie. Dzięki, że pytasz. Biznes kwitnie, nie mogę narzekać. Chick, jak Alex sobie radzi? Uczysz ją wszystkiego, co umiesz?

– Radzi sobie całkiem nieźle, ale sporo musi się jeszcze nauczyć – odpowiedział mój szef.

– Mógłbym ci w tym pomóc – stwierdził Rick i puścił do niego oko.

Nikomnie wydało się to dziwne. Nawet Tinie, nie licząc jednak Chicka, który posłał mu ostrzegawcze spojrzenie.

Mężczyzna zatarł ręce i podniósł się z miejsca.

– No dobra, wybaczcie, moje panie, ale zajrzę na chwilę do środka. Wrócę za kilka minut. Czy mam komuś coś przynieść?

– Od tego mamy kelnerów, ośle – stwierdził Chick.

Rick zachichotał.

– No jasne, że macie – stwierdził, po czym ruszył w stronę kuchni.

Chick spojrzał w stronę domu.

– Muszę zajrzeć do kuchni. Macie ochotę pomyszkować po piwniczce na wina? A może wolisz tu zostać, Alex? – zapytał.

Zerwałam się z krzesła tak gwałtownie, że niemal je przewróciłam.

– Nie, z przyjemnością tam zajrzę. Dzięki za przedstawienie mnie, Maggie. Miło było was poznać.

Panie mi pomachały, a ja popędziłam do domu.

– Schody znajdują się tam – powiedział Chick, kiedy weszliśmy do kuchni. Wskazał niewielkie pomieszczenie tuż obok, które – po dokładniejszym zbadaniu – okazało się spiżarnią. – Tylko nie podwędz mi niczego, Willy. Doskonale wiem, co tam się znajduje. Alex, miej na niego oko. Jeśli coś zniknie, to będzie twoja wina.

– Zrobione! – obiecałam.

Zeszliśmy po schodach do piwniczki. Niemal całe pomieszczenie, od podłogi aż po sufit,

wypełniały butelki wina. W ścianie przy drzwiach znajdowała się skrzynka z termostatem. Nie wiedziałam zbyt wiele o winie poza tym, że je lubiłam, ale Will był pod wrażeniem kolekcji.

Zdjęłam jedną z butelek ze stojaka. Byłam ciekawa, czy rozpoznam markę.

– Nie dotykaj tego! Jeśli coś stłuczesz, Chick skopie ci tyłek – stwierdził Will, odebrał mi flaszkę i ostrożnie umieścił na swoim miejscu.

– Wyluzuj, stary. Nie zamierzam żonglować brunello.

– Stary? – zapytał, poprawiając butelkę, po czym spojrział na mnie.

Nieoczekiwanie znalazł się w mojej przestrzeni osobistej. Nie to, żebym miała coś przeciwko...

– No cóż, z tego, co wiem, to masz dwadzieścia siedem lat. Jesteś znacznie starszy ode mnie.

– A co sądzisz o starszych facetach? – zapytał i podszedł jeszcze bliżej.

Cofnęłam się, jednak piwniczka z winem była dość intymnym miejscem i nie miałam zbyt wielkiego pola manewru. Moje plecy ocierały się już o starannie wyselekcjonowane wina z Francji.

– To zależy. Niektórzy są niczego sobie – powiedziałam.

Will położył ręce na moich biodrach i mnie pocałował. Myśli zaczęły mi wirować w głowie. Naszego pocałunku wcale nie uważałam za coś dziwnego – w końcu spotykaliśmy się – ale uskutecznięcie go w piwniczce Chicka nie wydawało mi się dobrym pomysłem (choć jakaś część mnie uznała to za zabawne: w końcu łamaliśmy ustanowione przez niego zasady w jego domu). Mimo to nie zamierzałam kusić losu i pozwolić, żeby ktoś nas przyłapał. Parkiety giełdowe są miejscem, w którym plotki rozchodzą się niezwykle szybko. Gdybyśmy zostali namierzeni, Chick szybko by się o tym dowiedział, a ja nie zamierzałam wrócić na krzeselko.

– Chick nas zabije, jeśli się dowie, że pocałowałaś mnie w jego piwniczce na wina. Pewnie już podniosła się tu temperatura – powiedziałam.

Z całą pewnością podniosła się moja temperatura. Oddałabym lewą rękę za to, żeby nie być teraz w domu szefa. Ale niestety byłam.

– Boisz się dużego, złego Chicka? On wcale nie jest takim tyranem – stwierdził Will i z niechęcią, ale jednak mnie puścił.

– Wejdzmy na górę, zanim przyjdzie tu po nas i będę musiała mu powiedzieć, że ukradłeś butelkę – zażartowałam.

W odpowiedzi pochylił się i mnie pocałował. Przez kilka sekund miałam kompletnie gdzieś, czy Chick zejdzie tu na dół i nas zobaczy. Musiałam jak najszybciej się stąd wydostać! Na szczęście przeszkodziło nam skrzygnięcie schodów. I dobrze!

– Co tu robicie?

Kiedy się odwróciłam, zobaczyłam Ricka stojącego przy drzwiach. Od razu poczułam, jak wszystkie synapsy w mojej głowie zaczynają się palić. Utkwienie w tak ciasnym pomieszczeniu z nim nie było zbyt dobrym pomysłem.

– Zastanawialiśmy się, czy Chick zorientowałby się, gdybyśmy troszkę przemieszali te butelki. – Zaśmiał się Will i walnął Ricka w plecy. – Co o tym sądzisz? W jak wielkie kłopoty wpadłbym, gdybym zamienił miejscami kilka flaszek?

Rick zachichotał.

– Sądzę, że wyleciałbyś z pracy. Nie polecałbym figlowania w piwniczce szefa.

– No tak, Alex była podobnego zdania. – Klasnął w dłonie Will, jak gdyby chciał zmniejszyć dziwne napięcie unoszące się w powietrzu. – Co cię tu sprowadza?

– Chick wysłał mnie po butelkę barbaresco dla Maggie. Poprosił mnie też, żebym ściągnęła cię na górę. Chce cię komuś przedstawić.

– Chodźmy więc, Alex – powiedział Will i ruszył w stronę drzwi.

– Szczerze mówiąc, Alex, mogłabyś zostać i pomóc mi znaleźć wino dla Maggie. Idź już, Will. Zadbam, żeby się tu nie zgubiła. Obiecuję.

– Zgubiła? W piwniczce? To mało prawdopodobne – stwierdziłam, czując, jak żołądek wywraca mi się do góry nogami.

– Do zobaczenia na zewnątrz. – Will posłał mi zaniepokojone spojrzenie i niechętnie zosta-

wił mnie sam na sam z Rickiem oraz setkami butelek wina.

Podejrzewam, że nawet gdybym wszystkie je wysuszyła, to i tak bym się nie uspokoiła. Rick zaczął ściągać kolejne flaszki z półek i starannie oglądać ich etykiety.

– Alex, nie odpowiadasz na moje SMS-y.

Uśmiechnęłam się przez zaciśnięte zęby.

– Nie sprawdzam zbyt często komórki. Przepraszam.

– Naprawdę? Nie znam zbyt wielu samotnych dwudziestokilkuletnich dziewczyn, które nie mają telefonu przyklejonego do ręki.

– A ile samotnych dwudziestokilkuletnich dziewczyn znasz? – zapytałam.

– Zbyt mało.

– Masz bardzo miłą żonę – stwierdziłam.

Liczyłam na to, że wspomnienie cudownej kobiety siedzącej na podwórku pozwoli sprowadzić tę rozmowę na bardziej neutralne terytorium.

– Rzeczywiście, jest miła. Jednak czegoś jej brakuje.

„Tak, świadomości”, pomyślałam.

– Nie z mojego punktu widzenia.

– Masz ikrę. To mi się podoba. Większość dziewczyn jest po prostu nudna albo, patrząc na tę branżę, brutalna. Pracując w finansach, tracą kobiecość. Wydajesz się inna.

– Dziękuję. Staram się.

– A może zjadłabyś ze mną obiad? – zapytał, krążąc po pomieszczeniu.

– Ja... nie sądzę, żeby to był dobry pomysł. Chickowi z pewnością by się nie spodobał – stwierdziłam. Zastanawiałam się, czy bardzo żenujące byłoby przepchnięcie się obok niego i wbiegnięcie po schodach na górę. Zapewne tak. – Sądzę, że powinniśmy już wracać. Znalazłeś to wino?

Rick uśmiechnął się kpiąco i kiwnął głową. Potem sięgnął po jedną z butelek i zważył ją w ręce.

– Jasne, możesz wracać na górę. Ale na przyszłość trzymaj telefon przy sobie. Nie zapomnij, że jestem klientem. Nigdy nie wiadomo, kiedy będę cię potrzebował.

Kiwnęłam głową i wyszłam z piwniczki. Rzuciłam się w stronę schodów.

Przeleciałam przez kuchnię i znalazłam Willa na patio.

– Myślę, że czas już na nas – szepnęłam, szarpiąc go za ramię.

– Wszystko w porządku? Nie zrobił niczego głupiego, prawda?

– Nie. Ale chcę już iść.

– W porządku. Przepraszam, że cię tam zostawiłem, ale nie miałem wyboru. Przejdźmy się dookoła.

Po pożegnaniu się z żonami ze Stepford, Chickiem i T.C. odebraliśmy samochód od kamerdynera. Podczas jazdy Will trzymał mnie za rękę. Częściej rozmawiał z kierowcą niż ze mną, ale nie przeszkadzało mi to. Nie wiedziałam, co w tej sytuacji powinnam powiedzieć, więc wolałam milczeć. Kiedy dotarliśmy do mostu Triboro, Will oświadczył kierowcy, że kończymy trasę pod jego domem. Potem ścisnął moją dłoń. Wyjrzałam przez okno, zastanawiając się, czy tego poranka ogolił nogi. W końcu samochód zatrzymał się na rogu Siedemdziesiątej Dziewiątej i Alei Kolumba. Ruszyliśmy dalej piechotą, a on wciąż trzymał mnie za rękę. Nie zdołałam sobie przypomnieć, czy ogolił nogi. No cóż, postanowiłam zaryzykować.

XII

Jestem odpowiedzialna za zniszczenie korporacyjnego feminizmu

Z powodu Willa nie potrafiłam się na niczym skupić. Odkryłam, że spędzam cały swój wolny czas i większość tego, który nie był wolny, na myśleniu o nim i – co ważniejsze – zastanawianiu się, czy on myśli o mnie. Tymczasem wrzesień zapowiadał się bardzo pracowicie i wszyscy oczekiwali, że wykonam dobrą robotę.

Zwłaszcza dziś nie wypadało zajmować się czymś innym. Dzisiaj bowiem odbywało się posiedzenie Federalnego Komitetu do spraw Operacji Otwartego Rynku (FOMC). Co sześć do ośmiu miesięcy komitet istniejący w ramach Rezerwy Federalnej i składający się z naprawdę inteligentnych ludzi, głównie gubernatorów Rezerwy Federalnej oraz prezydentów Banków Rezerw Federalnych (czytaj: supergeeków), decydował o wysokości stopy dyskontowej. Dzień, w którym ogłaszali swoją decyzję, należał do najważniejszych na całym Wall Street. Oczywiście większość ludzi nie wiedziała, że taki komitet istnieje, albo uważała, że nie ma on większego znaczenia. Problem w tym, że on istniał i był ważny. Za każdym razem, gdy ktoś odkrywał, że może zrefinansować hipotekę albo zaoszczędzić na miesięcznych ratach, powinien podziękować FOMC. Za każdym razem, gdy ktoś brał pożyczkę na samochód, firmę albo po prostu sięgał po kartę kredytową i odkrywał, że stopy procentowe wzrosły, mógł śmiało winić FOMC. W całej Ameryce nie było człowieka, na którego życie decyzje FOMC nie miałyby wpływu. Amerykanie o tym nie wiedzieli. Gdyby było inaczej, pewnie częściej wybieraliby CNBC zamiast kanału z telezakupami.

Wall Street interesował się każdym słowem jednostronicowego oświadczenia, które publikował FOMC. Zwracaliśmy uwagę na to, że w odróżnieniu od poprzedniego oświadczenia użyto przecinka zamiast średnika. Analizowaliśmy, dlaczego słowo powinno zastąpiono słowem może, a termin wzrost – stabilizacją.

Nas naprawdę to interesowało. Wszystko nas cholernie interesowało.

– Alex! – warknął Drew któregoś poranka i zamachał mi dłonią tuż przed twarzą. – Ziemia do Dziewczynki! Ziemia do Dziewczynki! Halo! Co, do cholery, ostatnio z tobą się dzieje? W biurze nie można śnić na jawie!

– Przepraszam, Drew. Jestem trochę rozkojarzona, to wszystko.

– Rozkojarzona? Ze wszystkich dni, w jakie możesz być rozkojarzona, ten jest najgorszy. FOMC ogłosi swoją decyzję za pół godziny!

– Wiem, przepraszam – powiedziałam.

Musiałam jak najszybciej przestać myśleć o Willu, bo mogłam przez to stracić pracę.

– Nie przepraszaj, tylko skup się. Nie ma dziś Charliego, więc potrzebuję twojej pomocy.

– Jak to? Nie przyszedł dziś do pracy? Sądziłam, że opuszczenie dnia ogłoszenia stóp dyskontowych karane jest u nas śmiercią!

– Podobno żona rodzi mu piąte czy szóste dziecko. W dodatku może to robić przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny. Ale masz rację. Skoro chce wysłać pięcioro czy sześcioro dzieci do szkół na Manhattanie, to powinien wiedzieć, co jest dla niego priorytetem.

– Widzisz, gdybym była mężatką i właśnie rodziła, a mój mąż ulotniłby się ze szpitala z obawy, że federalni zmieniają jakieś stopy, to pewnie bym się z nim rozwiodła.

– Więc nie wychodź za faceta z Wall Street. To co, spróbujesz go zastąpić?

– Oczywiście – odpowiedziałam i spojrzałam na rząd telefonów stojących na biurku Charliego.

Na razie milczały, ale wiedziałam, że za pół godziny ich lampki będą świecić jak światełka na choince. Powinnam skorzystać z okazji, uspokoić się i zrelaksować. Wiedziałam, że to może być dzień, w którym udowodnię coś chłopakom. Chciałam zaliczyć ten test śpiewająco, porażka oznaczałaby bowiem spore kłopoty. Choć wciąż nie mogłam odbierać rozmów od klientów, to mogłam przecież prowadzić rozmowy niezwiązane z operacjami handlowymi. Spoko. Pod tym względem

byłam już ekspertem.

– Dzięki! – rzucił Drew i założył słuchawki, po czym zapalił światelko na konsoli telefonicznej.

A więc rozmowa zakończona. Poszłam w jego ślady i również założyłam słuchawki.

Wciąż nie wolno było mi prowadzić bezpośrednich rozmów z naszymi klientami. Kiedy odbierałam takie połączenie, z reguły słyszałam jakiegoś wściekłego faceta warczącego mi do ucha „kupuj” lub „sprzedawaj”. Istniała nawet miejska legenda opowiadająca o analityku, który pracował tu wiele lat temu. Odebrał jeden z takich telefonów i zanim się zorientował, rozmawiał już z menedżerem produktu, który kazał mu kupić kontrakty typu futures. Ponieważ analityk nie zdał jeszcze wszystkich egzaminów, SEC nie mogło dobrać mu się do dupy i solidnie ukarać za złamanie zasad bezpieczeństwa. Jego szef na wieść o przeprowadzonej transakcji wylał go z pracy, z kolei SEC ukarało całe biuro grzywną za brak należytego nadzoru nad pracownikami. Ktoś później słyszał, że facet sprzedawał hot dogi w budce na rogu Siódmej i Trzydziestej Ósmej. Nie wiem, czy to prawda, ale z całą pewnością nie został w branży.

Kiedy nie myślałam o rynkach bądź Willu, martwiłam się Rickiem i jego niekończącym się strumieniem SMS-ów oraz połączeń telefonicznych. W ciągu ostatnich kilku tygodni ich liczba zdecydowanie wzrosła. Sięgała ośmiu czy nawet dziewięciu dziennie, i to nie licząc weekendów, kiedy wiadomości zaczynały docierać nawet o 7 rano. Ponieważ Rick był klientem, nie mogłam napisać mu czegoś w stylu „Jesteś starym, ohydny i żonatym capem, a to wyjątkowo mało atrakcyjne zestawienie” czy na przykład „Spieprzaj, dziadu”. Pewnie dlatego wciąż o tym myślałam. Sytuacja z Willem wcale nie była lepsza. Wciąż zaskakiwał mnie – raz był zabawny i zaangażowany, a po chwili zgrywał zaginionego w akcji. Nie wiedziałam, co o obu gościach sądzić. A ponieważ nie potrafiłam sama ich rozgryźć, postanowiłam odwołać się do wyższej instancji: astrologii. Patrzenie w przeszłość to był błąd. I to duży.

Prawdopodobnie powinnam zaczekać, aż FOMC ogłosi swoją decyzję, i nie zastępować systemu giełdowego stroną z wróżbami. Uznałam jednak, że nie zaszkodzi poświęcić minuty czy dwóch na „Szczęśliwe dni dla Zakochanego Barana”. „No hej”, pomyślałam, zerkając na milczące telefony. To zajmie mi tylko parę chwil.

Ups. Bylibyście zaskoczeni, wiedząc, jak wiele informacji można zdobyć na stronie z miłosnymi wróżbami.

Piętnaście minut później, kiedy komitet zaskoczył wszystkich obniżeniem docelowej stopy procentowej, rynki dosłownie oszalały. Nagle wszystkie telefony zaczęły dzwonić. Wszystkie. Jednocześnie.

Każdy handlowiec siedział z telefonem przy uchu, wykrzykując rozkazy do brokerów, zapisując coś w notatnikach i każąc mi spisywać wszystkie decyzje klientów. Kiedy jedna z linii zewnętrznych zaczynała dzwonić, Chick zamachał rękami jak szaleniec, żebym odebrała.

– Cromwell – powiedziałam radośnie do słuchawki.

– Czy jest Charlie? – odezwał się wyraźnie poirytowany mężczyzna.

– Umm, nie, jego żona rodzi, więc nie ma...

– Wchodzę w sto milionów pięcioletnich papierków – oświadczył.

Uch. To nie powinno się wydarzyć. Odebrałam normalną linię. To była linia, na którą dzwoniły cudze żony i z której korzystali ludzie w sekretariacie, gdy pojawił się gość z pizzą. O czym ten facet myślał, każąc mi wejść w sto milionów pięcioletnich papierów? Nawet nie wiedziałam, jak to się robi! Wiedziałam jednak, kto handluje pięcioletnimi obligacjami – przerażający gość po drugiej stronie pokoju, który zawsze krzyczał i rzucał swoim telefonem w ludzi. Planowałam unikać go tak długo, jak to możliwe.

– Przepraszam? – zapytałam, wiedząc, że sytuacja jest kiepska.

Rynek mógł drgnąć w każdej sekundzie. Opóźnianie zakupu i prośbienie o powtórzenie decyzji było złe. Bardzo, bardzo złe.

– Chcę sto milionów pieprzonych papierów pięcioletnich! – powtórzył gość.

„Super. Nie musisz krzyczeć. Ło Jesu!”, pomyślałam.

Wiedziałam, że powinnam mieć platformę giełdową na ekranie przez cały czas, ale zmini-

malizowałam ją, żeby obejrzeć horoskop. Kiedy spojrzałam na komputer, żeby upewnić się, jaka jest cena tych papierów, zobaczyłam jedynie, że szczęśliwe dni Barana to ósmy i dwudziesty trzeci. Cholera.

– Chcę sto milionów pieprzonych papierów pięcioletnich! – zawołałam jak szalona.

Wszystko działo się tak szybko, że nawet nie miałam czasu, żeby się porządnie przestraszyć albo przynajmniej zastanowić nad tym, co robię. Moja pierwsza operacja! Miałam wrażenie, że każda część mojego ciała buzuje od adrenaliny.

Usłyszałam okrzyk przerażającego brokera „czwórka!”, a przynajmniej wydawało mi się, że to usłyszałam.

– Czwórka! – odpowiedziałam klientowi.

Klientowi, który rozmawiałby właśnie z Charliem, gdyby nie to, że Charlie sprawił żonie piąte czy szóste dziecko.

– Stoi.

– Stoi na czwórce! – zawołałam do brokera i poczułam się jak gwiazda rocka.

Nie tylko przeprowadziłam swoją pierwszą transakcję, ale przeprowadziłam ją z przerażającym brokerem i to na bardzo dużą sumę. Gdyby Adam, analityk z rejsu, był tu przy mnie, odwróciłabym się do niego i powiedziała „Tak się handluje! Na takie kwoty!”. Jak ci się teraz podobam, Princeton?

Dobrze, że Adama tam nie było.

– Jak to stoi na czwórce? Powiedziałem, że to spółka-córka! Rynek skoczył do dychy! – zawołał broker. – Nie ty decydujesz, kiedy jest zgoda. Ja o tym decyduję!

Cholera. Sprzedałam komuś papiery po holendernie niskiej cenie. Jeśli ta transakcja dojdzie do skutku, to – licząc na oko – będę kosztowała biuro jakieś dwieście tysięcy dolarów. Ja cię pieprzę!

Chick rzucił się w moją stronę, krzycząc i machając rękami jak sędzia, który właśnie zamierzał podyktować karnego.

– Nic nie stoi! Powiedz, że nic nie stoi! Nic nie kupujemy! – zawołał i zanurkował w stronę mojego biurka, jakby się na czymś poślizgnął.

Momentalnie wyrwał mi telefon, zrzucając na ziemię papiery, długopisy, notatniki oraz BlackBerry.

– Kto, kurwa, mówi? – wrzasnął, domagając się natychmiastowej odpowiedzi. – Pete, co chcesz osiągnąć, mówiąc, że stoi na czwórce? Wiesz przecież, na jakim poziomie jest teraz rynek! Chcesz nas przekręcić i wykorzystać niedoświadczoną osobę po drugiej stronie telefonu? Chłopie, co ty wyprawiasz?

Drew śmignął koło mnie i popędził na przeciwną stronę pokoju, próbując uspokoić brokera i zapewnić go, że zajęliśmy się tym błędem i nie straci pieniędzy na skutek mojej głupoty. Siedziałam nieruchomo na krześle, bojąc się oddychać. Byłam pewna, że mnie wyleją, chyba że Chick będzie miał udar, zawał bądź od razu padnie trupem na miejscu. Szef zadzwonił do brokera i powiedział mu, żeby się nie wyłączał i pomógł mu zredukować straty. Rozmawiali przez blisko pięć minut, po czym się rozłączyli. Wtedy Chick rzucił długopisem w moje biurko.

– Wiesz, ile właśnie nas kosztowałaś? A i tak miałaś szczęście, Alex. Klient zgodził się na fifty-fifty, ponieważ wie, że wyszedłby na podstępного kutasa wykorzystującego twoje niedoświadczenie – stwierdził i zamilkł, żeby zrobić na mnie jeszcze większe wrażenie.

Patrzyłam się na niego, próbując powstrzymać łzy.

– Dziewięćdziesiąt trzy tysiące dolarów – powiedział i pstryknął palcami. – Ot tak. Przepadły. Jak mogłaś nie wiedzieć, na jakim poziomie jest rynek? Nie miałaś tego na ekranie? Gdybyś widziała, że mamy dziesiątkę czy jedenastkę, domyśliłabyś się przecież, że broker nie rzucił czwórki. Na co, do cholery, się patrzyłaś? Przecież czegoś cię chyba nauczyłłem?

– Dziewięćdziesiąt trzy tysiące? – jęknęłam.

To było więcej niż większość ludzi zarabiała w ciągu roku. Straciłam roczną pensję tylko dlatego, że czytałam horoskopy! Jestem zbyt głupia, żeby żyć!

– Przykro mi, Chick. Spanikowałam. Nie spodziewałam się, że ktoś na tej linii będzie chciał

ze mną handlować. Zaskoczył mnie i nie wiedziałam, co zrobić. Przepraszam.

– Przepraszam nie załatwi sprawy. Broker chce, żebym cię wylał za twoją głupotę. Wygląda na to, że niczego się tu nie nauczyłaś.

Wylać? Mnie? Nie mogę stracić pracy! Nie teraz, kiedy przeszłam już tak wiele i tak wiele osiągnęłam! Właśnie załatwiłam pierwszą transakcję. No dobra, spieprzyłam ją. Koncertowo. Ale to była właśnie ta chwila, na którą czekałam od dnia, w którym tu się zatrudniłam!

– Chick, ja... nie wiem, co mam powiedzieć.

Zdawałam sobie sprawę, że pozostali gapią się na mnie. W sumie to szef powinien zaciągnąć mnie na Times Square i wychłostać, tak jak robiono to w dawnych czasach.

– Nic nie możesz powiedzieć. Wyciągnij głowę z dupy i zacznij kojarzyć. Nie chcesz chyba cieszyć się opinią idiotki, a właśnie za taką obecnie uchodzisz u brokerów. Porozmawiamy o tym później, kiedy tu się uspokoi. Wracaj do swojego biurka i opisuj wszystkie transakcje. Na dziś koniec z telefonami.

Opadłam na krzesło. Chciałam zapaść się pod ziemię.

Kiedy przerażający broker zorientował się, że Chick zbliża się do niego, wysoko uniosł ręce.

– Co tu się dzieje, Chick? Czy ona robi sobie ze mnie jaja? – zapytał.

Reszta jego kolegów nie odrywała oczu od ekranów, ale on krzyczał na tyle głośno, że słyszał go nawet Jashim na korytarzu.

– Wiem, chłopie. Zrąbała to. Zajmę się wszystkim.

– Jak? Może wynagrodzisz mi straty, co? Cholera! – zawołał mężczyzna i walnął pięścią w stół, a potem klapnął na krzesło.

Godzinę później, kiedy sytuacja się uspokoiła, podszedł do mnie Reese.

– Ostro było, Dziewczynko, co? Jak się trzymasz? – zapytał i położył ciasteczko na moim biurku.

– Mam przechlapane, Reese. Zrobiłam z siebie imbecyla i pokazałam światu, że Chick przez ten rok niewiele mnie nauczył. Dlaczego Charlie nie przyszedł dziś do roboty? Naprawdę sędzę, że jego żona poradziłaby sobie bez niego! Bóg nie bez powodu stworzył pielęgniarki i środki znieczulające – stwierdziłam.

Byłam na maksa zakłopotana i chciałam już iść do domu. Problem w tym, że było dopiero wpół do czwartej.

– E, nie martw się. W czasach, gdy nosiliśmy jeszcze krawaty, był pewien zwyczaj. Gdy jakiś szczeniak spieprzył swoją transakcję, odcinaliśmy mu krawat i przybijaliśmy do ściany. To była ściana płaczu... albo chwały, zależy jak na to patrzeć. W każdym razie każdy miał na niej swój krawat. Szczerze mówiąc, nie wiem, co możemy ci obciąć i powiesić... nie licząc tych rzeczy, przez które stracilibyśmy pracę. Chodzi o to, że każdy popełnia błędy. Trzeba wyciągnąć z nich wnioski i powędrować dalej. Pewnie jeszcze nie wiesz, ale to najpiękniejszy dzień w twojej karierze.

– Oszalałeś?

– Mówię poważnie. A myślisz, że na czym polega nauka? Nie zapamiętujemy dni, które są udane. Pamiętamy te, o których chcielibyśmy zapomnieć. Dziś ty masz taki dzień. Gratuluję! Po tym, co dziś zmajstrowałaś, będziesz znacznie lepsza.

Poczułam się ociupinkę lepiej. W sumie miał rację. Podejrzewam, że każdy kiedyś coś spieprzył, a w tej branży spieprzenie czegoś oznaczało utratę pieniędzy. Takie ryzyko zawodowe.

– Myślisz, że Chick mi to daruje?

– Oszalałaś? – Reese wpadł nagle w histerię. – Chick porznie cię na kawałki jak kurczaka! Nie chcę być w pobliżu, gdy się tobą zajmie! Pamiętaj jednak, że wszyscy przez to przeszliśmy. Zrelaksuj się, skup, a potem wracaj do roboty.

Łatwo mu mówić.

Na szczęście reszta dnia upłynęła w nerwowej atmosferze i – jak sędzę – Chick był później zbyt zmęczony, żeby przeprowadzić ze mną poważną rozmowę. Kiedy większość naszej grupy poszła do baru na post-FOMC-owe koktajle, przemknęłam po cichutku do lobby. Jedyne, o czym marzyłam, to moje łóżko.

Ruszyłam w stronę drzwi, gdy nieoczekiwanie drogę zastąpił mi Will. Złapał mnie za ramię w chwili, gdy miałam właśnie minąć obrotowe drzwi.

– Miałaś niezbyt dobry dzień, co? – zapytał i pochylił się w moją stronę. – Nie martw się – szepnął. – Chick zajmie się wszystkim. Obiecuję.

– Chrzań się! – warknęłam. – To wszystko twoja wina.

– Moja wina? – Zdziwił się. – Jak na to wpadłaś?

– Przez ciebie byłam rozkojarzona i przez ciebie sprawdzałam swój horoskop, zamiast uważnie obserwować rynek. To, co wydarzyło się dziś, stanowi doskonały dowód na to, że – jak twierdzą niektórzy ludzie – kobiety nie powinny być prezydentami.

Spojrzał na mnie, jakbym wysunęła z szyi cztery kolejne głowy.

– Oszalałaś. I to kompletnie!

– Nie, nie oszalałam. Doskonale wiem, o czym mówię. Są ludzie, którzy sądzą, że kobiety są zbyt emocjonalne i dlatego nie powinno im się powierzać atomowego guzika. Wiesz, chodzi o to, żeby pewnego dnia, gdy wkurzy ją mąż, nie rozwalily w odwecie całego świata. Ja to zrobiłam. Pozwoliłam, żeby emocje wzięły górę, i rozpieprzyłam wszystko.

– Myślałaś o mnie? Cóż, chyba czuję się mile połączony.

No cóż, nie o to mi chodziło.

– Nie schlebiaj sobie. Zastanawiałam się nad tym, dlaczego w weekendy nigdy nie odbierasz moich telefonów i dlaczego nie mam pojęcia, jakie mamy wobec siebie plany. I czy w ogóle jest jakieś „my”. Myślałam też, jak wielkim jesteś idiotą – dodałam i ucięłam rozmowę, gdyż Cruella wynurzyła się z windy i ruszyła w naszą stronę.

Miałam nadzieję, że mnie nie zauważy. Jednak zauważyła mnie. Najwyraźniej ten dzień można było spieprzyć jeszcze bardziej.

– Alex! – zaszczebotała cieniutkim głosem. – Nieźle się dziś spisalaś! Naprawdę!

Następnym razem, gdy zarząd dostanie CV jakiejś biednej dziewczyny, na pewno będzie się uważnie zastanawiać, czy ją zatrudnić. A potem ktoś przypomni sobie ciebie i ten chaos, który dziś wywołałaś. I nawet jeśli ta dziewczyna będzie bystra, utalentowana i zmotywowana, to nikt na to nie zwróci uwagi. Jej CV wyląduje w śmietniku. Zamiast tego zatrudnią jakiegoś faceta po przeciętnej szkole na jakimś zadupiu, który prawdopodobnie nie odróżnia swojego tyłka od łokcia, ale ma na tyle zdrowego rozsądku, żeby nie przeglądać kart tarota w trakcie dnia pracy. Gratuluję zniszczenia przyszłości niezliczonej ilości kobiet marzących o Wall Street. Doskonała robota!

Will udawał, że przegląda BlackBerry, i nie stanął w mojej obronie. Fajnie. Cruella pociągnęła nosem i szarpnęła za walizkę, po czym minęła nas i zniknęła w drzwiach obrotowych, żeby po chwili usiąść na tylnej kanapie czekającego na nią samochodu. Najwyraźniej gdzieś się spieszyła. Prawdopodobnie jechała okraść sieroty z ostatnich zabawek.

– Nie pozwól jej się stłamsić. To dziwka – powiedział Will i położył mi rękę na plecach.

Była to z jego strony mizerna próba poprawienia mi nastroju. Nie zadziałała. Kiedy wychodziliśmy z budynku, zastanawiałam się, czy rynek hot dogów na Siódmej jest już nasycony. Byłam przekonana, że właśnie tam zdążam.

Pod koniec tygodnia przeprosiłam brokera i powiedziałam mu, że jest mi przykro, że jestem taka głupia, i że już nigdy nie podejść nieprzygotowana do biurka. Zapytał mnie, czy wyciągnęłam wnioski z całej tej sytuacji, po czym podziękował mi, że byłam na tyle odważna, żeby przyznać się do błędu i błagać o przebaczenie. W sumie mogło być gorzej. Reese nie mylił się – byłam członkiem zespołu, w którym wybaczano wszystko, jeśli tylko osobie wkurzonej umożliwiono potraktowanie winowajcy jak największego kretyna na Ziemi. W tym przypadku zasłużyłam na to. Czasami trzeba nadstawić karku i tyle.

Po mojej koszarnej wpadce odzyskanie dawnego komfortu podczas odbierania telefonów zajęło mi miesiąc. Sześć tygodni z kolei minęło, zanim Reese przestał krzyczeć „czwórka” i wymachiwać wyimaginowanym kijem do golfa za każdym razem, gdy przechodziłam obok. Powoli moje upokorzenie rozmywało się, ustępując miejsca pewności siebie. Znowu mogłam się skupić na karierze.

Tymczasem w biurze ludzie coraz częściej rozmawiali o problemach na rynkach, dyskusjo-

wali też o produktach strukturyzowanych, które – jak powiedział mi Chick – mało kto rozumiał. Pierwszego dnia przedstawił mnie naprawdę mądrym gościom, którzy się nimi zajmowali, i później już o nich nie myślałam. Byłam zbyt zajęta własnymi dziwnymi produktami, żeby przejmować się tym, co robią inni. Wyglądało jednak na to, że zrozumienie ich pracy nabierało znaczenia. Czuliśmy to, choć wtedy żadne z nas nie wiedziało jeszcze tego, co dziś wiemy. Szaleństwo rynkowe po oświadczeniu FOMC było – patrząc z dzisiejszego punktu widzenia – zwiastunem nadciągających kłopotów.

Babie lato dobiegło końca, stoliki ustawione przed kawiarniami złożono i wniesiono na zimę do środka. Obserwowaliśmy pierwsze oznaki ekstremalnego stresu malujące się na twarzach nielicznych brokerów, ale nie przejmowaliśmy się nimi. Nie przejmowaliśmy się niczym, co działo się w innych częściach biura. Powoli zbliżał się koniec roku – dzieliło nas od niego zaledwie kilka miesięcy. Płacono nam w zależności od tego, jakie dochody wygenerowała cała nasza grupa. Nasza grupa – dział obrotu obligacjami rządowymi – spisywała się naprawdę dobrze, więc nie było się czym przejmować.

Przynajmniej na razie.

XIII

Wąchaj mój kurz, Tony Tygrysie

Jesień mijała, a ja kolejny raz zatonełam w wirze imprez i przyjęć. W grudniu dodatkowe pięć kilogramów wróciło na swoje miejsce. Zdołałam jednak przetrwać ten trudny okres bez wyzywania menedżerów od grubych pojebów, co akurat należy zaliczyć mi na plus. Ciężko uwierzyć, że minął rok...

W dniu przyznawania premii w biurze zrobiło się nerwowo. Siedziałam bez słowa, podczas gdy Chick wręczał tak zwane wyrównania kolejnym członkom naszego zespołu. Kiedy nadeszła moja kolej, zaczęłam się pocić i drzeć. Modliłam się, żeby koszmarnego błędu z brokerem nie wykorzystał przeciwko mnie. Od tamtej pory pracowałam naprawdę ciężko. Oby dostatecznie ciężko.

– Usiądź – powiedział Chick, dosypując jedzenie rybkom pływającym w akwariium.

Przysunęłam fotel bliżej jego biurka. W zeszłym roku dostałam dwadzieścia tysięcy dolarów za cztery miesiące pracy, więc w tym roku po cichu liczyłam na sześćdziesiąt. Ale wciąż nie opiekowałam się klientami, a po uwzględnieniu tej nieszczęsnej transakcji suma taka wydawała mi się mało prawdopodobna.

– Jak wiesz, dziś jest dzień przyznawania premii. Zespół jako całość spisał się doskonale, a firma miała udany rok. Jesteśmy więc w stanie uczciwie zapłacić ludziom za ich pracę. Ale jesteś relatywnie nowym członkiem naszej grupy i nie prowadzisz żadnych klientów. Twoja wypłata musi to uwzględniać.

– Jasne, rozumiem.

Cholera.

Szef trzymał pojedynczą kartkę białego papieru. Z najwyższym trudem powstrzymałam się, żeby nie przeskoczyć przez biurko i wyrwać mu jej z rąk.

– W tej branży często tracimy kontrolę nad oczekiwaniami. Mam więc nadzieję, że nie będziesz zawiedziona premią. Pamiętaj, że jesteś jeszcze młoda i cały czas się rozwijasz.

Cholera.

– Ja taka nie jestem, Chick. Zależy mi przede wszystkim na nauce. Chcę prowadzić klientów. Nie ukrywam, że dodatkowa kasa się przydaje, ale docenię każdą kwotę.

– I takie właśnie podejście mi się podoba. Dlatego postanowiliśmy awansować cię na partnera.

– Awansować? – zdziwiłam się.

Awans po półtora roku w firmie był czymś niezwykłym. Zazwyczaj trzeba było spędzić trzy lata na stanowisku analityka, żeby wdrapać się wyżej.

Wąchaj mój kurz, Tony Tygrysie, gościu od Coksa.

– Awans oznacza, że w przyszłym roku zarobisz piętnaście tysięcy dolarów więcej.

– Czy awans oznacza, że już nie będę musiała zajmować się piątkową pizzą?

– Typowa kobieta. Nigdy nie jest do końca zadowolona... – Uśmiechnęłam się.

– Nie wiem, co powiedzieć. Nie zawiedziesz się na mnie. Obiecuję!

– Świetnie. Trzymaj!

Położył kartkę na biurku i pchnął w moją stronę. Po chwili poszukiwałam już wzrokiem jedynego interesującego mnie wersu. Przeleciałam cały tekst i skupiłam się na liczbie widniejącej na samym dole strony. Cholerne sekretarki. Znowu coś spieprzyły.

– Umm, Chick? Wydaje mi się, że jest tu błąd. Widzisz? – powiedziałam i wskazałam palcem zaoferowaną mi sumę.

Szef jedynie zachichotał.

– Tu nie ma żadnego błędu.

– Nie ma błędu?

– Nie ma błędu.

– Ale tu jest napisane sto dziesięć tysięcy dolarów.
– Dokładnie tak.
– Dodatkowo podwyższasz moją standardową pensję w związku z awansem?
– Zgadza się.
– Chcesz powiedzieć, że zamierzasz zapłacić mi sto siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów za cały rok?
– Dobrze wiedzieć, że nasz nowy sprzedawca potrafi liczyć.
– Cholera – stwierdziłam, starając się zachować pokerową twarz. – Nie spodziewałam się aż tak wysokiej sumy. Liczyłam na coś około pięćdziesięciu.
– Nie ma sprawy. Choć jeszcze nie powiedziałem ci wszystkiego. Otóż... nie ma tak pięknie.
– No tak – szepnęłam.
Opadłam na fotel.
Wiedziałam, że temu zalewowi gotówki będzie towarzyszyć jakieś „ale”.
– Jak pewnie zauważyłaś, część twojej premii zostanie wypłacona w postaci akcji Cromwell, co wiąże się z pewnymi zastrzeżeniami.
– To znaczy nie mogę ich sprzedać przez określony czas, prawda?
– Tak. Harmonogram wypłat wynosi dwadzieścia procent rocznie. To z kolei oznacza, że dopiero za pięć lat będziesz mogła sprzedać swoje akcje po rynkowej cenie.
– Świetnie – stwierdziłam.
Dla mnie nie stanowiło to problemu. Owszem, wolałabym dostać gotówkę, ale w przyszłości wartość giełdowa Cromwell będzie przynajmniej dwukrotnie wyższa. A więc podwoję swoje przychody! Jak ja kocham finanse!
– Jeśli jednak rzucisz robotę albo opuścisz firmę z innych powodów, na przykład zostaniesz wylana (niech Bóg cię przed tym broni), to stracisz niespłaconą kwotę. Rozumiesz, co to oznacza?
– Chodzi o to, że jeśli odejdę bądź stracę tę pracę, będzie mnie to sporo kosztowało.
– Właśnie. Teraz jesteś udziałowcem firmy Cromwell, co oznacza, że powinnaś jeszcze ciężiej pracować dla dobra firmy. Capiche?
– Capiche. Czy to właśnie taką sytuację ludzie nazywają złotymi kajdankami?
– Tak. Po prostu utrudniłem ci rezygnację z pracy i przenosiny do konkurencji.
– Nie chcę pracować nigdzie indziej. Tu mi się podoba.
– I dobrze!
– Mogę zadać jeszcze jedno pytanie? Jak wielka część mojej premii została zamieniona na akcje?
– Pięćdziesiąt pięć tysięcy dolarów. W najbliższej przyszłości rynki czeka niełatwa próba, co oznacza, że znaczna część waszych wypłat zostanie sprawdzona przez giełdę. Cóż, premia tylko na papierze wygląda ładnie. W rzeczywistości ludziom będzie brakować gotówki. Trzymaj język za zębami i nie mów nikomu, że jesteś zadowolona. Nie wszyscy będą.
– Obiecuję, że tak zrobię – stwierdziłam. Gdyby pokój nie był ciasny i nie istniało ryzyko, że przypadkowo kopnę Chicka w twarz, to zrobiłabym z radości salto.
– Jeszcze jedno, kochanie – powiedział niespiesznie szef, najwyraźniej czerpiąc przyjemność z przeciągania rozmowy. Wstrzymałam oddech. – Pomimo twojej kolosalnej wpadki z brokerem odnoszę wrażenie, że szybko się uczysz. Wiem też, że reszta zespołu wierzy w twoje umiejętności. Mamy kilku drobnych klientów, na których brakuje nam czasu. Myślę, że jesteś już gotowa, żeby się nimi zająć. Są dość wymagający i niekiedy naprawdę upierdliwi, ale sporo się dzięki nim nauczysz. Jeśli będziesz potrzebować pomocy lub przyjdą ci do głowy jakieś pytania, zapraszam do mnie albo po prostu kogoś zapytaj. Gratuluję, Al. Przeskoczenie ze składanego krzesła na fotel specjalistki od sprzedaży zajęło ci nieco ponad rok. To dowód, że jestem znakomitym coachem!
– Jesteś!
– Nie podlizuj się. Nie lubię wazeliniarzy. No dobra... Teraz wszystko zaczyna się od nowa. Każdy wchodzi w nowy rok z wielkim zerem obok swojego nazwiska. W styczniu pojawi się tu

jakiś nowy dzieciak. Pewnie cieszy się to, co? Masz miesiąc na delektowanie się mianem „nowej”. Potem to się skończy. Gratuluję i bierz się do roboty.

– Jasne, szefie!

Wyskoczyłam z jego biura z kartką dyskretnie wsuniętą do kieszeni. Wróciłam na swoje miejsce, jednak nie potrafiłam przestać się uśmiechać. Reszta towarzystwa przyzwyczała się już do ukrywania emocji, nie chcąc nikomu dać do zrozumienia, że czują się niedocenieni. Ja nie umiałam ukryć podekscytowania. Sto tysięcy dolarów! Nawet nie marzyłam o takiej kwocie! Niektórzy przez całe życie o niej nie marzą! Co z tego, że tylko połowę dostanę w gotówce?

– Hej, ktoś tu jest zadowolony. Słyszałem, że Chick chciał cię awansować. Zrobił to? – zapytał Drew, kiedy kręciłam się na krześle.

– Zrobił! Jest cudownie! Zostałam partnerem! Wiesz, co to oznacza?

– No cóż, na pewno pozostaniesz dziewczynką od pizzy aż do dnia, gdy pojawi się tu ktoś młodszy od ciebie. Wiesz o tym, prawda? Na szczęście słyszałem, że szef zatrudnił nowego analityka, więc wydaje mi się, że i w tej kwestii wkrótce zobaczysz światełko w tunelu.

– No i super. Mogę jeszcze przez jakiś czas nosić pizzę, jeśli rzeczywiście jest to konieczne. Nie o tym mówiłam. Widzisz, dostanę własnych klientów! Chick powiedział, że to drobnica, której inni chcą się pozbyć. Wyprzedzam o rok swój plan rozwoju zawodowego!

– Gratuluję, Alex. Cieszę się twoim szczęściem. Idziesz po pracy na zakupy?

– Jasne. To jeden z tych dni, w których uwielbiam swoją pracę!

– Każdy kocha swoją pracę w dniu przyznawania premii. Ciesz się nim. Nadchodzą trudne lata. Rok 2008 będzie naprawdę ciężki, jeśli chodzi o kredyty hipoteczne. Zaufaj mi!

– Nie wierzę – powiedziałam zadowolona. – Cóż mogłoby się stać?

Po pracy poszłam do Midtown. Kupiłam torebkę, o której od dawna marzyłam, oraz dwie pary butów. To był idealny dzień! Kiedy wracałam do domu, czułam się tak, jakbym unosiła się nad ziemią. Nie mogłam się doczekać, kiedy wejdę do własnego mieszkania i otworzę butelkę wina. Przy windzie zatrzymał mnie dozorca i wręczył olbrzymi bukiet białych róż. Coraz lepiej!

Na górze rzuciłam torby na ziemię, ustawiłam wazon na stoliczku do kawy i wyciągnęłam niewielką karteczkę spomiędzy pączków. Spodziewałam się, że zobaczę na niej słowa „Gratulujemy. Mama i tata”.

Bardzo się myliłam.

„Gratuluję! Nigdy nie wątpiłem, że jesteś bardzo utalentowana jak na swój wiek. Podejrzewam, że dotyczy to nie tylko pracy. Całuski, Rick”

Nieoczekiwanie róże straciły swój urok.

„Skąd on wie, gdzie mieszkam?”. Zerknęłam w stronę drzwi, żeby upewnić się, że przekreśliłam zasuwkę. Potem wyrzuciłam kwiaty do śmietnika. Skutecznie niszczyły mój dobry humor. Postanowiłam, że jeśli Rick nie przestanie okazywać mi nadmiernego zainteresowania, porozmawiam o tym z Chickiem. Wiedziałałam, że to zauważył, więc nie będzie zaskoczony. Pomoże mi, jestem tego pewna. Próbowałam skupić się na pozytywach. Sprawach, które układały się pomyślnie. Czyli tak naprawdę na wszystkim. Początek mojej znajomości z Wall Street nie był może najlepszy, ale teraz chciałam jak najszybciej wrócić do pracy i podbić 2008 rok.

Głównym problemem wynikającym z posiadania własnych klientów była konieczność zaspokojenia ich oczekiwań, które były wyższe od tych, do których przywykłam. Spędziłam niemal cały styczeń na „improwaniu”. Przedstawiałam się ważnym ludziom podczas lunchów, obiadów i spotkań w biurach rozsianych po niemal całym Wschodnim Wybrzeżu. Byłam wyczerpana, ale chciałam sobie udowodnić, że adrenalina jest w stanie zastąpić krańcowy brak snu. W większości przypadków moi klienci okazywali się przyjaźni i chcieli dać mi szansę.

Nie zamierzałam nikogo zawieść: ani klientów, ani Chicka, ani siebie. Spędzałam więc długie godziny na analizowaniu rynków, gospodarki i aktualnych trendów. Zanim się zorientowałam, nastał luty. Styczeń pojawił się i znikł, w jego trakcie spędziłam w Nowym Jorku na rzeczach niezwiązanych z pracą najwyżej dwadzieścia godzin. Z uwagi na nadmiar obowiązków nie widywałam Willa tak często, jakbym chciała. Rozumiał to. I choć tęskniłam za nim, byłam pewna, że prędzej czy później sytuacja się unormuje. Cokolwiek miało to oznaczać.

Któregoś nieprzyjemnie chłodnego poranka usłyszałam, jak Reese śmieje się po swojej stronie biura. Spojrzałam na zegar wiszący na ścianie. Była dziesiąta.

– Hej, Chick, co się stało? Wyglądasz, jakbyś dostał się tutaj w ciężarówce na śmieci – zawołał i przejechał tuż obok mnie, ściskając kanapkę z wieprzowiną.

– Powiedz, że masz ich więcej, Reese! – jęknął szef.

Reese wyciągnął kolejną ze stojącego na podłodze pudełka i rzucił mu na biurko.

– Ciężka noc?

– I ciężki poranek. Byłem w AC. Wygrałem dwanaście tysięcy...

Atlantic City leżało dwie godziny drogi z Nowego Jorku. Dzień wcześniej boss wyszedł z pracy o normalnej porze, więc na miejsce dotarł najwcześniej przed dziewiątą. Tylko po co miałby jechać do Atlantic City na kilka godzin i to w środku tygodnia?

– Poranne korki?

– Korki? Daj spokój, Reese. Nie wziąłem samochodu. Polecieliśmy śmigłowcem bezpośrednio z Wall Street. Ja, Rick i kilku chłopaków z AKS. Jeden z dzieciaków, z którymi Rick pracuje, właśnie zerwał z dziewczyną... albo raczej to ona zerwała z nim. W każdym razie pomyślałem, że warto zapewnić mu odrobinę rozrywki. Kupiliśmy trochę piwa i prosto z pracy pofrunęliśmy na miejsce. Graliśmy całą noc, a rano przylecieliśmy z powrotem. Mnie się podobało. Wygrałem dwanaście patoli. Chłopak przegrał trzy. Miał pecha, bo jednego dnia stracił dziewczynę i trzy tysiące. Czeka go teraz ciężki poranek.

Chick wysypał sobie na dłoń całą zawartość opakowania advilu i połknął ją na miejscu. Bez popity. Potem spojrział na mnie.

– Alex, weź tę nową i zejdźcie na dół. Kupcie mi od twojego chłopaka butelkę energetyka.

– Mojego chłopaka?

– Jashima. Zawsze pyta o ciebie. „A jak radzi sobie Alex? Zanieś jej, proszę, tę cudowną kawę. Zrobiłem ją specjalnie dla niej, tak jak lubi”.

– Nigdy nie przyniosłeś mi kawy od niego.

– A co, przypominam kelnera?

Dziękuję Bogu za tę nową. Niezależnie od tego, jak długo siedzi się za biurkiem, jest się nową aż do chwili, gdy pojawi się ktoś nowszy. Patty była analitykiem. Chick zatrudnił ją, gdy ukończyła college. Normalnie przyszlaby do pracy dopiero tak jak ja, czyli w lipcu, ale sytuacja na rynkach robiła się coraz trudniejsza i wiele firm opóźniało debiuty aż do następnego roku, żeby nie zmniejszyć wypłat. Patty rozpoczęła pracę w styczniu i nie zdawała sobie jeszcze sprawy ze szczęścia, jakie ją spotkało. Otóż zostałam jej bezpośrednią przełożoną. Żałuję, że nie miałam kogoś takiego jak ja, kiedy rozpoczynałam pracę. Fakt, że Chick zatrudnił dziewczynę, ucieszył mnie podwójnie – to był ostateczny dowód na to, że Cruella myliła się co do mnie.

Spojrzełam na Patty, która siedziała skromnie na składanym krzeselku i ściskała notatnik. Pracowała z nami od miesiąca, a mimo to wciąż wyglądała na przerażoną. Nie tęskniłam za dawnymi czasami i za tym koszmarnym krzeselkiem. Zrobiłam więc to, co chciałabym, żeby Cruella zrobiła kiedyś dla mnie... Oczywiście gdyby miała jakiegokolwiek uczucia.

– Chodź, przejdziemy się – powiedziałam, zbliżając się do Patty.

Posłusznie wyszła za mną z sali.

– Dokąd idziemy?

– Potrzebuję kawy, a Chick energetyka. Chciał, żebym zabrała cię ze sobą. Poza tym muszę skorzystać z bankomatu w lobby.

– Chick mnie przeraża – przyznała się.

– Takie właśnie wrażenie robi na wszystkich nowych.

Wyciągnęłam napój energetyczny z lodówki, a dla Patty wzięłam kawę. Miałam wrażenie, że to miła, zdolna i kompletnie zdezorientowana dziewczyna, która nie ma pojęcia, na czym polega nasza praca. Przypominała mi mnie samą. Kiedyś też chyba taka byłam.

– Nie martw się Chickiem – powiedziałam. – Wczoraj imprezował z kilkoma kumplami i dziś ma lekkiego kaca. Trzymaj się po prostu od niego z daleka, a wszystko będzie dobrze. Och, i pamiętaj, żeby nie ustawiać krzeselka na środku przejścia. Chłopaki nie cierpią się o nie potykać.

Wiem, że to brzmi głupio, ale w rzeczywistości ma całkiem sporo sensu.

– Dzięki za radę – stwierdziła, gdy szliśmy w stronę lobby.

Kiedy minęłyśmy kołowrotek na wejściu, znów się odezwała.

– Mogę cię o coś spytać? Tak poza protokołem?

– Jasne.

Spojrzała za siebie, jakby chciała się upewnić, że nikt nas nie usłyszy.

– Z tyłu siedzi taki przystojniak. Jak się nazywa?

Od razu zrobiło mi się chłodniej.

– To Will – odpowiedziałam uprzejmie.

– Jest naprawdę uroczy. Spotyka się z kimś?

– Teoretycznie.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że teoretycznie spotykamy się, ale nie ogłaszamy tego wszem i wobec. Nie mów o tym nikomu, bo będę musiała zamienić twoje życie w pasmo nieszczęść.

Zarumieniła się i zaczęła jąkać. Najwyraźniej bała się, że naraziła się jedynej osobie w całej firmie, która przejawiała zainteresowanie jej osobą.

– Tak mi przykro – powiedziała. – Nic nikomu nie powiem, obiecuję. Ale... chyba dzięki temu praca wydaje ci się przyjemniejsza, co? – dodała i stuknęła mnie łokciem w bok.

Uśmiechnęłam się. A więc miałam w pracy koleżankę. Fajnie!

– Zdziwiłabyś się, ale to wcale tak nie działa – westchnęłam. – Ale pamiętaj, nikomu ani słowa. Capiche?

– Capiche.

Wróciłyśmy na piętro, gadając o normalnych babskich sprawach: gdzie kupiła nowy sweter (J. Crew), czy znam jakieś fajne winiarnie po wschodniej stronie (Fig & Olive, obok Bloomingdale's, tyle że po drugiej stronie ulicy) i gdzie można kupić воск do brwi za mniej niż dwadzieścia dolarów (na Manhattanie nigdzie, chyba że chce się stracić wspomniane brwi). Kiedy dotarłyśmy do biura, chwyciła swoje krzesło i rozstawiła je tuż obok Chicka, kompletnie ignorując radę, którą jej dałam. Zupełnie jakbyśmy nie rozmawiały!

– Gdzie się podziwialiście? Kiedy powiedziałem, że potrzebuję napoju energetycznego, miałem na myśli napój z holu, a nie z centrum miasta!

– Przepraszam. Mam nadzieję, że nie przegapiłam niczego ważnego – powiedziała.

Ledwo co usiadłam, gdy nieoczekiwanie Chick zagwizdał, próbując zwrócić na siebie uwagę zespołu.

– Chłopaki! – zawołał i klasnął w dłonie tak, jak klaskają ludzie, którzy chcą przeszkodzić swoim psom w kopaniu dołów na podwórku. – Jestem głodny. Kto jeszcze jest głodny? – zapytał.

Wszyscy zaczęli pogwizdywać i wiwatować, bo jak zwykle wszyscy byli głodni. Nic nowego.

– Ręka do góry, kto chce kanapkę serową z mięsem. Wysoko, bo chciałbym was policzyć – dodał.

Wokół wyrósł las rąk, jednak zespół wrócił do przerwanych rozmów i dalej zajmował się pracą. Chick policzył chętnych w dziale sprzedaży, po czym spojrzał na brokerów. Choć nie raportowali do niego, lubił kupować im jedzenie – zadowoleni z życia brokerzy mniej czepiali się sprzedawców, którzy coś spieprzyli (na przykład stracili dziewięćdziesiąt trzy tysiące).

– No więc powiedz mi, Patty, skąd jesteś? – zapytał Chick, choć dobrze znał odpowiedź.

– Z Filadelfii – odpowiedziała bez zastanowienia dziewczyna.

– Podejrzewam, że zjadłaś już całkiem sporo kanapek serowych z mięsem?

– No jasne. Nie ma niczego lepszego niż kanapka serowa po filadelfijsku.

– Gdzie najchętniej jadasz je w Filadelfii?

– Są dwa dobre miejsca, Pat's i Geno's. Co ciekawe, znajdują się po przeciwnych stronach ulicy. Wolę tę drugą, ale obie są świetne.

Chick powoli wsunął rękę do kieszeni i wyciągnął z niej kluczyki.

Rzucił je Patty na kolana.

– Ustalmy jednak, że sami zadecydujemy, które z nich są lepsze. Zamawiam sto kanapek z serem, pięćdziesiąt z Pat's i pięćdziesiąt z Geno's. Podejrzewam, że znasz drogę do Filadelfii. Mieszkałaś tam całe życie, prawda? Skocz po nie.

Patty nie poruszyła się, ale wyraźnie widziałam, jak skóra na jej karku robi się czerwona.

– Nie rozumiem... Chcesz... Żebym pojechała do Filadelfii po sto kanapek z serem?

– Dokładnie. I upewnij się, że dostaniesz jakieś sensowne opakowanie. Chcę, żeby przyjechały tu ciepłe – stwierdził Chick i wskazał zegar wiszący na ścianie. Okazało się, że na jego pomiętym rękawie koszuli brakuje spinki od mankietu. – Jest 8.30. Jeśli teraz wyjdiesz, powinnaś wrócić nie później niż o 13. Mój merc stoi w garażu na dole. Bak jest pełen i chcę, żeby był pełen po twoim powrocie. Pamiętaj, żeby tankować premium. No dobra. Idź już! – stwierdził.

Patty nawet nie drgnęła.

– Na co czekasz? – warknął Chick przyzwyczajony, że jego polecenia wykonuje się natychmiast.

– Chcesz... żebym pojechała twoim mercedesem? – zaczęła się jąkać dziewczyna.

– Tak.

– Do Filadelfii?

– Tak – mruknął nieco bardziej opryskliwym tonem.

„Jezu, Patty, przestań gadać, po prostu zrób to”, poganiałam ją w myślach.

– Mam kupić kanapki i wrócić?

Chick spojrział na Reese'a.

– Czy my zatrudniliśmy Rain Mana? O co jej chodzi, chłopie? Wydawało mi się, że wydałem jasne polecenie.

– Sto kanapek z serem. Ja zrozumiałem od razu – zgodził się Reese.

– Widzisz, Patty? To wcale nie jest trudne. Jak mamy ci zaufać i powierzyć setki milionów dolarów, jeśli nie potrafisz poradzić sobie z wycieczką do Pennsylvanii?

– No tak – odpowiedziała. – W takim razie idę. Zadzwoń w drodze powrotnej.

– Ale po co? Nie interesuje mnie, gdzie wtedy będziesz. Jeśli nieoczekiwanie nie wylądujesz w Ohio, nie musisz tu dzwonić. Po prostu wróć na pierwszą. A jeśli uszkodzisz mój samochód, zadbam o to, żebyś resztę roku spędziła, mieląc kawę w holu z Jashimem. Jasne?

Patty przebiegła przez salę, przewracając przy okazji swoje krzeselko.

Słyszając jego brzdęk, Chick skrzywił się z bólu.

– Alex, znajdź adresy tych knajpek z kanapkami i zamów u nich lunch. Powiedz, że odbierzemy je za jakieś półtorej godziny.

– Jasne, szefie.

Po zamówieniu kanapek zadzwoniłam do jednego z moich klientów, przedstawiciela funduszu hedgingowego w Massachusetts. Chciał, żebym przeanalizowała kilka scenariuszy dotyczących transakcji, którą przygotowywał. Był ciekawy, jak będą się zachowywać obligacje, kiedy rynek skoczy powyżej pięćdziesięciu punktów bazowych, a jak wtedy, gdy spadnie o tyle samo. Jak będą wtedy wyglądać przepływy pieniężne i jak zmieni się czas trwania tych papierów. Analizowałam to przez kolejną godzinę. Nieoczekiwanie z zamyślenia wyrwał mnie telefon na prywatnej linii. Numer ten podałam jedynie najbliższemu przyjaciółkom, rodzinie oraz recepcjonistce w Bliss, do której dzwoniłam, gdy chciałam potwierdzić zabiegi na twarz. Sięgnęłam po słuchawkę.

– Cromwell – przedstawiłam się jak zwykle.

– Alex? – zapytała Patty.

– Co się dzieje? – syknęłam na tyle cicho, żeby nikt mnie nie usłyszał. – Nie mów, że coś z samochodem!

– Z samochodem wszystko w porządku, ale druga partia kanapek wciąż nie jest gotowa. Powiedzieli, że potrzebują jeszcze dwadzieścia minut. A jeśli spędzę je tutaj, to się nie wyrobię. Co mam zrobić?

Zrobić można było tylko jedno.

– Będziesz musiała pospieszyć się w drodze powrotnej. Na płatnej pociśnij sto czterdzieści. Jeśli nie będziesz zdejmować nogi z gazu, wrócisz na czas.

– Poważnie radzisz mi pędzić sto czterdzieści na godzinę samochodem Chicka? A co, jeśli mnie zatrzymają?

– Gdybym miała do wyboru stanąć twarzą w twarz ze wściekłym Chickiem bądź wściekłym policjantem z drogowki, to z całą pewnością wybrałabym glinę. Powiedz tym z knajpy, żeby podkręcili palniki. Naprawdę tak trudno podgrzać te kanapki?

– Wkładają w nie sporo miłości, Alex.

– Ale to tylko kanapka! Powiedz im, żeby się pospieszyli, a w drodze powrotnej nie zapomnij zapiąć pasów.

Rozłączyłam się. I super! Jeśli zakończy swoje życie zawinięta wokół słupa telefonicznego, będę za to w jakiś sposób odpowiedzialna.

Odwrociłam się, żeby sprawdzić, jak radzą sobie Will i chłopaki z tylnego rzędu. Najwyraźniej grali w jedną ze swoich ulubionych gier – tę, w której rzuca się centy na podłogę i liczy, ile z nich podniesie pewien skąpy handlowiec. Gość zarabiał na nich fortunę, choć jednocześnie stanowił jedną z najtańszych rozrywek na naszej planecie. Obserwując, jak wsuwa monety do kieszeni, Will i jego kumple mieli gigantyczny ubaw. Co ciekawe, facet nigdy się nie zastanawiał, skąd się wzięła kasa na podłodze.

Fajnie wiedzieć, że w tylnym rzędzie ktoś pracuje równie intensywnie, co ja.

Obróciłam się i wróciłam do arkuszy z wyliczeniami. Kiedyś nie cierpiałam przygotowywania modeli excelowskich dla Chicka, ale z nieznanych mi powodów opracowywanie ich dla klientów nie było już tak bolesne. Zyskałam pewność siebie.

Kiedy zamierzałam zadzwonić do klienta i poinformować go o wynikach analizy, kolejny raz zadzwonił telefon. Lubiłam Patty, ale przyznaję, że skutecznie działała mi na nerwy.

– Co znowu?! – warknęłam w słuchawkę.

– Chick pozwala ci w ten sposób odbierać rozmowy? Takie młode dziewczyny jak ty powinny być znacznie miłsze dla klientów.

„Cholera”. Poznałam ten głos.

– Przepraszam, spodziewałam się kogoś innego. Jak się masz, Rick?

Zaśmiał się.

– Podejrzewam, że nie jestem jedynym klientem korzystającym z linii zewnętrznej, żeby się z tobą przywitać. Jestem nieco zawiedziony tym, że nie wiesz, kim jestem, i znacznie bardziej zawiedziony tym, że nie odpowiadasz na moje SMS-y.

Poczułam, że sztywnieję.

– Co mogę zrobić dla ciebie?

– Jak się masz?

– Dziękuję, dobrze. A ty? – zapytałam, choć wcale mnie to nie obchodziło.

– Dobrze. Nawet lepiej, kiedy rozmawiam z tobą.

Zaśmiałam się nerwowo, po czym postanowiłam pozbyć się go tak szybko, jak to możliwe.

– Mam cię połączyć z Chickiem?

– Nie dzwoniłem do Chicka. Przecież to nie jest jego numer, prawda?

– Nie, nie jest. Więc co mogę dla ciebie zrobić?

– Miałem nadzieję, że wybierzesz się dziś ze mną na drinka do Bull and Bear. Sądzę, że to dobra okazja, żeby spędzić ze sobą trochę czasu.

„Co jest, do cholery, z tym facetem?”, pomyślałam.

– Dziękuję, ale dziś nie mogę. Zamierzam pracować do późna.

– Ciężka praca i brak rozrywek robi z Alex nudziarę, a z Ricka bardzo smutnego chłopca. Błeee!

– Przepraszam, ale naprawdę nie mogę. Może kiedy indziej?

Cholera! Nie powinnam tego mówić!

– Niech będzie kiedy indziej. Trzymam cię za słowo, Alex. Chyba nie chcesz sprawić przykrości jednemu z najlepszych klientów Chicka, co? To nie pomogłoby twojej karierze.

Zaśmiałam się kolejny raz. Żartował, prawda? To musiał być żart. Koszmarnie słaby, chory, pokrecony żart.

– Miło się z tobą rozmawiało, Rick.

– Nawzajem. Gdybyś zmieniła zdanie, to wiesz, gdzie mnie znaleźć – dodał i się rozłączył. Wróciłam do mojej tabelki i klientów, którzy nie traktowali mnie jak firmowej konkubiny. Pół godziny później na zegarze wybiła pierwsza i Chick pokręcił głową. Był wyraźnie niezadowolony.

– Gdzie, do cholery, jest Patty? – zapytał i walnął pięścią w stół. – Jak długo już jej nie ma? Właśnie w tej samej chwili się pojawiła. Ciągnęła za sobą potężny, niebiesko-biały pojemnik termiczny.

– Wróciłam – powiedziała z dumą. – Wszystko jest w porządku.

Chick otworzył pudło, uwalniając oszałamiający aromat grillowanej cebuli oraz syntetycznego sera.

– Nie będzie w porządku, jeśli kanapki okażą się zimne. Są zimne, Patty?

– Nie. Wciąż są ciepłe. Obiecuję.

– Świetnie. Siadaj, Patty – stwierdził.

Dziesięć sekund później pojemnik był już pusty. Ja nie zjadłam nawet kawałka. Od samego zapachu powiększył mi się tyłek.

– Dlaczego tak trudno kupić dobrą kanapkę z serem w Nowym Jorku? – zapytał Reese, oglądając swój egzemplarz. – Nowy Jork ma wszystko, czego trzeba, ale nie doczekał się swoich kanapek! Dlaczego?

– Kto to wie? Jeśli Nowy Jork ma wszystko, czego trzeba, nie licząc dobrych kanapek, to mnie to całkowicie wystarczy – odpowiedział Drew i wyrzucił puste już opakowanie do śmietnika.

– Dobra robota, Patty – stwierdził Chick i połknął dziesiątą tego dnia dawkę advilu. – Kiedy następnym razem wyślemy cię po żarcie do Filadelfii, będziesz musiała obkoczyć tylko jedno miejsce. Miałas rację: Geno's są lepsze.

– On zawsze tak się zachowuje? – szepnęła mi do ucha. – Czy teraz regularnie będę kursowała do sąsiedniego stanu po lunch?

– Wszystko jest możliwe – odpowiedziałam.

– Jezu! Chyba nie do końca wiedziałam, na co się piszę, kiedy ubiegałam się o tę pracę.

– Co do tego nie mam wątpliwości.

Pod koniec dnia pomachałam Willowi i wyszłam z biura ze świadomością, że w skrzynce pocztowej wciąż miałam nieprzeczytaną wiadomość od niego. Uznałam, że spróbuję grać trudną do zdobycia. Albo przynajmniej nie dziecinnie łatwą. No i tylko dziś.

XIV

Kupujący tę pannę hurtowo

Zgodnie z moimi oczekiwaniami Patty szybko przyzwyczała się do życia na składanym krzeselku. Pozwalałam jej nawet zostawiać torbę pod moim biurkiem. Dzięki temu nie martwiła się, że ktoś włoży tam kukurydziane muffiny albo wrzuci głupie fotki na jej komórkę. Uznałam, że mogę pomóc osobie, która zastąpiła mnie na stanowisku specjalistki od Excela.

W marcu zaprzyjaźniłyśmy się na dobre. Uświadomiłam sobie wówczas, jak bardzo w pracy brakowało mi koleżanki. Miałam wrażenie, że znamy się od lat, a nasza zażyłość była znacznie większa, niż sugerowałyby to dwa miesiące znajomości. Cóż, po prostu w tej branży wszystko toczyło się niewiarygodnie szybko. Inne było poczucie czasu, inne znajomości, długość życia. I nie tylko to.

Dzięki Bogu Patty okazała się inteligentną dziewczyną. Z gracją przejęła ode mnie rolę finansowego niewolnika Chicka. Potrzebowała jedynie niewielkiego wsparcia. To mnie cieszyło. Miałam wreszcie czas na bardziej interesujące zajęcia.

Wiadomość od: Patrick, William

Jesteś zajęta w tym tygodniu?

Wiadomość od: Garrett, Alex:

Muszę sprawdzić w kalendarzyku. Ostatnio jestem bardzo zajęta dziewczynką.

Wiadomość od: Patrick, William

Sprawdź, czy masz wolny czwartek. O 20 mam rezerwację w Nobu. Nie chciałbym zabrać tam Marchettiego. Zbankrutowałbym, płacąc za jego obiad.

Wiadomość od: Garrett, Alex

Coś może uda się wykroić. Tak ze dwie godziny.

Wiadomość od: Patrick, William

Wykroisz całą noc i dobrze o tym wiesz... a jeśli nie, to będę wlewał w ciebie sake, aż zmienisz zdanie.

Jak widzisz, sprawy stawiam uczciwie.

Nobu cieszyło się opinią jednej z najmodniejszych miejscówek w mieście. Restauracja była ciasna, ale elegancka, gęsto zastawiona stolikami. Poziom hałasu fluktuował od średniego do wysokiego w zależności od klienteli bawiącej się danego wieczoru. Celebryci i modelki przychodzili tu nadzwyczaj chętnie, bo knajpa należała do nielicznych miejsc na Manhattanie oferujących akceptowane dla nich posiłki (surowa ryba nie szkodziła ich figurze). Wpadali tu również stali goście nowojorskiej rubryki towarzyskiej, chcący po raz kolejny pojawić się w plotkarskich czasopismach, a także pracownicy Wall Street uzbrojeni w firmowe karty kredytowe. Nie wiem, jakim cudem Wilowi udało się załatwić rezerwację. Szczerze mówiąc, mało mnie to obchodziło. Po prostu wiedziałam, że muszę tam pójść!

Postanowiłam założyć dzinsy, szarą koszulkę Vince'a (tę z długimi rękawami i głębokim,

dwustronnym wycięciem) oraz długie czarne szpilki, w których cierpiałam, ale za to wyglądałam seksownie. Cóż, kobieta musi czasem pocierpieć, żeby wyglądać pięknie. I pięknie wyglądałam. Po pracy odwiedziłam jeszcze salon Johna Barretta i zostawiłam w nim ponad sto dolarów. Moje włosy zaczęły się kręcić i błyszczeć. Miały jakoś rodem z reklamówek szamponów!

Niestety nic nie niszczy fryzury skuteczniej niż północnowschodni wiatr. Wróciłam do domu, żeby się przebrać. Dziesięć minut później nadciągnął prawdziwy monsun. Zamieniłam się w stracha na wróble w chwili, gdy wyskoczyłam na chodnik, żeby zatrzymać taksówkę.

Kiedy dotarłam do restauracji, Will już na mnie czekał. Wstał i pocałował mnie niedbale na powitanie. Miał na sobie te same ciuchy, w których był w pracy. W dodatku sprawiał wrażenie podchmielonego. Podejrzewam, że po robocie nawet nie zajrzał do domu, lecz wpadł piwo z kumplami do jednego z barów na Wall Street. Być może faceci nie myślą zbyt często o swoim wyglądzie (i nie zrozumcie mnie źle, nie szukam chłopaka, który jest na tyle próżny, żeby spędzać przed lustrem więcej czasu ode mnie), ale zrobiło mi się głupio. Zrozumcie: ja dostałam ataku paniki, bo potargała mi się fryzura, a on nie zadał sobie trudu, żeby zmienić koszulę.

W każdym razie Will pił piwo, a ja – po obejrzeniu karty alkoholi – zdecydowałam się na martini.

– Poproszę liczi martini – zawołałam do kelnera.

Wybór zainteresował Willa.

– Od kiedy pijasz martini?

– Zazwyczaj nie pijam, ale postanowiłam spróbować. Sake jest przecież wszędzie. Masz może pojęcie, co to jest to liczi?

Zaśmiał się.

– Wybacz, nie pomogę ci. Jestem jednak pewny, że to coś dobrego. Tu wszystko jest dobre – stwierdził i posłał mi uśmiech. – Zamówię coś do jedzenia. Jest tu kilka potraw, których powinnaś spróbować. Genialne żarcie. Też je polubisz.

– Super – zaszczebiotałam jak głupia nastolatka. – Mam tylko jedno zastrzeżenie: nie jadam rybich jajek. Poza tym możesz zamawiać to, na co masz ochotę – dodałam, uśmiechając się oszałamiająco i bezwstydnie trzepocząc rzęsami.

– Zrozumiałem – odpowiedział. – Sprzedająca rybie jajka, co? – zachichotał.

Ludzie z Wall Street mieli denerwujący zwyczaj używania zawodowego żargonu w życiu codziennym. Jeśli daną rzecz lubiłaś, byłaś kupującym. Jeśli za czymś nie przepadałaś, byłaś sprzedającym. Jeśli coś bardzo lubiłaś bądź nie lubiłaś, dodawałaś „hurtowo” na końcu.

Kiedy obok naszego stolika przeszła jakaś piękność, Marchetti zagwizdał na jej widok.

– Kupujący tę laskę hurtowo – rzucił.

– Sprzedający – odciął się Reese. – Ma tłusty tyłek.

Ta biedna dziewczyna po prostu przeszła niedaleko nas, a już stała się towarem wystawionym na sprzedaż.

W mojej torbie zabrzączał telefon, przerywając nam rozmowę.

– Popularna z ciebie dziewczyna – stwierdził Will.

– No cóż, najwyraźniej odrzuciłam kilku facetów, żeby móc zjeść z tobą obiad.

Uśmiechnął się pod nosem. Wyciągnęłam telefon z torby i sprawdziłam nowe wiadomości. Mój dobry humor natychmiast się ulotnił.

SMS od Kieriakis, Rick:

Tęsknię za tobą. A czy ty tęsknisz za mną? Oddzwoń!

Niezadowolenie musiało rozlać się po mojej warzy.

– Co się stało?

– Rick.

Will zaniepokoił się.

– Dzieje się coś, o czym powinienem wiedzieć?

– Nie. Po prostu nie wiem, dlaczego ten gość nie daje mi spokoju – odpowiedziałam uczci-

wie.

– Nie wiesz? Ja wiem.

– Wiesz?

– Wiem. Otóż na Wall Street są trzy rodzaje kobiet.

– Zapowiada się interesująco...

– Pierwszy rodzaj to te, które prześpią się z każdym, byle tylko dostać podwyżkę bądź awansować. Drugi to te, które pracują dwa razy ciężiej niż wszyscy, bo chcą dostać podwyżkę bądź awansować. One nie zamierzają robić kariery przez łóżko.

– A trzeci rodzaj?

– Trzeci rodzaj to te, które nie wytrzymałyby długo w żadnej z powyższych grup i dlatego prędzej czy później rezygnują. Rick nie wie, w której grupie jesteś, więc cię testuje. Bycie kobietą na Wall Street jest niełatwe, nie mam wątpliwości, więc niektórzy wykorzystują to do własnych celów. Przecież zawsze możesz zamienić wady w zalety.

– To podłe. Nigdy bym tego nie zrobiła.

– Ja to wiem, ale on nie. Zapewne podejrzewa, że jesteś kolejną dziwką na Wall Street.

Nasz kelner wrócił z mętnym, jasnoróżowym drinkiem i postawił go przede mną. Wystawała z niego wykałaczką. W klasycznym martini byłaby wbita w oliwkę, ale w liczi martini przytrzymała jakiś tłusty, ohydnie wyglądający obiekt. Uwaga na przyszłość: dla bezpieczeństwa zamawiać piwo.

Z duszą na ramieniu zamoczyłam usta w koktajlu. Okazał się mocny i bardzo owocowy. Wygląda na to, że znalazłam swój nowy ulubiony napój!

– To jest doskonale! – oświadczyłam. – Dlaczego nie pijam tego na co dzień?

– Płacąc osiemnaście dolarów za szklaneczkę? To chyba dobrze, że nie pijasz.

– Ten drink kosztuje osiemnaście dolarów? Jezu, czy dolali tu płynnego złota?

Will uśmiechnął się, wypił ostatni łyk piwa, po czym zamachał do kelnera, prosząc dla nas o następną kolejkę.

– Masz zaległości – powiedział.

Spojrzałam na szklaneczkę, która wciąż była pełna. Wzięłam potężny łyk. Chciałam opróżnić ją przed pojawieniem się kolejnej. Piłam z przyjemnością, ale kiedy spojrzałam Willowi w oczy, zrozumiałam, że nie mam najmniejszych szans, żeby go dogonić. Najwyraźniej pił przez ostatnie trzy godziny. Także wtedy, gdy zastanawiałam się, czy wybrać ciemne, marmurkowe dzinsy, czy też bardzo ciemne, marmurkowe dzinsy. Z drinkiem rozprawiłam się naprawdę szybko. Z chęcią połknęłabym też liczi, ale nie wiedziałam, czy należy to robić. Uznałam, że w razie wątpliwości bezpieczniej jest nie dotykać owocu i pozwolić mu słodko drzemać na dnie szklaneczki.

– Przepraszam. Powinnam była sprawdzić cenę przed złożeniem zamówienia. Pewnie to jeden z najdroższych drinków w menu. Może po tej kolejce przerzucimy się na wino?

– Oszalałaś? Zarabiamy masę pieniędzy, poza tym to ja zaprosiłem cię na obiad. Możesz zamawiać to, na co masz ochotę. Nie przejmuj się rachunkiem – stwierdził.

Na potwierdzenie swoich słów zawołał kelnera i zamówił jedzenie.

– Weźmiemy porcję tuńczyka żółtopłetwego z jalapeno, porcję krewetek w tempurze, porcję pasty miso z dorsza, porcję wołowiny wagyu, sześć kawałków sushi, niech kucharz sam zadecyduje, które jest najlepsze, byle nie... Czego właściwie nie chciałeś jeść?

Wyciągnął w moją stronę palec wskazujący i zakręcił nim zgodnie ze wskazówkami zegara, próbując przypomnieć sobie moje życzenie.

– Żadnych rybich jaj, proszę – powiedziałam.

Will wręczył kelnerowi menu i powoli przesunął ręką po włosach.

– No dobra. Cokolwiek ta pani sobie życzy. Lub raczej nie życzy – stwierdził.

Kelner uśmiechnął się i wrócił do kuchni, żeby złożyć nasze cholernie obfite zamówienie.

Will niespodziewanie wyciągnął spod krzesła niewielką torebkę.

– Mam coś dla ciebie. Otwórz.

Rozerwałam zielony papier pakowny i zobaczyłam cieniutką opaskę do włosów Burberry.

– Kupiłeś mi opaskę? – zdziwiłam się.

Przypadek?

– Tak. Często włosy opadają ci na twarz bądź związujesz je w jeden z tych twoich dziwnych kucyków. Pomyślałem, że przyda ci się coś, co pomoże ci odsłonić buzię w pracy.

Nie należałam do dziewczyn noszących opaski Burberry, ale uznałam to za miły gest. Nie chciałam też być niemiła.

– Dzięki. Cieszę się, że pomyślałeś o mnie.

– Załóż ją.

Poczułam się głupio, słuchając uwag dotyczących mojego uczesania. Mimo to założyłam opaskę i uśmiechnęłam się. Wiedziałam, że dostałam ją, bo próbował być miły, ale czułam jednocześnie, że stąпам po grząskim gruncie. Kto wie, jak długo potrwa, zanim on zacznie decydować, co mam nosić i z kim rozmawiać. Nie chciałam skończyć w korporacyjnej wersji *Sypiając z wrogiem*.

– I jak ci się podoba? – zapytałam zaniepokojona, ignorując ostrzegawcze dzwonki grzmiące w mojej głowie.

Wytłumaczyłam sobie, że oglądam zdecydowanie za dużo filmów.

– Wyglądasz świetnie.

Byłam lekko wstawiona i dziwnie zadowolona zarówno z restauracji, jak i towarzystwa. Planowałam porozmawiać z Willem o czymś ważnym, ale rozkojarzyłam się, kiedy pojawił się kelner. Przyniósł tacę cieniutko pokrojonego tuńczyka z kawałkami jalapeno pływającego w sosie sojowym i przyprószonego kolendrą.

– Spróbuj. Na pewno to pokochasz – stwierdził Will, sięgając po pałeczki leżące na eleganckim, czarnym, błyszczącym kamieniu.

Potem, dość szybko, dostarczono nam smażone krewetki, pastę miso z dorsza, najlepszy stek, jaki kiedykolwiek jadłam, oraz kilka niezidentyfikowanych surowych ryb. Co do drinków, to straciłam rachubę, ponieważ kelner nieustannie je uzupełniał, kiedy tylko zobaczył, że szklanki robią się puste. Dobra obsługa jest po prostu bezcenna.

– Mogę zadać ci pytanie? – zapytałam, z coraz większym trudem usiłując się skupić.

– Wal! – odpowiedział.

Miał zupełnie szkliste, przekrwione oczy.

– Kiedy próbuję się do ciebie dodzwonić w weekend, nigdy nie odbierasz. To nic ważnego – dodałam szybko. – Zastanawiam się jednak, dlaczego nigdy nie oddzwoniasz. Ja oddzwoniam, gdy dzwonisz.

– Nie wiem, czasami nie lubię telefonów. Bez przerwy rozmawiamy przez nie w pracy, dlatego w weekendy zależy mi na ciszy i spokoju. Rozumiesz?

Zastanowiłam się nad tym przez chwilę. To miało sens. Rzeczywiście spędzaliśmy ze słuchawkami w dłoniach nieprzyzwoitą ilość czasu.

– Daruję ci te telefony. Ale jak to możliwe, że nie poznałeś jeszcze żadnej z moich przyjaciółek? Nie chcę przez to powiedzieć, że one nie wiedzą, że się spotykamy... Ale jestem przekonana, że zaczynają się zastanawiać, czy przypadkiem nie wymyśliłam sobie ciebie. Dlaczego nigdy nie spotkamy się z innymi ludźmi? Mam wrażenie, że wstydzisz się pojawiać ze mną!

Trochę przesadzałam. Wiedziałam, że nie o to chodzi, ale ta opaska do włosów pozwoliła mi mówić rzeczy, których normalnie bym nie powiedziała. Czułam potrzebę zrekompensowania sobie tego zacisku w szkocką kratę, który uciskał mi czaszkę.

Will zaśmiał się pod nosem.

– Jesteśmy w jednej z najpopularniejszych restauracji w mieście. Gdybym wstydził się pokazywać z tobą, zabrałbym cię do jakiejś dziury w rejonie East Village, gdzie nikt normalny nie zagłąda. Myślę, że trochę ci odbija.

– Wcale nie!

Przekonanie faceta, że jest się wariatką, to niemal pocałunek śmierci.

– Lubię spędzać czas tylko z tobą. Czy to źle?

– Nie, ale mógłbyś poznać moje przyjaciółki. To fajne dziewczyny. Polubiłbyś je.

– A skąd wiesz, może byśmy się znienawidzili? Dziewczyny bywają brutalne.

– Mnie lubisz, prawda? A one są takie jak ja. Więc skoro mnie lubisz, polubiłbyś też i je.
– To nie takie proste. Kiedy poznam twoje koleżanki, uznają pewnie, że mogą zabierać głos w każdej sprawie, która nas dotyczy. Dlatego lepiej ich do tego nie mieszać.

– Niech zgadnę: przyjaciółki twojej byłej dziewczyny nie polubiły cię i teraz winisz je za wasze rozstanie.

– Tego nie powiedziałem – stwierdził nieco zbyt szybko.

– Nie musiałeś. Posłuchaj, te dziewczyny stanowią ważną część mojego życia. Jeśli chcesz być dla mnie kimś więcej niż tylko kumplem od e-maili, to będziesz musiał je poznać. Nie gryzą, obiecuję. No dobra, Liv raz ugryzła, ale to były wyjątkowe okoliczności.

Will westchnął głośno i zamachał nerwowo pałeczkami.

– Dobrze. Zastanowię się nad jakimś wspólnym wieczornym wyjściem. Spotkam się z nimi, jeśli rzeczywiście jest to dla ciebie takie ważne – dodał i złapał mnie za rękę.

W tym samym momencie kelner położył rachunek na skraju stołu.

– Super. Jutro spotykam się z Liv. Może wybrałbyś się z nami na drinka? Nie musisz zostać długo, po prostu wpadniesz ją poznać. Co ty na to? – zapytałam.

Czekając na odpowiedź, nerwowo poruszałam pod stołem stopą.

– Z tą gryzącą? Naprawdę chcesz, żebym najpierw poznał tę, która gryzie?

– Zapomnij, że o tym wspomniałam. To długa historia.

– Jutro i tak nie mogę. Mam inne plany. Ale wkrótce wyjdziemy gdzieś razem, obiecuję.

Potem puścił moją rękę, wyciągnął portfel i zaczął nerwowo w nim grzebać. W końcu wyciągnął kartę Amex. Brakiem płynności w ruchach potwierdził, że jest mocno wstawiony. Rzucił kartę na rachunek i podał kelnerowi, nawet nie patrząc na łączną sumę.

„Pokazówka!”, pomyślałam.

– Chciałem cię o coś zapytać – powiedział wreszcie.

– O co?

– Zbliżają się twoje urodziny, prawda?

– Są w przyszłym miesiącu. 16 kwietnia. Skąd to wiesz?

– Mówiłem już, Nancy zdradzi wszystko, jeśli jest się dla niej miłym.

Przysięgam, że się zarumieniłam. To z pewnością skutek liczi.

– W każdym razie zastanawiałem się, czy pozwolisz się gdzieś zaprosić w ten dzień. Podejrzewam, że jesteś wolna?

Will miał gadane, ale wciąż musiał się sporo nauczyć w kwestii uwodzenia. Powiedzenie dziewczynie, że z pewnością nie ma planów na swoje urodziny, nie jest pochlebstwem. Nawet miesiąc wcześniej.

– Naprawdę? A na jakiej podstawie wyciągnęłaś takie wnioski?

– Źle dobrałem słowa. Chciałem powiedzieć, że według mojej najlepszej wiedzy jesteś dostępna w swoje urodziny. Chciałem po prostu, żebyś zarezerwowała dla mnie czas.

– Teraz lepiej. No cóż, planowałam zjeść obiad z przyjaciółmi, ale mogę odwołać to spotkanie. Masz już jakiś plan?

– Nie pytaj. To ma być niespodzianka.

Will podpisał rachunek i ruszyliśmy w stronę wyjścia. Wciąż padało, więc schowaliśmy się pod dachem z płótna rozciągniętym przed sąsiednimi delikatesami. Will wyskoczył, żeby zatrzymać taksówkę. Po chwili wylądowałam tuż obok niego na tylnej kanapie wozu. Deszcz grzmocił w okna z takim impetem, że można było odnieść wrażenie, iż ktoś rzuca w nas żwirem z chodnika. Miałam mokre włosy, opaskę zresztą też. Kiedy zadrzałam z zimna, przyciągnął mnie do siebie tak mocno, że niemal usiadłam mu na kolanach.

– Dziękuję za obiad. Naprawdę dobrze się bawiłam – westchnęłam.

Miałam wrażenie, że unoszę się w powietrzu. To z pewnością było działanie alkoholu i endorfin.

Will nie odpowiedział. Niepokojąca cisza wydawała się ciągnąć w nieskończoność. Słyszałam jedynie dźwięk kropli deszczu wielkości piłeczek do golfa bębniących w dach taksówki. Byłam pewna, że kiedy wreszcie wysiądę z wozu, będzie popękany jak angielski muffin.

– Posłuchaj, muszę ci coś powiedzieć – stwierdził nagle Will i poprawił się na kanapie.

– Co? – zaciekałam się i nagle zrobiło mi się zimno.

Gdyby nie te sześć liczi martini, dostałabym hipotermii.

– Nie jestem jeszcze gotowy na poważny związek. Dobrze się ze sobą bawimy, fajnie spędzamy ze sobą czas, ale sadzę, że powinniśmy traktować to bardziej na luzie.

– Co? – zapytałam ostrym tonem i odsunęłam się od niego.

– Jeśli coś działa, to nie należy przy tym majstrować. Przez cały ten rok naprawdę dobrze się bawiłem. Ale mielibyśmy poważne kłopoty, gdybyśmy zaczęli... no wiesz... „randkować”... i coś poszłoby nie tak. Nie popełniamy tego błędu.

– Żartujesz, prawda? – upewniałam się.

Zaczęłam nawet się obawiać, że opaska blokuje mi przepływ krwi do mózgu i że tylko wydawało mi się, że najpierw zaproponował mi spotkanie w moje urodziny, a potem powiedział, że nie potrzebuje dziewczyny.

„A podobno to dziewczyny są porąbane?”, pomyślałam.

– Nie chcę, żebyś odebrała to osobiście. Staram się być z tobą uczciwy.

Czknął, a wtedy uświadomiłam sobie, że poważna rozmowa jest w tym momencie stratą czasu. No i co z tego? Dziś dowiedział się, że nie lubię ikry, a ja dowiedziałam się, że nie szuka dziewczyny. Uczciwa wymiana informacji. No, powiedzmy.

– No więc... rozumiem. Nie chodzimy razem, ale możemy się spotykać i robić to, co do tej pory. No i nadal chcesz mnie zabrać gdzieś w moje urodziny.

– Tak – oświadczył.

Cofnęłam się i spojrzałam na jego twarz. Z powodu nadmiaru alkoholu miał przekrwione, zamglone oczy i chciał mu się spać. Uznałam, że utrzymanie status quo to lepsze niż nic. Uśmiechnęłam się i powiedziałam jedyną rzecz, która przyszła mi wtedy do głowy.

– W porządku.

Miał szczęście, że nie lubię etykietek. Interesowała mnie wyłącznie niespodzianka urodzino-
wa. Czasami chyba nieco zbyt łatwo mnie zadowolić.

XV Środa, Zmocz Mi Wargi

W marcu i kwietniu w pracy działy się dziwne rzeczy. Kilka znanych funduszy upadło i rynki straciły dawną płynność. To nas bardzo zaniepokoiło. Uświadomiłam sobie, jak wiele rzeczy uważałam do tej pory za stałe i niezmiennie. Sądziłam na przykład, że firmy z Wall Street zawsze będą mieć dość pieniędzy, żeby pozostać na powierzchni. Myliłam się. Staralam się więc zrozumieć, co tak naprawdę się wydarzyło i co przyniesie przyszłość. Zanim się zorientowałam, był już środek kwietnia. Zbliżały się moje dwudzieste czwarte urodziny. Na szczęście wypadły w sobotę.

Rano obudził mnie dzwonek do drzwi. Budzik pokazywał 8.45.

– Wszystkiego najlepszego! – zawołała Liv, kiedy otworzyłam drzwi. Razem z Annie przystępowały olbrzymi bukiet kwiatów oraz butelkę veuve clicquot. – Zbliżyłaś się o rok do trzydziestki. Jak się z tym czujesz? Koniecznie odpowiedz! Zamierzam poświęcić najbliższe osiem miesięcy na przygotowywanie się do bycia równie starą, co ty!

Liv zawsze się cieszyła, że jest osiem miesięcy młodsza. To ja miałam jako pierwsza osiągnąć wszystkie granice, z którymi kobiety zazwyczaj nie chciały się mierzyć, w tym wspomnianą trzydziestkę. Niech jej będzie. Między szesnastym a dwudziestym pierwszym rokiem życia to ona zazdrościła mi wieku.

– Czuję się wspaniale, ty wrzódzie na tyłku – ziewnęłam. – Dwadzieścia cztery to wcale nie tak dużo, wczoraj miałam raptem rok mniej. Poza tym, dziewczyny... Co tu robicie o tak barbarzyńskiej porze?

– Przyszliśmy złożyć ci życzenia urodzinowe. Przecież później masz gorącą randkę. No wiesz, tę, przez którą nas spławiłaś – przypomniała Annie.

– Bardzo zabawne.

Szczerze mówiąc, nie miałam nic przeciwko pobudce o tak wczesnej porze.

Spędziłam okrągły tydzień na przygotowywaniu się do spotkania z Willem. Wydałam grubo ponad pół tysiąca dolarów. Zainwestowałam w manikiur, pedikiur, wosk, potrójną tlenową terapię twarzy, fryzjera, pasemka, peeling, body-wrapping i masaże. Okłady z wodorostów początkowo wydawały mi się przegięciem, ale panie w spa przysięgały, że doskonale odtruwają i wygładzają skórę. Postanowiłam nie oszczędzać.

– Wszystkiego najlepszego, Alex – powiedziała Annie, kiedy otworzyła butelkę szampana. Stuknęłyśmy się kieliszkami, od bąbelków do oczu napłynęły mi łzy. – Więc jakie plany macie na wieczór? Może tą niespodzianką będzie to, że pan Will wreszcie odważy się poznać choć jedną z twoich przyjaciółek, co? – zapytała.

– Nic mi nie powiedział. Domyślam się, że zadzwoni bądź wyśle mi później SMS-a. Szczerze mówiąc, bardzo cieszę się, że chce spędzić ze mną dzień. Nigdy nie spotykaliśmy się w weekendy, więc uważam to za swoje małe zwycięstwo.

Liv podała mi niewielką torebkę z prezentem. Wystawał z niej biały papier pakowy, którym dość nieumiejętnie przysłonięto jakiś różowy, pierzasty przedmiot. Mój Boże! Kiedy wyciągnęłam pióra z torby, odkryłam, że są one przyklejone do przedziwnej, plastikowej, przezroczystej tuby, w której coś się znajdowało. Może skarpetki? Cokolwiek to było, miało wiele kolorów. Wyraźnie widziałam czerwony, różowy, purpurowy i czarny.

– Śmiało, otwórz to! – zachęciła mnie Annie.

Jej policzki zaczerwieniły się. Ostrożnie wyciągnęłam ze środka bawełnianą kuleczkę i potrząsnęłam nią. Kilka sekund zajęło mi zorientowanie się, że trzymam pierwsze z siedmiu „tygodniowych” stringów. A więc Meg Ryan nie miała racji, gdy w filmie *Kiedy Harry poznał Sally* powiedziała Billy’emu Crystalowi, że nie ma stringów na niedzielę, bo to nie spodobałoby się Panu Bogu. Co ciekawe, nie dostałam klasycznego zestawu, tylko... hm, jakby to powiedzieć delikatnie? Komplet dziwkarskich-siedmio-kurde-dniowych majtasów!

– Skąd... do diabła... je wzięłyście?

– Ja nie mam z tym nic wspólnego. Liv stała na czele komitetu organizującego prezent. Osobiście wolałabym sprezentować ci zaproszenie do spa albo coś w tym stylu! – odpowiedziała pośpiesznie Annie.

– Myślę, że są zabawne. Nikt takich nie ma – próbowała się bronić Liv.

– No, na pewno nie – zgodziłam się. – Gdybym dostała takie, gdy byłam mała, mama nie zdołałaby mi ich podpisać. Robiła to za każdym razem, gdy wysyłała mnie na obóz.

– Te najbardziej mi się podobają – oświadczyła Liv, kiedy wyciągnęłam białą parę. Różowy napis „Środa. Zmocz Mi Wargi” widniał tuż nad jeszcze gorętszym wizerunkiem ust. – Sama powiedz, czy to nie jest najzabawniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałas? Możesz je założyć na spotkanie z Willem, wiesz? Poczekaj, pokażę ci jeszcze Sobotę – stwierdziła.

Błyskawicznie wyrwałam jej opakowanie z rąk.

– Zostawmy Sobotę tam, gdzie jej miejsce – powiedziałam i się zaśmiałam.

– Mam nadzieję, że będziecie dobrze się bawić... i to niezależnie od tego, co Will zaplanował. Nie mogę się doczekać, kiedy o wszystkim opowiesz. Zobaczysz, przeżyjesz przygodę rodem z filmów z kanału Lifetime – rozmarzyła się Annie. – Już to sobie wyobrażam. Melodramat zatytułowany *Zagraniczna giełda miłosna*. No wiesz, w końcu zakochaliście się, pracując na giełdzie.

– Nie chcę niszczyć twojej wizji, Annie, ale technicznie rzecz biorąc, nie pracuję na giełdzie.

– A co to za różnica? Domyślasz się przecież, o czym mówię. Olbrzymia sala z mnóstwem rozwrzeszczanych kolesi jest olbrzymią salą z mnóstwem rozwrzeszczanych kolesi.

– No tak, poza tym olbrzymia sala z mnóstwem rozwrzeszczanych kolesi to miejsce, w którym rozpoczyna się każda historia miłosna. Tyle że to wcale nie jest historia miłosna. Annie, my nawet nie jesteśmy parą!

– Jeśli coś wygląda jak kaczką i kwacze jak kaczką...

– Hej, co zamierzasz dziś założyć? – zapytała Liv i otworzyła moją szafę. – Musisz wyglądać seksownie!

Pokazałam im kostium, o którym myślałam, po czym skończyłyśmy butelkę szampana.

Dzień rozpoczął się znakomicie, a dalej mogło być już tylko lepiej.

Zawsze uważałam się za dziewczynę, która poradziłaby sobie w każdej sytuacji. Nielatwo mną rządzić. Nie jestem przylepna ani nie uzależniam się od innych. Jestem jednak trochę, to znaczy naprawdę odrobinę neurotyczna. Kiedy wybiła siódma wieczorem, a ja wciąż nie ruszyłam się z kanapy przed telewizorem, zaczęłam się lekko niepokoić. Wysłałam już Willowi dwa SMS-y, jeden o szóstej, drugi pół godziny później. Oba były łagodnymi, całkowicie akceptowalnymi pytaniami, o której zamierza mnie odebrać bądź też czy mam się gdzieś stawić o określonej godzinie.

Upłynęło zatem sześćdziesiąt minut od pierwszego SMS-a, a ja nie dostałam żadnej odpowiedzi. Po gruntownej analizie doszłam do wniosku, że istnieją dwa możliwe wyjaśnienia całej tej sytuacji: albo umarł, albo zemdlął. W obu przypadkach denerwowanie się czymś tak prozaicznym jak urodzinowy obiad byłoby zdecydowanie nie na miejscu. On pewnie leżał gdzieś bez ruchu, na przykład na zatłoczonym oddziale ratunkowym miejskiego szpitala, a w głowie miał olbrzymią, krwawiącą ranę. Do 20.30 wysłałam mu więc trzy kolejne wiadomości, przechodząc od stanu lekkiego zaniepokojenia przez łagodną irytację po absolutną wściekłość.

Wiadomość 1 (19.30)

SMS od Garrett, Alex:

Will, czy wszystko w porządku? Proszę, zadzwoń do mnie. Zaczynam się denerwować tym, że się nie odzywasz.

Wiadomość 2 (20.00)

SMS od Garrett, Alex:

Jeśli to jakiś urodzinowy żart, to chyba rozjechanie mojego ukochanego zwierzaka z dzieciństwa byłoby znacznie zabawniejsze.

Zadzwoń.

Wiadomość 3 (20.30)

SMS od Garrett, Alex:

Będzie lepiej dla ciebie, jeśli nie żyjesz.

Wiadomość 4 (godzinę później)

SMS od Garrett, Alex:

Hej, jest 21.30! To nie jest zabawne. Gdzie jesteś?

Próbowałam się uspokoić.

„Nie panikuj. Nie panikuj. Na pewno istnieje jakieś wytłumaczenie. Nikt celowo nie zachowywałby się w ten sposób. Widziałaś przecież wszystkie odcinki programu Jerry’ego Springera i nawet tam ludzie okazywali sobie więcej szacunku.

Na pewno istnieje jakieś wytłumaczenie.

Musisz tylko poczekać, aż gość się odezwie. Wtedy je usłyszysz. Teraz ważne jest przede wszystkim to, żebyś nie panikowała!”

O 22 płakałam, siedząc na parapecie, paląc papierosy i obgryzając paznokcie. Szybko zniszczyłam sobie manikiur. Patrzyłam bez przerwy na telefon i czekałam, aż w końcu zadzwoni. Niestety milczał. Mój rozum wciąż nie dopuszczał myśli, że Will po prostu mnie wystawił do wiatru.

O 22.45 mój telefon zapiszczał. Chyba powinnam się ucieszyć, bo wreszcie odpowiedział na jedną z wielu wiadomości, które mu wysłałam (oraz licznych nagrań, które zostawiłam mu na poczcie głosowej). Otwierałam wiadomość ze strachem i z podekscytowaniem, zupełnie tak samo, jak wtedy, gdy dostałam list informujący mnie o przyjęciu na uniwersytet. Kiedy jednak przeczytałam treść SMS-a, załamałam się.

SMS od Patrick, William:

Przepraszam, ale nie czuję się najlepiej. Nie dam dziś rady. Moja wina. Wszystkiego najlepszego!

Wszystkiego najlepszego? Moja wina? Poważnie? To były zdecydowanie najgorsze, najsmutniejsze i najbardziej dołujące urodziny, jakie kiedykolwiek miałam. Gdy zmywałam z twarzy starannie przygotowany makijaż, woda mieszała się z moimi łzami. Rzuciłam nowe ciuchy na podłogę i walnęłam się do łóżka. Chciałam zostać w nim aż do poniedziałku. Kiedy o jedenastej Annie przysłała mi SMS-a z pytaniem, czy dobrze się bawiłam, odpowiedziałam po prostu: „Zostałam w domu. Dupek!”

Zanurzyłam zmoczoną łzami twarz w poduszkę i po cichu przeklinałam dzień, w którym się urodziłam. Odrobinę ukojenia przyniosła mi świadomość, że kiedy człowiek znajdzie się na dnie, może już tylko piąć się w górę.

No chyba że upadnie tak nisko, że równie dobrze mógłby siedzieć w barze z kluskami w Chinach.

Następnego poranka usilnie starałam się zignorować dzwonek u drzwi, lecz kiedy zaczęła wyc również komórka, podniosłam się z łóżka.

Na korytarzu stała Annie. Nie zamierzała się poddać. Otworzyłam drzwi w pizamie. Sądząc po wyrazie jej twarzy, wyglądałam tak samo kiepsko, jak się czułam.

Dwudziesty czwarty rok życia rozpoczął się wręcz fantastycznie!

– Jezu! – zawołała. Zarzuciła mi ramiona na szyję i przycisnęła tak mocno, jakby chciała wycisnąć ze mnie wszystkie soki. – Powinni go odstrzelić, Al. Ze strzelby... z bliska... w twarz.

Kiwnęłam głową.

– Jakoś się usprawiedliwiał?

– Napisał, że nie czuje się najlepiej.

– Co znaczy, że nie czuje się najlepiej? Dopadł go wąglik? Złapał dzumę dymieniczą? Nic innego chyba nie wchodzi w grę.

– Racja – załkałam.

Annie spojrzała na moje dłonie.

– Co zrobiłaś ze swoimi paznokciami?

Spojrzałam na nie.

Zdaje się, że obgryzłam je aż do skóry.

– Nie wiem – jęknęłam. – Chyba je pożarłam. Mogło być gorzej. Nie próbowałam przecież przeciąć sobie żył korkociągiem.

– Więc najpierw naprawimy ci ręce. Chodź, mój skarbie. Z przyjemnością zrobię sobie maniur.

Nie zamierzałam wychodzić z domu.

– Nie chcę. Wśród wszystkich rzeczy, które pragnę w sobie poprawić, paznokcie nie zajmują zbyt wysokiego miejsca – powiedziałam, po czym usiadłam na kanapie i naciągnęłam koc na nogi.

Nie chciałam płakać, ale... jakoś tak wyszło. Annie klapnęła tuż obok mnie.

– Tak mi przykro, Alex. Wiem, jak bardzo czekałaś na wczorajszy wieczór. On nie zasługuje na ciebie. Stać cię na kogoś duuuuuużo lepszego.

– Wszystko wskazuje na to, że jest wręcz przeciwnie – użalałam się nad sobą. – Chyba emituję jakieś fale, które słyszą jedynie psy i porąbani faceci. W efekcie spotykam się z samymi porąbańcami, Annie. Samymi! Dlaczego nie podobają mi się normalni kolesie?

– Ciągnie cię do tych złych. Dlatego że dobrych uważasz za ciamajdy.

– Nie chciałam skończyć jako wycieraczka u czyichś drzwi. Tymczasem zostałam nią i to nawet nie wiem kiedy! O ironio...

– Nie jesteś wycieraczką. Nic złego nie zrobiłaś. Przecież on dawał ci sygnały, chciał, żebyś nim się zainteresowała. On jest problemem, nie ty. Z tobą wszystko jest porządku.

– Tyle że jedną nogą wylądowałam w wariatkowie, a drugą poślizgnęłam się na skórce od banana. Nic nie jest w porządku! Najgorsze, że ze względu na pracę nie mogę nawet przejść porządnego załamania nerwowego. A do biura muszę iść. Muszę się z nim spotkać. Jak niby mam nie tracić głowy? Jak pracować po takiej akcji?

– Coś wymyślimy. Teraz o tym nie myśl.

Dobra rada, tylko że niewykonalna. Nie potrafiłam myśleć o niczym innym.

– Będę musiała odejść z pracy. Nie zdołam chodzić tam codziennie i podziwiać go po tym, co mi zrobił! Chick miał rację: romanse biurowe to koszmarny pomysł. Całkowita katastrofa – jęczałam, ocierając ręką łzy.

– Nie odejdziesz z pracy. Nie pozwolisz mu zniszczyć sobie kariery. Pójdiesz tam i będziesz tą silną, zdeterminowaną Alex, którą zawsze byłaś. Dasz radę, dziewczyno. A teraz zakładaj dzinsy.

Dopiero o 12.30 dotarliśmy do zatłoczonego salonu piękności i podeszłyśmy do stojaka z lakierami.

– Widzisz gdzie kolor „baletkowy”? – zapytała Anie, kiedy czytałam etykiety umieszczone na kolejnych buteleczkach. – Nie mogę go znaleźć.

– Zastanawiałaś się kiedyś, jak głupie są nazwy lakierów? – zapytałam, pozwalając, żeby kiepski nastrój schował się na chwilę gdzieś w ciemnym zakątku mojej głowy. – Spójrz tylko:

„chatka w East Hampton”, „autostrada Montauk”, „słodkie pianki”, „zawstydzona panna młoda”. Kto wymyśla takie bzdury? – spytałam, po czym sięgnęłam po buteleczkę z ciemnobrązowym lakierem i odwróciłam ją do góry dnem. – Ten nazywa się „czekoladowe pocałunki”. Tyle że jest brązowy, Annie. „Czekoladowe pocałunki”? Daj spokój, powinien się nazywać „skopana kupa”!

– Nie sędzę, żeby jakakolwiek kobieta chciała pomalować sobie paznokcie na kolor „skopanej kupy” – odpowiedziała, chichocząc.

Zmarszczyłam brwi.

– Może właśnie tym powinnam się zająć. Stworzyć nową linię lakierów do paznokci o dużo ciekawszych nazwach. Nazwach dla zgorzkniałych kobiet. Nazwę ją... „wściekła panna”.

– W porządku – dowcipkowała Annie. – A masz jakieś ciekawsze nazwy w zanadrzu?

– Na pewno zamieniłabym „autostradę Montauk” na „obwodnicę Jersey”. Zastanówmy się... „Przepracowana i słabo opłacana”. „Kłamiący, zdradzający bękart”. „Wysysający krew z żył”. To oczywiście byłby lakier czerwony.

– A co powiesz na „intercyzę małżeńską” i „zostawioną przy ołtarzu”? – wkręciła się Annie. Dla żartu uniosłam pięść do góry w geście zwycięstwa.

– Doskonale, tak! A co powiesz na „parking dla przyczep”? To całkiem niezła nazwa. Zrezygnowałabym dla niej z „chatki w East Hampton”. Na to naprawdę mógłby być rynek. Zastanawiam się, jak wiele kobiet czuje się w tej chwili dokładnie tak samo jak ja, ile jest w depresji bądź po prostu na maksa wkurzonych. A kiedy jest się w depresji i przychodzi się zrobić paznokcie, to ma się ochotę wybrać kolor pasujący do nastroju. Czy naprawdę tak wiele żądam? – Zaczęłam gestykulować jak szalona i podniosłam głos. Moja paplanina zamieniła się w jeden nieskończony strumień świadomości. – Bo widzisz, kiedy gość, z którym się widzisz, olewa cię w twoje urodziny, nie masz najmniejszej ochoty sięgnąć po lakier o nazwie „ekstraklasa”. Ja nie należę do ekstraklasy, Annie. Gram w drugiej lidze, a dla drugiej ligi nie ma odpowiednich lakierów. Pieprzony idiota. Taki właśnie kolor chcę, Annie! Pomóż mi znaleźć „pieprzonego idiotę”! Myślisz, że jest tu gdzieś? – zapytałam.

Nagle kątem oka zauważyłam swoje odbicie w lustrze wiszącym na stojaku z lakierami.

Miałam rozbiegane oczy, zaróżowione policzki i zaciśnięte usta. Wyglądałam jak wariatka.

Annie powoli popchnęła mnie w stronę czerwonej, welurowej kanapy stojącej pod ścianą.

– Odwala ci – powiedziała, rozglądając się z niepokojem po sali.

Kiedy robiono nam paznokcie, zgodnie milczałyśmy. Ciśnienie powoli wracało mi do normy. Dopiero przy suszarkach Annie zrozumiała, że rzeczywiście uspokoiłam się i można ze mną sensownie porozmawiać.

– Widzisz – zaczęła. – Nie jestem w stanie powiedzieć niczego, co poprawiłoby ci nastrój. I jestem tego świadoma. Mogę jednak przypominać ci, jak koszmarną osobą jest ten gość. Nie zasługujesz na to, żeby cię tak traktować.

Nie odpowiedziałam. Zauważyłam za to drobny pyłek na wilgotnym paznokciu kciuka.

„Fantastycznie!”

– Masz ochotę na spacer? – zapytała z nadzieją w głosie. – Chodźmy zaczerpnąć świeżego powietrza. Wybierzmy się na zakupy. Nie chcę, żebyś znowu siedziała sama w domu.

– Na pewno nie będę sama. Mam przyjaciół w barku. Oni dotrzymają mi towarzystwa.

Spojrzałam na swój telefon, który leżał na ladzie obok suszarki. Tak, wiem. Jestem masochistką.

– Alex, on do ciebie nie zadzwoni. Im szybciej to zaakceptujesz, tym lepiej dla ciebie.

– Może naprawdę jest chory – jęknęłam.

– Nie jest.

– Wiem.

Nie lubiłam płakać publicznie. Nawet jeśli to „publicznie” oznaczało dwie manikiurzystki oraz jedną przyjaciółkę. To wciąż było o trzy osoby za dużo.

Piip.

Uniosłam głowę. Spojrzałam na telefon, jego czerwone światelko przyciągało mnie.

Sięgnęłam po niego i po chwili poczułam znajomy ucisk w klatce piersiowej oraz tę dziwną mie-

szankę nadziei i zawodu, które zderzały się gdzieś w głębi mojego serca.

SMS od Kieriakis, Rick:

Dowiedziałem się właśnie, że miałaś urodziny. Z przyjemnością bym je z tobą świętował. Zjedźmy razem obiad w tym tygodniu.

Annie przeczytała wiadomość i wyłączyła mi telefon.

– No dobra. Nie będziesz teraz gapić się w ekran. Poza tym Rick to jedyny człowiek, który jest większym dupkiem niż Will.

W odpowiedzi wzruszyłam ramionami. Nie potrafiłam zaakceptować faktu, że gram w kosztownej tragedii pod tytułem „Moje życie”.

– Jutro nie dam rady pójść do pracy – szepnęłam łamiącym się głosem.

– Owszem, dasz radę. Jeśli pokażesz mu, że cię zranił, będzie sto razy gorzej.

– Spójrz na mnie, Annie. Wystarczy, że na mnie spojrzysz, a już będzie wiedział, w jakim jestem stanie. A jestem załamana! Masz jakieś środki przeciwbólowe?

– Sorry, żadnych narkotyków.

– Ale z ciebie przyjaciółka. Może chociaż przejdziemy się na drinka?

– Picie to zły pomysł. Żadnego alkoholu.

Wyglądało na to, że nie mam nic do powiedzenia.

– Tak, mam – stwierdziłam zrezygnowana.

Obudziłam się, czując tylko jedno: złość. Postanowiłam powiedzieć Willowi, co o nim sędzę, i to przy pierwszej nadarzającej się okazji. Jeśli ktoś to usłyszy, to trudno.

Weszłam do biura, udając, że pochłonął mnie dział finansowy jednego z dzienników.

Uważałam przy tym, żeby nie spojrzeć w stronę biurka Willa. Kiedy skręciłam za róg i ruszyłam długą alejką w stronę swojego miejsca, Patty zerwała się z krzeselka i podbiegła do mnie. Zupełnie zapomniałam, że wspomniałam jej o sobotniej randce z Willem.

Próbowałam się uśmiechnąć. Nie chciałam wyglądać jak osoba, której flaki wylądowały właśnie w maszynce do mięsa i zostały przerobione na mielonkę. Patty podeszła bliżej i nieoczekiwanie obróciła mnie o sto osiemdziesiąt stopni.

– Cześć, idziemy w przeciwną stronę – powiedziała, nie zwalniając kroku.

– Tak, zauważyłam. Ale dlaczego?

– Musimy pogadać.

– Dokąd idziemy? – zapytałam, ale nie odpowiedziała. – Patty, daj mi spokój. Gdybyś wiedziała, co przeżyłam w weekend, zrozumiałabyś, że nie potrzebuję dziś żadnych dodatkowych bodźców. Mówię szczerze, daj spokój. Cokolwiek masz mi do powiedzenia, to może poczekać.

– Mam wrażenie, że wiem, co przeżyłaś w weekend. Zaufaj mi, Alex. Pójdźmy do łazienki na szóstym piętrze. Tam nigdy nikogo nie ma.

Poczułam narastającą panikę. Jeśli Patty uznała, że musimy ewakuować się z naszego piętra, to pewnie planowała powiedzieć mi coś bardzo nieprzyjemnego i nie chciała, żeby ktoś zobaczył mój wybuch.

– Nie wyglądasz zbyt dobrze – stwierdziła.

– Co ty nie powiesz?!

– Poważnie, Alex.

– Poważnie, Patty. Co ty nie powiesz?!

– Przykro mi, że tak się stało. Ja też go nie cierpię – powiedziała przez zaciśnięte zęby.

Od razu wbiłam szpilki w dywan i ruszyłam w przeciwną stronę niczym uparty psiak, który za nic nie chce opuścić parku.

– Zaraz. Skąd wiesz, co się wydarzyło.

– Nie wiem, czy ty wiesz, co się wydarzyło. Gdybyś wiedziała, pewnie by cię tu nie było.

Strach połączony z oczekiwaniem na to, co Patty zamierzała mi powiedzieć, w pewnym momencie ustąpił miejsca zaskoczeniu.

Pojawiło się ono, gdy weszliśmy do łazienki.

Naprzeciwko nas w całej swojej silikonowej chwale stała Baby Gap.

Włączyła niewielką, przenośną suszarkę do kontaktu nad zlewem i starannie suszyła sobie włosy. Była siódma rano, a w budynku nie zainstalowano pryszniców. Natknięcie się na nią w łazience, z mokrą głową i suszarką w garści, było więc co najmniej dziwne. Jeszcze bardziej szokujące wydało mi się to, że panna była niemal naga. Czerwony, sznurkowy stanik, z trudem zakrywający jej chirurgicznie powiększony biust, a także dopasowane czerwone majteczki odsłaniały więcej, niż kiedykolwiek chciałam zobaczyć. Panna stała boso (ohyda!), a przed nią na szafce leżały różne płyny, kosmetyki, perfumy, a nawet golarka. Najwyraźniej nie tylko my szukałyśmy prywatności na szóstym piętrze.

Nie wiedziałam, na co skierować swój wzrok – na jej pólnagie piersi czy też twarz. Pomimo starań nie zdołałam oderwać oczu od wylewającego się biustu.

– Dzień dobry, moje panie – zaszczębiotała Hannah.

Patty jęknęła.

– Co tu robisz?

– O, Boże! – jęknęłam i spojrzałam w bok. – Chyba nie spałeś znów w sali konferencyjnej?

– Co? – zdziwiła się Patty.

Hannah zaśmiała się.

– Nie, po prostu wczoraj w nocy balowałam do oporu. Wylądowałam w Cipiriani z grupką chłopaków od wschodzących rynków, a potem poszliśmy do Marquee i jeszcze innej knajpki. Oni są tacy zabawni! Świetnie się bawiłam.

– Na pewno byli dla ciebie bardzo mili – stwierdziła płaskim głosem Patty, wyraźnie niezadowolona, że jej plan został zniszczony przez pólnagą laskę. – W ogóle nie dotarłaś do domu?

– No, do swojego domu to nie. Wiecie, jak to jest.

Spojrzałyśmy na nią, a potem bez słowa wyszłyśmy z łazienki. Usłyszałam jeszcze, jak woła do nas słodko zza zamkniętych drzwi.

– Bądźcie tak miłe i nie mówcie o tym nikomu!

Podejrzewam, że wiem, do której z trzech grup kobiet z Wall Street należała Baby Gap.

Patty zasłoniła dłonią usta.

– Czy to naprawdę się wydarzyło? – szepnęła. – Alex, ona była naga! I miała tu cały zestaw kosmetyków! Dochodzę do wniosku, że kiedy spędza się tu zbyt wiele czasu, to zaczyna się świrować!

Chyba miała rację.

Plan B polegał na sprawdzeniu łazienki na czwartym piętrze. Dopiero wtedy, gdy oparłam się w niej o zlew, zauważyłam, że Patty ściska pod pachą „Boston Globe”. Dziwne.

Wzięła głęboki wdech, a potem wypuściła ze świstem powietrze z płuc. Dmuchnęła w lok, który zasłaniał jej oczy.

– Muszę ci coś pokazać. Nie chcesz tego zobaczyć, ale to krążyło już po firmie i jeśli teraz tego nie obejrzysz, to zobaczysz, gdy wrócisz za biurko. Myślę, że tu będzie lepiej.

– Co może być takiego niezwykłego w gazecie z Bostonu, żebyśmy musiały zejść aż tutaj? Skąd w ogóle masz gazetę stamtąd? Przerażasz mnie – stwierdziłam, czując, jak moja klatka piersiowa zapada się, żeby za chwilę eksplodować strachem.

– Jeden z gości z naszego biura w Bostonie wysłał to Chickowi FedEksem. Kiepska sprawa, Alex – powiedziała, po czym otworzyła dziennik i wskazała jakieś zdjęcie z niewielkim podpisem.

Kiedy do receptorów w moim mózgu dotarło, co widzą, wbiegłam do kabiny i zwymiotowałam.

– Alex, tak mi przykro. Nie chciałam, żebyś zobaczyła to przy wszystkich.

Myślałam, że w weekend czułam się fatalnie, ale myliłam się. Wtedy wcale tak źle się nie czułam. Teraz było znacznie gorzej!

„Panna Vanessa Manerro z Wellesley w stanie Massachusetts wychodzi za mąż za pana Williama Patricka z Nowego Jorku”. No i zdjęcie. W sobotę wieczorem, gdy siedziałam w domu i czekałam, aż Will porwie mnie na randkę, on bawił się ze swoją narzeczoną. Kiedy wysyłałam mu SMS-y i martwiłam się, że coś złego mu się przytrafiło, on pewnie pił szampana z tą dziwnie zna-

jomą dziewczyną. Panna miała na głowie opaskę Burberry. Taką samą, jaką dał mi Will.

Upuściłam gazetę na podłogę.

– Przepraszam, ale chyba mam udar albo omamy. Wydaje mi się, że widzę tu informację o jego zaręczynach. W „Boston Globe”! – zawołałam i zaśmiałam się tak, jak ludzie, po których przyjeżdża biały samochód z krzyżykiem i którym zakłada się później kaftan bezpieczeństwa. – Czy ty to sobie wyobrażasz? Że on jest zaręczony? – dodałam, wciąż się śmiejąc.

Patty jednak się nie uśmiechała.

A więc to prawda. Napisali o tym w gazecie.

– On... jest zaręczony? – jęknęłam, gdy prawda dotarła do mnie. – Jak on mógł się zaręczyć, nie wspominając mi o tym? Jestem największą kretynką na tej planecie! – zawołałam, po czym podniosłam dziennik z podłogi i przejrzałam artykuł.

„Ślub odbędzie się w Bostonie... kariera w finansach... sekretarka w Cromwell Pierce”.

Cromwell Pierce? A więc ona tu pracuje! Obie pracujemy w Cromwell. No cóż, tak naprawdę ja tu pracuję, a ona pomaga pracować innym.

Jak to możliwe, że chodził z dwoma dziewczynami z tej samej firmy w tym samym czasie? Jakim cudem stałam się jedną z nich? Czułam pustkę w głowie.

– Alex, powiedz coś.

Zacisnęłam pięści i poczułam, jak paznokcie wbijają mi się w dłonie, a łzy zaczynają cieknąć po policzkach.

– Ona TUTAJ pracuje? – zapytałam, z trudem rozpoznając swój głos. Potem zaczęłam drzeć ze złości czy też może obezwładniającej, oszałamiającej, odbierającej rozum wściekłości. – Patty! – zawołałam, a mój głos odbił się od otaczających nas ceramicznych płytek. – Jakim cudem nie wiedziałam?

– Ona pracuje w biurze w Bostonie. Skąd miałaś wiedzieć?

W Bostonie!

Will mówił, że jeździ czasem do Bostonu. W sprawach zawodowych.

Tej nocy, której zabrał mnie na dach domu swojego kumpla i pokazał mi panoramę miasta. Jestem chyba zbyt głupia, żeby żyć.

Z całych sił cisnęłam gazetę do śmietnika. Wylądowała na stercie zwiniętych w kulki chusteczek i papierowych ręczników.

Spojrzałam nieprzytomnym wzrokiem na Patty. Zaręczony... wkrótce... żonaty.

– Co ci powiedział w sobotę? – zapytała. – Musiał przecież wiedzieć, że to się wyda. Chyba nie sądził, że tego nie zobaczysz? Przecież napisali o nim w „Boston Globe”, do diabła! Jasne, że to nie „New York Times”, ale wciąż ważna gazeta!

– Napisał, że jest chory – załkałam.

– No tak, z pewnością był chory. Chory na głowę. Tyle powiem.

– Patty! – wyłam. – Jak mam wrócić na górę i udawać, że nic się nie stało?

– Nie wracaj. Powiem Chickowi, że spotkałam cię w łazience. Pochorowałaś się i wróciłaś do domu – stwierdziła i uderzyła dłonią w szafkę.

Otarłam usta i oczy. Spróbowałam się uspokoić. Patty uściskała mnie, a kiedy odsunęła się, na ramieniu jej jasnoniebieskiego swetra zobaczyłam plamę z moich łez i makijażu. Cudownie!

– Dzięki – szepnęłam. Musiałam wziąć się w garść i wyjść z budynku tak, żeby nikt mnie nie zauważył. – Gdybym zobaczyła to na jego oczach... – dodałam, ale zamilkłam.

To było tak straszne, że nawet nie potrafiłam dokończyć zdania.

– Idź do domu – powiedziała. – Mogło być przecież gorzej. Mogłaś być na jej miejscu. Jest źle, ale przynajmniej znasz prawdę...

– Taa... Jest się z czego cieszyć.

Chick miał rację. Spotkanie się z kolegą z pracy nie było złym pomysłem. To był najgorszy pomysł w całym moim życiu.

XVI

Słodki cukierek

Telefon wyrwał mnie ze zdrowego, popołudniowego snu wywołanego środkami uspokajającymi. Dzwoniła Liv, ale nie odebrałam. Nie zdołałabym poruszać tego tematu. Nie zdołam też sięgnąć po gazetę. Od tej pory będę czerpać wiadomości z tego samego źródła, co większość Amerykanów – oglądając „Weekend Update” w programie Saturday Night Live.

Odsłuchiwałam wiadomość od Liv. Uznała, że poczuję się lepiej, jeśli dowiem się, że znalazła zdjęcie tej dziewczyny w sieci. Podobno wyglądała na nim koszmarnie (bzdura!). Poza tym jej zdaniem byłam w o wiele lepszej sytuacji, bo ta biedaczka nie miała nawet pojęcia, że jej narzeczony zaangażował się w drugi związek w Nowym Jorku w czasie, gdy wybierała porcelanową zastawę w Bostonie (coś w tym może jest).

Zdecydowałam się na spacer. Uznałam, że świeże powietrze pomoże mi pozbyć się depresji. Założyłam dzinsy i bluzę zapinaną na zamek błyskawiczny, po czym powędrowałam Szóstą Aleją na południe. Tak naprawdę nie wiedziałam, dokąd idę. Wędrowałam bez celu zaabsorbowana własnym nieszczęściem i kompletnie nie zwracałam uwagi na to, co dzieje się dookoła. No bo i po co? Całe moje życie legło w gruzach! Nie potrafiłam się na niczym skupić, leciałam na autopilocie. W pewnym momencie popełniłam błąd i przegapiłam sygnalizację świetlną. Wyszłam na ulicę, wpatrując się w błękitne niebo i prześwitujące chmury. Nagle kurier wjechał we mnie rowerem. Kiedy byłam jeszcze na chodniku, dzwonił jak szalony, żeby mnie ostrzec, ale nic to nie dało. W efekcie miał do wyboru wpaść na dziewczynę schodzącą z krawężnika bądź wpakować się pod samochód i zginąć.

Nawet nie zwolnił. Minął mnie, a potem zawrócił i nawrzeszczał na mnie. Nawijał w obcym języku, więc mogę jedynie wyobrazić sobie, jak obraźliwych i mało oryginalnych użył słów. Podniosłam moją torbę, której zawartość jakimś cudem nie wysypała się na asfalt, i dokładnie się obejrzałam. Miałam podarte spodnie, a z kolana sączyła się krew. Skórę na lewej dłoni zdarłam do żywego. Byłam tak skołowaciała, że zrobiłam jedyną rzecz, jaką szanujący się, zakrwawiony, załamany nowojorczyk może zrobić w środku dnia – weszłam do pubu i usiadłam przy barze.

Przywitał mnie barman, tęgi facet o niezwyklej strukturze kości, która nadawała mu wygląd pomnika wrytego w granicie.

– Hej, jak się masz? Wszystko w porządku? – zapytał, spoglądając na moje kolano.

– Tak, w porządku. Marzę o kieliszku pinot grigio. Dużym.

Gość spojrział na zegar na ścianie.

– Jasne. Co prawda teraz mamy przerwę i kuchnia nie wydaje posiłków, ale bar wciąż działa. Zresztą nawet jakby nie działał, to nie miałbym serca odmówić drinka dziewczynie, która tak bardzo go potrzebuje.

– Dzięki, doceniam to – odpowiedziałam.

Napełnił kieliszek i postawił przede mną na serwetce. Potem odwrócił się i zaczął uwijać się przy zlewie.

Spróbowałam wina. Wystarczył jeden łyk, abym zrozumiała, że właśnie to zapisały mi dobry lekarz.

– Proszę – stwierdził i odwrócił się, wyciągając rękę.

Wręczył mi kostki lodu owinięte w prowizoryczną białą szmatę. Przyłożyłam je do kolana.

– Dzięki – bąknęłam wzruszona niespodziewanym i całkiem sympatycznym gestem nieznanego. – Nazywam się Alex. Miło mi cię poznać.

– Matt Matthews – odpowiedział i uściśnął mi dłoń. – Wzajemnie. Szczerze mówiąc, cieszę się, że do nas wpadłaś. O tej porze nic tu się nie dzieje. Dzięki tobie mam jednak towarzystwo. Cóż, praca za barem w dzień to fucha dla samotników – wyjaśnił.

Na swój sposób wydał mi się przystojny. Był przystojny tak jak przystojny może być kon-

trahent albo facet ze sklepika z narzędziami za rogiem. Jego ręce – a przynajmniej ta część, jaką widziałam – pokryte były finezyjnymi tatuażami. Odniosłam wrażenie, że sporo przeżył. Zapewne miał też wiele historii do opowiedzenia i potrafił to i owo naprawić. Całkiem atrakcyjne połączenie.

– Wyobrażam sobie – stwierdziłam. – Od dawna tu już pracujesz?

– Od sześciu miesięcy. Ale uczę się na kucharza.

– Kucharza? Super.

– Dzięki. Też mi się tak wydaje. A właściwie, co ci się stało? Niewiele dziewczyn wpada tu po południu z zakrwawionymi kolanami, prosząc o drinka. Gdyby robiły to częściej, nie nudziłbym się.

– Nie uwierzyłbyś, gdybym ci powiedziała.

– Jestem barmanem. Byłabyś zaskoczona tym, w co jestem w stanie uwierzyć.

– Rozjechał mnie kurier rowerowy. Nawet się nie zatrzymał. Potraktował mnie prawie jak śpiącego policjanta – wyjaśniłam i przetrąłam uszkodzoną dłoń serwetką spod kieliszka.

– No cóż, jestem zaskoczony, że to nie zdarza się częściej. Sam niejednokrotnie byłem włos od takiego dzwona. Choć przyznam szczerze, że nie spotkałem jeszcze nikogo, kto by go zaliczył.

– Najwyraźniej masz dziś szczęśliwy dzień.

– Na to wygląda. Napijesz się jeszcze jedną kolejkę czy wracasz do pracy?

Spojrzałam na zegarek. Była 16.30. Czułam się dość dobrze jak na tę godzinę. Co szkodzi wypić jeszcze jeden kieliszek?

Kiwnęłam głową.

– Niech będzie repeta, panie Matthews. Bardzo panu dziękuję.

Zastanawiałam się, czy wyjaśnić mu, dlaczego nie jestem w pracy. Początkowo uważałam, że jeśli opowiem mu całą historię, uzna mnie za Pannę Gadatliwą. Potem jednak zmieniłam zdanie. A może to wino zadecydowało za mnie? W każdym razie mówiłam dalej.

– Nie, dziś nie muszę wracać do pracy. Wzięłam wolne, żeby ratować swoje zdrowie psychiczne. Dlatego mogę siedzieć w barze także i w środku dnia.

– Zdrowie psychiczne? A co się stało? – zapytał.

– Zadałeś właśnie pytanie, którego będziesz żałował.

– Z chęcią posłucham – zapewnił mnie. – No, śmiało.

– No cóż... W pewnym sensie spotkałam się z facetem z pracy, ale w biurze nikt o tym nie wiedział. A przynajmniej tak mi się wydaje... Modłę się do Boga, żeby tak było.

– Czym się zajmujesz?

– Finansami.

– Wall Street. Cyferki. W obecnych czasach trudno o miłość w tej branży.

– Tak, wiem. W każdym razie on powiedział, że nie szuka poważnego związku. Uszanowałam to, więc po prostu się spotykaliśmy. W sobotę wieczorem miał zabrać mnie na urodzinowy obiad, ale nie zadzwonił i nie odpowiedział na żadnego SMS-a, a sporo ich do niego wysłałam. Odezwał się dopiero około 23. Napisał, że źle się czuje. Dziś przyszedłam do pracy i była gotowa go zabić. Nieoczekiwanie odkryłam we wczorajszym „Boston Globe” notkę o jego zaręczynach. Aby nie oszaleć, wzięłam dzień wolny... Albo i dwa.

Matt skrzyżował ręce na klatce i spojrzał na mnie sceptycznie.

– To naprawdę się wydarzyło?

– Słowo harcerza.

– Nieźle... Cóż, pewnie odzyskasz formę, kiedy dotrze do ciebie, że bez niego będzie ci lepiej – powiedział, po czym odczekał minutę. Ponieważ nie odezwałam się, znów zaczął mówić. – Byłem kiedyś zaręczony. Miałem dwadzieścia dwa lata i oświadczyłem się dziewczynie ze szkoły średniej.

– Naprawdę? I co się stało?

Matt otworzył nową butelkę pinota i nalał sobie kieliszek.

– Na miesiąc przed ślubem zaczęła dziwnie się zachowywać. Przestała odpowiadać na moje telefony, a kiedy się spotykaliśmy, miałam wrażenie, że nie zwraca na mnie uwagi. I wiesz, co zrobiłem? Któregoś dnia poszedłem do niej do domu, kazałem jej usiąść i zapytałem ją, co się dzieje.

– I?

– Doszła do wniosku, że jest zbyt młoda na ślub. Chciała „doświadczyć życia”, zanim się „zwiąże”. Planowała zostać aktorką i wyjechać do Los Angeles. Beze mnie. Puściłem ją, choć złamała mi serce. Teraz mieszka z facetem o ksywce Ostrze i utrzymuje się z miękkiej pornografii. A ja jestem tutaj, chodzę do szkoły gastronomicznej i właśnie rozmawiam z tobą. Jak widzisz, sprawy z reguły same się rozwiązują. Teraz pewnie wydaje ci się to mało prawdopodobne. Kiedyś jednak uwierzysz, że może być jeszcze dobrze – powiedział, po czym wskazał na mój częściowo opróżniony kieliszek. – To na koszt firmy. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. Ten rok może być już tylko lepszy.

– Mam nadzieję, że to prawda – westchnęłam. – No dobra, panie Matt Matthews... Swoją drogą ciekawie się nazywasz. Rodzice nie byli zbyt oryginalni, co?

– Nieszczęśliwie. Opuściłem Pittsburgh i przyjechałem tutaj między innymi dlatego, że koszmarnie się nudziłem. Szukałem towarzystwa, ekscytujących ludzi. No wiesz, takich, których popołudniami rozjeżdżają kurierzy.

– Opowiedz mi o szkole gastronomicznej. Dlaczego chcesz być kucharzem?

– Przeprowadziłem się tutaj, kiedy moja była wyjechała do Los Angeles. Spędziłem kilka lat, przygotowując stoły i obierając ziemniaki. Pracowałem w paru różnych miejscach i oszczędzałem, żeby móc dalej się uczyć. W końcu zapisałem się do Kulinarного Instytutu Manhattanu. Chciałbym kiedyś mieć własną restaurację. Dlatego zamierzam nauczyć się o tym biznesie tak dużo, jak to możliwe.

– Brzmi świetnie. Sama lubię gotować. Wczoraj widziałam w telewizji, jak kobieta szykowała kurczaka i brownies. Wyglądała na szczęśliwą. Trudno jest dostać się do tej szkoły?

– Proces aplikacji nie jest skomplikowany. Po prostu wchodzisz na stronę internetową i wypełniasz formularz, podajesz rozmiar roboczego uniformu, a potem wpłacasz czesne. Jeśli uczysz się dziennie, po sześciu miesiącach dostajesz certyfikat. Jeśli wieczorowo, czyli tak jak ja, to nauka trwa dziewięć miesięcy. W tym samym czasie można jednak pracować. A to oznacza mniejszy kredyt.

– A co robisz, kiedy czegoś nie jadasz i nie masz ochoty tego dotykać? Ja na przykład nie lubię majonezu i nie wyobrażam sobie, żeby stosować go w kuchni. Czy to byłby spory problem?

Matt zaśmiał się.

– Tak. Ale jest też kierunek cukierniczy. Masz awersję do cukru?

– Jeszcze nie spotkałam słodkości, której bym nie zjadła.

– No cóż, jeśli więc szukasz nowych wrażeń... – powiedział Matt i wyciągnął serwetkę ze sterty stojącej na końcu baru. Zapisał na niej adres internetowy. – Proszę bardzo. Zajrzyj tam. Na zajęciach spotkasz wielu zabawnych ludzi, a uczyć cię będą najsławniejsi kucharze w okolicy.

Złożyłam serwetkę na pół i wsunęłam ją do kieszeni torebki. Dobiegała dopiero 18, a mnie kręciło się w głowie.

– Chyba powinnam już iść. Boję się, że wypiję za dużo i w drodze powrotnej potrąci mnie autobus – stwierdziłam. Gdy wstawałam, zachwiałam się. To kolano ugięło się pod mną wskutek bólu i wypitego alkoholu. – Dziękuję za dotrzymanie towarzystwa. Świetnie się bawiłam. Mam nadzieję, że twoja była narzeczona jeszcze przed trzydziestką pojawi się tutaj pomarszczona jak śliwka i będzie rozpaczać, że ten Ostrze zostawił ją dla jakiejś dwudziestki z okrągłym tyłkiem.

– Ha! Dzięki, Alex. A ja mam z kolei nadzieję, że kretyn z twojego biura przedwcześnie wyłusieje i dostanie solidny wycisk. Zasłużył na niego. A ty rozglądaj się na boki, kiedy wchodzisz na jezdnię, dobrze?

Po drodze do domu myślałam o tym, co powiedział Matt. Alex Garrett, mistrzyni cukiernictwa. To brzmiało znacznie lepiej niż Alex Garrett, dziewczyna z Wall Street. Wszyscy ciągle powtarzają, że trzeba robić to, co się kocha, a pieniądze i szczęście pojawią się same. Uznałam, że warto się nad tym zastanowić. Oczywiście pamiętałam, że wlałam w siebie butelkę wina i to na pusty żołądek. W sumie mogłabym zostać cukiernikiem-dekoratorem. To dość satysfakcjonujący zawód. Towarzyszyłabym ludziom w ich najszczęśliwszych dniach.

Nieoczekiwanie, po raz pierwszy od chwili, gdy dowiedziałam się o zaręczynach Willa,

spojrzałam na życie z optymizmem. „Mam jakiś cel. Odkryłam swoje powołanie. Znalazłam sposób, żeby się wydostać z tego burdelu”. Zostanę Królową Babeczek, Księżniczką Pączków, Słodkim Cukierkiem (to spodobałoby się Reese’owi).

Pół godziny później opatulona kocem wyciągnęłam na kanapie. Z pewną niechęcią zerknęłam na to, co działo się na rynkach. Nie wyglądało to zbyt wesoło. Kiepski dzień na nieobecność. Zrezygnowałam z pomysłu, żeby przedłużyć wolne. Uznałam, że jeśli następnego dnia nie pojawię się w pracy, to się z nią pożegnaj.

No dobra, przyznaję. Na kanapie obudziłam się nie po raz pierwszy. We wtorek rano zauważyłam jednak butelkę po winie stojącą na stoliku do kawy, tuż obok laptopa, i natychmiast sprawdziłam wysłane wiadomości. Chciałam się upewnić, czy nie zrobiłam czegoś głupiego, jak na przykład poproszenie Chicka o natychmiastowe rozwiązanie umowy o pracę. Na szczęście tego błędu nie popełniłam. Popełniłam jednak inny, równie głupi. Przez chwilę patrzyłam zaskoczona na tajemniczy e-mail czekający na mnie w skrzynce pocztowej. W końcu go otworzyłam.

Wiadomość od: MCI

Szanowna pani Garrett!

Dziękujemy za zgłoszenie do Programu Sztuki Cukierniczej prowadzonej przez Kulinaryny Instytut Manhattanu. Otrzymaliśmy również miesięczne chesne w wysokości 6000 dolarów. Następnym wpłata tej samej wysokości spodziewamy się w kolejnych sześciu miesiącach, na łączną kwotę 42 000 dolarów. Wkrótce otrzyma Pani harmonogram zajęć oraz wszystkie niezbędne formularze medyczne. Proszę o zwrócenie ich do biura administracji przed rozpoczęciem semestru letniego (czyli przed 30 kwietnia 2008 roku). Jeszcze raz dziękujemy za zainteresowanie Programem Sztuki Cukierniczej i do zobaczenia w szkole.

Z poważaniem,

Betty Blum

Dział Rekrutacji

O mój Boże! Wydałam sześć tysięcy dolarów na szkołę cukierniczą! Zajęcia rozpoczynam za dwa tygodnie! Wątpię, żeby przewidywali zwrot kasy pijanym aplikantom. Nie bez powodu wzięłam dzień wolny w celu ratowania swojego zdrowia psychicznego – odbiło mi, i to ostro. Czas wrócić do rzeczywistego świata.

Kiedy po powrocie do pracy zalogowałam się do systemu, Will z miejsca przesłał mi wiadomość o treści „Przepraszam, pozwól mi wszystko wyjaśnić!”.

Moja odpowiedź była równie zwięzła. „Pieprz się”. Problem w tym, że używanie słów uważanych za obraźliwe nie uchodziło uwadze naszego departamentu prawnego. Chick od razu otrzymał telefon od podenerwowanego internetowego gliny, który przypomniał mu politykę firmy odnośnie języka używanego przez pracowników, także w wewnętrznej komunikacji.

– Przestań pisać „pieprz się” w e-mailach, Dziewczynko! Mam przez to prawny na tyłku!

– Przepraszam, Chick. To było niechcący! – odpowiedziałam skruszona.

– Ja mam to gdzieś, ale możesz za to wylecieć. Czujesz się już lepiej?

– Nieco.

– To dobrze. Bierz się do roboty.

Wiadomość od: Patrick, William

Alex, proszę! Odezwij się do mnie!

Wiadomość od: Garrett, Alex

Pi3p** się!

Tego dział prawny nie powinien się czepiać.

Rozpadło się nie tylko moje życie osobiste. Marzec 2008 przeszedł do historii dzięki załamaniu się rynków. Od tego czasu było coraz gorzej. Ludzie kupowali domy, na które nie było ich stać, i wydawali pieniądze, których nie mieli. Kiedyś Wall Street sprzedawał ich długi inwestorom i pomagał się ludziom bogacić. Teraz rodziło to problemy. Obligacje leciały w dół. Banki inwestycyjne, prawdziwe konie pociągowe Wall Street, traciły pieniądze na swojej działalności. Niektóre z nich w przeciągu jednej nocy zbankrutowały. Ludzi zwalniano. Eksmitowano. Cały kraj obwiniał właśnie nas. Nasza praca, trudna i stresująca, nieoczekiwanie przestała być akceptowana.

Co ciekawe, nikt nigdy nas nie pytał o ryzyko związane z inwestowaniem pieniędzy w konkretne papiery. Nikt nie pytał mnie też, co sądzę o wykorzystywaniu do tych celów pożyczonych środków. Nasz CEO nigdy nie zszedł na dół i nie zapytał, co o tym wszystkim sądzimy. Mimo to zaryzykował również nasze pieniądze, nasze akcje i dobro firmy, którą tak kochaliśmy.

Według opinii publicznej byliśmy odpowiedzialni za całe zło w Ameryce. Czekałam na dzień, w którym otworzę gazetę i przeczytam, że to Wall Street zabiło Kennedy'ego i wrobiło królika Rogera.

Najdziwniejszym efektem ubocznym całego tego zamieszania było to, że Will nagle przestał być moim największym problemem, a ja przestałam być jego. Sama nie mogę uwierzyć, że wiosna i lato 2008 roku nie przeszły do historii jako koniec życia osobistego Alex Garrett. O dziwo, przeszły do historii jako koniec życia jako takiego. Przynajmniej w dotychczasowym kształcie.

Reszta kwietnia była tak intensywna, że nie miałam kiedy przejmować się Willem oraz tym, że okazał się dupkiem. Zapłaciłam pięćset dolarów kary za rezygnację ze szkoły cukierniczej i zaczęłam zaciskać pasa. Musiałam skupić się na pracy, dowiedzieć się jak najwięcej o bieżącej sytuacji i nie pozwolić, żeby na mojej twarzy malował się strach, który czułam we wnętrzu serca. W pierwszym tygodniu maja nasz zespół był tak poobijany i wyczerpany, że po prostu potrzebował czegoś na rozluźnienie. Jak zwykle rozwiązanie okazało się lunchem.

– Niech żyje maj! – zanucił Marchetti, zbliżając się do mojego biurka. – Alex, czy złożyłaś już u Patty zamówienie na lunch? Dziś zamawiamy burrito, żeby uhonorować Cinco de Mayo, święto 5 maja!

– Patty! – zawołałam na cały regulator. – Zamów mi burrito!

– Zamówię – odpowiedziała, kiedy podeszła do mnie i oparła się na moim krześle.

Ratując mnie przed publiczną kompromitacją w poniedziałek po moich urodzinach, awansowała na moją przyjaciółkę. Stała się moim lojalnym towarzyszem. Może trudno w to uwierzyć, ale „nowa” jednocześnie szukała u mnie wsparcia oraz chroniła mnie i pilnowała. Była naprawdę fajną dziewczyną.

– Will znów gapi się na ciebie. Może jednak z nim porozmawiasz?

– Nie. Dla mnie to trup.

– Dla mnie też – stwierdziła. – Właśnie zapominam o jego enchiladzie.

– Doceniam to. Chociaż wolałabym, żebyś go zabiła.

Zaśmiała się.

Po zjedzeniu lunchu zrobiłam się senna, więc poszłam do firmowej kawiarenki po mrożoną herbatę. Przy okazji chciałam wyprostować nogi. Kiedy dotarłam na dół, z windy wynurzył się Will i ruszył w moją stronę. Nie mogłam go w żaden sposób ominąć. Wyciągnięcie dwóch dolarów z portfela zajęło mi dłużej, niż to było konieczne, ale dzięki temu nie musiałam na niego patrzeć.

Jashim udekorował stoisko z okazji Cinco de Mayo. Powiesił osła pinatę, a na ladzie położył kij baseballowy.

– Panno Alex, szczęśliwego Cinco de Mayo – zawołał i pocałował mnie w dłoń.

„Masz za swoje, Will. Nie chcesz spotykać się ze mną, ale ten chłopak z Bangladeszu potrafi mnie docenić”.

– Dzięki, Jashim. Podoba mi się, jak urządziłeś to miejsce – stwierdziłam.

Will cierpliwie czekał, aż zakończę zakupy. Musiał wiedzieć, że starałam się go zignorować,

ale najwyraźniej miał to gdzieś.

Jashim wskazał miniaturowego pieska-zabawkę, który siedział na ladzie.

– Próbowalas go ścisnąć? Śmiało, ściśnij go – poprosił.

Posłusznie ścisnęłam mu grzbiet. Nieoczekiwanie poruszył pyszczkiem. „Rzuć chalupę!”, zawołał z hiszpańskim akcentem.

Zaśmiałam się i odwróciłam.

Will stał przede mną. Miał na sobie spodenki khaki oraz zielono-żółtą koszulkę z guziczkami i krótkimi rękawami. Nie cierpiałam tego typu koszulek. Pasowały do listonoszy i mleczarzy. Na jego stanowisku powinno się nosić koszulki z guziczkami o długich rękawach.

Chrząknął.

– Nie możesz mnie wiecznie ignorować. Siedzimy osiem metrów od siebie – stwierdził.

Uświadomiłam sobie, że wciąż trzymam pieska, więc zaczęłam go ścisnąć. Za każdym razem, gdy Will usiłował coś powiedzieć, zagłuszałam go głośnym „Rzuć chalupę! Rzuć chalupę! Rzuć chalupę!”.

W końcu mi go wyrwał.

– Przepraszam, Alex. Chciałem ci powiedzieć, ale nie wiedziałem jak. Byłem tak zajęty swoim popieprzonym życiem, że nawet nie uświadamiałem sobie...

Zachnęłam się. Miałam wielką ochotę przyłożyć mu w brzuch, ale podejrzewałam, że zgodnie z zasadami obowiązującymi w Cromwell groziłoby mi za to zwolnienie.

– Musisz mi dokładniej wyjaśnić, co chciałeś mi powiedzieć. Lista rzeczy, które powinieneś mi powiedzieć, ale tego nie zrobiłeś, jest naprawdę długa. Pieprzenie długa. Czy chciałeś mi powiedzieć, że spotykasz się z kimś, gdy spotykałeś się ze mną? Czy chciałeś przyznać się, że ona też tu pracuje? A może planowałeś wyjaśnić mi, dlaczego nie odbierałeś telefonów w weekendy i dlaczego zawsze byłeś wtedy nieobecny? Albo że wystawiłeś mnie w urodziny dlatego, że spędzałeś czas ze swoją narzeczoną? Co tak naprawdę spowodowało, że miałeś trudności z mówieniem?

– Alex – westchnął i próbował położyć na mnie swoją dłoń, ale odepchnęłam ją i stanęłam z założonymi rękami. – Wiele rzeczy powinienem zrobić inaczej.

– Bardzo głęboka myśl, Will. Cieszę się, że odbyliśmy tę rozmowę.

– Nie, poważnie, nie jestem zadowolony z tego, jak się zachowałem. Ja...

– Powinieneś być niezadowolony z tego, w jaki sposób to wszystko się skończyło. Z tego, co wiem, masz narzeczoną, która żyje z wypisywania papierków i prawdopodobnie kocha cię za twoje pieniądze. Poza tym straciłeś przyjaciółkę, bo jej żołądek wywraca się obecnie na twój widok. Tak, na twoim miejscu też byłabym niezadowolona.

– Możemy o tym porozmawiać? Alex, przecież pracujemy razem! Powinniśmy znaleźć sposób na to, żeby jakoś wspólnie egzystować przez te pięć dni w tygodniu. Na razie niezbyt dobrze ukrywasz swoją nienawiść do mnie.

Spojrzałam na niego zaskoczona.

– Kiedyś mogliśmy coś na to poradzić. Ale pozwoliłeś, żeby prawda o tobie pojawiła się w prasie, nawet mnie o tym nie uprzedzając!

Niewiele myśląc, sięgnęłam po kij baseballowy leżący na ladzie i chwyciłam go obiema rękami. Wzięłam zamach i przywaliłam nim w osła pinatę. Uderzyłam tak mocno, że wyrwałam z sufitu hak, na którym wisiał. Osioł pofrunął przed siebie i uderzył w ściankę za Jashimem, zmuszając go do wykonania gwałtownego uniku. Potem odbił się od niej, rozpadł na dwie części i syknął cukierkowym deszczem. Chihuahua spadł z lady. Grzmotnął z impetem o ziemię i zawołał „Rzuć chalupę”. Jashim i Will spojrzeli na mnie jak na wariatkę, którą zapewne – przez kilka sekund – byłam. Rzuciłam kij na ladę, podniosłam swój napój i spojrzałam na Willa.

– Ciesz się, że był tu ten osioł. W przeciwnym wypadku to ty oberwałbyś w łeb. Nigdy, przenigdy nie będziemy przyjaciółmi. Możesz za to winić jedynie siebie.

Odeszłam, pozwalając, żeby pomógł Jashimowi pozbierać cukierki. Po drodze zauważyłam znieruchomiałą Patty ściskającą w dłoniach trzy single. Najwyraźniej była świadkiem zgonu pinaty. Cudownie!

Wpadłam do biura. Czulałam na sobie wzrok Chicka, ale nie spojrzałam w jego stronę. Wie-

działałam jednak, że zostawiłam moją pokerową twarz w korytarzu razem z całą moją dumą i resztkami zdrowego rozsądku. Nagle poczułam, że na moich ramionach wylądowały czyjeś ręce. Podskoczyłam, zanim uświadomiłam sobie, do kogo należą. Chick pochylił się nade mną.

– Jesteś najlepszym, co mogło go spotkać – szepnął mi do ucha. – Doskonale wie, że nigdy nie znajdzie nikogo lepszego – dodał i pogłaskał mnie po głowie, po czym wrócił na swoje miejsce.

Przez chwilę zastanawiałam się nad jego słowami. Potem dotarło do mnie, że wiedział o moich randkach. To zaskoczyło mnie jeszcze bardziej. Najwyraźniej nie byliśmy tak wielką tajemnicą, jak sądziłam. Fakt ten dodałam do listy spraw, o których nie wiedziałam.

Spojrzałam na zegarek. Była 15.30. A więc dwie godziny. Tylko dwie godziny dzieliły mnie od upragnionej margarity.

Punkt 17.30 wyskoczyłam z biura razem z Patty. Dotarliśmy do w Tortilla Flats, gdzie ścisnęłyśmy się z Annie i Liv przy niewielkim stolczku. Patty naląła nam margarity do szklanek, a pusty dzbanek odstawiła na podłogę. Annie oparła się na łokciach i zmrużyła oczy.

– Alex, co się stało? Podobno oszalałaś w robocie?

– Oszalałaś to dość mocne słowo – stwierdziła Patty, nakładając na usta kolejną warstwę błyszczycy. – Sądzę jednak, że w przyszłości powinniśmy trzymać ją z daleka od tępych przedmiotów, takich jak chociażby kije baseballowe.

– Wcale nie zamierzałam go walnąć. Pamiętajcie, do czego służą pinaty.

– Walnąć pinatę to dobry pomysł. Ale przywalić w nią tak, żeby pofrunęła w kosmos? Niekoniecznie!

– Musiałam jakoś się uzewnętrznić. Wiesz, jak trudno jest siedzieć z głupim uśmiechem przyszytym do twarzy i wysłuchiwać przez cały dzień jego głosu? To prawdziwa agonía. Przepraszam, ale myślę, że mam prawo lekko się zdenerwować.

Patty zaśmiała się.

– No jasne. Biedna pinata!

– Wiesz, kim on jest? – zapytała Annie, bawiąc się kryształkami soli zgromadzonymi na brzegu szklanki. – Jednym z tych gości, którzy zostawiają swoje dziewczyny przed ołtarzem. Tacy jak oni zawsze robią to, na co mają ochotę. Tak naprawdę myślą tylko o sobie. Ta biedna dziewczyna dostała od niego pierścionek, ale to jeszcze nie oznacza, że się pobiorą. Nie zdziwiłabym się, gdyby ją zostawił.

– Wow! – Pokiwała głową Liv. – Trafiłaś w sedno.

Stuknęły się szklankami.

Kiedy wypiliśmy swoją margaritę, kelnerka postawiła na stole kolejny dzbanek.

– A poza tym co u ciebie słuchać? W pracy wszystko dobrze? – zapytała Liv.

– Nie do końca. Mamy przechłapanie. Rynki są w fatalnej kondycji. Rynek mieszkaniowy załamał się i osiągamy fatalne wyniki. Wszyscy boimy się o nasze wypłaty na koniec roku.

– Ale kogo obchodzi rynek mieszkaniowy? Przecież wszystkie wynajmujemy! – zauważyła Annie.

– Ach, ty moja mądralińska! Widzisz... to nie jest takie proste. Wszystko łączy się ze sobą. Wczoraj siedmiu gości wyleciało z pracy. Siedzieli przy biurkach i nagle puff! Zniknęli. Idą kolejne zwolnienia.

– No dobra, to straszne! Ale przecież po to się dziś spotkałyśmy, żeby zapomnieć o problemach – przypomniała Annie.

– Racja. Podajcie margę – powiedziałam i sięgnęłam po dzbanek.

W ciągu godziny wyłopałyśmy kolejne trzy. Alkohol z cukrem zrobił swoje. Wszystkie byłyśmy niezwykle głośne i mocno pijane. Bardzo niebezpieczna kombinacja!

Nagle Annie klasnęła w dłoń.

– Och, mam doskonały pomysł. Daj mi swój telefon. No, daj mi telefon!

– Po co? – zapytałam i odsunęłam go na drugi koniec stołu.

– Po prostu daj mi go. Wciąż masz jego numer?

– Tak, a co? Przecież nie zadzwonimy do niego!

Annie złapała moją komórkę i przejrzała listę kontaktów.

– Ciii! – powiedziała. Najwyraźniej alkohol dodał jej odwagi. – Nie martw się. Włączę ukrywanie numeru. Nie będzie wiedział, że to my.

– I tak nie odbierze. Nigdy nie odbiera telefonu. To bez sensu. Co chcesz mu powiedzieć?

– Ciiiiiiiiiiiiiiii! – zawołała, machając mi przed twarzą rękami jak wariatka. – Cudownie! Skrzynka głosowa!

– Mówiłam! Wyłączaj się! – poprosiłam.

Właśnie przez takie akcje faceci uważają dziewczyny za wariatki.

Nie rozłączyła się.

– Hej, Will, tu Kimmy. Chciałam ci tylko powiedzieć, że świetnie się z tobą bawiłam. No i że nie mogę doliczyć się mojej bielizny. Mógłbyś sprawdzić kieszenie? Dzięki... Mam nadzieję, że w przyszłym tygodniu to powtórzymy.

Potem rozłączyła się i wybuchła histerycznym śmiechem.

– Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś – zrugła ją Liv.

– Annie! – zawołałam przerażona. – On będzie wiedział, że to ja!

– Och prooooszę cię! – odpowiedziała nieco dramatycznym tonem. – Pewnie zdradzał swoją narzeczoną z wieloma dziewczynami. Zabiłam mu ćwieka. Nie domyśli się, że to ty.

Patrzyłam przerażona na telefon.

– Wiesz, co mogłabyś zrobić, żeby mu dopiec? – odezwała się Liv. – Zacząć spotykać się z kimś z biura.

– Fatalny pomysł – stwierdziła Patty. Wskazała mnie palcem i zaczęła mówić tak, jakby mnie tam nie było. – Ona tego nie robi, ponieważ... No, jakie to było słowa? Ona nie chce... um... No, jak to się nazywa?

– Być biurową dziwką? – zapytała Annie.

– Finansową flądram – dodała Liv, przeciągając słowo flądram tak, że zabrzmiało jak fluoooo-nnnn-draaa.

– Dziewczyny! Ja tu jestem. Zapomniałyście? Być może mam w czubie, ale wciąż was słyszę!

Patty całkowicie mnie zignorowała.

– Ta narzrzrzrzczona jest podobno biurową dziwką w Bostonie. A przynajmniej była. Teraz być może się to zmieniło, bo Will pewnie chce zrobić z niej uczciwą laskę – dodała.

To mnie zainteresowało.

Złapałam Patty za nadgarstek.

– Co masz na myśli? Jak to biurową dziwką? Spotykała się z innymi facetami?

– Najwyraźniej. Z tego, co wiem, z imprez firmowych wychodziła z różnymi kolesiami. Nie chcę przez to powiedzieć, że spotykała się z nimi. Po prostu kręciła z nimi raz czy drugi... O to tylko mi chodzi.

– Jak to możliwe, że wiesz więcej ode mnie? Myślałam, że znam wszystkie biurowe plotki.

– Wcale tak wiele nie wiem. Kiedyś paru gości opowiadało o tym przy drinkach. Przypadkowo byłam w pobliżu. Ostro po niej pojechali.

– Więc on żeni się z biurową dziwką? – zapytałam.

Pewnie uznałabym to za śmieszne, gdybym nagle czegoś sobie nie przypomniała. Imprezę gwiazdkową. Teraz już wiem, dlaczego panna ze zdjęcia wydawała mi się znajoma. To była ona! Pojawiła się właśnie wtedy, gdy zaczęłam z Willem mój e-mailowy romans! O mój Boże! On żeni się z dziwką z kibla! A to oznacza, że poznał ją, gdy spotykał się już ze mną. Gdyby poznał ją wcześniej, nawet by na mnie nie spojrział. Cholera.

Dostałam wiadomość tekstową. Od Willa. Idealne wycucie czasu!

SMS od Patrick, William:

Mozemy porozmawiać? Przemoc nie jest rozwiązaniem.

Uniosłam telefon, żeby wszyscy to przeczytali.

– Widzisz? – jęknęłam poirytowana. – Widzisz, z czym muszę żyć? Jak... – zaczęłam, ale

nie skończyłam.

Co prawda chciałam coś powiedzieć, ale byłam zbyt pijana. Straciłam płynność myśli.

– Co jak? – zapytały wszystkie trzy jednocześnie.

– Jak mam odpowiedzieć na tę wiadomość? – zapytałam i postukałam w ekran telefonu, żeby nie miały wątpliwości, o co mi chodzi.

Zanim zdążyły odpowiedzieć, komórka zapiszczała kolejny raz i wszystkich uciszyła.

Zupełnie jakby włączyła się bomba zegarowa. W pewnym sensie tak właśnie było.

– Przeczytaj! – zawołała Annie. – Albo nie, daj to. Ja przeczytam. Zastanawiam się, czy odebrał już moją wiadomość głosową – dodała i wyciągnęła rękę po telefon. – No, dawaj!

– Przeczytaj! – warknęła Liv, więc przeczytałam.

SMS od Patrick, William:

Wiem, że tam jesteś. Przystań udawać.

SMS od Patrick, William:

Dzwoniłaś? Chciałaś wykręcić mi numer, co?

Cholera!

Liv wyrwała mi telefon i wrzuciła go do dzbanka stojącego pośrodku stołu.

– Co ty wyrabiasz? – zawołałam. – Dlaczego to zrobiłaś? To cholernie drogi aparat! – dodałam.

Nie tylko zniszczyła mi komórkę, ale jeszcze zanieczyściła drinki. Trudno powiedzieć, co było gorsze.

– Przepraszam, ale nie mogę już tego słuchać. Pieprzyć go! Dostaniesz nowy numer!

– Przecież mogła zachować stary telefon, a numer po prostu zmienić – zauważyła Annie, gdy próbowałam za pomocą widelca wyciągnąć komórkę z jasnozielonego płynu.

– No cóż... o tym nie pomyślałam – przyznała Liv. – Ale to nieważne. Nowy numer, nowy telefon, nowe życie.

– Wypijmy za to! – zawołała Patty i sięgnęła po shota tequili.

Zupełnie jakby nie była jeszcze dostatecznie pijana.

Zanim zdążyłam się odezwać, usłyszałam za sobą dziwnie znajomy głos.

– Tak myślałem, że to ty!

Odwróciłam się i zobaczyłam Matta Matthews, znajomego barmana z sąsiedztwa. Uśmiechał się szeroko.

– No proszę, cześć! – Ucieszyłam się i odeszłam od stolika. – Zasłoniłeś ramiona! Bez tych tatuaży w życiu bym cię nie poznała!

– Ja też o mały włos bym cię nie poznał. Nie masz już zakrwawionej nogi!

Uśmiechnął się po raz kolejny. Miał dołeczki, których wcześniej nie zauważyłam. Czułam, że dziewczyny wpatrują się w moje plecy. Z pewnością chciały wiedzieć, kim jest ten gość.

– Coś się zmieniło od ostatniego razu? – zapytał.

Wzruszyłam niezobowiązująco ramionami.

– Poprzednio postawiłem ci wino. Teraz twoja kolej.

Nie mogłam się nie uśmiechnąć.

– Wygląda na to, że jego narzeczona jest biurową dziwką – stwierdziłam.

– Macie biurową dziwkę?

– Mamy. A teraz jest zaręczona z moim eks-prawie-chłopakiem.

– No to niezłe jaja. Wciąż pracujesz w finansach?

– Tak.

– Zajrzałaś na stronę szkoły cukierniczej?

– Cóż... to długa opowieść.

– Zdaje się, że kochasz długie opowieści.

– Bardziej niż myślisz.

Polubiłam go. Wydawał się uczciwy, prostolinijny i nieskomplikowany (w dobrym znaczeniu tego słowa). Nie mogłam zapomnieć tego, co Will powiedział mi kiedyś o cieszeniu się prostotą życia. Kiedy moje życie się tak skomplikowało?

– Za kilka tygodni zacznę pracę jako kucharz w nowej knajpce na West Village. Byłoby mi miło, gdybyś kiedyś wpadła.

Czy on zaprosił mnie na randkę? Nie, zdecydowanie nie! Randka to określone miejsce i godzina. A poza tym on chciał, żebym wpadła do jego pracy. W każdym razie poczułam dziwnie znajome łaskotanie w żołądku. Nerwy?

– Gratuluję. Z przyjemnością kiedyś tam zajrzę. Jeśli gotujesz tak dobrze, jak mieszasz drinki, to będzie wypas.

Matt wyciągnął swoją komórkę.

– Jaki masz numer?

Wpisałam mu numer do biura, po czym wsunęłam telefon do kieszeni na piersi.

– Miło cię zobaczyć, Alex. Baw się dobrze. Zadzwoń do ciebie.

– Świetnie. Już nie mogę się doczekać – dodałam.

I mówiłam to szczerze. Dziewczyny zaczęły, aż się troszkę oddalił, po czym zaczęły wykrzykiwać kolejne pytania.

– Kto to był? – przebiła się przez nie Liv.

Opowiedziałam im, co o nim wiem, a nie było tego dużo. Patrzyły na mnie z uniesionymi brwiami.

– Wydaje się miły – stwierdziła Annie. – Widzisz, są jeszcze mili faceci. Właśnie poznałyśmy jednego.

Wydawał się miły, prawda?

Odwróciłam się. Matt rozmawiał z kilkoma kolesiami w dzinsach. Śmiali się i pili coronę. Na pewno nie rozmawiali o pieniądzach, finansach czy sobie nawzajem. Wyglądali na zadowolonych i wyluzowanych. Dawno się tak nie czułam. Gdzieś po drodze dałam się uwieść rozpustnemu czarowi naszej branży i zapomniałam, że fajnie jest pić nie tylko wino za dwieście dolarów, ale i piwo za osiem. Trochę mu zazdrościłam. W pewnej chwili zauważył, że na niego patrzę, i uśmiechnął się. Pomachałam mu na pożegnanie. Sięgnęłyśmy po torby i zataczając się, wyszłyśmy z knajpy. Zastanawiałyśmy się, jakim cudem krótka rozmowa z obcym człowiekiem kompletnie zmieniła mój stan psychiczny.

Kiedy wdrapałam się do łóżka, poczułam spokój. Miałam sprawdzone przyjaciółki. Miałam też dobrą pracę. Nie potrzebowałam gościa, który ciągnąłby mnie w dół. Po raz pierwszy od dawna zasypiałam, nie myśląc o Willu i jego narzeczonej.

W ogóle nie myślałam o nim.

Wróciłam do formy.

Szkoda, że nie można było tego powiedzieć o rynku.

XVII

Finansowy armagedon

Ziewnęłam. Stałam oparta o ścianę, z dala od ludzi kłębiących się między rzędami krzesel ustawionych naprzeciwko sceny. Co roku Cromwell urządzał prezentacje na kampusach najlepszych uczelni. Wysyłał na nie swoich pracowników, absolwentów tych uczelni. Zarząd liczył na to, że w ten sposób przyciągnie świeże mięso. Połowa maja była stosunkowo późnym terminem jak na spotkanie ze studentami, ale z uwagi na sytuację w pracy nie mogliśmy pojawić się wcześniej.

Chick wysłał mnie na Uniwersytet Virginii z nadzieją, że podstępem przyciągnę kilkoro młodych do naszego biznesu. Cały system finansowy walił się przecież w najlepsze. Szczerze mówiąc, miałam to wszystko gdzieś. Cieszyłam się jedynie, że Will zniknie mi na jakiś czas z oczu.

– Długi tydzień, co? Nie martw się, jutro piątek – powiedziała Laurie, koordynatorka z działu personalnego.

Kiwnęłam głową, jednak nie otworzyłam oczu. Z trudem zdusiłam kolejne ziewnięcie.

– Jestem wyczerpana. Ile ma potrwać ta prezentacja?

– Film zajmie nam dziesięć minut, ale potem mamy okrągłą godzinę na pogawędkę przy koktajlu. Jestem jednak pewna, że kilka tych pracowitych pszczołek przetrzyma nas tutaj. Całość zajmie nam jakieś półtorej godziny.

– Wrócę do biura jako zombie.

– Zdaję sobie z tego sprawę – powiedziała i spojrzała na zegarek. Uznała, że czas rozpocząć prezentację. – Trzymaj – dodała i wręczyła mi laminowany identyfikator z moim nazwiskiem.

Chryste!

Wbiegła na scenę, czym momentalnie uciszyła rozentuzjarmowany tłum studentów.

Zajęłam miejsce w pierwszym rzędzie tuż obok trzech innych absolwentów UVA z Cromwell, wymuskanych, ubranych w drogie garnitury i siedzących idealnie prosto. Stanowili idealny przykład tego, na co mogą liczyć studenci, jeśli będą mieli na tyle szczęścia, żeby dostać się do naszej firmy.

To, czego się nie wie, nie boli. Do czasu.

Laurie pochyliliła się nad mikrofonem.

– Witam i zapraszam do wysłuchania prezentacji Cromwell Pierce. Przedstawimy wam krótki filmik opowiadający o życiu w Cromwell. Potem będziemy mieli okazję porozmawiać. Wykorzystajcie ten czas, żeby zapytać waszych starszych kolegów, absolwentów tego uniwersytetu, jak ich zdaniem wygląda Cromwell od środka. Na razie jednak skupcie się na projekcji.

Cudownie... noc w kinie! Może na którymś z ujęć zobaczę Chicka.

Spojrzałam na ekran, na którym pojawiło się logo naszej firmy oraz jej nazwa napisana pogrubionymi literami. Uświadomiłam sobie, że jakiś analityk z naszego biura spędził dwa tygodnie na zastanawianiu się, jaki odcień żółtego wykorzystać do stworzenia tego napisu. Z pewnością byłby szczęśliwy, słysząc, że nikt nie zwrócił na to uwagi. Potem przez ekran przeleciały zdjęcia dobrze wyglądających, świetnie zbudowanych, uśmiechniętych profesjonalistów, którzy spokojnie i w przyjaznej atmosferze ściskali dłonie brokerom. Ci bez wątpienia używali słów „proszę” i „dziękuję”, a czasami siadali w kółkach i dyskutowali na forum o swoich nowych pomysłach. Pojawiły się też slajdy przedstawiające pełnych energii, zróżnicowanych pod względem rasowym pracowników siedzących przy nowiutkich stolikach w błyszczących salach konferencyjnych z wielkimi oknami, które – oprócz promieni słońca – oferowały zapierające dech w piersiach widoki. Pojawiły się też ujęcia z biur zarządu, długie limuzyny i obiady w drogich restauracjach o stołach przykrytych białymi obrusami i ogniu trzaskającym w kominku.

Przypominało mi to nazistowską propagandę.

A gdzie bomby sake?

A gdzie ludzie wykrzykujący brzydkie słowa?

Swoją drogą, gdzie znajdował się ten „parkiet” z błyszczącymi, uprzątniętymi biurkami

i dywanami, na których nie było śladów po wyrzyganej przez Marchettiego zawartości automatów z jedzeniem?

I kim, do cholery, byli ci ludzie na filmie?

Ci ludzie nie pracowali w Cromwell. To byli aktorzy. Ktoś najwyraźniej uświadomił sobie, że gdyby sfilmowali prawdziwe wnętrza i prawdziwych pracowników, studenci z wrzaskiem rzuciliby się do wyjść ewakuacyjnych.

Niech będzie – nasz dział marketingu uczciwie zapracował na swoje wynagrodzenia.

Kiedy pierwsza część prania mózgu dobiegła końca, Laurie wróciła na scenę i posłała masom uśmiech pełen dumy.

– Tylko na chwilę zajrzeliśmy do świata, do którego możecie należeć również wy. Oczywiście pod warunkiem, że zostaniecie wybrani i dołączycie do naszej rodziny. Na razie chciałabym zaprosić was na część koktajlową prezentacji i zachęcić do rozmowy z waszymi byłymi kolegami. Potraktujcie ich jako kolejne źródło informacji. Są tu po to, żeby wam pomóc.

Szybko ruszyłam w stronę wyjścia. Chciałam dostać napój, zanim najstarsi studenci rzucają się na barek z alkoholem niczym gołębie na nowojorskie chodniki. Nieoczekiwanie zauważyłam swoje odbicie w lustrze, które barman miał za plecami. A więc Alex Garrett wróciła na kampus, tyle że z kieliszkiem wina w dłoni.

Alex miała na sobie garsonkę w paski, jedwabną bluzeczkę oraz identyfikator ze swoim nazwiskiem.

„Coś ty ze sobą zrobiła?”, zapytałam przerażona swoje odbicie.

Nie odpowiedziało.

Kiedy odwróciłam się, otoczyli mnie studenci. Spojrzeli na mój identyfikator i wyciągnęli ręce.

– Dzień dobry, pani Garrett.

– Miło mi panią poznać, pani Garrett.

– Czy możemy zadać kilka pytań, pani Garrett?

Pokiwałam głową.

– Jasne!

Gość w jasnoczerwonym krawacie, który był zdecydowanie za duży na jego skromną, zaszuszoną posturę, wystrzelił jako pierwszy.

– Jakie są pani zdaniem najważniejsze cechy, jakie powinien mieć człowiek, żeby odnieść sukces na Wall Street?

„Umiejętność wywalenia dumy za okno i zamienienia się w wycieraczkę leżącą pod czyimś drzwiami”, przyszło mi do głowy.

Ale nie mogłam tak powiedzieć.

Zwróciłam uwagę na drobną, dość dziarską blondyneczkę o południowym akcencie.

– Czy trudno być kobietą w biurze?

„Czy trudno? Nie... Od razu zorientowałam się, że chodzę z zaręczonym współpracownikiem. Z perspektywy czasu muszę też przyznać, że spodobało mi się, kiedy po przyłapaniu kogoś na akcie nierządu zostałam nazwana brzydulą. Nie mam też nic przeciwko temu, że stałam się obiektem ataków chorego psychicznie, napalonego klienta. Ot, praca jak każda inna. Powinnaś sama się o tym przekonać, Blondynko. Na pewno byś ją pokooooochałaaaa!”

Ale nie mogłam tak powiedzieć.

– Co skłoniło panią, żeby rozpocząć pracę w tej branży? Dlaczego wybrała pani akurat Cromwell? – zapytał koleś.

Od razu wiedziałam, że to przyszedł Will. Zupełnie bez powodu emanował olbrzymim tupe-tem.

„To błąd młodości. Wybrałam Cromwell, bo nie chciałam chodzić do pracy w kostiumie. Każde inne kryterium jest do bani. Wszystkie firmy są takie same”.

Ale również i tak nie mogłam powiedzieć.

– Wybrałam Cromwell z uwagi na różnorodność szans, które oferuje firma, a także z uwagi na jej znakomitą reputację.

– Czyli poleca pani staranie się o pracę w finansach?

– Absolutnie.

Kłamczucha!

– Czy żałowała pani kiedyś decyzji o rozpoczęciu pracy na Wall Street?

– Nigdy.

Kłamczucha, kłamczucha. Za karę przez tydzień nie oglądasz telewizji!

– Jest pani całkowicie zadowolona ze ścieżki kariery, jaką pani obrała, oraz pani doświadczeń w tej firmie?

– Nie mogłabym być bardziej.

Wstyd. To żalosne. Kłamczucha!

Jeszcze nigdy nie byłam aż tak zażenowana sobą. Przeprosiłam i podeszłam do okna. Przez chwilę patrzyłam na studentów krążących po kampusie, pogrążonych w błogiej nieświadomości tego, co czeka ich, kiedy rozpoczną karierę. Czulałam się winna, bo okłamywałam te dzieciaki. One oczekiwały ode mnie uczciwych odpowiedzi, chciały, żebym pomogła im podjąć właściwe decyzje i wypchnęła na szerokie wody życia zawodowego.

A ja kłamałam im prosto w oczy.

Usłyszałam, jak grupka podenerwowanych studentów dyskutuje o rozmowach kwalifikacyjnych, które przeszli kilka godzin wcześniej.

– Zapytał mnie, z której strony wyciskam pastę do zębów – powiedziała brunetka o jasnych oczach, dzieląc się z przyjaciółmi szczegółami spotkania. – Co właściwie miałam odpowiedzieć? Czy w ogóle istnieje prawidłowa odpowiedź na to pytanie?

– Pewnie chciał usłyszeć, że zaczynasz od samego końca, dzięki czemu wykorzystujesz całą pastę. Wiesz, goście z finansów lubią wiedzieć, że niczego nie marnujesz.

Blondyn, typ surfera pasującego bardziej do Hollywood niż świata finansów, puszył się znajomością jednego z sekretów Wall Street.

– Tak, nazwali to jakoś tak... Wiem, wywalanie pieniędzy w błoto. To właśnie robisz, gdy nie wykorzystujesz każdego centa.

– Boję się, że masz rację. Pewnie to chciał usłyszeć tamten gość. No cóż, trudno. Najwyraźniej nie dostanę tej pracy.

Ted Rozgwiązda powinien popracować nad nowymi pytaniami.

Ale pieprzyć to.

Nie było żadnego Teda Rozgwiązdy.

Decyzję o przyjeździe na Wall Street podjęłam sama dawno temu. Teraz nie miałam ochoty zachęcać do tego nikogo, kto nie wiedziałby, jak naprawdę wygląda tam życie.

– Hej, kochani, jeśli chcecie, to opowiem wam jeszcze parę ciekawostek! – zawołałam i podeszłam do nich.

Kiedy otoczyli mnie rozgadani studenci, zaczęłam im mówić to, czego nie powiedziałby im żaden człowiek z Wall Street. Prawdę.

Kiedy następnego ranka dotarłam do pracy, wpadłam w chaos. Do tej pory okres letni był na Wall Street stosunkowo spokojny, zwłaszcza w piątki. Ludzie wyjeżdżali wtedy na wakacje bądź po prostu wychodzili wcześniej z biura i grali w golfa. Mało kto potrafił skupić się na pracy, gdy pogoda za oknem odbiera zmysły.

To lato było jednak inne.

Kiedy wydaje ci się, że nie może być już gorzej, dzieje się coś, co każe ci zmienić zdanie. Po przyjeździe do pracy miałam wrażenie, że znajduję się w spadającej windzie. Przejrzałam dane z tygodnia. Zaufanie inwestorów: w dół. Bezrobocie: w górę. Produkcja: w dół. Rynki akcji: w dół. Marże kredytowe: klęska. Zyski z obligacji skarbowych: w dół. Prawdziwy finansowy armagedon.

Jeszcze raz spojrzałam na ekran. Każdy wskaźnik świecił na czerwono. Zdaje się, że bankowcy, z którymi przygotowywałam kiedyś prezentację, mieli całkowitą rację. Kolor czerwony zdecydowanie nie uspokajał.

– Czy wywalili już dziś kogoś? – zapytałam Drewa, kiedy przeglądał nagłówki docierających do nas depeesz.

– Dziś jeszcze nie. Ale słyszałem, że na poniedziałek szykuje się kolejna fala. Podobno planują pozbyć się kilku osób w ramach zwolnień grupowych.

– Czy potną też nas zespół? Co będzie, jeśli i ja wylecę?

– Nie wylecisz. Uspokój się. Chick cię uwielbia. Nie zapłacą nam ani dolara, ale zatrzymamy posady.

– Nie żartuj tak nawet, Drew. Bardzo liczę na tę premię.

– Kurde, wszyscy liczymy. Ale to będzie naprawdę kiepski rok, Al. Kiepsciutki. Na twoim miejscu znacznie ograniczyłbym wydatki. Koniec z nowymi butami! Bessa potrwa naprawdę długo. Potrzebujesz oszczędności.

Cudownie, właśnie wydałam kilka stów na wypasiony, nowoczesny telefon z mnóstwem magicznych opcji, których jeszcze do końca nie rozgryzłam.

Chick stanął pośrodku naszej części biura. Wszyscy przestali pracować, spodziewając się kolejnych złych wiadomości. Ostatnio tylko takie dostawaliśmy.

– No dobra, kochani, posłuchajcie. Wiem, że ostatnio nie jest tu zbyt kolorowo i morale ostro wam spadło, dlatego w czwartek spotkamy się na obiedzie. Od razu dodam, żeby nie było nie-domówień – obecność jest obowiązkowa. Być może zorganizuję, a być może nie zorganizuję after party. Tego jeszcze nie wiem, ale dam wam znać – stwierdził.

Wyglądał na zmęczonego i przedwcześnie postarzałego. Nie był już tym pewnym siebie, aroganckim szefem, którego kochaliśmy i szanowaliśmy. W głębi serca musiał być przerażony.

Przez chwilę panowała krępująca cisza.

Dopiero wtedy, gdy Chick wrócił na swoje miejsce, spojrzałam na Drewa.

– Chick dziwnie się ostatnio zachowuje. Jak sądzisz, co się dzieje? – zapytałam zaniepokojona.

– Jest obesrany, Alex. Podejrzewam, że nawet nie wiemy, w jak kiepskim jesteśmy położeniu. Nie chciałbym być teraz funkcyjnym. Za żadne pieniądze.

– Co możemy zrobić?

– Trzymać język za zębami i zniknąć z radarów. Im mniej ludzi nas teraz widzi, tym lepiej – powiedział i wyciągnął plecak spod biurka. – Spadam. Miłego weekendu.

– Już wychodzisz? Jest dopiero 16.30! To kiepski moment na zrywanie się z biura, Drew.

Sięgnęłam po nowy raport ekonomiczny oraz pisak i zaczęłam go czytać. Uznałam, że warto sprawiać wrażenie osoby zajętej, nawet jeśli to tylko pozory.

– Jest piątek. W tym tygodniu dostaliśmy nieźle po dupie. Wychodzę. Nie siedź zbyt długo. Tygodnie będą teraz coraz dłuższe.

Obserwowałam, jak wychodzi z biura. Próbowалаłam się upewnić, że się nie mylił co do naszego bezpieczeństwa. Zespół zarabiał. Mimo trudnej sytuacji na rynkach wciąż generowaliśmy zyski. Gdy świat eksplodował, jedyne, w co ludzie chcieli inwestować, to obligacje skarbowe. O 17.01 wyłączyłam komputer i wybiegłam z sali. Byłam już spory kawałek od biura, kiedy usłyszałam za sobą głos Willa.

– Alex, zatrzymaj się! Nie możesz wiecznie mnie unikać!

– A chcesz się założyć? Na razie wychodzi mi to znakomicie!

Dobry tekst, Alex!

– Proszę, zatrzymaj się! – zawołał i podbiegł do mnie.

Na jego szczęście w pobliżu nie było żadnej taksówki, którą mogłabym zatrzymać.

Albo pod którą mogłabym go wepchnąć.

– Nie jestem zainteresowana tym, co masz mi do powiedzenia, Will.

– Jest mi przykro. Nie chciałem cię zranić.

– Okłamałeś mnie. Wybacz, ale naprawdę nie mam ochoty słuchać bzdur, które usiłujesz mi wcisnąć.

– Nie okłamałem cię... Po prostu nie wszystko ci powiedziałem.

– Powiedziałeś, że nie masz dziewczyny! – jęknęłam.

Włożył ręce do kieszeni.

– Spieprzyłem to. Rozumiem. Dałem ciała i jest mi przykro. Ale tęsknię za tobą. Tęsknię za

naszymi rozmowami, za wspólnym spędzaniem wolnego czasu, żartowaniem... Jest też parę rzeczy, które muszę ci powiedzieć, Alex. Dlatego nie chcę, żeby to wszystko tak wyglądało.

– Wciąż jesteś zaręczony? – zapytałam, czując, jak zbliża się kolejna fala nudności.

Spojrzał na swoje półbuty.

– Tak – wykrztusił po cichu.

Położyłam mu dłonie na piersiach i pchnęłam z całych sił. Nie przyniosło to takiego efektu, jaki chciałam osiągnąć, przede wszystkim dlatego, że był piętnaście centymetrów wyższy ode mnie.

Cofnął się jednak, zwiększając dzielącą nas przestrzeń. Podeszłam więc bliżej i popchnęłam go kolejny raz. Tym razem złapał mnie za nadgarstki.

– Stój!

– Will, czego ty ode mnie chcesz? – zapytałam, czując, że znajduję się na granicy hysterii. – Po prostu wyjaśnij mi, czego, do cholery, ode mnie chcesz?

Jednej rzeczy chciałam się dowiedzieć. Dopóki tego nie wiedziałam, groziło mi, że spędzę resztę życia, waląc pinaty kijami baseballowymi.

– Zapytałam cię w Nobu, dlaczego nie odpowiadasz na moje telefony. Walnąłeś jakąś bzdurę, że niby masz już ich dość po ośmiu godzinach pracy. Chciałam też wiedzieć, dlaczego nigdy cię nie ma w weekendy. Skłamałeś. Miałeś okazję, żeby się przyznać, ale jej nie wykorzystałeś. A teraz chcesz się przyjaźnić? Trzeba było podjąć właściwą decyzję, a nie ściemniać na całego. Poprawianie sobie humoru tekstami w stylu, że niby nie potrzebujesz prawdziwej dziewczyny, było błędem. Owszem, nie potrzebowałeś jej, bo miałeś już jedną.

– Wszystko mi się mieszało. Ona mieszkała w Bostonie i nie widywaliśmy się w tygodniu. Z tobą spotykałem się natomiast codziennie. Codziennie też rozmawialiśmy. Nagle poczułem, że bardzo cię lubię. Może nawet zbyt bardzo, Alex. Nie chciałem tego ucinać. Wiem, że cię zraniłem i że mnie nienawidzisz. Gdybym mógł cofnąć czas, rozegrałbym to inaczej. Dla mnie też nie jest to łatwe.

No cóż, nie takiej odpowiedzi się spodziewałam.

– To może zerwij z nią, co? – powiedziałam i choć starałam się tego uniknąć, łzy pociekły mi po twarzy.

Obiecałam sobie, że nie będę już przez niego płakać. Najwyraźniej okłamywałam się.

– Tej nocy w Nobu nie wiedziałem, którą z was...

– Co którą z nas?

Wzdrygnął się. Wiedział, że to mnie zabolę.

– Nie wiedziałem, z którą z was chcę być. Poza tym byłem pijany. Tak jak ty.

– Nie zwalaj tego na mnie – zaprotestowałam.

Jakież to typowo męskie. Wszystko jest winą kobiety, nawet jeśli tak nie jest. Chyba wstąpię do klasztoru!

Spojrzał na mnie zdezorientowany.

W ciągu tych dziesięciu minut, które spędziliśmy na chodniku, całkowicie zatracił swoją pewność siebie. Czuł to, co ja czułam.

– Posłuchaj, mam ci coś innego do powiedzenia.

– Ale co? Że masz kartę członkowską Crate and Barrel? Chyba nie sądzisz, że zamówię u ciebie garnki do gotowania na parze?

– Po prostu mnie posłuchaj.

Wzruszyłam ramionami.

– Jestem żaloszny – stwierdził. – Chciałbym cofnąć czas. Wtedy zachowałbym się inaczej. Wcale nie mam ochoty na ten ślub. Sam nie wiem, co wtedy myślałem. Chciałem... chciałem dla nas...

Jeśli zdążył do tego, czego się spodziewałam, to nie zamierzałam tego słuchać. Cała ta sytuacja robiła się coraz bardziej zabawna, choć zabawna wcale nie była. Nawet odrobinę.

– Nikt nie kazał ci się oświadczać. Po cholere poprosiłeś ją o rękę, skoro nie chcesz się z nią zenić?

– To skomplikowane.

- Czy ona jest w ciąży?
- Nie.
- Czy potrzebuje zielonej karty?
- Nie!
- W takim razie nie rozumiem, dlaczego uważasz to za skomplikowane.
- Jej ojciec jest dyrektorem finansowym dużej firmy w Bostonie. Mogłem zarobić na nim

gigantyczną kasę.

Chyba. Raczysz. Żartować.

- Nie mówisz tego poważnie! Oświadczyłeś się jej z powodu pieniędzy jej ojca?

Nie odpowiedział.

– Wow. Wygląda na to, że nie tylko kobiety idą do łóżka dla kariery. Cóż, zasługujecie na siebie. A ty z kolei z pewnością na mnie nie zasługujesz. Spieprzaj!

Ta rozmowa, podobnie jak nasz związek i nasza przyjaźń, dobiegła wreszcie końca.

To bolało.

Zatrzymałam taksówkę i zostawiłam go na chodniku.

Czerwiec 2008 roku był katastrofalny. Doszło do tego, że bałam się powiedzieć ludziom, gdzie pracuję. Kiedyś byłam z tego dumna, dziś czułam strach. Telefony dosłownie się urywały, nie dawaliśmy sobie rady z rosnącym zapotrzebowaniem na informacje. Klienci chcieli wiedzieć, co się dzieje. Czy sytuacja zmieni się w najbliższym czasie? Czy powinni sprzedawać, skoro rynki idą w dół, czy też kupować, licząc na odbicie? Jak wysokie będzie bezrobocie? Czy sięgnie dziesięciu procent? Naszych klientów łączyło ze sobą jedno: wszyscy byli spanikowani. Brokerzy wkurzali się, przeklinali, niszczyli sprzęty, nie nadążając z prowadzeniem rachunków zysków i strat.

Któregoś poniedziałkowego poranka nieoczekiwanie się uspokoiło. Telefony już tak nie dzwoniły.

Znalazłam parę chwil, żeby zebrać myśli i przeanalizować sytuację. Kiedy rozejrzałam się po biurze, od razu zorientowałam się, że coś jest nie tak. Nikt nie był głodny, a to fatalny znak.

Drew przeglądał nagłówki depesz na swoim komputerze. Spojrzał na mnie spod oka, gdy podjechałam do niego na fotelu.

- Co się dzieje? Coś się dzieje! – powiedziałam.

Rozejrzał się konspiracyjnie.

– Ci na wyższych stołkach odbywają całą serię spotkań – szepnął. – A kiedy zbyt dużo ważnych ludzi rozmawia ze sobą, na korytarzach pojawiają się plotki. W dodatku nikt jeszcze nie widział Chicka. To niedobry znak.

- Może jest na spotkaniu? – zapytałam zaniepokojona.

- Może jest tematem spotkania.

Cholera.

To fatalna wiadomość. Nowy szef oznaczał poważną rozmowę o wykonywanej pracy, a jeśli z jakiegoś powodu nie przypadło mu się do gustu, to traciło się stołek albo ustępowało miejsca kolidze. Dlatego właśnie nie warto było robić sobie wrogów na Wall Street. Prędzej czy później łądowało się z tymi samymi ludźmi, tyle że w innym miejscu (najwyraźniej Cruella o tym nie wiedziała).

– Myślisz, że Chick odejdzie? Kto pokieruje naszym zespołem? Dokąd chce przejść? Czy ma już jakąś ofertę?

- A czy wyglądam jak wróżka? Nie sądzę, żeby odszedł z własnej i nieprzymuszonej woli.

- Co powinniśmy zrobić?

- Czekać.

Nie musieliśmy czekać długo.

Jakieś pięć minut później Reese wstał i powiedział, że jesteśmy proszeni do sali konferencyjnej. Spojrzeliśmy na siebie i niechętnie ruszyliśmy za nim. Nikt się nie odzywał. Zająłem krzesło pod ścianą. Hierarchia wciąż tu obowiązywała. Jeśli nie było się przynajmniej wiceprezesem, nie można było siadać przy stole.

Kiedy wszyscy się rozgościliśmy, do sali wszedł Darth Vader. Zajął miejsce u szczytu stołu.

Miejsce należące do Chicka. Wstrzymałam oddech, czekając, aż Chick wejdzie, wykopie go stamtąd, założy ręce za głowę i położy swoje półbuty Gucciego na stole.

Lada chwila musiało tak się stać.

– Od dzisiejszego poranka Ed Ciccione nie pracuje już w naszej firmie – stwierdził Darth.

Mówił pozbawionym emocji, apatycznym, mało interesującym głosem. Był chodzącym przeciwieństwem Chicka.

Cholera!

– Wiem, że to dla was szok. Postaramy się przeprowadzić tę zmianę tak gładko, jak to możliwe. Od dziś osobiście będę prowadził wasz zespół.

Cholera!

– Jedno chciałem zaznaczyć już na samym wstępie. Nie zarządzam w ten sam sposób, co on. Pewne zmiany są nieodzowne.

Cholera!

– Możecie być pewni, że za kilka miesięcy to miejsce będzie wyglądać zupełnie inaczej.

Czy ktoś ma jakieś pytania?

Nikt nie podniósł ręki. Wszyscy byli zbyt zajęci myśleniem „cholera”.

– Aha, jeszcze jedno. Podejrzewam, że znacie moją asystentkę, Hannah. Dołączy do zespołu. Wierzę, że przyjmiecie ją ciepło.

Myślałam, że nie może być gorzej, a tu proszę – dostaliśmy Baby Gap!

– To wszystko. Możecie wracać do pracy.

Szykowałam się właśnie do wyjścia, kiedy Darth ponownie się odezwał.

– Alex, zaczekaj chwilkę. Muszę z tobą porozmawiać.

Czy od razu chce mnie zwolnić? Już pierwszego dnia?

– Tak, Keith.

– Zadzwoiłem dziś rano do naszych najważniejszych klientów. Powiedziałem im, że Chick nie zarządza już zespołem. Rozmawiałem też z Rickiem Kieriakisem z AKS.

O Boże, proszę, nie mów tego, co chyba próbujesz powiedzieć.

– Bardzo pozytywnie wypowiadał się o tobie. Muszę przyznać, że byłem zaskoczony, że tak ważny klient tak wysoko ceni sobie osobę na niższym stanowisku. Najwyraźniej zrobiłaś na nim spore wrażenie. Poprosił mnie, żebym przydzielił cię do niego. Nie byłem przekonany do tego pomysłu. Uważałem, że lepiej sprawdziłaby się bardziej doświadczona osoba. Ktoś, kto umiałaby właściwie zająć się obsługą jego spraw. Rick był jednak dość stanowczy. A zatem od dziś odpowiadasz za AKS.

Nie! AKS to firma Chicka!

Bardzo chciałam powiedzieć, że wolałabym się nim nie zajmować, ale AKS było prawdziwą przepustką do kariery. Oczywiście Rick mógł mi ją też zniszczyć. Współpraca z nim oznaczałaby konieczność odpowiadania na jego nieprzyzwoite notki, wiadomości i komentarze. Jeśli tego nie będę robić, Rick bez wątpienia powie Darthowi, że jednak jestem do bani. Nie tylko stracę klienta z trzydziestoma milionami dolarów, ale również pracę. No cóż... Rejs „Titanikiem” również wydał się całkiem niezłym pomysłem. I jak się to skończyło?

Stałam przerażona na środku sali. Czułam, jak adrenalina krąży mi we krwi, a całe ciało drży. „Uciekaj! – podpowiadała każda jego cząsteczka. – Uciekaj i nie odwracaj się za siebie!”.

Nie mogłam tego zrobić. Istniała szansa, że pokonam Ricka. A jeśli podołam zadaniu? Cóż, dostał *carte blanche*. Zapewne wciąż będzie mnie molestował. To bardziej niż prawdopodobne...

Cholera!

„Uciekaj! – błagały moje ciało i mózg. – Uciekaj!”.

– Dziękuję, Keith. Doceniam szansę, jaką mi dajesz. Nie zawiodę cię – powiedziałam.

Moja matka miała rację. Duma kiedyś mnie zgubi.

– Przekonamy się o tym. A na razie wracaj do pracy.

To już pewne. Rudzi zniszczą mi życie.

– Tylko mi nie mów, że zostałam wylana pięć minut po tym, jak pojawił się nowy szef! – stwierdził Drew, kiedy wróciłam do biurka.

– Nie, Drew. Choć może byłoby to lepsze rozwiązanie.

– Co się stało?

– On chce, żebym przejęła Ricka. To zdecydowanie najgorszy z najlepszych dni w moim życiu. Sama nie wiem, jak to ocenić.

– Cholera! – westchnął. – Jeśli ci się uda, dostaniesz przepustkę do dowolnego miejsca na całym Wall Street. Ludzie będą rzucać w ciebie pieniędzmi. To naprawdę niezwykła okazja.

– A wady tej sytuacji? Co z nimi?

– Nie wiem, co ci powiedzieć, Dziewczynko. Musisz się postarać. Pracować najlepiej, jak potrafisz. To jedyne rozwiązanie. Wycisnąć z tego tak dużo, jak się da. No wiesz, tak jak wyciska się cytrynę.

– Dobrze byłoby dodać do niej alkohol. Po prostu muszę się czegoś napić. Boję się tego telefonu.

– Weź się w garść i porozmawiaj z nim. Im dłużej zwlekasz, tym bardziej się denerwujesz.

Rick z pewnością czeka na twój telefon.

Sięgnęłam po słuchawkę. Rick odebrał po pierwszym sygnale.

– Proszę, proszę. Alex Garrett dzwoni do mnie. To musi być mój szczęśliwy dzień.

– Cześć, Rick. Chyba wiesz, dlaczego dzwonię. Właśnie rozmawiałam z Keithem. Dziękuję za rekomendację.

– Pamiętasz, co ci powiedziałem? Tam na dachu. Kojarzysz? Że pewnego dnia będziesz się mną opiekować! Podejrzewam, że wielu chłopaków z biura zazdrości ci tego. Właśnie wykonałaś olbrzymi skok do przodu, wyprzedziłaś ich w boju o moje konto. Potem mi podziękujesz. Jestem pewny, że coś wymyślimy. W każdym razie od tej pory jesteś moja. Chcę cię tak jak pies chce kość – stwierdził i warknął.

Naprawdę warknął! Podejrzewam, że myślał, że zabrzmi to seksownie. Do waszej wiadomości: nie zabrzało.

– Czy masz kilka chwil, aby porozmawiać o twojej strategii i pozycji, jaką obecnie zajmujesz? – zapytałam, zwijając z nerwów kabel telefonu.

– W tej chwili nie. Chyba sama wiesz, jak wygląda sytuacja na rynku. Nie mam czasu, żeby wprowadzać cię w tę robotę. Ale może spotkalibyśmy się po pracy i porozmawiali? Powiedzmy o szóstej w Tribeca Grand?

Super. Restauracja hotelowa.

– Jasne, może być. Do zobaczenia.

– Nie mogę się doczekać. Rozmowa z pewnością trochę nam zajmie. Zjemy razem obiad, co?

Cudownie.

Postanowiłam zejść do kawiarenki.

Po drodze zauważyłam Baby Gap, która właśnie wypakowywała różne graty z kartonu i układała je na swoim nowym biurku. Kiedy ją mijalam, zatrzymała mnie. Jej pasiasta, zapinana na guziczki koszulka na wysokości piersi była tak napięta, że nie mogłam uwierzyć, że jeszcze nie pękła.

– Hej, Alex? – powiedziała w swoim charakterystycznym stylu. Zawsze kończyła zdanie znakiem zapytania, jakby całe jej życie składało się z pytań. Po części była to pewnie prawda. – Jaki kraj leży koło Hiszpanii? Wiesz, ten, w którym mówią po portugalsku?

– Niemcy! – odpowiedziałam.

W tym samym momencie jeden z guziczków na jej piersiach nie wytrzymał napięcia i wystrzelił. Odbił się od monitora niczym kuleczka we fliperze, po czym zniknął gdzieś pod biurkiem.

– Alex, pomocy! – zapiszczała i złapała za kieszeń koszulki.

Starła się tak rozciągnąć materiał, żeby przysłonił jej cycki.

– Poszukaj agrafki – zawołałam, kiedy zaczęła biegać po biurze i szukać zszywacza.

W końcu popędziła do łazienki. W tym samym momencie połowa facetów na piętrze zaczęła klaskać.

Spojrzałam zszokowana na Drewa. Kołysał się na swoich krześle i śmiał do rozpuku.

– Cholera, lepiej bym tego nie wymyślił.

– Drew! Powinieneś się cieszyć, że nie straciłam oka. Naprawdę tak trudno dostać pasujące ciuchy?

– Nie wiem, ale mam nadzieję, że ona nigdy na to nie wpadnie. Wciąż mam w pamięci zeszły wtorek, kiedy założyła te słodkie białe spodenki i różowe stringi. Kiedyś pokażę ci zdjęcia jej tyłka, które wtedy zrobiłem. I to telefonem!

– Wy, faceci, jesteście beznadziejni!

– Nie wiń mnie, że mam doskonały wzrok!

Kiedy dotarłam do kawiarenki, Reese i Marchetti zamawiali latte. Ten drugi złapał mnie za szyję i poczochnął po włosach.

– Dostałaś Ricka, co, Dziewczynko?

– Tak. Świetnie, nie? – skłamałam. – Trochę się jednak denerwuję. Mam nadzieję, że tego nie spieprzę.

Niech żyje optymizm.

– Nie spieprzysz. Po prostu nie zgadzaj się na czwórkę, gdy rynek stanie na dziesiątce – dodał bez zająknięcia, przypominając mi wpadkę, o której w tej firmie chyba nigdy nie zapomną.

– Ech, daj jej spokój! To było dawno temu! I jak, Rick stawiał się już z tobą na chłańsko?

W końcu już od godziny jest twoim klientem! – przerwał mu Reese.

– Widzimy się dziś w Tribeca Grand.

– Weź ze sobą paralizator albo coś w tym stylu, Dziewczynko – poradził, kiedy czekaliśmy na kawę.

– Czy ktoś rozmawiał już z Chickiem? – zapytałam.

– Jeszcze nie... – odpowiedział Reese. – Zadzwońię do niego wieczorem. Nie mam pojęcia, jak to się stało. Musiał kogoś nieźle wkurzyć. Zwalnianie go nie miało sensu.

– Nic dziś nie ma sensu – przypomniał nam Marchetti. – Kurde, mamy w zespole Baby Gap! Gdybym mógł sprzedawać nasze akcje, już bym to robił!

Pokiwaliśmy głowami. Potem bez słowa popatrzyliśmy na siebie i pogrążeni w rozpaczę wróciliśmy na górę.

XVIII

Złote kajdanki

Weszłam do słabo oświetlonego baru hotelowego przy Szóstej Alei. Była dopiero osiemnasta, ale happy hour trwało już w najlepsze. Cóż, nowojorczycki przekuli spotkania po pracy w prawdziwe dzieło sztuki.

W lokalu panował większy tłok niż zazwyczaj, ale tak było na całym Manhattanie. Im bardziej giełda spadała, tym bary mocniej się wypełniały. To akurat był pewnik.

Kiedy podeszłam do Ricka, rozmawiał z barmanem.

– Alex! To moja najlepsza opiekunka. I najpiękniejsza przy okazji. Prawdziwy ze mnie szczęściarz! Ty też jesteś szczęściarą, dziewczyno! Za sześć miesięcy będziesz kupować sobie apartament. Oczywiście za pieniądze, które na mnie zarobisz!

To możliwe, ale ile będzie mnie to kosztowało? Postanowiłam udawać pewną siebie.

– Nie mogę się tego doczekać. Zależy mi, żebyś przedstawił mi sytuację w AKS. W twoim funduszu pracują naprawdę inteligentni ludzie. Jedni z najlepszych na Wall Street.

– To prawda. Jeszcze przejdziemy do tego. Jak radzisz sobie ze zmianami w firmie?

Westchnęłam.

– Cóż, to był ciężki dzień.

– Szkoda Chicka, ale jestem pewien, że wyląduje na czterech łapach. To łebski facet.

Kiwnęłam głową.

– Przejdźmy jednak do powodu naszego spotkania. Otóż musimy nawiązać bliższe stosunki niż te, które mieliśmy do tej pory. Chyba się zgodzisz?

„Nie do końca. Żaden z moich klientów mnie nie zarywa, więc dlaczego miałabym tobie na to pozwolić?”. Powstrzymałam się jednak od komentarza, bo oczami wyobraźni wciąż widziałam tę furę dolarów. Szkoda!

– Napijesz się czegoś? – zapytał.

– Jasne. Poproszę kieliszek białego wina.

Jeśli miałam dokończyć tę rozmowę, musiałam skorzystać z pomocy moich dobrych przyjaciół, pinota i grigio.

Rick zamówił sobie szkocką. Przenieśliśmy się spod barku do niewielkiego stolika tuż przy oknie.

– Alex, pozwól, że o coś cię spytam. Mam dziwne wrażenie, że mnie nie lubisz. Dlaczego? Wiesz, ilu ludzi zabiłoby swoje matki, byle tylko mną się opiekować?

Mówisz poważnie?

– To nieprawda, że cię nie lubię. Po prostu cię nie znam.

– Widzę, że znasz się na tej robocie. Potrafisz udawać, że lubisz ludzi, za którymi nie przepadasz. Najwyraźniej miałaś dobrych nauczycieli w firmie.

Żałuję, że nie ma tu Reese'a. Wyleciałbyś na kopach przez okno.

– Nigdy nie podziękowałaś mi za kwiaty, które ci wysłałem. Uznałem, że ci się nie spodobały.

– Och, nie. Były spoko. Mogę cię zapytać, skąd miałeś mój adres? Czy podał ci go Chick?

Rick zaśmiał się.

– Chick nie podałby mi twoich danych, nawet gdybym groził, że go spalę. Dla odmiany jego sekretarce tak zależy na odrobinie uwagi, że wypaple wszystko. Zwłaszcza gdy jest się dla niej miłym. Pomogła mi również wtedy, gdy moje SMS-y przestały do ciebie docierać. Na szczęście dałaś Chickowi nowy numer, żeby w razie potrzeby mógł się z tobą skontaktować. Chociaż teraz pewnie nie będzie miał takiej potrzeby.

Nancy. Mogłam się domyślić.

– Wyglądasz na zaskoczoną.

– Nie, po prostu... myślę – odpowiedziałam i tak rzeczywiście było.

– Wiesz, kiedyś sądziłem, że kobiety nie pasują do Wall Street, oczywiście nie licząc sekretarek. Nie podejrzewałem, że któraś z nich będzie dostatecznie wykwalifikowana, żeby zajmować się tym na co dzień. Że wytrzyma to napięcie, będzie opanowana i nauczy się liczyć w pamięci.

Uśmiechnęłam się pod nosem.

– Przykro mi, że wyprowadziłam cię z błędu.

Zdjął kurtkę i położył ją na stoliku obok swojej szklanki.

– Popieram zatrudnianie kobiet. Poważnie.

– Cieszę się z tego. Zwłaszcza że poprosiłeś Keitha, żeby przydzielił mnie tobie – stwierdziłam nieco zbyt szybko.

Powinnam uważać na to, co mówię. Zażyłości z klientami nie miałam w zakresie obowiązków.

– Nie jestem jednak przekonany, czy powinny pracować w tej właśnie branży. Chodzi mi o długie godziny pracy oraz stres. To naprawdę trudne środowisko. Gdyby ktoś mnie pytał, powiedziałbym, że niezbyt dobre dla słabszej płci.

Ja nie pytałam.

Wypił resztę drinka i zakręcił szklaneczką. Kostki lodu głośno zagrzechotały, ocierając się o jej kryształowe brzegi. Przywoływał w ten sposób kelnera.

– Pomyśl na przykład o sobie – powiedział, po czym wyciągnął palec wskazujący i delikatnie dotknął mojego nosa.

No jasne, wykorzystajmy mnie jako przykład!

– Nie masz męża.

– Nie.

Nie sądzę, żeby było to niezwykle.

– Jesteś inteligentna, piękna, a mimo to samotna. Chcesz wiedzieć dlaczego?

Nagle poczułam, że moja skóra płonie. Wiedziałam dlaczego. Nie miałam nikogo, bo straciłam zbyt wiele czasu z zakłamanym draniem z Wall Street. Zanim jednak ta myśl mnie pochłonęła, zdążyłam ponownie skupić się na Ricku, który był już w połowie kazania.

– ...rozpad więzów rodzinnych, zatarcie się różnic płciowych. Kobiety nie chcą już być traktowane jak kobiety. Chcą udowodnić światu, że mogą zarabiać pieniądze, kupować sobie obiady, a nawet naprawiać sobie samochody.

– Są odważne.

– Są zajęte pracą. W efekcie wychodzą późno za mąż i mają mniej dzieci niż kiedyś. Tracisz czas, myśląc, że masz coś do udowodnienia. Właśnie dlatego nie masz jeszcze męża.

– To chyba jestem głupia. Bo sądziłam, że po prostu nie spotkałam jeszcze właściwego faceta.

– Zapewne spotkałaś. Byłaś jednak zbyt zapracowana, żeby go zauważyć.

– Szczęściarz z ciebie. Być może nie miałby się kto tobą zaopiekować w Cromwell.

– To mało prawdopodobne, kochanie – powiedział i pochylił się. Wyraźnie czułam jego stęchły, ciepły oddech. Z najwyższym trudem powstrzymałam się od zarzycania stołu. – Wiesz, mogę zrobić z ciebie naprawdę bogatą dziewczynkę.

Byłam tego świadoma. W przeciwnym wypadku nie rozmawiałabym z nim.

Z całą pewnością nie umówiłam się na to spotkanie, żeby go podziwiać.

Cofnęłam się i wyprostowałam na krześle.

– A ja mogę zrobić z ciebie naprawdę bogatego faceta. Zadbam o to, żebyś miał dostęp do wszystkich usług oferowanych przez Cromwell. Do handlowców, brokerów, ekonomistów, naszych wewnętrznych analiz i pomysłów. Jestem pewna, że będziesz ze mnie zadowolony.

Zaśmiał się gardłowo.

– Jestem pewny, że to będzie dobra robota. Tego się spodziewam. Tyle że, kochanie, ja wcale nie chcę, żebyś umawiała mnie na spotkania. Jeśli chcę porozmawiać z brokerem, to po prostu do niego dzwonię. I nie zamierzam przyjmować rad dotyczących sytuacji na giełdzie od kogoś w krótkiej spódniczce. Wątpię, że dlatego Chick cię zatrudnił. Istnieje milion inteligentnych fa-

cetów, którzy mogliby robić dokładnie to samo. Wiesz, dlaczego cię zatrudnił?

Wiedziałam, że gdybym kazała mu wyjść na ulicę i zagrać we Froggera z nadjeżdżającymi samochodami, miałabym Keitha na karku. Nie mogłam jednak pozwolić, żeby obrażał Chicka, zwłaszcza pod jego nieobecność.

– Wybrał mnie, bo jestem inteligentna i cholernie ciężko dla niego pracowałam.

– I jestem pewien, że gdy to robiłaś, wszyscy faceci z zespołu gapili się na twój tyłek.

Boże, mam już tego dość!

– Nie sądzę, żeby twojej żonie odpowiadało to, w jaki sposób ze mną rozmawiasz. Wiem, że troszkę już wypiliśmy, więc o tym zapomnę. Jednak powinniśmy zakończyć naszą rozmowę, bo możesz niechcący powiedzieć coś, czego potem będziesz żałował – stwierdziłam i uśmiechnęłam się dyplomatycznie.

– Doskonale wiem, co mówię. Starannie dobieram słowa.

– Posłuchaj, Rick. Nie wiem, w jaki sposób umawiałeś się z żoną, to nie moja sprawa. Porozmawiajmy jednak jak profesjonaliści. O twoim koncie. Przestańmy grać w te głupie gierki.

Chyba mogłabym prowadzić kursy przyciągania do siebie dysfunkcyjnych facetów.

– Daj spokój, Alex – powiedział ze złością. – Naprawdę nie wiesz, jak ten biznes działa?

– Wiem.

– Faceci lubią różnorodność. Ja lubię różnorodność. Nie chcę codziennie w nocy wracać do żony, zwłaszcza gdy miasto pełne jest takich dziewcząt jak ty. Nie wszystkie mają możliwość zarobienia na mnie. Przynajmniej nie w sposób legalny.

– Mogę zadać ci pytanie?

– Z przyjemnością go wysłucham – odpowiedział i uniósł brew.

– Tina jest cudowna. Wydaje się naprawdę miła. Dlaczego w ogóle zaprzątasz sobie mną myśli, kiedy masz kogoś takiego w domu? To ucieleśnienie marzeń większości facetów.

– Tina – mruknął i podrapał się po głowie. – Opowiem ci o Tinie, Alex. Wzięliśmy ślub, kiedy byliśmy młodzi. Zbyt młodzi. Zaszła w ciążę, więc po prostu wypadało to zrobić. Ale wtedy dopiero zaczynałem. Nie mieliśmy pieniędzy i nie wiedzieliśmy, co robimy. Nie spisaliśmy intercyzy małżeńskiej. Chyba nie sądzisz, że nie myślałem o rozwodzie? Owszem, myślałem o rozwodzie.

Przepraszam, skreśl to. Marzyłem o rozwodzie z nią i to przez ostatnie dziesięć lat. Problem w tym, że jej rodzina pochodzi z Atlanty. Zagroziła więc, że jeśli wniosę pozew o rozwód, następnego dnia będzie siedzieć w pociągu do Georgii z dziećmi i połową majątku. Połową mojego majątku. Czy wiesz, jak to jest być więźniem swojego małżeństwa i to tylko dlatego, że w młodości podjęło się głupią decyzję? Czy wiesz, jak to jest być więźniem własnego konta bankowego?

To dziwne, ale doskonale wiedziałam. W obu przypadkach nasze młodsze wersje podjęły decyzję o uwięzieniu. Oboje nosiliśmy złote kajdanki i mierzyliśmy się ze wszystkimi tego konsekwencjami. Pozwalaliśmy, żeby powab pieniędzy wziął górę nad nadziejami na szczęście. Oczywiście ja nie tkwiłam w nieszczęśliwym małżeństwie i w związku z tym nie chodziłam po Cromwell, pieprząc wszystko, co nie zdołało uciec.

Każdy ma swoje mechanizmy obronne.

W końcu podjęłam decyzję, choć nie miałam przekonania, czy jest dobra.

– Sądzę, że nie powinnam się tobą opiekować, Rick. Porozmawiam jutro z Keithem. Pewnie mnie zwolni, ale mam nadzieję, że po prostu przepisze do kogoś innego. Być może to największy błąd w moim życiu. Mówię o rezygnacji ze współpracy z AKS. Ale w tej chwili nie widzę innego rozwiązania.

– Oferuję ci możliwość zarobienia naprawdę sporych pieniędzy. Nie chcesz mieć mnie w zestawie, w porządku. Rozumiem. Ale na pewno nie oddasz mnie nikomu innemu i nawet nie wspomnisz o tym Keithowi. Chcesz bawić się z dużymi chłopcami, maluszku? Zatem potraktuję cię tak, jak tego chcesz. Pamiętaj, sama się o to prosiłaś. Ale kiedy jutro rano zadzwonię do Cromwell, to masz odebrać telefon. Grasz teraz w wysokiej lidze. Pamiętaj o tym.

– Dziękuję – powiedziałam, choć miałam świadomość, że wcale nie chciał mnie uspokoić.

– Jutro nie będziesz mi dziękować. Przekonamy się, jak poradzisz sobie bez wsparcia Chic-ka – dodał, po czym nagle wstał, ściągnął kurtkę ze stolika i wyszedł z baru.

Oparłam się o krzesło i przymknęłam oczy. Próbowaliśmy się przekonać, że wszystko będzie dobrze. Jednak wiedziałam, że wcale tak nie będzie. Jutro znów się z nim zmierzę. A potem następnego dnia, kolejnego i jeszcze kolejnego. Chick już mnie nie chronił...

Poczułam znajomy ciężar w klatce piersiowej.

Policzyłam od dziesięciu w dół, pozwalając, żeby ten słoń, który miażdżył mi żebra, wrócił do swojego cyrku albo do innego miejsca, do którego chodzą słonie, kiedy już mają dość miażdżenia mnie w kawiarni hotelu Tribeca Grand.

Następnego ranka telefon zadzwonił punktualnie o 7.02. Nie zdążyłam nawet zalogować się do systemu.

Zaczyna się!

– Dzień dobry – powiedziałam radosnym głosem.

– Do cholery, dlaczego zajęło ci to aż tyle czasu? – warknął mi prosto w ucho.

– Przepraszam?

– Masz odbierać już po pierwszym sygnale! Pieprzonym pierwszy sygnale! Nie interesuje mnie, z kim będziesz musiała się rozłączyć. Rozumiesz to?! – krzyczał tak głośno, że się wzdrygnęłam.

– Przepraszam. To już się nie powtórzy – stwierdziłam pokornie.

Z podręcznika obsługi klienta: wszystko jest moją winą, nawet jeśli nie jest.

– Chcę mieć wszystkie informacje dotyczące aktualnej sytuacji na giełdzie. Muszę wiedzieć, jak operacje zakupu warunkowego dla najnowszych obligacji zrównywały się dzień do dnia w ostatnim tygodniu. Potrzebuję też danych do strategii motyla dla obligacji trzy-, pięcio- i siedmioletnich, odniesionych do poziomu pięcioletniego zwrotu z inwestycji. Dane mają być za ostatnich dziesięć lat, a więc także z czasów, kiedy Fed jeszcze nie kombinował. Jeśli chodzi o papiery typu range accrual, to sprawdź te oparte na trzymiesięcznym LIBOR dla przedziału od zera do sześciu procent. Podeślij mi też listę kont, które były zaangażowane w tego typu transakcje.

Teraz? Przygotowanie tego zajmie mi pewnie ze dwie godziny. Co gorsza połowy poleceń nawet dobrze nie zrozumiałam. Na szczęście moi pozostali klienci na razie nie dzwonili.

– Biorę się za to...

Przerwał mi.

– Dziś mam spotkanie z zespołem. Ściągnij na nie waszego szefa działu gospodarczego, Boba Keatinga. A na obiad chcę steki z restauracji Palm. Zadzwoń do mojej asystentki, żeby się tym zajęła. Spotkanie jest w południe. Nie spieprz tego.

Klik.

Spojrzałam na zegarek. Była 7.15. Jakim cudem do 11.30 mam zebrać te wszystkie informacje?

Strach, jak się okazuje, doskonale motywuje. Napisałam notkę do gości zajmujących się zakupami warunkowymi, w której poprosiłam ich o wykresy najnowszych obligacji i ich średnie za ostatnie siedem dni handlowych. Kiedy Rick wspominał o ostatnim tygodniu, mógł mieć na myśli tydzień kalendarzowy (siedem dni) lub finansowy (pięć dni). Uznałam, że lepiej dostarczyć mu za dużo informacji niż za mało.

Zadanie numer jeden wykonane.

Potem pobiegłam do faceta z działu produktów strukturyzowanych. Patrzył w ekran, więc złapałam go za barki i zaczęłam je masować.

– Potrzebuję pomocy! – powiedziałam.

– Och, trochę bardziej po lewej – poprosił, nie odwracając się. – Co mogę dla ciebie zrobić?

– AKS chce ode mnie mnóstwo gówna – wyjaśniłam.

Słowo gówno najlepiej pasowało do tej masy informacji, których potrzebował Rick. Pokazałam koleśowi notes, w którym zapisałam słowo w słowo to, co powiedział. Miałam nadzieję, że rozumiał, o co chodzi.

– To całkiem spora analiza, Alex. Na kiedy to potrzebujesz? – zapytał.

– W ciągu trzech godzin – wyjaśniłam, spodziewając się, że każe mi spadać.

Odwrócił się na krześle.

– Trzech godzin? Pracuję tu nad bieżącymi zamówieniami. Nie wiem, czy uda mi się to zrobić w tak krótkim czasie!

– Spróbuj, proszę. On jest w koszmarnym humorze! Na dwunastą muszę pojawić się na spotkaniu w jego biurze w Midtown. Czy istnieje jakikolwiek sposób, żeby zrobić to na czas? Ja tu tonę! Mam nowego szefa, nowy klient mnie nienawidzi. Jeszcze tydzień i wyląduję w wariatkowie!

– Postaram się. Podał ci to, co uda mi się zebrać. Tak około 11. Może być?

– Dzięki. Jestem twoją dłużniczką.

– Żebyś wiedziała! – zawołał, kiedy biegłam już w stronę swojego biurka.

Zadzwoiłam do biura naszego szefa działu gospodarczego, wpadając na jego dzielną sekretarkę. Jakimś cudem okazało się, że w południe miał wolne. Kobieta zaoferowała nam samochód. Włączyłam nasz wewnętrzny system analityczny i zaczęłam wygrywać kolejne grafy i diagramy. Sięgnęłam po całą wiedzę, jaką wlał we mnie Chick, po czym przelałam ją na kilka dodatkowych wykresów, upewniając się po drodze, czy osie X i Y zostały właściwie oznaczone, a ich kolory łatwo jest odróżnić. Od bankowców nauczyłam się doceniać znaczenie doboru barw. Na koniec zapisałam plik, przerzuciłam go na wszelki wypadek do skrzynki pocztowej i spojrzałam na zegarek. 10.30.

Sprawdziłam pocztę.

Dostałam plik z działu zakupów warunkowych. Wgrałam go do mojego arkusza. Wciąż czekałam na informacje z działu produktów strukturyzowanych. Przeszedł o 11.02, w wiadomości o temacie „Wisisz mi”. Przerzuciłam dane do arkusza, po czym wysłałam całość do naszej drukarni z nagłówkiem „Dziesięć kopii. To sprawa życia i śmierci. Odbiorę za 20 minut”.

Zrobione.

Po drodze zatrzymałam się jeszcze u brokerów, żeby sprawdzić sytuację na giełdzie, po czym popędziłam do drukarni po jeszcze gorące materiały.

– Dokąd tak zasuwasz? – zapytał Drew, kiedy wróciłam po torbę.

– Do AKS. Rick chciał, żebym ściągnęła Boba na lunch...

Kiedy wypowiedziałam słowo na L, zamroziło mnie.

Lunch. Cholera.

Zapomniałam zamówić steki! Złapałam leżący na biurku przewodnik kulinarny Zagata, wklepałam w telefon numer knajpy, po czym wybiegłam z biura, ściskając pod pachą wydruki niczym futbolówkę. Wybrałam numer AKS.

Na szczęście sekretarka Ricka odebrała już po pierwszym sygnale. Wyciągnęłam z torby długopis i zapisałam na ręce zamówienie, które mi podyktowała.

W windzie straciłam zasięg, więc do Palm zadzwoiłam dopiero z lobby.

– Dzień dobry, chciałam złożyć zamówienie. Trochę się z nim spóźniłam. Wiem, że jest mało czasu, ale jeśli jedzenie się spóźni, to zginę marnie.

– Postaramy się – odpowiedział facet.

Zobaczyłam Boba, naszego Bardzo Ważnego Ekonomistę czekającego przy schodach ruchomych. Próbowaliśmy zamachać do niego, ale pod pachą miałam wydruki, a w dłoni telefon. Poza tym musiałam przecież odczytać zamówienie z tej pierwszej ręki. Zachwiałam się, ale zjechałam schodami na dół, kiwnęłam w stronę Boba, po czym popędziłam do biurka, przy którym odbierało się samochody. Rzuciłam wydruki oraz przewodnik Zagata na ladę i podyktowałam zamówienie koleśowi po drugiej stronie telefonu.

– Sześć małych stripsów, średnio upieczonych, dwa średnie stripsy, dwa zestawy frytek, tuzin butelek pellegrino, dwie sałatki cesarskie, jeden koktajl krewetkowy – wyjaśniłam szybko.

Gość od samochodów spojrzał na mnie pytająco.

– Numer zamówienia 9912 – wyjaśniłam.

– Jakie 9912? – zdziwił się facet z Palm.

– Nie, to nie do pana, przepraszam. Zanotował pan zamówienie?

– Wóz jest już na zewnątrz. Kierowca czeka na instrukcje – powiedział gość od samochodów.

Kiwnęłam głową i bezgłośnie mu podziękowałam, po czym złapałam wydruki i popędziłam

w stronę Boba. Wręczyłam mu wszystkie dokumenty, co wcale mu się nie spodobało, po czym wypchnęłam go przez obrotowe drzwi na zewnątrz.

– Numer karty kredytowej? – zapytał gość z Palm.

Trzymałam telefon między barkiem a uchem.

– Wóz 9912! – krzyknęłam do kolejnego gościa od samochodów, który stał przy krawężniku.

– Dobrze, 9912. Kolejne cztery cyfry?

– Co? Nie, to nie do pana. Proszę chwilę poczekać. To nie jest numer mojej karty – powiedziałam i wskoczyłam na tylne siedzenie samochodu.

Bob usiadł obok, dzielnie trzymając moje prezentacje. Nie ukrywał jednak, że praca tragarza nie należała do jego obowiązków służbowych.

Wyciągnęłam kartę American Express z portfela i odczytałam numer.

Kierowca odwrócił się i spojrzął na nas.

– Dokąd jedziemy?

– Na skrzyżowanie Pięćdziesiątej Ósmej i Szóstej.

– O co chodzi z tą Pięćdziesiątą Ósmą? – zapytał facet z Palm.

– Nie, nie. To również nie było do pana.

– Ja już chyba się pogubiłem. Czy moglibyśmy sprawdzić całe zamówienie?

Zasłoniłam ręką słuchawkę telefonu i powtórzyłam adres AKS kierowcy.

Potem wróciłam do zamawiania obiadu. Miałam świadomość, że jeśli jedzenie nie dotrze na czas, to ilość informacji, które ze sobą przywiozłam, nie będzie miała najmniejszego znaczenia. I tak będę trupem.

– Dobra, możemy sprawdzać – stwierdziłam, mówiąc do słuchawki.

Spojrzałam na swoją dłoń i wykreślałam w myślach kolejne dania, które odczytywał gość z Palm.

– W porządku – powiedziałam po chwili. – Potrzebuję tego za dwadzieścia pięć minut.

Proszę!

Zdaje się, że usłyszał przerażenie w moim głosie, bo ja usłyszałam w jego nutkę współczucia.

– Postaramy się, proszę pani. Naprawdę się postaramy.

Rozłączyłam się, ciężko oddychając. Bob przerzucił wydruki na moje kolana.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Tak. Bardzo, bardzo przepraszam. Mamy dziś niezły sajgon, a to spotkanie wyskoczyło w ostatniej chwili. Nie byłam na nie przygotowana. Ale teraz już jestem. Przynajmniej mam taką nadzieję.

– No dobra, ustalmy parę rzeczy, zanim tam dotrzemy. Rick to naprawdę ważny klient. Znam go od lat. Jednak zazwyczaj nie chodzę na spotkania tego typu. Nie tak działa Cromwell.

Zaśmiałam się w myślach: „Mogłabym ci sporo opowiedzieć o tym, jak działa Cromwell”.

W końcu dotarliśmy do biura AKS. W lobby dosłownie wpadłam na dwóch dostawców.

Trzymali przed sobą duże kartonowe pudełka i plastikowe torby. Czekali w recepcji.

– Chodźcie ze mną – powiedziałam i poprowadziłam ich na górę.

Ricka spotkaliśmy na korytarzu przed salą konferencyjną. Przywitał się ciepło z Bobem – zupełnie jakby mieli właśnie rozegrać partyjkę golfa – po czym spojrzął na mnie.

– Alex, jak tam? – zapytał i pocałował mnie w policzek. Pozwolił sobie przytrzymać przy nim usta trochę dłużej, niż to było konieczne. – Masz wszystko, czego chciałem?

– Jasne – stwierdziłam triumfalnie.

– Przekonamy się – powiedział niezbyt zadowolonym tonem. – Tędy proszę. Wszyscy czekają już w konferencyjnej.

Weszliśmy do dużego pomieszczenia z olbrzymim, mahoniowym stołem pośrodku, otoczonym przez miękkie, skórzane fotele. Jedną ze ścian zdominował olbrzymi, płaski telewizor. Postawiłam jedzenie na środku stołu, a wodę z boku, obok wiaderka z lodem i kryształowych szklanek. Rick i jego kumple rzucili się na żarcie, napełniając talerzyki aż po brzegi. Bob i ja usiedliśmy

u szczytu stołu, ograniczając się do szklanki wody. Nie przyszliśmy tu na lunch. Byliśmy w pracy.

Poprawiłam się na krześle i uważnie słuchałam, jak przeglądają zebrane przeze mnie informacje.

Bob opowiedział o załamaniu na rynkach finansowych. Niezle mnie przestraszył. Jeśli rzeczywiście miał rację, sytuacja wyglądała gorzej, niż sądziłam. Odpowiadał na pytania przez ponad godzinę, a ja notowałam, żeby móc później coś mądrego powiedzieć moim pozostałym klientom. Nie chciałam, żeby tylko Rick i jego pachołkowie wyciągnęli korzyść z tego spotkania. Miałam na prawdę dużo szczęścia, że mogłam posłuchać Boba, który – jako Bardzo Ważny Ekonomista – cieszył się w naszej firmie sporym zainteresowaniem, podobnie zresztą jak i poza nią. Kiedy spotkanie się skończyło, uścisnęliśmy dłonie handlowcom i strategom z AKS, a Rick odprowadził nas do windy. Spojrzałam na zegarek. Była 14.30. „Cholernie długi ten lunch”, pomyślałam.

– Dziękuję, Bob – powiedział Rick i uścisnął mu dłoń. – Cieszę się, że mieliśmy okazję zapoznać się z twoją opinią o obecnej sytuacji.

– Nie ma sprawy, Rick. Cieszę się, że mogliśmy się spotkać. Daj znać, gdybym znów mógł coś dla ciebie zrobić.

Kiedy wszedł do windy, odwróciłam się, żeby pożegnać mojego ciemniejszyca.

– Daj znać, jeśli będziesz miał jakiegokolwiek pytania dotyczące materiałów, które dla ciebie zebrałam. Dziękuję za spotkanie. Cieszę się, że było tak owocne.

– Owszem, było – powiedział i pochylił się w moją stronę. – Możesz być dumna z tego, że udało ci się ściągnąć Boba w tak krótkim czasie. Co musiałas mu obiecać, żeby się zgodził?

Wywróciłam oczami.

– Nic. Powiedziałam mu, że chodzi o ciebie. Ucieszył się, że będzie miał okazję spotkać się z AKS – odpowiedziałam.

W podlizywaniu się osiągnęłam prawdziwe mistrzostwo.

– Zawsze masz gotową odpowiedź, Alex. To naprawdę niesamowite.

– Potraktuję to jako komplement – stwierdziłam sarkastycznym tonem.

Rick spojrział na Bardzo Ważnego Ekonomistę wciąż stojącego w windzie.

– Zjedź na dół, Bob. Alex za chwilę cię dogodni. Chciałem przekazać jej jeszcze kilka uwag, zanim wrócicie do pracy – powiedział.

Potem zajrzał do wnętrza kabiny i nacisnął guzik zamykający drzwi. Wreszcie spojrział na mnie. Patrzyłam, jak mój wentyl bezpieczeństwa znika.

– No dobra, posłuchaj mnie teraz – stwierdził Rick z przyklejonym do twarzy fałszywym uśmiechem. – Jeśli chcesz, możesz sobie ułatwić to zadanie. Dobrze o tym wiesz. Ale jeśli nadal będziesz zachowywać się jak suka, to tak właśnie będę cię traktował. Na razie zajmujesz się mną jeden dzień. Zaledwie jeden dzień. Jak sądzisz, ile jeszcze wytrzymasz? Kiedy był tu Chick, musiałem udawać sympatycznego gościa, chociażby z szacunku do niego. Ale Chicka już nie ma. Rozpoczyna się zupełnie nowe rozdanie.

Zostawił mnie samą na korytarzu. Zastanawiałam się, w jaki sposób się w to wkręciłam.

Wróciliśmy do biura o 15. Resztę popołudnia straciłam, nadrabiając to, czego nie zrobiłam, będąc w Midtown. Kiedy wybiła 17.30 i wszyscy wyruszyli na swoją codzienną wędrowną do baru, postanowiłam, że do nich dołączę. Goniąc Drewa i Reese'a, pozwoliłam, żeby mój mózg wreszcie ogarnął, co się stało.

Chicka nie było. I nie będzie.

Co to oznaczało?

Nasz zespół zajął stoliki rozstawione na chodniku przed restauracją znajdującą się tuż obok siedziby firmy. Panował tu niecodzienny tłok, nietypowy nawet jak na ciepły, czerwcowy dzień. Picie po pracy powoli stawało się naszym nowym zwyczajem. Codziennym. Kiedy nikogo nie wywalono, piliśmy, żeby to uczcić. Kiedy kogoś z naszych przyjaciół wywalono, piliśmy na smutno. Dziś był wtorek, więc po prostu piliśmy. Przychodziliśmy tu każdego dnia, żeby zbić ciśnienie i po udawać, że wszystko będzie dobrze. Jednak ostatnio, niezależnie od tego, jak dużo piliśmy, piliśmy za mało.

Dziś tradycyjny dzban piwa oraz talerz burgerów stanął na środku stołu. Nikt nie ruszył go

palcem, co sporo mówiło o naszej kondycji psychicznej.

– Co za gówno! Dlaczego akurat Darth nam się trafił? – zapytał Drew.

– I co teraz będzie? – dodała Patty, po czym wepchnęła plasterk limonki do butelki corony.

– Ja na przykład mam przejebane – stwierdziłam. Tego dnia nie zamierzałam uważać na słownictwo. – Darth mnie nienawidzi. Nawet nie wiem dlaczego. Nie miałam dotąd nic z nim wspólnego, a mimo to mnie nienawidzi. Zwolni mnie, zobaczycie – dodałam i spojrzałam na Reese'a, Marchettiego, Drewa i Patty.

Żadne z nich nie miało pojęcia, o czym mówię.

– Odbija ci, Cukiereczku. Przesadzasz i tyle. Masz Ricka. Jesteś nietykalna – powiedział Reese.

– Jeśli to Rick ma mnie uratować, to tym bardziej leżę. On nie bez powodu chce, żebym się nim opiekowała. Zamierza zamienić moje życie w piekło. I na razie to mu się udaje.

– O czym ty właściwie mówisz? – zapytał Marchetti.

Nie miałam okazji opowiedzieć wszystkim o całej tej sytuacji. Drew siedział obok mnie, więc mniej więcej się orientował.

– Nie, ona ma rację. Facet jest toksyczny. Jest na nią napalony. Powiedział, że zleci jej masę transakcji, jeśli będą współpracować. Tak naprawdę jednak wykorzystuje swoją pozycję, żeby zaciągnąć ją do łóżka.

– Dzięki za wyjaśnienie, Drew.

– Nie ma sprawy, laseczko.

– No chyba żartujesz! – zawołała Patty. Nie wiedziałam, czy wkurzyła się moją sytuacją, czy też była zła, że jej o tym nie wspomniałam. – Dlaczego nie powiesz Darthowi, że nie chcesz się nim zajmować?

– Nie mogę tego powiedzieć. Jeśli odpuszczę AKS, to przyznam się, że nie daję sobie rady. Zamorduję swoją karierę. Mam nadzieję, że Rick znudzi się dręczeniem mnie i w pewnym momencie odpuści. Przecież nie może zawsze się tak zachowywać. Czy może?

Reese zastanawiał się przez chwilę. Marszczył brwi, wpatrując się w błękitne niebo.

– Owszem, może – stwierdził w końcu. – Gość jest siurkiem, zawsze był i zawsze będzie. Uwielbia, gdy ludzie błagają go o współpracę. Tak czy siak wypieprzy cię i przy tym będzie się dobrze bawił.

– Dzięki. Od razu poczułam się lepiej.

– Mówię ci jak jest, Dziewczynko. Przykro mi. Chciałbym, żeby tak nie było, ale to jeden z największych kutasów, jakich spotkałem w całej mojej karierze. A pracuję przecież od dawna.

Cholera.

– Reese, a zadzwoniłeś wczoraj do Chicka? – zapytałam.

– Tak. Oczywiście był wkurzony. Zdaje się, że dał się wciągnąć w jakieś polityczne gierki. W zarządzie toczy się walka o kontrolę nad poszczególnymi działami. Najwyraźniej Chick nie podlizywał się im tak mocno jak Darth. Uznano więc, że zostanie zwolniony, a Darth zajmie jego miejsce. Ot, kolejny zwykły dzień na Wall Street.

– A jak on się trzyma? – dociekałam.

Martwiłam się o Chicka, zwłaszcza w obecnej sytuacji gospodarczej. Żeby go zatrudnić, trzeba było mieć pieniądze. Dobrej roboty nie znajdzie tak łatwo.

– Da sobie radę. To łbski gość. Kiedy tylko tu się uspokoi, ktoś go łyknie i zarobi na tym. Kurde, mam nadzieję, że dostanie robotę w zarządzie i będzie mógł nas wyciągnąć z tego piekielka. Ta firma jest jak tonący statek!

Westchnęłam.

Miałam nadzieję, że Reese ma rację. Spojrzałam na twarze przyjaciół siedzących przy stoliku i wyчуłam, że myślą o tym samym.

W wiaderku pływały jeszcze zaledwie dwa piwa. To widok, którego na Wall Street nikt nie lubi. Reese zamówił kolejny tuzin browarów i obiecał za nie zapłacić. Marchetti zaoferował, że postawi następną kolejkę, jednak Reese zaprotestował.

Stwierdził, że w obecnej sytuacji jeszcze nie raz spotkamy się w knajpie i z pewnością nie

zabraknie mu okazji, żeby się zrewanżować. Teoretycznie miał rację. Piliśmy zdrowie Chicka, próbując zapomnieć o dławiącym nas strachu.

Dwa dni później, w czwartek, Darth wezwał do siebie Marchettiego, żeby przejrzeć listę jego klientów. Potem go zwolnił, więc facet stracił okazję do rewanżu. Biuro Dartha stało się metaforyczną komorą gazową. Każdego dnia baliśmy się, że zostaniemy do niej wezwani. Tej nocy znów spotkaliśmy się w knajpie i urznęliśmy się, żeby uczcić odejście Marchettiego. Chcieliśmy pozbyć się coraz mocniej dławiącego nas strachu i tego wszystkiego, co wiązało się z pracą w Cromwell.

– Wiecie, co jest w tym wszystkim najbardziej chore? – Patty związała włosy w koński ogon i sięgnęła po leżące na stoliku okulary przeciwsłoneczne.

– Mogę wymienić tylko jedną rzecz? – zapytałam.

– Baby Gap!

– Ach, no tak. Jak ona się właściwie nazywa? – zaciekawiał się Drew.

– Hannah.

– Nieważne! Kogo to obchodzi, jak się nazywa – wkurzyła się Patty. – Wy tłumaczcie mi, dlaczego ona wciąż tu pracuje, skoro nic nie robi całymi dniami? Ile Marchetti przyniósł w zeszłym roku firmie?

– Czterdzieści milionów. Tak mniej więcej – odpowiedział od razu Reese. – I wyjadł wszystko z maszyny z jedzeniem.

– Czterdzieści milionów dolarów. A mimo to został wylany. A ta naturalnych rozmiarów Barbie nadal u nas pracuje. Przecież ona nie ma najmniejszego pojęcia, czym się zajmujemy. Wiecie, o co mnie dziś zapytała?

– Czy recesja doprowadzi do obniżenia cen produktów kosmetycznych? – próbował zgadnąć Drew.

– Czy jej ciaśniętka koszulka nie jest przypadkowo zbyt luźna? – dodał Reese.

– Czy może wziąć wolne popołudnie, żeby zrobić sobie balejaż? – zasugerowałam.

– Otóż zapytała mnie, kiedy będzie mogła handlować akcjami. Akcjami! – oświadczyła Patty.

Zachnęłam się.

– Czy wyjaśniłaś jej, że akcje i obligacje to nie to samo? I że nie zajmujemy się tymi pierwszymi?

– Próbowałam, ale była zbyt zajęta kupowaniem w sieci słodkich, welurowych kostiumików.

– Nie mów nawet! – zawołał Drew. – Robiła zakupy, podczas gdy kogoś zwalniali?

– Tak. Dlatego właśnie jestem ciekawa, dlaczego wciąż tu pracuje.

– Przychodzi mi na myśl jedno słowo: morale – odpowiedział Reese. – Kiedy Dow Jones przebił jedenaście tysięcy, spadło aż na dno. Nie mogą jej więc zwolnić. Dzięki niej połowa firmy w ogóle przychodzi do pracy. A co można zrobić, żeby ludzie nie myśleli, że wszyscy jesteśmy bankrutami?

Drew pokiwał głową.

– Właśnie. Wiadomo, że sytuacja dopiero wtedy jest zła, gdy zwalniają seksowne laski.

XIX

Zemsta to stara dziwka

Nie pamiętam większości lipca. Spowiła go zasłona spleciona z alkoholu, kropli żołądkowych, pulsującego czerwonego światła, okrzyków, przeklinania i niedospania. A do tego zajęte weekendy. W połowie lata wszyscy funkcjonowaliśmy na włączonym autopilocie. Nasze ciała parły nieustannie do przodu, choć mózgi wskutek nadmiernej dawki stresu i szoku dawno już przestały poprawnie funkcjonować. Kiedy w 2006 roku złożyłam tu papiery, nie spodziewałam się, że dostanę miejsce w pierwszym rzędzie podczas widowiskowego upadku amerykańskiej gospodarki. Chociaż chyba nie powinnam być zaskoczona – tak naprawdę nie miałam pieprzonego pojęcia, czego po tej pracy się spodziewać.

Moi przyjaciele spoza sektora finansowego znów spędzali weekendy w The Hamptons i nie przejmowali się tym, że zbliża się kolejny Wielki Kryzys.

Desperacko pragnęłam dołączyć do nich, siedzieć na plaży i czytać powieści dla czystej rozrywki albo wyciągnąć się ze stertą błyszczących magazynów pod ręką, tych piszących o modzie, kosmetykach oraz ryzyku związanych z randkowaniem w sieci. Niestety w weekendy pracowałam zbyt ciężko, żeby spotkać się z nimi. W sumie to dość zabawne. Zgłosiłam się do działu sprzedaży między innymi dlatego, że chciałam mieć wolną sobotę i niedzielę. Liczyłam na to, że w normalnej sytuacji gospodarczej nie będę musiała dbać o klientów całą dobę, siedem dni w tygodniu. Moje logiczne myślenie zaliczyło jednak poważną awarię. Znowu.

Szczerze mówiąc, zaczynało mi to przeszkadzać.

Kiedy rozpoczynałam pracę w Cromwell, Chick powiedział mi, że jest milion innych dzieciaków marzących o pracy na Wall Street i niemających jej, więc mogę uważać się za szczęściarę. Teraz już za nią się nie uważałam. Wątpiłam też, żeby całe masy młodych Amerykanów ustawiały się w kolejce do posad w branży, która odpowiadała za zniszczenie słynnego amerykańskiego snu. Rick nie chciał ze mną handlować, choć dbał o to, żebym całymi dniami miała co robić. Przygotowywałam dla niego prognozy sprzedaży, rysowałam grafy i diagramy, wykopywałam historyczne dane o cenach ze wszystkich baz danych na świecie. Kiedy Chick opiekował się AKS, generował trzydzieści do trzydziestu dwóch milionów dolarów rocznie. Ja osiągałam wyniki znacznie, znacznie gorsze. No dobra, przyznam się, wynosiły zero. Moje ciśnienie dla odmiany sięgało sufitu. Nie czułam się z tym dobrze.

Zostałam wezwana do Dartha na „rozmowę o pracy” w pierwszy piątek sierpnia. Kiedy weszłam do pokoju, siedział na krześle Chicka, u szczytu stołu. Przeglądał zgromadzoną przed nim stertę papieru, spoglądając na nie przez wiszące na nosie okulary o szklach jak denka butelek po coli. Udawał, że czyta, więc siedziałam przed nim w krępującej ciszy, podziwiając rogi sterczące mu z czoła.

Albo coś w tym stylu.

W końcu przemówił.

– Jak się masz? – zapytał bez entuzjazmu.

„Fajnie, Darth. Nie licząc może tego, że zastąpiłeś mojego szefa, zwolniłeś mojego kumpla, a teraz przesłuchujesz mnie w sprawie funkcji, o którą kiedyś dosłownie się zabijałam”.

– Dobrze, dziękuję.

– Jak idzie ci z Rickiem Kieriakisem?

– Przypisałeś mi go kilka tygodni temu, zresztą na jego prośbę – wyjaśniłam.

Nic nie zaszkodzi przypomnieć szefowi, że jest się potrzebnym bardzo ważnym ludziom.

– Zgadza się – powiedział sceptycznym tonem. – Widzisz, zainteresowało mnie to, że odkąd zaczęłaś się nim opiekować, nie wykonał jeszcze żadnej operacji.

Racja, ale dręczy mnie dość regularnie. Czy to daje mi jakieś dodatkowe punkty?

– Rynek jest dość trudny. Jestem pewna, że gdy sprawy się uspokoją, znów zaczniemy

działać.

– To fajnie i miło, ale problem polega na tym, że on działa już teraz. Mój kumpel zajmuje się nim w innym biurze maklerskim. Wyjaśnij mi, dlaczego warunki panujące na rynku stanowią dla ciebie przeszkodę, a jednocześnie nie przeszkadzają mu współpracować z innymi handlowcami?

Jakimś cudem uznałam, że nie powinnam informować Dartha o szczegółach dotyczących przejęcia przeze mnie tego klienta. Gość nie uwierzyłby w to, co bym powiedziała. Uznałby to za żalną próbę wyjaśnienia swojej niekompetencji przez pracownika płci żeńskiej. Najwyraźniej zostały mi jeszcze jakieś okruszki dumy. Przynajmniej teraz, w sali konferencyjnej.

– Nie potrafię odpowiedzieć.

– No cóż, to mamy problem. Zadzwoń teraz do Ricka, żeby wysłuchać jego przemyśleń związanych z waszą współpracą. Chciałem wiedzieć, czy zapewniasz mu ten poziom usług, którego oczekiwał.

Z całą pewnością Rick nie otrzymał tego poziomu „usług”, którego oczekiwał. Ale jeśli właśnie tego oczekiwał, to spokojnie mógł to znaleźć w wielu dziewczynach pracujących na Times Square, które czułyby się zobowiązane w zamian za banknot dwudziestodolarowy lub opłaconą kartę miejską.

Darth otworzył teczkę wykonaną z włókna bananowca i coś sprawdził.

– Rick powiedział, że uwzględniając twój brak doświadczenia, radzisz sobie całkiem nieźle, ale nie jest zadowolony z zainteresowania, jakie nim wykazujesz.

Cholera.

– No cóż, rozmawiam z nim co najmniej dziesięć razy dziennie.

Darth zamknął teczkę i zaczął mówić niezwykle powoli, zupełnie jakby normalne tempo mówienia miało mnie przerosnąć.

– Nie interesuje mnie, jak często do niego dzwonisz. Interesuje mnie jedynie to, że nie jest zadowolony. Jest ciężko, Alex. Jeśli nie jesteś w stanie zadowolić klienta, to nie widzę powodu, żebyś tu pracowała. Jak mam obronić twoją obecność w tej firmie, skoro twoi klienci – ważni klienci – są niezadowoleni z pracy, którą wykonujesz?

Mówiąc to, klasnął i splótł tuż nad stołem swoje blade, piegowate palce. Z knykci wyrastały mu kępki czerwonych włosów, widoczne pod skórą rąk żyły układały się w misterną, błękitną mapę drogową. Pomyślałam, że w dzieciństwie musiał mieć przechlapane. Zapewne wprowadzał właśnie w życie plan rodem z *Zemsty frajerów*. Fantastycznie!

– Oczekuję, że wkrótce dokonasz postępu we współpracy z AKS – powiedział. – Nie interesuje mnie, jak to zrobisz. On jest zbyt ważnym klientem, żeby handlować z kimś innym – dodał beznamiętnym głosem.

W odróżnieniu od Chicka, który we wszystko wkładał pasję i emocje, ten gość był po prostu robotem.

– Okej.

– Idź już – stwierdził i wskazał mi drzwi.

Wróciłam do biurka i dopiero po paru minutach sięgnęłam po telefon.

Założyłam słuchawki, przygotowałam pas startowy numer dziewięć na lądowanie, po czym wkroczyłam w siódmy krąg piekielny.

– Czego, kurwa, chcesz? – zapytał.

Mięsień w mojej łydce zaczął drżeć.

– Cześć, Rick. Właśnie wróciłam ze spotkania z Keithem. Chciałam z tobą porozmawiać.

Czy poświęcisz mi parę minut?

– Sześćdziesiąt sekund. Mów.

– Keith wspominał, że nie jesteś zadowolony ze współpracy ze mną.

– Chyba nie jesteś tym zaskoczona.

– Nie wiem, co jeszcze mogę dla ciebie zrobić, Rick. Staram się z całych sił i dostarczam ci wszystkiego, czego potrzebujesz. Jeśli nie jesteś zadowolony z przyczyn osobistych, poproś Keitha, żeby przypisał ci kogoś innego. Obawiam się, że przez to wszystko niedługo stracę pracę. Proszę.

– Nie stracisz pracy.

– Nie? Pomożesz mi?

– Nie ma mowy. Ale nie pozwolę Keithowi ciebie zwolnić. Wtedy znikniesz i nie będę miał się z kim bawić. Istnieje tylko jeden sposób, żeby się mnie pozbyć, Alex. Zwolnij się. Podejrzewam jednak, że obecnie łatwiej ci będzie wpaść pod autobus, niż dostać pracę na Wall Street. A to oznacza, że masz związane ręce. Zgadłem?

Klik. Upuściłam słuchawki na podłogę i poszłam do pustej łazienki na szóstym piętrze. Przez kolejnych dziesięć minut płakałam w sposób niekontrolowany.

Sobotę spędziłam w domu. Wysprzątałam całe mieszkanie, a potem obejrzałam telewizyjny maraton z serialem *Prawo i porządek*. Miałam dość bycia ochrzanianą. Marzyłam o świętym spokoju. W niedzielę sięgnęłam po dwie butelki czerwonego wina, które miały wyleczyć moją depresję kosztem figury. Zastanawiałam się nad zakupem paczki papierosów, ale niedawno dowiedziałam się, że jeden mach niszczy efekty godzinnej sesji jogi. Chciałam rzucić palenie, więc opuściłam sobie sklep. Niedziela była do bani. Słońce powoli zachodziło i do mieszkania wdierały się cienie. Nalałam wino do szklanki i położyłam się na sofie. Nie mogłam znieść tego, że praca zmusza mnie do picia. Ostatnio wielu rzeczy nie mogłam znieść.

Zadzwoił mój telefon.

SMS od Kieriakis, Rick:

Wcale tak nie musi być. Mogę ci ułatwić życie. Zastanów się nad tym.

Jezu Chryste, nawet Bóg odpoczywał w niedzielę!

Obracałam telefon w dłoniach, zastanawiając się, czy powinnam mu odpowiedzieć, a jeśli tak, to co powinnam napisać. To z pewnością nie była ta praca, o którą tak bardzo walczyłam. Ta praca zamieniała mnie w kogoś, kogo nawet nie rozpoznawałam. Otarłam łzę kręcącą się w oku, po czym zakopałam się w kocu z kolejnym kieliszkiem wina. To był jedyny mechanizm obronny, jaki mi pozostał.

Kiedy wyszłam z windy, wciąż miałam chaos w głowie. Chłopaki rozmawiali o farwaterze i meczach lacrosse'a. Ja starałam się po cichu dodać sobie otuchy. Już po raz drugi tego dnia, licząc od przebudzenia. „Dasz radę, Alex. Wytrzymasz. Nie pozwolisz mu się złamać”, pocieszałam się.

Zalogowałam się do systemu swoim nowym hasłem „zabijmnie”. Jedno słowo.

– Czy wyglądam tak źle, jak mi się wydaje? – zapytałam Drewa.

Westchnął.

– Obawiam się, że tak, przyjaciółko. Wyglądasz... No cóż, wyglądasz, jakbyś wciąż była pijana, jeśli mam być szczery.

Tego się właśnie obawiałam.

Zadzwoił telefon. Gdyby firma nie płaciła mi za jego odbieranie, to pewnie bym go nie odebrała. Zwłaszcza że wiedziałam, że ktokolwiek do mnie dzwoni, z pewnością mi dowali. Wszyscy tak robili.

– Dzień dobry, Cromwell Pierce.

– Z Alex Garrett poproszę.

Próbowałam zebrać dość śliny, żeby móc się odezwać, ale w ustach zrobiło mi się nagle tak sucho, jakby kot zdechł mi na języku. Z tej rozmowy z pewnością nie mogło wyjść nic dobrego.

– Przy telefonie. Dzień dobry, Keith.

– Czy możesz wpaść do mnie do biura?

To nie jest twoje biuro. To biuro Chicka, ty dupku!

Rozłączyłam się i spojrzałam na Drewa.

– Zostałam wezwana do pieczary Dartha – westchnęłam.

– Jestem pewny, że wszystko będzie dobrze – stwierdził.

– I tu się mylisz, Drew – jęknęłam, czując, jak stres ciąży mi niczym mokry wełniany płaszcz. – Nie jest dobrze od bardzo dawna.

Powoli przedarłam się przez hordy rozwrzeszczanych handlowców i brokerów. Przypomniałam sobie pierwszy dzień pracy, kiedy to zobaczyłam jedną z najpotężniejszych firm na Wall

Street od środka. Byłam oszołomiona i rozczarowana jednocześnie. Od tej pory wiele spraw w Cromwell okazało się sprzecznych z moimi wyobrażeniami.

Zapukałam cichutko w drzwi i weszłam do biura Keitha po raz drugi w ciągu trzech dni.

– Usiądź, Alex.

Przeszywające błękitne oczy Dartha i jego piegowata skóra przypomniła mi dzieciaka, który – kiedy byłam mała – mieszkał na sąsiedniej ulicy. Jąkał się i nieustannie cierpiał z powodu alergii. Dręczyliśmy go z przyjaciółmi, gdy tylko nadarzała się okazja. Mama powtarzała, że bym traktowała innych tak, jak chciałabym, żeby oni traktowali mnie. Mówiła, że los się kiedyś nam zrewanżuje.

Cóż, zemsta to stara dziwka.

– Alex, to spotkanie ma dwie przyczyny. Po pierwsze chcę porozmawiać z tobą o dorocznej konferencji Stowarzyszenia Rynku Obligacji w Scottsdale. Podejrzewam, że znasz temat.

– Jasne, Chick tam jeździł. To impreza trwająca przez okrągły tydzień. Przedstawiciele różnych biur maklerskich wygłaszają na niej swoje prezentacje. Podobno to świetne miejsce do nawiązywania kontaktów.

– Tak. Ja nie mogę tam w tym roku pojechać, bo mam sprawy do załatwienia w Londynie. Cromwell musi mieć jednak swojego przedstawiciela, zwłaszcza że będzie tam wielu naszych klientów. Chciałem wysłać Reese'a, ale rano zadzwonił do mnie Rick i poprosił, żebym zdecydował się na ciebie.

– Mnie?

– Tak.

– W Scottsdale? Z Rickiem? Przez okrągły tydzień?

No chyba, kurwa, żartujesz!

– Wyglądasz na równie zaskoczoną, co ja w chwili, gdy to usłyszałem. Cóż, na pewno nie jest naszą standardową praktyką wysyłanie tam ludzi poniżej stanowiska menedżera. Jednak nigdy wcześniej przynoszący wysokie zyski klient nie prosił nas o przysłanie handlowca. Rick dostaje u nas to, czego chce. Więc pakuj się.

Poczułam, jak unosi mi się klatka piersiowa. Próbowałam zaczerpnąć powietrza. Nie ma mowy, żebym pojechała na tę konferencję. Jestem w stanie wyobrazić sobie to, co by się działo. Pięć dni, w trakcie których Rick ścigałby mnie od kaktusa aż po kanion niczym Wiluś E. Kojot Strusia Pędziwiatra. Musielibyśmy nocować w tym samym hotelu. Spędzać ze sobą dwanaście godzin dziennie. Nosić szorty i skąpe topy, bo to przecież pustynia. Nie ma mowy!

– Keith, sądzę, że lepiej będzie, gdyby pojechał Reese.

– Rick chce ciebie.

To nie była dziwaczna noc w restauracji w Midtown ani drinki w hotelowym barze. To była wycieczka biznesowa, którą Rick bez wątplenia chciał zamienić w romantyczną ucieczkę. Nie miałam wyboru.

– Nie chciałam o tym wspominać, Keith... ale kiedy Rick mówi, że mnie chce, to ma na myśli... no... dosłowne znaczenie tego słowa.

Darth się roześmiał.

– Oszalałaś, Alex?

– Nie.

– Rick jest żonaty. Jest bogaty, ma liczne kontakty, wszyscy na Wall Street doskonale go znają. Naprawdę chcesz powiedzieć, że się tobą zainteresował? Bez urazy, Alex. Gdyby chciał zdradzić żonę, bez trudu znalazłby sobie kogoś lepszego.

– Nie uraziłeś mnie. – „Ty kolosalny draniu”. – Uważam jednak, że w ciągu ostatniego roku nieraz wykazywał niezdrowe zainteresowanie mną. Nie zaprzętałabym ci tym głowy, ale nie zamierzam pojechać z nim do Arizony.

– Jestem pewny, że doszło do nieporozumienia. A może opiszesz mi kilka takich sytuacji i zastanowimy się, czy twoje uwagi rzeczywiście mają sens.

– Kiedy tylko dostałam awans, przysłał mi do domu kwiaty.

– Przyjaźni się z Chickiem. Chciał być miły dla jego nowego analityka. Powinnaś napisać

mu liścik z podziękowaniami, a nie wykorzystywać ten fakt przeciwko niemu.

– Bez przerwy przysyła mi SMS-y. Wciąż prosi mnie o spotkanie po pracy. Na drinka.

– Jesteś handlowcem, Alex. Twoja praca polega na spotykaniu się na drinkach z klientami i to nawet kilka razy tygodniowo. Czy pozostali klienci też na ciebie lecą? A może tylko Rick?

– Kiedy spotykam się z innymi klientami, nie wspominają, że ich żona wyjechała.

– To część normalnej rozmowy. Obawiam się, że jesteś przewrażliwiona. Moja żona wyjeżdża w przyszły weekend do swoich rodziców do Palm Beach. Proszę bardzo. Tak między nami to wcale nie była żadna aluzja.

– To bez sensu.

Wiedziałam, że nie powinnam okazywać mu braku szacunku. Jednak przestałam się tym przejmować w dniu, w którym Chick oddał swoją wejściówkę. Pieprzyć tego klauna!

– Tak, masz rację. Wylatujesz w poniedziałek. Na tym kończymy ten temat. To fantastyczna okazja, a ty się ciskasz. Spodziewałem się, że podziękujesz i oszczędzisz mi tego uzalania się nad sobą.

– Wcale się nie uzalam. Po prostu jadąc z nim do Arizony, będę czuła się niekomfortowo. Jesteś moim szefem i dlatego nie rozumiem, dlaczego stawiasz mnie w tak niezręcznej sytuacji – stwierdziłam.

To był rzut na taśmę, ostatnia próba zwrócenia się do potężnej, życzliwej i wszechwładnej persony.

– Jedziesz.

I to by było na tyle.

– A teraz przejdźmy do drugiej przyczyny naszego spotkania.

– Cudownie.

– Dowiedziałem się o czymś naprawdę kuriozalnym i chciałbym, żebyś mi wyjaśniła tę sytuację.

– Jasne.

– Zadzwoił do mnie dziś rano człowiek z działu personalnego. Po raz pierwszy w historii programu rekrutacyjnego naszej firmy przeznaczylismy dla studentów z UVA aż trzy miejsca. To twoja alma mater, prawda?

– Tak.

– Co jeszcze bardziej niezwykle wszystkie trzy oferty zostały odrzucone. To nie wydarzyło się nigdy wcześniej i nas zaniepokoiło. Wiesz przecież, że rekrutacje są niezwykle istotną częścią procesu inwestowania w przyszły rozwój firmy i traktujemy je bardzo poważnie.

– Wiem. Byłam na prezentacji.

– Jestem tego świadomy. A wiesz, skąd o tym wiem?

Wzruszyłam ramionami. Podejrzewam, że po prostu szatan ma nieograniczone moce, ale wątpię, żeby właśnie takiej odpowiedzi oczekiwał. Nasze oczy spotkały się, wytrzymałam jego surowe spojrzenie. Nauczyłam się tu paru rzeczy i choć nienawidziłam Dartha, nie bałam się go tak jak kiedyś Chicka. No dawaj, ty napuszony draniu.

– Kazałem pracownikowi z HR-u skontaktować się z tymi dziećmi i dowiedzieć się, dlaczego postanowili pójść do konkurencji, zamiast podjąć pracę u nas. Byliśmy zaskoczeni ich odpowiedziami.

– To co było tego przyczyną? – zapytałam, symulując zainteresowanie.

Wciąż myślałam o tym, jak uniknąć wyjazdu do Arizony. Być może powinnam spaść ze schodów i mieć nogę w gipsie.

– Ty.

– Ja?

– Ty.

Nagle przypomniałam sobie.

Cholera!

– Wygląda na to, że byli pod wrażeniem twoich „uczciwych” odpowiedzi na ich pytania. Oczywiście zainteresowaliśmy się tym, co od ciebie usłyszeli.

Cholera!

– Czy powiedziałaś im, że Wall Street wcale nie wygląda tak jak na filmach?

– Tak.

– Czy powiedziałaś im, że kobietom nie jest tu lekko?

– Tak.

– Czy powiedziałaś im, że atmosfera bywa ciężka, a ciśnienie spore, i że pieniądze nie są wystarczającym powodem, żeby podjąć tu pracę?

– Tak.

– O czym ty, do diabła, myślałaś? Pojechałaś tam w roli ambasadorki naszej firmy! Miałaś sprzedać Cromwell tym dzieciakom! Jesteś w dziale sprzedaży, więc niezależnie od tego, czy zajmujesz się obligacjami niewartymi papieru, na którym je wydrukowano, czy też wizerunkiem firmy, powinnaś umieć go SPRZEDAĆ. Za to ci płacimy!

Trzeba kochać ten biznes.

– Keith, oni zadawali pytania, a ja uczciwie na nie odpowiadałam. Jeśli nie zdobywamy młodych talentów, mówiąc im prawdę o życiu na Wall Street, a także o naszej firmie, najwyraźniej nie są to odpowiedni ludzie.

– Analizowanie, czy są to odpowiedni ludzie, nie należy do twoich obowiązków. Twoim obowiązkiem jest sprzedać im swoją wizję życia w naszej firmie. I nie powinnaś w tej kwestii spierać się ze mną. Nie wiem, co się z tobą stało, Alex. Mam wrażenie, że już ci na niczym nie zależy.

– Co masz na myśli, mówiąc, że coś się ze mną stało?

– Sądzę, że kiedyś byłaś naprawdę inteligentna. Fakt, zatrudnił cię Ed Ciccone, który nie bez powodu już tutaj nie pracuje, ale to inna historia. Początkowo obserwowanie cię było całkiem zabawnym doświadczeniem. Patrzenie, jak integrujesz się z grupą. Muszę przyznać, że sobie poradziłaś. Naprawdę ciężko pracowałaś. Nie podważałaś decyzji przełożonych. Co się stało z tamtą dziewczyną? Stałaś się osobą, która nagle zapomniała, że sprzedaż nie polega na mówieniu prawdy. Nie mam pojęcia, kiedy zdecydowałaś, że nie chcesz dłużej się w to bawić. Problem w tym, że obecnie powinnaś się bawić nawet intensywniej. Jeśli nie zauważyłaś, media zamieniły Wall Street w pariasów. Morale niewiarygodnie spadło, codziennie wykrwawiamy się kasą. Sytuacja jest fatalna nawet zdaniem gości, którzy pracują w tej branży już od dwudziestu lat i przeszli przez każde gównno, jakie tylko można było sobie wyobrazić. Ty utrudniasz nam wszystko. Nagle postanowiłaś skorzystać z pierwszej poprawki do konstytucji i szczerze opowiedzieć o tym wszystkim bandzie pieprzonych dzieciaków, którzy mogli – powinni! – uwierzyć, że nasza firma to prawdziwa Kraina Cukierków. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Siedziałam bez ruchu. Nie potrafiłam się bronić, zwłaszcza że teoretycznie miał rację. Problem w tym, że nie czułam tego. Wiele straciłam, żeby żyć jak teraz, z części świadomie zrezygnowałam. Ale istniały pewne rzeczy, z których nigdy bym nie zrezygnowała. Na pewno nie dla Dartha, Willa, Ricka czy nawet dla Wall Street. Nie zamierzałam zrezygnować z siebie. Pieprzyć tych, którzy tego oczekiwali.

– Czy masz coś na swoją obronę? – zapytał zadowolony, po czym ułożył swój błękitny krawat na białej koszuli.

– Nic – odpowiedziałam nonszalancko.

– Nic?

– Nic.

Westchnął.

– Wyczerpałaś już moją cierpliwość, Alex. Zrzucę to na twój PMS. Weź się w garść i to szybko. Zachowujesz się tak, jakbyś nie chciała tu już pracować.

Po raz pierwszy zgodziłam się z Darthem.

Kiedy wyszłam z biura, uśmiechnęłam się szeroko i ruszyłam w stronę wind. Zastanawiałam się, kiedy się zorientują, że zostawiłam swoją wejściówkę na biurku.

XX Capiche?

Kiedy po południu dotarłam do knajpy przy Warren Street, Patty, Annie i Liv czekały już na mnie przy niewielkim stolyczku na piętrze, tuż obok baru. Po wynurzeniu się z biura Dartha poszłam prosto do działu personalnego i zostawiłam tam swoje wypowiedzenie. Potem wyszłam z budynku Cromwell Pierce. Nie patrzyłam za siebie. Nie zdołałabym. Drżałam tak mocno, że moje nogi potrafiły jedynie iść naprzód.

Wróciłam do domu i zrzuciłam szpilki. Wykonałam kilka telefonów. Popłakałam się jak pięciolatka. Potem wypaliłam paczkę papierosów. Wreszcie uznałam, że potrzebuję drinka. Albo nawet dziesięciu. Przyszłam tu, żeby spotkać się z przyjaciółmi.

Klapnęłam na puste krzesło, a Annie napełniła mój kieliszek wina. Patty wręczyła mi pudełko wypełnione rzeczami osobistymi, które znalazła na moim firmowym biurku.

Były tu klapki, zapasowe buty, okulary, naszyjnik z koralikami Mardi Gras, które Marchetti kupił mi wkrótce po tym, jak rozpoczęłam pracę, fiolka advilu, wypchana świnka, która piszczała, kiedy ją się ścisnęło (podrzuciona przez anonimowego wielbiciela), wreszcie pamiątkowy magnes, który Chick przywiózł mi z Bermudów. Być może zrezygnowałam z akcji Cromwell, tych obwarowanych zastrzeżeniami, ale nie chciałam stracić paru drobniaków. Drobnych podarków-żartów подарowanych mi przez przyjaciół. Dla mnie były one warte znacznie więcej od akcji. Zwłaszcza w obecnej sytuacji rynkowej.

– A więc odeszłaś? Obudziłaś się dziś rano, przyszłaś jak co dzień do biura i nagle postanowiłaś, że rezygnujesz? – zapytała wciąż oniemiała Liv.

– To nie było takie proste, ale w przybliżeniu... tak.

– Nie wierzę, że tak po prostu wyszłaś! – mówiąc to, Patty machała rękami, co nie byłoby dziwne, gdyby nie miała na sobie stroju biznesowego. Obawiam się, że ludzie uznali ją za jakąś wariatkę. – Jestem na ciebie tak wkurzona, że nie wiem, co mam powiedzieć!

– Ty jesteś na mnie wkurzona? Patty, to ja tu siedzę z kartonowym pudełkiem na kolanach i ja nie mam pracy. Powinnaś mi raczej współczuć. Poza tym straciłam właśnie ubezpieczenie zdrowotne oraz jakieś pięćdziesiąt tysięcy dolarów w akcjach. Sądzisz, że wściekanie się na mnie jest właściwe?

– A pomyślałaś o mnie? Jak mam sobie bez ciebie poradzić z Darthem? Z całą pewnością to najgorszy dzień również i w moim życiu! Od tej pory będę sama jadła obiady albo nawet gorzej... z Baby Gap! Zastanawiałaś się w ogóle nad tym?

– Racja. Nie chciałam być na twoim miejscu.

– No właśnie, ty samolubna dziwko!

– Przepraszam, Patty. Co Darth powiedział, kiedy wyszedł z biura?

– Nic. Nie wiedziałabym, że coś się stało, gdybyś nie zadzwoniła i nie kazała mi zebrać twoich gratów!

– Typowe. Kiedy odchodzisz, znikasz, tak jakby w ogóle nigdy cię nie było.

– To nieprawda. Biedny Drew jest przerażony. Boi się, że posadzą obok niego kogoś naprawdę koszmarnego. Reese z kolei zamówił na twoją cześć kanapki z wieprzowiną. Powinnaś do nich zadzwonić. Byli zawiedzeni, że się z nimi nie pożegnałaś.

– Ktoś jeszcze? – zapytałam, choć dziwiłam się, że mnie to obchodzi.

Chciałam jednak wiedzieć.

– Nic nie powiedział, ale zdaje się, że się zdenerwował. Spojrzałam na niego, kiedy wychodziłam. Wyglądał, jakby ktoś dał mu w łeb. Chyba boi się, że już nigdy cię nie zobaczy.

– I nie zobaczy.

Dupek.

– Czym będziesz się teraz zajmować? – zapytała Patty.

– Nie wiem. Naprawdę nie mam pojęcia, co teraz zrobię. To dla mnie nowość. Podejrzewam, że za kilka minut zacznę panikować – wyjaśniłam.

Powoli uświadamiałam sobie, co się stało. RZUCIŁAM TĘ CHOLERNĄ ROBOTĘ!

– Jestem z ciebie dumna – powiedziała Liv, przechylając głowę na bok, jakby rozmawiała z trzylatką. – Sporo dla niej poświęciłaś, a zyskałaś jedynie kasę i kilkoro dobrych przyjaciół. To zbyt mało.

– Wiem, ale mamy kryzys. Nie będzie mi łatwo znaleźć nową pracę.

Annie złapała mnie za rękę.

– Myślę, że to najlepsza rzecz, jaką mogłaś dla siebie zrobić. Postąpiłaś właściwie. Szklanka może jest teraz w połowie pełna, ale na pewno nie jest w połowie pusta.

– A mówiąc o w połowie pustych... czy ktoś mógłby nalać mi pinot? – zapytałam i popchnęłam kieliszek w stronę butelki wina.

Zabębniłam palcami w stół.

– Jasne – zgłosiła się Liv.

Annie nie przestawała nawijać.

– Mówię poważnie. Jestem zaskoczona, że tak długo tam wytrzymałaś. Teraz możesz spróbować czegoś nowego. Recesja zmusza ludzi do spojrzenia na swoje życie i dokonania niezbędnych zmian. Potraktuj to jako szansę.

Włączyłam telefon, żeby się przekonać, czy ktoś do mnie napisał. Drew i Reese. Ledwo opuściłam Cromwell, a już za nimi tęskniłam. Przyjaciele to jedyne, czego żałowałam, odchodząc z pracy. No dobra, ich i akcji.

– No cóż, trzeba iść dalej. Chciałabym się obudzić jutro bez kaca – powiedziałam i podniosłam się z krzesła.

– Mogłybyśmy wypić jeszcze butelkę? – zapytała Liv.

Patty wpatrywała się posepnie w pudełko stojące na podłodze.

– Nie. Ja muszę już iść.

– Dokąd? Masz jakieś plany?

– W pewnym sensie. Pamiętacie tego barmana, którego spotkałam w Tortilla Flats?

– Tak? – zapytała z nadzieją w głosie Liv.

– Rozpoczął niedawno pracę we włoskiej knajpce na Carmine Street. Dzwoniłam do niego. Powiedział, że jeśli chcę, to mogę dziś wpaść i się rozejrzeć. Zgodziłam się.

– Spójrz tylko na siebie. Jesteś zupełnie inną, nową kobietą! Właśnie wymieniasz lalusiowatego Willa na wytatuowanego barmana!

– Och, powoli! Na razie wymieniałam jedynie firmowy identyfikator na legitymację osoby bezrobotnej!

– Nie mogę uwierzyć, że jutro się nie zobaczymy – westchnęła Patty, gdy uścisnęłyśmy się na pożegnanie.

Z trudem powstrzymałam łzy. Ale ze mnie beksa!

– Poradzisz sobie, Patty. Nie pozwól, żeby myślał inaczej. I powiedz wszystkim, że tęsknię.

– Z wzajemnością – odpowiedziała i pomachała mi smutno.

Poprosiłam kierowcę taksówki, żeby przewiózł mnie po wietrznych ulicach West Village. Powietrze było dość rześkie jak na sierpień, ale mimo to postanowiłam przejść kilka przecznic, ciesząc się dopiero odzyskaną wolnością.

Nagle zadzwonił telefon. Na ekranie zobaczyłam numer, który kiedyś wywoływał u mnie przerażenie. Teraz uśmiechnęłam się.

– Cześć, szefie!

– To prawda?

– Jakim cudem tak szybko się dowiedziałeś?

– Alex, może nie jestem już twoim szefem, ale wciąż doskonale wiem, co się dzieje w firmie.

– No jasne. – Zaśmiałam się.

Przyjemnie rozmawiało się z Chickiem, kiedy nie krępowała nas więź pracodawca-

podwładna.

– Naprawdę powiedziałaś Darth Vaderowi, żeby się pieprzył?

– Nie. Naprawdę ludzie tak sądzą? Po prostu wyszłam z biura. Nie było żadnego dramatu.

Wszystko dokładnie przemyślałam.

– Masz jaja, Alex. Jestem z ciebie dumny.

– Za to, że rzuciłam robotę?

– Nie, nie za to. Rozmawiałem z Willem. Opowiedział mi o całej tej sytuacji z Rickiem.

O tym, do czego ten gość próbował cię zmusić. Jestem naprawdę wkurzony, że nie wspomniałaś mi ani słowem.

– Naprawdę nie wiedziałaś, że on mnie tak męczy?

Usłyszałam, że westchnął.

– Wiedziałem, że z tobą pogrywa, bo taki już jest. On wszystkich traktuje podobnie.

Sądziłem jednak, że mam cię na oku. Podejrzewam, że kiedy na giełdzie zrobiło się niewesoło, przestałem kontrolować sytuację. Bardzo cię za to przepraszam. Nie sądziłem, że to zaszło tak daleko. Powinnaś była mi powiedzieć, kiedy przekroczył granicę.

– Chciałam, ale podejrzewałam, że to ty dałeś mu mój numer.

– Powinnaś mnie lepiej znać, Alex. Naprawdę sądziłem, że dbam o ciebie.

– I dbałeś. Byłeś dobrym szefem. Warto było cię znać.

– Miło mi to słyszeć. A to z kolei przypomina mi o drugiej sprawie, z którą dzwonię. Do-
stałem ofertę poprowadzenia nowego zespołu. Nie mogę ci powiedzieć, od kogo, bo wciąż nego-
cjuję kontrakt. Co byś jednak powiedziała, gdybym znów chciał z tobą współpracować? Tym razem
zadbam o to, żeby czekało na ciebie wolne biurko.

– Czyżbyś oferował mi pracę? Tak bez żadnej rozmowy kwalifikacyjnej?

– Od dawna wiem już o tobie wszystko, co powinienem wiedzieć, Dziewczynko.

– Pochlebiasz mi, Chick. Naprawdę. Z przyjemnością bym z tobą pracowała, ale obecnie
myślę o życiu z czegoś zupełnie innego.

– Jak to z czegoś innego? Potrafisz coś jeszcze robić? Masz jakieś tajemnicze talenty,
o których nie słyszałem? Na przykład jodłowanie?

– Nie.

– Wymachiwanie kijem?

– Nie.

– Zianie ogniem?

– Nie!

– Więc o czym myślisz? Zamierzasz wrócić na studia? To niezły pomysł. Mogłabyś zrobić
MBA. Napiszę ci rekomendację do Harvardu.

– Szczerze mówiąc, nie myślałam o powrocie do szkoły. Mam kilka innych pomysłów. Dam
ci znać, kiedy już coś zacznę robić.

– Nie pieprz. Gadaj od razu!

Postanowiłam milczeć.

– Proszę, nawet mi nie mów, że chcesz zamienić się w jedną z tych zgorzkniałych dziwek,
które po odejściu z Wall Street piszą książkę! Nie cierpię tego typu kobiet.

Zaśmiałam się.

– Nie piszę książki, Chick.

– I dobrze. Nie zasługuję na to, żeby mnie zjechać. Zawsze dobrze cię traktowałem.

Dawałem ci dodatkową kasę na święta, a nawet oddałem ci moje bilety na U2, o ile dobrze
pamiętam.

– Wiem i nie pamiętam, czy ci za to odpowiednio podziękowałam. Jeśli napiszę kiedyś
książkę, z pewnością wspomnę o tym, jak położyłeś stopy na biurku i kazałeś mi wpatrywać się
w swoje skarpetki. Tak przy okazji, zawsze były nie do pary.

– Mnie to nie przeszkadza. Jestem zajęтым człowiekiem, Alex. Nie mam czasu, żeby o sie-
bie dbać. Poza tym jesteś chyba jedyną osobą, która dostrzegła różnicę między ciemnogatowym
a czarnym.

– Raczej jedyną osobą, która ci o tym powiedziała.

– Dobrze, niech będzie. Alex, posłuchaj. Nie chcę odgrywać tu jakiegoś pieprzonego prowadzącego randkę w ciemno, ale chcę, żebyś wiedziała, że Will czuje się winny.

– Powinien.

– Bez wątpienia. Ale kiedy z nim rozmawiałem, zapytał mnie, czy powinien zadzwonić do ciebie. Sądzę, że czuje się źle, bo się z nim nie pożegnał. Obiecałem mu, że porozmawiam z tobą i wybadam sprawę. Co mu powiedzieć?

– Żeby spieprzał!

Ulżyło.

– W porządku.

– Fajnie. No cóż, idę teraz spotkać się z kumplem. Zjemy razem obiad. Dziękuję, że do mnie zadzwoniłeś. To naprawdę sporo dla mnie znaczy.

– Tylko mi się nie rozplacz. Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, wiesz, gdzie mnie znaleźć. Jeśli postanowisz, co chcesz zrobić ze swoim życiem, daj mi znać. Jeśli będę mógł ci jakoś pomóc, to z pewnością to zrobię. Capiche?

– Capiche.

– No to do dzieła, Dziewczynko. Będę ci kibicował.

Klik.

Rozłączył się.

Przeszłam ostatnie pół przecznicy dzielące mnie od małej włoskiej restauracji na Carmine Street, gdzie czekał na mnie Matt i próba jego kulinarnych talentów. Byłam wolną kobietą. I po raz pierwszy od dawna mogłam swobodnie oddychać.

Na wiszącej obok drzwi niewielkiej tabliczce widniał napis *Buona Fortuna*. Po włosku „Powodzenia”.

Pasował. Tego właśnie potrzebowałam!

Podziękowania

Dziękuję wszystkim, którzy pomagali mi podczas pisania tej książki, a także we wszystkich innych sytuacjach. Wasze wsparcie znaczyło dla mnie więcej, niż myślicie (i, tak na marginesie, dziękuję za to, że kupiliście tak wiele egzemplarzy, a ja nie musiałam odwoływać się do naszej przyjaźni czy więzów rodzinnych, przynajmniej nie głośno). Naprawdę jesteście wspaniali!

Dziękuję Joannie Adler, Kristen Baer, Eileen Berkery, Kurtowi Brownowi, Patricii Byrnes, Megan Collins, Whitney Cox, Avery Duffy, Barbarze Duffy, Calleigh Duffy, Cathy Duffy, Karen Duffy, Merri Duffy, Ronanowi Duffy, Quinnowi Duffy, Robowi Farrerowi, Laureen Fischetti, Marianne Filipski, Maurze Fitzgerald, Harveyowi Gouldowi, Jordanowi Keatingowi, Mary Kay Kemper, Christinie Kingham, Patowi Langdonowi, Karen Macdonald, Stacey Mon, Gregowi Mone, Colleen McNellis, Caseyowi Nicholasowi, Erice Noble, Catherine O'Connor, Kevinowi Penwellowi, Susan Puglisi, Jennie Quinn, Katie Regan, Jennie Robin, Kelly Sanderson, Kevinowi Sextonowi, Derekowi Solonowi, Susan Stewart, Sarze Tilley, Markowi Tortorze, Lee Ann Truss, Toddowi Venderowi, Michaeli Wenk, Jeannine Wiley, Kristine Wilson i Kelly Zarembie.

Specjalne podziękowania przesyłam reszcie rodzin Duffy oraz Sexton, ich powinowatym i niepowinowatym. To ogromne szczęście mieć tak liczną rodzinę, że nie sposób wszystkich tu wspomnieć. Dziękuję wam. Nie mam wątpliwości, że w trakcie Bożego Narodzenia usłyszę pretensje od wszystkich, którzy tu nie zostali wymienieni z imienia. Szczerze mówiąc, już się boję.

Dziękuję również przyjaciółom na Wall Street, dzięki którym moje życie było zabawniejsze, niż na to zasłużyłam. Postanowiłam użyć waszych ksywek, żeby was na wszelki wypadek zabezpieczyć. Wiecie, kogo mam na myśli... i to ważne. Na podziękowania zasłużyli:

Agency Ian, B, Bernie, Boss, Brendan, Bury, Charlie, Chanimal, Cleve, Disco-Dot, Doug, FX Ray, Gargi, Guy, Hammer, Harry, Hogs, Hey Tiger, HI RAY!, Jester, HB, Joe, Joey Dm, JZ, Keith, Laips, LP, Lynchie, Magantor, Mangia, MB, Microsoft, Milweed, Moose, Muchacho, Murray, Okay terrific, Pado, PT, Ranz, Robo, Rocket, Santee, T, Tank, Team Central Bank, Ted, Tokyo Rose, Silver Fox, Shaprtooth, Sobes, Smitty, Sweet Lou, Wayno. Dziękuję wam. I tęsknię za wami!

Kilka osób zasłużyło na szczególne wyróżnienie. Bez ich pomocy ta książka byłaby tylko kolejną kupką makulatury. Wciąż nie wierzę, że nią nie jest. Wiem jednak, że przeczyta ją trochę osób. Większość z nich to moja rodzina.

Dziękuję mojemu prawnikowi, Ericowi Raymanowi. Głównie za to, że poświęcił swój czas i wyteżył umysł, żeby pomóc nieznannej autorce. Zadbał też o to, żebym nie popełniła kolosalnych błędów. Od początku we mnie wierzyłeś i za to ci dziękuję. Nie musiałeś, wiem.

Dziękuję mojemu menedżerowi, Willowi Rowbothamowi, za przekonanie mnie, że ten pomysł jest czymś, o co warto walczyć. Walczyłeś za mnie wtedy, gdy ja bałam się walczyć, i zawsze oddzwaniałeś. Schlajmy się razem. Jutro. A niech tam, dziś. Mam wolne.

Dziękuję mojej agentce z wydawnictwa William Morris, Erin Malone. Za to, że wierzyłaś we mnie i skróciłaś siedmusetstronicową książkę do obecnego kształtu. To nie było łatwe. Jesteś niesamowita i kiedy mnie przejęłaś, w pewnym sensie trafiłam w dziesiątkę. Przeprowadziłaś mnie przez wszystkie rafy, trzymając mnie za rękę, a potem w trakcie własnych wakacji sprzedawałaś moją książkę w kawiarni. Tego nigdy ci nie zapomnę. Zaufaj mi.

Dziękuję wszystkim w wydawnictwie William Morris, a zwłaszcza Jennifer Brehl, najlepszemu wydawcy na świecie, która wykazała się cierpliwością godną świętej, ścisłym umysłem i duchem nastolatki, który tak pokochałam. Dziękuję też jej zastępczyni, Emily Krump, która doskonale sobie radziła z moimi głupimi pytaniami i chroniczną nerwicą. Dziękuję, że uwierzyłyście w moją książkę, że poświęciłyście jej wiele godzin i nauczyłyście mnie, że słówko toward nie ma na końcu literki s. Któż by przypuszczał? Ja na pewno nie. To jedna z wielu rzeczy, których się od was dowiedziałam. Cała lista jest olbrzymia.

Na koniec dziękuję Kelly Meehan oraz niezwykle szczodrej, utalentowanej i sympatycznej

Adrianie Trigiani. Taki Kopciuszek jak ja nie zasługuje na taką wróżkę chrzestną. Bez ciebie nie miałabym odwagi, żeby to wszystko spisać. To ty mi kazałaś to zrobić. Dziękuję, Adri, za wszystko. Słowami nie da się wyrazić wdzięczności. Żadnemu i żadnej z was.

O Autorce

Erin Duffy ukończyła Uniwersytet Georgetown w 2000 roku z tytułem licencjata w dziedzinie nauk humanistycznych, kolejne dziesięć lat spędziła w dziale sprzedaży instrumentów finansowych na Wall Street. *Diablica z Wall Street* to jej pierwsza powieść.

